Namiętne uniesienia,
mroczna tajemnica
i najwyższe emocje
w bestsellerze mistrzyni
romansu historycznego.
„Romantic Times"
AMANDA
QUICK
Kłamstwa
w blasku księżyca
AMBER
Romans historyczny

Amanda Quick

Kłamstwa w blasku księżyca

Przekład
Maria Wójtowicz

AMBER

Redakcja stylistyczna
Mirella Remuszko

Korekta
Barbara Cywińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Olga Vasileva/Shutterstock

Tytuł oryginału
Lie by Moonlight

Copyright © 2005 by Jayne Ann Krentz
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6800-2

Warszawa 2018. Wydanie IV

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Wszystkim nauczycielom z powołania.
To wy, ilekroć wchodzicie do klasy, kształtujecie przyszłość.

1

Ostatnie lata panowania królowej Wiktorii

Północ. Tonący we mgle cmentarz. Trudno o bardziej posępne miejsce i mroczniejszą porę spotkania! – pomyślała Annie Petrie.

Przejął ją dreszcz; otuliła się szczelniej płaszczem. Nigdy jeszcze nie bała się tak bardzo. Ale wszelkie informacje, jakie zebrała na temat człowieka, z którym się tu umówiła, całkowicie się ze sobą pokrywały – można się było z nim spotkać tylko na jego warunkach.

Przez cały dzień biła się z myślami: stawić się na tę posępną schadzkę czy dać temu spokój?… Nerwy miała stargane od samego rana, gdy zaraz po przebudzeniu znalazła na nocnym stoliku krótki list od tego człowieka.

Palce jej drżały, kiedy brała do ręki świstek. Była jak ogłuszona. On miał czelność wejść tu w nocy. Jakimś cudem sforsował zamknięte drzwi i okiennice. Śpiąc, nie usłyszała żadnego szmeru, nie wyczuła niczyjej obecności. Zupełnie jakby nawiedził ją duch!

Kiedy opanowała się na tyle, by przeczytać pozostawioną przez niego wiadomość, przekonała się, że to lista warunków, które musi spełnić. Wiedząc, że nie zazna spokoju, dopóki nie otrzyma odpowiedzi na dręczące ją pytania, postanowiła dostosować się do żądań – i starannie wypełniła wszystkie warunki.

Zgodnie z instrukcją miała, przekraczając cmentarną bramę, przygasić latarnię. Teraz jej słaby blask lekko ozłacał kłębiącą się wokół mgłę.

Gdzieniegdzie wynurzały się z ciemności kamienie nagrobne, krypty grobowe i pomniki obrzeżone koronką gęstych oparów.

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywała się od ucieczki i brnęła naprzód. Dotarłam aż tu, mówiła sobie w duchu, nie po to, żeby zrezygnować w ostatniej chwili! Przynajmniej tyle mogę zrobić dla biednej Nellie!

– Dobry wieczór, pani Petrie.

Głos, który usłyszała, był mroczny i złowróżbny jak tonący we mgle cmentarz. Zdawał się dochodzić zza drzwi krypty, którą właśnie mijała. Annie Petrie skamieniała, zbyt przerażona, by krzyknąć. O ucieczce nie było mowy.

To głos dżentelmena, pomyślała i, nie wiedzieć czemu, to odkrycie przeraziło ją jeszcze bardziej. Zdołała obrócić się w stronę, skąd dochodził głos. Wpatrywała się z natężeniem w mrok, usiłując dostrzec sylwetkę mówiącego. Jednak mdłe światło latarni nie mogło przebić lodowatej ciemności wokół ledwie dostrzegalnego wejścia do starego kamiennego grobowca.

– Spełniłam wszystkie warunki – wykrztusiła. Głos jej drżał, nie miała nad nim żadnej kontroli.

– Doskonale! Chyba się pani nie zdziwi, gdy powiem, że nie wszyscy proszący o spotkanie mają dość odwagi, by się na nie stawić.

– Nie, proszę pana – odparła rezolutnie, zaskoczona jednak, że zostało jej, mimo wszystko, więcej hartu ducha niż innym. – Niewielu znajdzie się śmiałków, którzy przylecą jak na skrzydłach spotkać się z nieznajomym, o którym opowiadają takie rzeczy… W dodatku o takiej porze i w takim miejscu!

– To prawda. – W głosie niewidzialnego rozmówcy brzmiała nutka rozbawienia. – Ale wiem z doświadczenia, że warunki, jakie stawiam, pozwalają wyeliminować ludzi słabych i chwiejnych, i skupić się na tych,

którzy z determinacją dążą do celu, bez względu na to, ile ich to będzie kosztowało.

– Determinacji mi nie brak, proszę pana.

– Istotnie. A zatem, może przejdziemy od razu do sedna? Zakładam, że chciała się pani ze mną spotkać w związku ze śmiercią siostry, która zginęła dwa dni temu?

Annie doznała szoku, słysząc słowa nieznajomego.

– Pan wie o śmierci Nellie?…

– Kiedy dowiedziałem się, że zależy pani na spotkaniu ze mną, byłem ciekaw, co panią do tego skłoniło. Popytałem więc tu i tam i wiem, że pani siostra zginęła na skutek nieszczęśliwego wypadku.

– Owszem, zginęła, ale to wcale nie był wypadek! – krzyknęła. – Wiem, że policja tak uważa… ale to nieprawda!

– Ciało Nellie Taylor znaleziono na terenie zakładów kąpielowych Doncaster Baths. Pływało po powierzchni basenu z zimną wodą. Wszystko wskazuje na to, że pani siostra potknęła się na kafelkach obramowania basenu, doznała urazu głowy, wpadła do wody i utonęła.

Wygłoszone z zimną krwią, beznamiętne podsumowanie faktów sprawiło, że Annie Petrie zawrzała znów gniewem i uświadomiła sobie własną bezsilność. Jedno i drugie dręczyło ją od śmierci Nellie.

– Nigdy w to nie uwierzę! – oświadczyła stanowczo. – Moja siostra pracowała w łaźniach dobre dziesięć lat, od trzynastego roku życia. Kiedy zaczynała, doktor Doncaster sam jeszcze poddawał swoich pacjentów wodnej kuracji. Nellie znała tam każdy kąt, a na śliskie kafelki zawsze uważała!

– No, cóż… Wypadek każdemu może się zdarzyć, pani Petrie.

– Ale Nellie nie miała żadnego wypadku, mówię panu! – Palce Annie zacisnęły się kurczowo na uchwycie latarni. – Ktoś ją zabił!

– Skąd ta pewność?

Spytał od niechcenia, jakby z czystej uprzejmości.

– Już mówiłam, że dowodów nie mam żadnych. – Przełknęła z trudem ślinę i się wyprostowała. – Właśnie po to przyszłam do pana, żeby je pan znalazł. To pańska specjalność, prawda?

Zapadło dłuższe milczenie.

– Tak, pani Petrie, to moja specjalność – odparł wreszcie. – Proszę mi powiedzieć coś więcej o swojej siostrze.

Znów odetchnęła głęboko i ważąc każde słowo, zaczęła:

– Nellie pracowała w pawilonie dla pań.

– Ale jej ciało znaleziono w basenie z zimną wodą, w części przeznaczonej dla mężczyzn.

– Wiem, proszę pana. To jedna z tych rzeczy, które wydały mi się podejrzane, rozumie pan.

– Może od czasu do czasu pomagała przy zabiegach dla panów?

– No, chyba tak… Ale bardzo rzadko. – Teraz Annie stąpała po niezbyt pewnym gruncie. A myślała, że ją to ominie! – Nieraz panowie zamawiają dodatkowo którąś dziewczynę z personelu, żeby im w trakcie zabiegu umyła włosy albo zrobiła masaż w osobnym pomieszczeniu.

– Słyszałem już o podobnych usługach – odparł obojętnie.

Annie poczuła w żołądku lodowaty chłód. Jeśli ten człowiek dojdzie do wniosku, że Nellie była prostytutką, nie zechce się w tym babrać.

– To wcale nie było tak, jak pan myśli! Nellie to porządna, ciężko pracująca dziewczyna. A nie lafirynda!

– Bardzo przepraszam, jeśli niechcący panią uraziłem. Nie mam prawa ani zamiaru nikogo potępiać.

Jaki uprzejmy! – pomyślała całkiem zbita z tropu. W dodatku wyglądało na to, że mówił szczerze. Bardzo rzadko ktoś taki jak on, pan z panów, przejmował się uczuciami byle sklepikarki!

– Nie wiem dokładnie, co się tam działo w prywatnych kabinach po męskiej stronie łaźni – przyznała. – Tylko tyle, że Nellie pracowała tam od

czasu do czasu. Mówiła mi, że niektórzy klienci prosili specjalnie o nią, a potem dostawała hojne napiwki.

Mężczyzna nie odzywał się tak długo, iż Annie zlękła się, że sobie poszedł. Całą okolicę ogarnęła przytłaczająca cisza.

W plotkach i opowieściach, jakie zasłyszała na jego temat, była mowa także o tym, że pojawia się nie wiadomo skąd, a potem nagle znika. Kiedy po raz pierwszy o tym usłyszała, uznała, że to wierutne bzdury. Ale teraz, gdy znajdowała się na tonącym we mgle cmentarzu, nietrudno byłoby jej uwierzyć, że rozmawia z kimś z zaświatów.

Kto wie?… Może we dnie spoczywa w trumnie wewnątrz tego grobowca, obok którego stał przed chwilą?

Na tę myśl przeszył ją dreszcz trwogi.

– Czy według pani jeden z tych specjalnych klientów zabił Nellie? – spytał nieznajomy.

– To całkiem możliwe, proszę pana.

Znów to koszmarne milczenie. Mgła chyba gęstniała. Słaby blask księżyca nie mógł się przez nią przebić. Annie nie widziała już zarysów grobowca.

– Dobrze, zajmę się tą sprawą – oświadczył nieznajomy – jeżeli pani istotnie chce poznać prawdę.

– A cóż to znowu?! Jak mogłabym nie chcieć tego, o co tak zabiegam?

– Nieraz się zdarza w podobnych sprawach, że klienci dowiadują się o swoich zmarłych czegoś, o czym woleliby nie wiedzieć.

Annie Petrie się zawahała.

– Rozumiem, co pan ma na myśli. Ale Nellie to moja siostra. Tak samo jak reszta z nas musiała się na niejedno godzić, żeby związać koniec z końcem. Ale w głębi serca była zawsze dobrą dziewczyną. Nie mogłabym spojrzeć na własną twarz w lustrze, gdybym nie spróbowała dowiedzieć się, kto jej wyrządził taką krzywdę!

– Rozumiem, pani Petrie. Skontaktuję się z panią, gdy poznam całą prawdę… lub wyjaśnię przynajmniej kilka kwestii.

– Bardzo panu dziękuję. Będę naprawdę zobowiązana. – Odchrząknęła. – Słyszałam, że jakoś dziwnie trzeba płacić za pańskie usługi.

– No cóż… Za wszystko trzeba płacić, pani Petrie.

Znów przeniknął ją dreszcz, ale nie ustępowała.

– Pewnie, ale moim zdaniem lepiej wszystko omówić od razu. Mam sklepik z parasolkami i chleba mi nie braknie, ale do bogaczy nie należę.

– Nie biorę pieniędzy od moich klientów, pani Petrie. Krótko mówiąc, wyznaję zasadę: przysługa za przysługę.

Znów ogarnął ją strach.

– Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, jakiej przysługi pan oczekuje.

– Być może kiedyś będę potrzebował parasolki… albo nawet kilku. I wówczas pani mi się zrewanżuje. Odpowiadają pani takie warunki umowy?

– A jakże – wymamrotała. Była całkiem zbita z tropu. – Ale ja sprzedaję parasolki dla pań. Po co panu damska parasolka?!

– Nigdy nic nie wiadomo. Najważniejsze, że dobiliśmy targu. Bardzo proszę nie mówić nikomu o naszym dzisiejszym spotkaniu.

– Na pewno nie powiem. Słowo!

– Zatem dobrej nocy, pani Petrie.

– Dobranoc panu! – Nie bardzo wiedziała, co jeszcze powiedzieć. – I dziękuję!

Obróciła się na pięcie i ruszyła do bramy cmentarnej. Gdy tam dotarła, wyregulowała światło latarni i pośpieszyła do swej bezpiecznej przystani: przytulnego mieszkanka nad sklepem z parasolkami.

Zrobiła, co było w jej mocy. Reszta zależała od tego człowieka. A z plotek i opowieści o nim wiedziała, że jeśli coś obiecał, z pewnością dotrzyma słowa.

2

Drugi wybuch wstrząsnął starymi kamiennymi ścianami, otaczającymi ze wszystkich stron sekretne schody. Jakby w odpowiedzi lekko zakołysała się latarnia, którą Concordia Glade ściskała kurczowo w dłoni. Niewielkie, ale jaskrawe światełko zatańczyło dziko w przyprawiających o dreszcz przerażenia ciemnościach, które okrywały ją i cztery panienki stojące za jej plecami.

Wszystkie, nie wyłączając Concordii, wzdrygnęły się i wstrzymały oddech.

– A jeśli to wszystko zawali się, nim dotrzemy do schodów? – W głosie Hannah Radburn zabrzmiała niepokojąco histeryczna nuta. – Zostaniemy pogrzebane żywcem!

– Te mury z pewnością się nie zawalą – odparła Concordia, wkładając w swe słowa znacznie więcej pewności, niż miała jej w sercu. Ujęła latarnię mocniej, by przestała się kołysać, i poprawiła okulary zsuwające się jej z nosa. – Pamiętasz chyba, że dokładnie przestudiowałyśmy wszelkie informacje dotyczące budowy Aldwick Castle, zanim ustaliłyśmy, gdzie umieścimy nasze ładunki wybuchowe. Te schody mają kilkaset lat. To najstarsza i najbardziej solidna część całej konstrukcji. Zbudowano ją tak, by oparła się nawet wystrzałom z katapulty. Z pewnością nie zawali się bez powodu tej właśnie nocy.

Daj Boże, żeby to była prawda! – dodała w duchu.

W rzeczywistości siła obu eksplozji, jeśli można było ją ocenić na podstawie stłumionych odgłosów, jakie do nich dotarły, przekraczała wszelkie przewidywania… mówiąc najoględniej. Pierwszy wybuch pozbawił szyb wszystkie okna w nowym skrzydle. Eksplozja nastąpiła tuż obok pokoju, w którym obaj przybysze z Londynu delektowali się po obiedzie cygarami i portwajnem. Ze swego stanowiska obserwacyjnego w pokoju szkolnym, położonym w starszej części zamku, Concordia widziała wyraźnie płomienie rozszerzające się z niebywałą szybkością i gwałtownością.

Drugi wybuch, który zgodnie z planem nastąpił kilka minut po pierwszym, wyrządził jeszcze większe szkody… sądząc z odgłosów.

– Za drugim razem huknęło strasznie głośno. Prawda, panno Glade? – zauważyła z niepokojem Phoebe Leyland. – Może ta receptura ze starej książki zawierała jakiś błąd?

– Instrukcja dotycząca wszystkich komponentów była całkiem prosta – odpowiedziała nauczycielka. – Wypełniłyśmy skrupulatnie wszelkie zalecenia. Przepis jednak dotyczył eksplozji na wolnym powietrzu, nie w zamkniętym pomieszczeniu. Nic dziwnego, że efekt jest zdumiewający. I o to nam przecież chodziło!

Concordia mówiła dobitnie, przekonująco. Gdyby choć na sekundę zdradziła przepełniający ją strach, mogłoby się to fatalnie skończyć dla nich wszystkich. Życie czterech młodych dziewcząt, stojących za nią, spoczywało w jej rękach. Aby wyjść z tego cało i uciec z Aldwick Castle, uczennice musiały zachować spokój i spełniać bez wahania rozkazy nauczycielki. Histeria i paniczny strach z pewnością doprowadziłyby do tragedii.

Z dziedzińca dolatywały do nich stłumione okrzyki trwogi i naglące rozkazy. Widać nieliczna zamkowa służba stanęła do walki z żywiołem. Przy odrobinie szczęścia wszyscy będą zbyt zajęci gaszeniem pożaru, by dostrzec pięć uciekinierek przemykających do stajni.

Muszą się stąd wydostać jeszcze tej nocy, bo inaczej wszystko przepadnie. Podsłuchana przez Concordię rozmowa dwóch londyńczyków potwierdzała w zupełności jej przypuszczenia. Przede wszystkim jednak musiały wymknąć się niepostrzeżenie. Concordia nie miała najmniejszych wątpliwości, że gburowaci, groźnie wyglądający strażnicy, poprzebierani za ogrodników i parobków, snujący się w bezpośrednim sąsiedztwie zamku, bez wahania poderżną gardło lub zastrzelą każdą z nich na rozkaz któregoś z tych łajdaków, stołecznych elegantów.

– Strasznie tu ciemno – poskarżyła się Hannah zdławionym szeptem.

Concordia podniosła wyżej latarnię. Schody były nie tylko mroczne, ale wąskie i ciasne. Żadnej z uciekinierek schodzenie tą drogą nie sprawiało przyjemności, ale Hannah zawsze obawiała się małych, ciemnych pomieszczeń.

– Prawie już dotarłyśmy do podnóża – zapewniła swą podopieczną Concordia Glade.

– Czuję dym! – oznajmiła szesnastoletnia Theodora Cooper.

Jej siostra bliźniaczka, Edwina, jęknęła.

– Może i to skrzydło już płonie?

Słaby, lecz łatwy do rozpoznania zapach dymu dotarł już do sekretnych schodów. Concordia poczuła nagły dreszcz trwogi. Z najwyższym wysiłkiem opanowała się i przemówiła pewnym siebie, nauczycielskim tonem.

– W tej części zamku jesteśmy całkiem bezpieczne. Czujemy dym, bo wiatr wieje w naszym kierunku. Nawet strzępki mgły przenikają tu szparą pod drzwiami.

– Może lepiej zawrócić, panno Glade? – lamentowała Edwina.

– Nie bądź głupia! – ofuknęła ją Phoebe. – Dobrze wiesz, że o powrocie nie ma mowy! Chyba że chcesz koniecznie wpaść w łapy tych łotrów!

Edwina zamilkła. Nikt inny się nie odezwał.

Concordia spojrzała przez ramię na Phoebe i uśmiechnęła się do niej. Dziewczynka – podobnie jak ona – nosiła okulary. Zza nich niebieskie, inteligentne oczy spoglądały na nauczycielkę z determinacją rzadko spotykaną u piętnastolatki.

W ciągu miesiąca, który Concordia spędziła w Aldwick Castle, zetknęła się kilkakrotnie z podobną reakcją uczennic, świadczącą o niezwykłej w tak młodym wieku znajomości świata i rządzących nim praw. W mgnieniu oka naiwny entuzjazm, z jakim przyjmowały nieznane im dotąd niewinne przyjemności wieku dojrzewania, ustępował miejsca trwodze czy melancholii. Z dziecinnej twarzy uchodził blask młodości, z oczu znikało radosne oczekiwanie.

Ustawiczny niepokój dziewcząt powierzonych pieczy Concordii nie był bezpodstawny. Każda z nich w ciągu kilku ostatnich miesięcy straciła rodziców, a potem wegetowała, zdana tylko na siebie, nie mając oparcia w rodzinie ani żadnego zabezpieczenia finansowego. Każda doznała niepowetowanych strat, każdą ogarniał paniczny strach na myśl o niepewnej przyszłości. Nieustanny ból i lęk osłabiały siłę ducha i pozbawiały dziewczęta właściwej dla młodego wieku energii.

Nauczycielka dobrze znała te problemy. Kiedy miała szesnaście lat, zmarli jej rodzice i rozpadł się cały świat młodziutkiej Concordii. Od tamtej pory minęło dziesięć lat, ale przejmujący ból i trwoga powracały nadal w sennych koszmarach.

– Może i w stajni już się pali? – zaniepokoiła się Edwina.

– Stajnia leży po przeciwnej stronie dziedzińca – przypomniała jej Concordia. – Pożar nie mógł się tam jeszcze rozprzestrzenić. Wątpię, czy w ogóle tam dotrze.

– Panna Glade ma absolutną rację! – W głosie Theodory znów brzmiał entuzjazm. – Pamiętasz chyba, jak starannie rozmieszczałyśmy lonty, by stajnie nie zajęły się na samym początku.

– Kości zostały rzucone, nie ma już odwrotu – stwierdziła z patosem Hannah. – Jesteśmy zdane na łaskę przeznaczenia.

Ilekroć nie dręczył jej niepokój – a powodów do obaw nie brakowało – Hannah zdradzała niepośledni talent dramatyczny. Była najmłodsza z całej czwórki, zaczynała dopiero piętnasty rok życia. Często jednak zadziwiała Concordię swoją niezwykłą intuicją, dzięki której wczuwała się w różne role lub znakomicie naśladowała czyjąś minę, postawę, charakterystyczne gesty.

– Nie jesteśmy wcale zdane na łaskę losu – sprzeciwiła się żywo nauczycielka. – Mamy przecież plan działania. Musimy tylko wiernie się go trzymać. I tak właśnie postępujemy!

Słowa nauczycielki, wypowiedziane z taką pewnością siebie, dodały sił czterem uczennicom. Od wielu dni Concordia wbijała dziewczętom do głowy, jak ważną rolę odgrywa plan działania. Sama wzmianka o nim w chwili zwątpienia miała moc zaklęcia. Dokładnie tak jak Concordia przewidywała. Dawno temu przekonała się, że ten, kto starannie opracuje plan działania, zdoła pokonać największe przeszkody.

– Tak, panno Glade. – W głosie Hannah dało się słyszeć nutę optymizmu. Jej ciemne oczy nadal rozszerzał strach, ale nabrała nieco pewności siebie. – Znamy plan na pamięć, ze wszystkimi szczegółami.

– Przekonacie się, jak bardzo nam to pomoże. – Nauczycielka dotarła już do podnóża schodów i odwróciła się znów do dziewcząt. – Pierwszy punkt naszego planu został należycie zrealizowany. Pora przystąpić do punktu drugiego. Otworzę drzwi i sprawdzę, czy droga wolna. Mam nadzieję, że wszystkie wiecie, co teraz trzeba zrobić?

– Wyruszymy razem w kierunku stajni. Przemkniemy się chyłkiem pod osłoną starych magazynów, przylegających do południowej ściany – wyrecytowała z przejęciem Phoebe.

Pozostałe dziewczęta kiwnęły potakująco głowami. Kaptury peleryn opadły im na plecy, odsłaniając wzruszająco młode twarze – poważne,

pełne niepokoju i determinacji.

– Czy każda pilnuje swojego tobołka? – spytała Concordia.

– Tak, panno Glade – odpowiedziała w imieniu wszystkich Phoebe. Obiema rękami obejmowała niewielką płócienną torbę; sądząc z kilku podejrzanych wybrzuszeń, dziewczynka ukryła w niej część sprzętu laboratoryjnego, niezbędnego do przeprowadzania doświadczeń naukowych.

Ten sprzęt, podobnie jak skromny księgozbiór oraz inne pomoce naukowe, przywiozła miesiąc temu do Aldwick Castle panna Concordia Glade.

Jeszcze dziś po południu, po raz ostatni przed zaplanowaną ucieczką, Concordia wbijała swym podopiecznym do głowy, że mają zabrać ze sobą tylko to, co jest im niezbędne. Dobrze jednak wiedziała, że u tak młodych osób pojęcie „rzeczy niezbędne” jest bardzo wieloznaczne.

Pakunek Hannah Radburn wydał się nauczycielce stanowczo za ciężki. Concordia podejrzewała, że jego właścicielka, wbrew ścisłym instrukcjom, przemyciła między przedmiotami naprawdę niezbędnymi jedną ze swych ukochanych powieści.

Theodora z pewnością ukryła w swoim tobołku przybory do malowania, choć nauczycielka wyraźnie jej tego zabroniła.

W torbie Edwiny na pewno znalazła się jedna z modnych sukien, które przysłano z Londynu na początku tygodnia.

Właśnie ta zaskakująca przesyłka uzmysłowiła Concordii całą powagę chwili.

– Pamiętajcie, dziewczęta – powiedziała łagodnym tonem – że jeśli sytuacja stanie się niebezpieczna, dam sygnał alarmowy. A wówczas każda z was musi… musi, rozumiecie?… porzucić bagaż i biec do stajni najszybciej, jak zdoła. Wyrażam się jasno?

Dziewczęta przycisnęły do siebie tobołki.

Rozległo się ciche potakiwanie, ale… Concordii zamarło serce. W krytycznym momencie trudno będzie skłonić dziewczęta, aby porzuciły swoje skarby. Kiedy ktoś jest sam na świecie, czepia się kurczowo przedmiotów, które mają dla niego wartość emocjonalną.

Concordia czuła zresztą, że nie powinna osądzać dziewcząt. Zawartość jej torby także nie ograniczała się do rzeczy absolutnie niezbędnych. I nie porzuciłaby tych pamiątek, choćby sam Belzebub próbował ją ich pozbawić. W torbie znajdował się medalion z fotografią zmarłych rodziców i ostatnie dzieło filozoficzne ojca, wydane tuż przed śmiercią.

Nauczycielka przygasiła latarnię. Hannah wydała cichutki bolesny pisk, gdy schody pogrążyły się znów w mroku.

– Uspokój się, moja droga – szepnęła Concordia. – Zaraz stąd wyjdziemy.

Wymacała solidną zasuwę na drzwiach i szarpnęła z całej siły. Otwieranie starych dębowych drzwi wymagało więcej wysiłku, niż sądziła. Gdy uchyliła je, w szparze zabłysła łuna pożaru. Wtargnęły też do środka zimne powietrze i zapach dymu. Słychać było całkiem wyraźnie okrzyki ludzi walczących z żywiołem. Concordia nie dostrzegła jednak nikogo ani za drzwiami, ani w pobliżu pierwszego ze starych składów.

– Droga wolna – oznajmiła. – Biegiem, dziewczęta!

Chwyciła przygaszoną latarnię i ruszyła przodem. Dziewczęta pośpieszyły za nią jak stadko gęsiąt.

Scena, jaka ukazała się ich oczom, była oświetlona jaskrawożółtym blaskiem, który kojarzył się z ogniem piekielnym. Na obszernym dziedzińcu panował chaos. Concordia dostrzegła mnóstwo drobnych czarnych postaci, biegających we wszystkie strony i wykrzykujących rozkazy, których nikt nie zamierzał spełnić. Dwaj mężczyźni pracowicie taszczyli wiadra z wodą z pobliskiej studni. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nieliczna zamkowa służba nie była przygotowana do walki z żywiołem, zwłaszcza że pożar przybrał ogromne rozmiary.

Concordia osłupiała na widok straszliwych zniszczeń, jakich żywioł zdążył już dokonać. Języki ognia, które przed kilkoma minutami wysuwały się nieśmiało z pozbawionych szyb otworów okiennych, w stosunkowo krótkim czasie, kiedy to uciekinierki schodziły po sekretnych schodach, przekształciły się w istne piekło, z szalonym tempem niszczące całe nowe skrzydło budowli.

– O Boże! – szepnęła Theodora. – Oni z pewnością nie zdołają tego ugasić! Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby spłonął cały zamek!

– Kto by przypuszczał, że uda się nam wzniecić aż taki pożar? – zdumiała się Phoebe.

– Tym lepiej, bo w tym zamieszaniu nikt nie zwróci na nas uwagi – stwierdziła Concordia. – Pośpieszcie się, panienki! Nie ma czasu do stracenia!

Ruszyła szybkim krokiem, czując ciążące jej suknię i pelerynę. Nie chodziło tylko o to, że długa spódnica z grubego materiału przeszkadzała jej w biegu. W ciągu ostatnich kilku tygodni w sporządzonych naprędce niewidocznych kieszonkach nauczycielka zdążyła ukryć i zaszyć wiele wartościowych drobiazgów, które będzie można spieniężyć lub zastawić w lombardzie. Miała nadzieję, że dzięki tym drobnym kradzieżom zapewni swoim podopiecznym pożywienie i bezpieczną kryjówkę. W tej chwili jednak pozaszywane skarby ciążyły jej jak ołów.

Dziewczęta mogły poruszać się swobodnie w przeszytych pośrodku spódnicach, które przekształciły się w luźne szarawary.

Przebiegły gęsiego obok kilku walących się zabudowań gospodarczych, które pełniły niegdyś funkcję zamkowych spichlerzy i składów żywności.

Wkrótce dotarły do starej kuźni. Z mroku wyłoniły się zarysy stajni.

Concordia skoncentrowała uwagę na następnym punkcie ich planu, gdy potężnie zbudowany mężczyzna wyłonił się zza starego wiatraka i zagrodził jej drogę.

W jaskrawym blasku ognia i srebrnej poświacie księżyca widziała wyraźnie jego grube rysy. Rozpoznała Rimptona, jednego z dwóch londyńczyków, którzy rano przybyli do zamku. Jego ubranie było podarte i osmalone ogniem.

W ręku miał pistolet.

Concordia zastygła w bezruchu. Dziewczęta również, być może instynktownie wzięły przykład ze swej opiekunki w momencie zagrożenia.

– Niech mnie diabli! Toż to pani nauczycielka i jej śliczne uczennice! – odezwał się Rimpton. – Dokąd wam tak śpieszno, moje damy?

Palce Concordii zacisnęły się na uchwycie latarni.

– Uciekamy przed pożarem, głupcze! Zejdź nam z drogi, nie czas na pogawędki!

Przyjrzał się jej uważniej.

– Śpieszno wam do stajni, co?

– Nic dziwnego. Leży najdalej od ognia – odparła Concordia, nie kryjąc głębokiej pogardy, jaką żywiła do tego brutalnego prostaka.

Znienawidziła Rimptona od pierwszej chwili. Nie miała żadnych wątpliwości co do jego zamiarów, gdy dostrzegła lubieżne spojrzenia, jakimi obrzucał jej dziewczęta.

– Ani chybi coś knujecie! – rzucił oskarżycielskim tonem Rimpton.

– Hannah! – zwróciła się do uczennicy Concordia, nie odrywając oczu od Rimptona.

– S…słucham, p…panno Glade?

– Bądź tak dobra i zademonstruj nam reakcję Araminty na zdumiewające oświadczenie Lockhearta w Sherwood Crossing.

Na grubo ciosanej twarzy Rimptona pojawił się wyraz niepewności.

– Co to ma znaczyć, do wszystkich…?

Ale Hannah już była na scenie. Wcieliła się bez reszty w rolę Araminty, bohaterki sensacyjnej powieści, którą przeczytała w ubiegłym tygodniu.

Ze zdławionym okrzykiem bólu i rozpaczy padła na ziemię, tak przekonująco udając omdlenie, że nie powstydziłaby się takiego występu nawet najbardziej utalentowana aktorka.

Zbity z tropu Rimpton odwrócił się do zemdlonej i spojrzał na nią podejrzliwie.

– Co ta dziewczyna sobie myśli?! Mam już dość tych bzdur!

– Jeszcze jedna niespodzianka! – mruknęła pod nosem Concordia.

Z całej siły zamachnęła się latarnią. Jej ciężka obudowa uderzyła mocno w potylicę Rimptona. Szkło pękło, odłamki posypały się na wszystkie strony.

Ogłuszony Rimpton zwalił się na kolana. O dziwo, nadal trzymał pistolet w garści.

Jest tylko zamroczony, skonstatowała w duchu Concordia, nie stracił przytomności! Spoglądała z przerażeniem na usiłującego się podnieść zbira.

W zapamiętaniu podniosła znów latarnię i powtórnie uderzyła nią w głowę Rimptona, wkładając w to uderzenie wszystkie siły.

Zbir stęknął jakoś dziwnie i runął na twarz. Nie poruszył się więcej. Pistolet z łoskotem upadł na bruk. Światła było dość, by ujrzeć sączącą się z rany ciemną ciecz, tworzącą wokół głowy kałużę.

Na sekundę zapadła przeraźliwa cisza. Potem Hannah niezgrabnie wstała i pochwyciła swój tobołek. Podobnie jak reszta dziewcząt spoglądała na powalonego Rimptona. Po raz pierwszy była świadkiem fizycznej przemocy.

– Idziemy! – powiedziała Concordia, starając się zachować spokój. Ręce jej się okropnie trzęsły, gdy schyliła się po pistolet, który wypadł z ręki Rimptona. – Mamy już tylko kilka kroków do stajni. Hannah, to omdlenie naprawdę ci się udało.

– Dziękuję, panno Glade – odparła automatycznie Hannah. Nadal nie mogła oderwać oczu od powalonego Rimptona.

– Czy on… nie żyje?…

– Wygląda, jakby nie żył – szepnęła Phoebe.

– Dobrze mu tak! – oświadczyła Edwina z wyraźną satysfakcją. – To on z tym swoim kompanem Bonnerem uprowadził pannę Bartlett nie wiadomo dokąd! Z pewnością zrobili jej coś złego. Wszyscy gadali, że panna Bartlett wróciła pociągiem do Londynu… ale gdyby tak było, z pewnością nie zostawiłaby swoich nowiutkich rękawiczek!

– Idziemy, panienki! – wtrąciła się Concordia. Nie wątpiła już w słuszność teorii swoich uczennic na temat zagadkowego zniknięcia poprzedniej nauczycielki. – Jedna za drugą, blisko siebie!

Jej rzeczowe instrukcje pomogły dziewczętom otrząsnąć się z szoku i oderwać wzrok od nieruchomej postaci. Wszystkie cztery ustawiły się za nauczycielką.

Concordia ruszyła przez najbardziej mroczne zakamarki ku stajni. Była świadoma, że najniebezpieczniejszą część planu mają jeszcze przed sobą. Siodłanie koni po ciemku również nie było łatwe, choć ćwiczyły to wielokrotnie.

Crocker, główny stajenny, wzruszył tylko ramionami i nie okazał zainteresowania, gdy tłumaczyła mu, że w programie zajęć dla młodych panienek są przewidziane regularne przejażdżki konne. Nie było prawdziwych damskich siodeł, ale Crocker nieustannie nagabywany przez Concordię wynalazł wreszcie trzy sfatygowane „farmerskie siodła” i pasującą do nich uprząż.

Jedynymi końmi, które pasły się na dworskich gruntach, były krzepkie, cierpliwe szkapy. Podczas wypraw do pobliskiego miasteczka przewożono na nich zapasy żywności.

Na szczęście Edwina i Theodora wychowywały się w bogatym majątku ziemskim. Niemal od urodzenia jeździły konno i były prawdziwymi znawczyniami tej sztuki. Okazały się również znakomitymi instruktorkami dla Phoebe, Hannah i Concordii. Jak często się zdarza u osób w ich wieku, Phoebe i Hannah szybko opanowały podstawy jeździectwa.

Concordia miała z tym znacznie więcej trudności. Wątpiła, czy kiedykolwiek będzie się czuła swobodnie na końskim grzbiecie.

Znalazłszy się w mrocznym wnętrzu stajni, z ogromną ulgą stwierdziła, że nikt się w pobliżu nie kręci. Jak przypuszczała, wszyscy mężczyźni zbiegli się do gaszenia pożaru.

Wszystkie trzy konie były niespokojne i podniecone. Concordia słyszała, jak niecierpliwie tupią kopytami w ciemności. Z boksów dolatywało ciche, trwożliwe parskanie. W łunie pożaru widoczne były trzy końskie łby, odwracające się niespokojnie w stronę wejścia. Choć budynek znajdował się daleko od płonącego zamku i nikomu nie groziło tu bezpośrednie niebezpieczeństwo, zwierzęta czuły zapach dymu i słyszały krzyki ludzi.

Concordia otworzyła drzwi wiodące do składu uprzęży, weszła do środka i zapaliła latarnię.

– Szybko, panienki – ponagliła uczennice. – Nie mamy ani chwili do stracenia. Odłóżcie tobołki i weźcie się do siodłania koni.

Dziewczęta rzuciły torby na podłogę i pobiegły po uprzęże.

Concordia stwierdziła z ulgą, że powtarzane w nieskończoność ćwiczenia opłaciły się z nawiązką. Siodłanie koni szło szybko i gładko.

Edwina i Theodora ustaliły zawczasu, kto pojedzie na jakim koniu. Postanowiły dosiąść najbardziej żwawego z trzech wierzchowców, tłumacząc, że tylko one będą wiedziały, co robić, jeśli się spłoszy lub rozbryka. Phoebe i Hannah przydzieliły dobrodusznego i łagodnego wałacha. Concordii dostał się drugi grubokościsty wałach, zwany Pstrokaczem. Edwina i Theodora zachwalały wyjątkową cierpliwość i spokojny charakter zwierzęcia. W normalnych warunkach trzeba było wyjątkowej determinacji, by zmusić Pstrokacza do szybszej jazdy; ciągle poruszał się ulubionym truchcikiem. Bliźniaczki uznały, że tę wadę Pstrokacza rekompensuje stoicki spokój konia, który nigdy się nie płoszył. Nie było obawy, że nagle poniesie i zrzuci jeźdźca z grzbietu.

Concordia odłożyła pistolet Rimptona na drewnianą ławę i wzięła do ręki wodze, starając się nie okazać strachu. Pstrokacz uprzejmie nadstawił łepetynę i wziął do pyska wędzidło. Wydawało się, że pragnie opuścić to miejsce równie gorąco jak uciekinierki.

– Dziękuję, dobry koniku – szepnęła do niego Concordia, poprawiając uprząż. – Bądź dla mnie wyrozumiały. Wiem, że wolałbyś lepszego jeźdźca… ale tak bardzo potrzebuję twojej pomocy! Musimy czym prędzej zabrać dziewczęta z tego przeklętego miejsca!

Wyprowadziła konia z boksu i zabrała leżącą na ławie broń. Cicho szeleściła słoma i poskrzypywały siodła i rzemienie. Z dwóch innych boksów wynurzyły się Edwina i Phoebe; każda z nich trzymała konia za uzdę.

Wszystkie trzy wierzchowce były osiodłane. Płócienne torby, przerzucone przez koński zad, zostały starannie przytroczone rzemykami.

– Na koń! – zakomenderowała Concordia.

Zgodnie z planem wykonały następny, po wielekroć przećwiczony, manewr: konie po kolei podprowadzano do ułatwiającego wsiadanie słupka. Najpierw dosiadły swej klaczy Edwina i Theodora. Potem Phoebe i Hannah z dodającą ducha zręcznością znalazły się na końskim grzbiecie.

Concordia wstrzymała się z wsiadaniem do ostatniej chwili; przez cały czas wpatrywała się z napięciem w stajenne wrota.

Kiedy wreszcie przyszła kolej na nią, odgarnęła do tyłu fałdy peleryny, wetknęła do kieszeni zdobyczną broń i weszła na słupek do wsiadania.

– Dziękuję, Pstrokaczu, za twoją cierpliwość i wyrozumiałość!

Wsunęła czubek buta w strzemię i, podciągnąwszy się w górę, wylądowała na szerokim grzbiecie Pstrokacza. Wałach z niezwykłym pośpiechem ruszył w stronę wyjścia. Concordia obiema rękami chwyciła wodze.

– Nie brykaj, koniku! – zwróciła się do Pstrokacza. – Bardzo cię proszę!

Nagle w stajni zamigotało światło.

Potężnie zbudowany mężczyzna stał w drzwiach, oświetlony od tyłu. W migotliwym blasku latarni błysnął rewolwer w jego ręku.

– No, no! Więc nasze śliczne małe panienki zawędrowały aż tu! – odezwał się urągliwie. – I burdelmama też, a jakże! Od razu coś mnie tknęło, kiedy zobaczyłem puste pokoje. Ani chybi próbują zwiać, pomyślałem. I na moje wyszło!

Krew w żyłach Concordii ścięła się lodem. Był to bez wątpienia Bunner, kamrat Rimptona.

– Proszę nam nie przeszkadzać – odparła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zabieram moje wychowanki w bezpieczne miejsce.

– Zamknij się, głupia babo! – Skierował na nią lufę swego rewolweru. – Na ciemniaka nie trafiłaś! Gdyby to pożar was wypłoszył z łóżek, przyleciałybyście w samych koszulach! A tu masz: wszystkie wystrojone jak na paradę. Dobrze wiem, co się tu święci. Chcesz zwiać razem z nimi, może nie?

– Chcemy przenieść się w bezpieczne miejsce – odparła chłodno. – Te dziewczęta powierzono mojej opiece.

– Zgadłaś, że te panny to chodliwy towar, co? Czymś takim warto się zaopiekować i zgarnąć całą forsę, no nie?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Dyskretnie przerzuciła cugle do lewej ręki, a prawą przycisnęła do niewidocznej kieszonki, w której ukryła pistolet Rimptona. Nie była jednak w stanie obmyślić nowej strategii i nadal jechała na Pstrokaczu powolutku ku drzwiom, prosto na zbira.

– Tylko ostatni dureń poważyłby się zadrzeć z Larkinem! A ty, głupia babo, chcesz uciec z jego własnością i liczysz, że ci się upiecze! – wycedził Bonner z pogardą. – Już po tobie, idiotko! Jesteś już trupem, rozumiesz?

Concordia wsunęła rękę do kieszeni płaszcza, jej palce zacisnęły się na pistolecie.

– A ty, mój panie, pleciesz bzdury! Powierzono mi pieczę nad tymi dziewczętami, chcę je więc zabrać w bezpieczne miejsce, z dala od pożaru. Ogień szybko się rozszerza, nie widzisz, mądralo?

– A jakże! I co na niego spojrzę, to mi przychodzi do głowy, że to czyjaś umyślna robota! – Bonner zorientował się wreszcie, że Pstrokacz sunie prosto na niego. – Prrr! Stać, do cholery!

– Zatrzymując nas, narażasz dziewczęta na niebezpieczeństwo. Jeśli są naprawdę tak cenne, ten twój… Larkin z pewnością ci nie podziękuje, że wystawiłeś je na takie ryzyko.

– Jeśli nie zatrzymasz natychmiast tej cholernej szkapy, utłukę cię na miejscu!

Pstrokacz nieoczekiwanie rzucił się w lewo. Concordia nie miała pojęcia, czy skłoniła go do tego jakimś nieświadomym pociągnięciem za cugle, czy też wałach miał już dość tych nocnych przygód i postanowił pójść własną drogą.

Manewr kona zmusił Concordię do wyjęcia ręki z kieszeni. Do ujarzmienia Pstrokacza i utrzymania się w siodle potrzebne jej były obie ręce. Na nieoczekiwane ściągnięcie cugli wałach zareagował obrotem wokół własnej osi i podrzuceniem łba.

– Trzymaj mocno tego bydlaka! – warknął Bonner, pośpiesznie ustępując koniowi z drogi.

Concordia doznała nagłego olśnienia: ten drab wie jeszcze mniej o koniach niż ona! Bonner był typowym mieszczuchem. Tylko bogacze mogli sobie pozwolić na utrzymywanie własnej stajni w mieście. Cała reszta mieszkańców Londynu chodziła pieszo albo jeździła omnibusem lub dorożką. Ten łajdak ubierał się elegancko, ale zdradzał swe pochodzenie każdym wymówionym słowem. Wychował się na ulicy, a nie w salonach wielkiego świata. Pewnie nigdy w życiu nie dosiadał konia.

– Lepiej uważaj na broń, mój panie! – rzuciła wyniosłym tonem, mocując się równocześnie z Pstrokaczem. – Jeśli wypali w pobliżu koni, wszystkie

się spłoszą. A jak już poniosą, to stratują wszystko, co stanie im na drodze.

Bonner zerknął pośpiesznie na konie i pojął wreszcie, że to właśnie on stoi na drodze zwierząt do wolności. Postawił na ziemi latarnię i zrobił niepewnie krok do tyłu.

– Trzymajcie lepiej te cholerne szkapy!

– Każda z nas robi, co może, ale obawiam się, że niecierpliwią się coraz bardziej.

Ściągnęła wodze – tym razem z rozmysłem – zmuszając Pstrokacza do kolejnego obrotu wokół własnej osi, sięgając ukradkiem po broń.

Zdawała sobie sprawę, że może pokonać tego bandziora wyłącznie przez zaskoczenie, i modliła się gorąco o to, by utrzymać się w siodle, jeśli spłoszony wystrzałem Pstrokacz poniesie.

Gdy znów znalazła się twarzą w twarz z Bonnerem, miała już w ręku pistolet.

Zanim jednak zdążyła opanować się na tyle, by z niego wystrzelić, jakaś ciemna postać wynurzyła się z mroku w pobliżu wyjścia. Nieznajomy bezszelestnie podszedł do Bonnera od tyłu i uderzył go dwakroć, raz za razem, gołą ręką.

Łotr szarpnął się jak rażony gromem i runął na ziemię.

Zapadła martwa cisza. Uciekinierki wpatrywały się w nieznajomego.

Ruszył energicznym krokiem w stronę Concordii.

– Pani jest ich nauczycielką, prawda?

Concordia uświadomiła sobie, że nadal trzyma w ręku pistolet.

– Kim pan jest? – spytała władczym tonem. – Czego pan chce?

Nieznajomy nic jej nie odpowiedział i się nie zatrzymał. Gdy znalazł się w kręgu światła padającego od latarni, Concordia zobaczyła, że jest ubrany od stóp do głów na czarno. Dostrzegła również, że ma ciemne włosy, obojętny wyraz twarzy i stanowcze rysy. Zanim jednak zdążyła przyjrzeć mu się uważniej, nieznajomy usunął się poza krąg światła i skrył się w mroku.

– Proponuję odłożyć dyskusję do chwili, gdy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu – powiedział. – Chyba że pani to nie odpowiada.

Dopiero co powalił nieuzbrojoną ręką tego zbira z Londynu. Wszystko zatem wskazywało na to, że nie jest sprzymierzeńcem tajemniczego Larkina. Concordii przypomniało się nagle stare porzekadło: „Wróg mojego wroga to mój przyjaciel”. Teraz bardzo by jej się przydał przyjaciel!

– Nie mam nic przeciwko temu.

Włożyła pistolet z powrotem do kieszeni.

– Miło mi to słyszeć. – Spojrzał w stronę dziewcząt. – Czy te młode damy umieją jeździć konno?

– Oczywiście! – zapewniła go Concordia z dumą w głosie.

Nieznajomy ujął wodze Pstrokacza i uspokoił przestraszone zwierzę.

– To pierwsza dobra nowina dzisiejszej, diabła wartej nocy.

Odwiązał płócienną torbę Concordii, tak starannie przytroczoną z tyłu do siodła.

– To mój bagaż! – zaprotestowała ostro. – Nie zostawię go tutaj!

– Więc proszę trzymać go przy sobie.

Concordia wzięła tłumoczek pod pachę. W drugiej ręce nadal trzymała wodze.

Nagle mocne palce zacisnęły się wokół jej nogi w kostce. Concordia zaskoczona spojrzała w dół.

– Cóż to ma znaczyć, mój panie?!

Od razu jednak pojęła, że nieznajomemu nie szło wcale o nieprzystojne zalecanki. Sprawnie wysunął stopę Concordii ze strzemienia, zahaczył o nie czubkiem swojego buta, bez trudu podciągnął się i usadowił na końskim grzbiecie tuż za nauczycielką.

Następnie wyjął cugle z jej ręki i skłonił Pstrokacza, by podjechał do dwóch pozostałych koni.

– Oddajcie mi wodze, dziewczęta – zwrócił się do uczennic. – Coraz tu więcej dymu. Dym i mgła to zazwyczaj dobra osłona, ale gdybyśmy stracili

się nawzajem z oczu, trudno by nam się było odnaleźć.

Edwina i Phoebe bez wahania oddały mu cugle.

– W porządku, ruszamy!

Nieznaczny ruch kolan – i wałach puścił się pędem.

Gwałtowność, z jaką Pstrokacz zerwał się do biegu, zaskoczyła Concordię. Odruchowo chwyciła obiema rękami za łęk siodła i omal nie upuściła tobołka.

– Moje podopieczne znakomicie jeżdżą konno – wykrztusiła z trudem. – Ale ja, niestety, jestem w tej dziedzinie nowicjuszką. Niezbyt utalentowaną.

– W takim razie niech się pani mocno trzyma siodła. Już i tak miałem przez panią dość kłopotów tej nocy. Jeśli spadnie pani z konia, nie mogę przysiąc, że będę w nastroju do udzielania pierwszej pomocy.

Concordia nie wiedziała, czy nieznajomy mówi serio. Na wszelki wypadek potraktowała jego słowa jako ostrzeżenie i kurczowo trzymała się siodła.

Korzystając z osłony dymnej i kompletnego chaosu, wywołanego pożarem, wyjechali galopem ze stajni, zmierzając co koń wyskoczy ku południowej bramie.

Concordia była pewna, że nigdy nie zapomni tej nocy: zdumiewającego huku i trzasku płomieni pożerających zamek oraz siły i sprawności męskiego ciała, które niemal stapiało się z jej ciałem, gdy pędzili ku bezpiecznej przystani.

3

Nieznajomy zatrzymał konie na łagodnym stoku kopiastego pagórka, położonego na przeciwległym brzegu rzeki.

Zwierzęta nieprzyzwyczajone do długotrwałego wysiłku, chętnie się zatrzymały. Stały ze zwieszonymi łbami, robiąc bokami, parskały i sapały.

Zdyszana po wyczerpującym galopie Concordia obejrzała się na odległy już, ale nadal szalejący pożar. Krajobraz skąpany w księżycowej poświacie robił dziwne, nieziemskie wrażenie. A czerwonozłote języki ognia oświetlały mrok nocy jak ogromna pochodnia. Gryząca woń dymu była wyczuwalna nawet z tej odległości.

– Spójrzcie! – Phoebe wskazywała coś palcem w dali. – Pożar dotarł już do starego skrzydła. – Jakie to szczęście, że nie próbowałyśmy się ukryć w którymś z tamtych pokoi!

– Niebawem cały zamek obróci się w popiół – szepnęła ze zdumieniem Theodora.

Concordia poczuła, że siedzący za nią nieznajomy zmienia pozycję; odwraca się, by spojrzeć na widoczną z daleka scenę.

– Domyślam się, że to wasze dzieło, moje panie? – spytał.

Wydawał się pogrążony w myślach – jakby oceniał i analizował jakieś niezwykłe, niesłychanie intrygujące zjawisko, z którym nie zetknął się nigdy przedtem.

– Phoebe i panna Glade sporządziły mieszankę wybuchową według starej receptury – odparła Hannah. – A Edwina, Theodora i ja zszywałyśmy lonty.

Musiały być bardzo długie i cieniutkie, żeby nikt ich nie zauważył u zbiegu ściany z podłogą; zresztą częściowo ukryłyśmy je za stojącymi tam meblami.

– A poza tym musiałyśmy je zrobić z odpowiedniego materiału, który nie spalałby się zbyt szybko ani zbyt wolno – dodała Theodora.

– Musiałyśmy przeprowadzić mnóstwo prób – wtrąciła Edwina.

– Panna Glade ukryła materiały wybuchowe i przeciągnęła lonty w tych pokojach, w których ci londyńczycy palili cygara po obiedzie i raczyli się portwajnem – wyjaśniła Hannah.

– Na koniec panna Glade podpaliła lonty – podsumowała Phoebe. – Wszystko przebiegało zgodnie z planem. – Dziewczynka zamilkła i odwróciła się, by popatrzeć na daleką, ale ciągle widoczną ognistą łunę. – Tylko nie miałyśmy pojęcia, że wybuchnie aż taki pożar!

– Doprawdy, imponujące osiągnięcie – rzucił sucho nieznajomy. – No, cóż… tylko siebie mogę obwiniać o to, że moje zamiary spaliły na panewce. Słyszałem, co prawda, plotki w najbliższym miasteczku, że w Aldwick Castle urządzają pensję z internatem dla panien. Myślałem jednak, że jest to fałszywa plotka, umyślnie rozpuszczona po okolicy, żeby odciągnąć uwagę sąsiadów od tego, co się naprawdę działo w zamku.

Zwrócił cugle Edwinie i Phoebe.

Concordia była boleśnie świadoma najdrobniejszego ruchu mężczyzny, który siedział tuż za nią. Jego ciało przylegało do niej w sposób… niesłychanie intymny. Znaleźli się już poza obszarem bezpośredniego zagrożenia. Najwyższy czas przejąć kontrolę nad sytuacją!

– Jesteśmy panu niezwykle wdzięczne za pomoc. Bardzo proszę, by pan nas poinformował, wobec kogo zaciągnęłyśmy dług wdzięczności.

– Nazywam się Ambrose Wells.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej, panie Wells – powiedziała cicho, lecz natarczywie.

Nadal wpatrywał się w odległy pożar.

– No, cóż… Jestem człowiekiem, którego starannie opracowane plany legły w gruzach z powodu poczynań pani i jej uczennic.

– Jak to się stało?

– Może przedtem zechce mi pani powiedzieć, z kim mam przyjemność, i przedstawić mnie tym młodym damom? Myślę, że zasługuję na oficjalną prezentację po tym wszystkim, cośmy razem przeżyli?

Zrobiło jej się gorąco, gdy usłyszała ten subtelny wyrzut; istotnie, nie potraktowała go jak należy. Ambrose Wells okazał się bardzo pomocny. Powinna zdobyć się przynajmniej na odrobinę uprzejmości.

– Ależ oczywiście! – przytaknęła łagodniejszym tonem. – Nazywam się Concordia Glade. Zostałam zatrudniona jako nauczycielka tych panien. Pozwoli pan, że mu przedstawię Edwinę i Theodorę Cooper, Hannah Radburn i Phoebe Leyland.

– To dla mnie zaszczyt, drogie panie. – Ambrose grzecznie się skłonił.

Dziewczęta wymamrotały odpowiednią formułkę. Dobre maniery wszczepione za młodu rzadko zawodzą, nawet w krytycznym momencie, pomyślała Concordia.

– A teraz, czy wolno mi spytać, jak to się stało, że znalazł się pan w pobliżu i pomógł nam w ucieczce?

Ambrose skrócił cugle, zmuszając zapatrzonego w odległą łunę pożaru Pstrokacza do odwrócenia głowy. Powoli ruszyli z miejsca.

– Odpowiedź na pani pytanie, panno Glade, jest zbyt skomplikowana. Wstrzymajmy się z wyjaśnieniami do chwili, gdy znajdziemy się w bardziej komfortowych warunkach. Pani uczennice są doprawdy nieustraszone, ale sądzę, że nawet one mają już dość mocnych wrażeń na jeden dzień. Wkrótce będą całkowicie wyczerpane. Proponuję, byśmy poszukali jakiegoś zajazdu i spędzili w nim resztę nocy.

– Sądzi pan, że to całkiem bezpieczne? – spytała Concordia.

– Tak.

– Bez urazy, ale jestem odmiennego zdania, panie Wells. Chciałabym dotrzeć jak najdalej przed świtem, trzymając się z dala od głównego traktu. A na koniec zatrzymać się w jakimś ustronnym miejscu, może w zagajniku, by odpocząć i pożywić się tym, co zabrałyśmy na drogę.

– Doprawdy? Ja wolę łóżko i gorący posiłek w zajeździe.

Z minuty na minutę stawało się dla niej coraz bardziej jasne, że Ambrose Wells nie zwykł liczyć się z czyjąkolwiek poradą ani wskazówką.

– Mam wrażenie, panie Wells, że nie uświadamia pan sobie w pełni grożącego nam niebezpieczeństwa. Obawiam się, że tamci dwaj przybysze z Londynu rzucą się w pościg za nami, kiedy tylko odzyskają przytomność.

– Proszę się uspokoić. Żaden z tych dwóch łajdaków nie ruszy za nami w pościg, ani teraz, ani w przyszłości.

Chłodny, przesadnie obojętny ton jego głosu sprawił, że Concordię przeszył lodowaty dreszcz.

– Jest pan tego pewny? – spytała z niepokojem.

– Tak, panno Glade. Jestem tego całkowicie pewny. Jeden z tych ludzi nie żyje. A ten drugi, kiedy się obudzi, będzie przez dłuższy czas oszołomiony i zdezorientowany. – Ambrose ledwo dostrzegalnie poruszył lejcami i Pstrokacz od razu przyśpieszył. – Domyślam się, że to pani powaliła tego draba, na którego natknąłem się w pobliżu starych magazynów?

Concordia z trudem przełknęła ślinę.

– Widział go pan?

– Tak.

– I on… on…?

– Tak.

Ręce Concordii zacisnęły się jeszcze mocniej na tobołku.

– Nigdy przedtem czegoś takiego nie zrobiłam…

– A teraz zrobiła pani to, co było konieczne.

Zatem drugie uderzenie latarnią okazało się śmiertelne. Zabiła Rimptona. Przeszył ją dreszcz. Poczuła mdłości.

I nagle nawiedziła ją całkiem nowa myśl. Znowu przełknęła ślinę.

– Roześlą za mną listy gończe. Oskarżona o zabójstwo…

– Proszę się uspokoić, panno Glade. Kiedy lokalne władze uporają się wreszcie z pożarem zamku, zakładając, że zdołają go stłumić, uznają tę śmierć za nieszczęśliwy wypadek podczas gaszenia pożaru albo w trakcie ucieczki przed pożarem.

– Skąd ta pewność?

W blasku księżyca ujrzała wyraz goryczy na jego twarzy.

– Może pani być spokojna, panno Glade. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że kobieta, a zwłaszcza nauczycielka ucząca młode panny dobrych manier, byłaby zdolna do powalenia zatwardziałego złoczyńcy, uzbrojonego w broń.

– A co z tym drugim? Czemu nie miałby opowiedzieć wszystkim, kiedy tylko oprzytomnieje, co się wtedy naprawdę wydarzyło?

– Może oprzytomnieje, ale założę się, że nie będzie pamiętał, co się wydarzyło tuż przed jego upadkiem i utratą świadomości.

Concordia ściskała swój tobołek, jakby nigdy nie chciała się z nim rozstać.

– Mam wrażenie, panie Wells, że jest pan bardzo dokładnie poinformowany o wszystkim, co wydarzyło się tej nocy w Aldwick Castle.

– Pani też jest doskonale zorientowana. Wygląda na to, że nie mamy w tej chwili innego wyjścia: musimy sobie nawzajem zaufać.

4

Dopiero po pierwszej w nocy Ambrose mógł wreszcie porozmawiać bez świadków z Concordią. Znajdowali się w izbie przydrożnego zajazdu; poza nimi nie było tu żywej duszy. Oberżysta ponownie rozniecił na kominku ogień dla spóźnionych gości. Blask płomieni złocił sprzęty podniszczone i wyszczerbione przez całe lata używania przez kolejne pokolenia podróżnych.

Zaraz po przybyciu do zajazdu zaspana żona oberżysty ugościła zmęczone uczennice mięsem na zimno i plackami kartoflanymi. Teraz dziewczęta spały na pięterku. Właściciel oberży i jego małżonka po raz drugi tej nocy zaryglowali drzwi wejściowe i udali się do swej sypialni.

Ambrose nalał sherry, z prywatnych zapasów oberżysty, i podsunął kieliszek Concordii. Zmarszczyła brwi.

– Naprawdę nie…

– Proszę to wypić – polecił jej Ambrose, nie podnosząc głosu. – Łatwiej będzie pani zasnąć.

– Tak pan sądzi? – Wzięła kieliszek i z wyraźną obawą skosztowała wina. – Dziękuję.

Ambrose skinął głową. Nadal mi nie dowierza, pomyślał, trudno się jej dziwić. On również miał wątpliwości co do roli, jaką panna Glade odegrała tej nocy w dramatycznych wydarzeniach w Aldwick Castle.

Odsunął się od niej i stanął przy kominku, z jedną ręką na gzymsie. Przez dłuższą chwilę przyglądał się z uwagą swej towarzyszce.

W blasku ognia lśniły jej gładko uczesane ciemne włosy i pobłyskiwały okrągłe okulary w złotej oprawce. Ma jakieś dwadzieścia pięć lat, zawyrokował. Jej rysom wiele brakowało do klasycznej doskonałości, którą zgodnie z tradycją uważano za ideał niewieściej urody. Mimo to Ambrose uznał, że są pełne wdzięku. Szarozielone oczy Concordii także go urzekły. Dostrzegł w ich głębi rezerwę, właściwą kobietom znacznie starszym i o wiele bardziej doświadczonym.

Dopasowany stanik jej sukni pozwalał ocenić walory niewielkich, ale wyjątkowo kształtnych piersi i wcięcie w talii, która nie była aż tak szczupła, jak wymagały tego kanony najnowszej mody. A skutkiem przymusowej jazdy we dwójkę na tym samym koniu Ambrose wiedział, że Concordia ma jeszcze inne czarujące okrągłości.

Nigdy nie przywiązywałem wielkiej wagi do wymogów kobiecej mody, myślał Ambrose. A proporcje ciała Concordii, choć pozostawały w sprzeczności z ideałem, propagowanym nieustannie w żurnalach i czasopismach dla pań, jemu zdecydowanie odpowiadały.

Jej postawa i ruchy były pełne godności i wdzięku. Podziwiał jej inteligencję, siłę witalną i nieugiętego ducha. Te zalety dodawały wyrazistości twarzy Concordii – ze znacznie lepszym skutkiem niż wszelkie kosmetyki. Nawet teraz, gdy była skrajnie wyczerpana, jej niespożyta energia i determinacja budziły podziw Ambrose’a.

Jaki tam podziw? Najwyższe pożądanie! Właśnie to w nim budziła. To odkrycie zaniepokoiło go, ale chowanie głowy w piasek nie miało sensu. Znacznie lepiej spojrzeć prawdzie w oczy.

Ambrose wiedział, że jego fascynacja w dużym stopniu ma podłoże fizyczne. Można ją było wytłumaczyć naturalnym podnieceniem po uniknięciu grożącego niebezpieczeństwa. I dwiema godzinami intymnego kontaktu, gdy jechali na jednym koniu. W dodatku Concordia Glade nadal wydawała się Ambrose’owi zagadką. On zaś – i z natury, i z wychowania –

był zawziętym poszukiwaczem prawdy, demaskatorem pozorów, odkrywcą odpowiedzi na palące pytania.

Jednak wszystkie jak najbardziej logiczne wywody nie wyjaśniały całkowicie niezrozumiałego urzeczenia tą kobietą. Fascynacji, która w pełni doszła do głosu tej właśnie nocy.

Przyglądał się Concordii, która upiła łyk sherry. Kieliszek zadrżał leciutko, gdy wzięła go w palce. Skutki nieustannego napięcia, fizycznego zagrożenia i tłumionego strachu były już widoczne w jej wyglądzie i zachowaniu. W dodatku Ambrose podejrzewał, że najgorsze katusze Concordia ma jeszcze przed sobą. Przyjdzie na nie czas, gdy ta wzorowa nauczycielka uświadomi sobie w pełni, że zabiła człowieka, rozłupując mu czaszkę.

Takie wstrząsające zderzenie z rzeczywistością następuje przeważnie w nocy. Najczarniejsze myśli rodzą się w najczarniejszym mroku. Ambrose wysnuł taki wniosek na podstawie własnej reakcji po pierwszym akcie przemocy. Concordia nieraz będzie zrywać się z koszmarnego snu, zlana zimnym potem, nie tylko w najbliższych dniach, ale tygodniach, miesiącach, może nawet latach.

Świadomość, że dopuściła się tego czynu nie tylko w obronie własnej, ale przede wszystkim dla ratowania powierzonych jej opiece dziewcząt, niewiele jej pomoże, a już z pewnością nie wyleczy z sennych koszmarów. Opierając się na własnych doświadczeniach, Ambrose skłonny był uważać akty brutalnej przemocy za wyjątkowo niebezpieczną formę opętania. Osoba dopuszczająca się takich czynów może zdobyć ogromną władzę, ale drogo za to zapłaci.

– Gdyby to pani bardziej odpowiadało, możemy odłożyć dalszy ciąg naszej rozmowy do jutra rana, kiedy pani trochę wypocznie – zaproponował ku własnemu zaskoczeniu.

Wcale nie zamierzał wysuwać podobnej propozycji. Chciał natychmiast usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania. Nie zamierzał zwlekać z tym do

jutra! Tyle złego wydarzyło się w ciągu ostatniej doby… Jego starannie opracowane plany poszły z dymem. Dosłownie! Należy bez zwłoki przystąpić do opracowania nowego planu.

Ale czuł, że dalsze naleganie, wywieranie presji na tę umęczoną kobietę byłoby nieludzkie.

– Niczego nie odkładajmy! – Concordia odjęła kieliszek od ust i spojrzała swemu rozmówcy prosto w twarz. – Moim zdaniem będzie lepiej, jeśli od razu odpowiemy sobie nawzajem na wszelkie pytania. Na początek chciałabym się dowiedzieć, jakim sposobem i po co przybył pan tej nocy do Aldwick Castle. W jakich zamiarach pan się tam zjawił?

– Obserwowałem z ukrycia przez całą dobę wszystko, co działo się w zamku; znalazłem w pobliżu opuszczoną chatę. Oczekiwałem na przybycie pewnej osoby. Byłem przekonany, że przyjedzie niebawem. Mój informator zapewniał, że ten człowiek przybędzie jutro, najpóźniej pojutrze. Jednakże po ostatnich nocnych wydarzeniach śmiem twierdzić, że oczekiwany gość raczej się nie zjawi.

– Któż to taki?

– Nazywa się Alexander Larkin.

Wypowiadając te słowa, Ambrose nie spuszczał oczu z rozmówczyni; chciał się upewnić, czy to nazwisko nic jej nie mówi.

Osłonięte okularami oczy Concordii wyraźnie się rozszerzyły.

– Słyszałam kilkakrotnie to nazwisko w Aldwick Castle. Niezmiennie wymawiano je szeptem. Nie ulegało wątpliwości, że jest to sekret, do którego nie zostanę dopuszczona. Ale ostatniej nocy znów je usłyszałam w nieco odmiennych okolicznościach.

– Co pani ma na myśli?

– Ten drugi łotr z Londynu… ten, przez którego doszło do konfrontacji w stajni… No więc ten zbir nawymyślał mi i zapewnił, że okradanie Larkina nie ujdzie mi na sucho. – Palce Concordii zacisnęły się na kieliszku. – Dodał jeszcze, że… Ale dajmy temu spokój. To już nie ma znaczenia.

– Co jeszcze powiedział? – Ambrose raczej perswadował łagodnie, niż nalegał.

– Mówił: „Już po tobie. Jesteś już trupem, rozumiesz?” – Concordia jeszcze bardziej się wyprostowała. – Co pan wie o tym człowieku?

– Alexander Larkin to jedna z najbardziej osławionych postaci świata przestępczego. Jeden z jego filarów, mistrz zbrodni. Zaczynał jako zwykły kieszonkowiec i zrobił zawrotną karierę. Prowadzi teraz życie bogatego dżentelmena, ale nie udało mu się nawiązać kontaktów z londyńską elitą. No i, oczywiście, nie jest przyjmowany w dobrym towarzystwie.

– A więc zdobył wszelkie przywileje klas wyższych, prócz prawa wstępu do ich świata! – Concordia obracała kieliszek w palcach, jakby chciała sobie ogrzać ręce. – Znalazł się więc w takim samym położeniu jak pierwszy lepszy nowobogacki, który zbił fortunę, mając dryg do interesów.

– Larkin z całą pewnością potrafi robić interesy. Zainwestował pokaźne sumy w różne sprzeczne z prawem, ale dochodowe przedsięwzięcia, na przykład domy publiczne i palarnie opium. Kilkakrotnie podejrzewano go o udział w morderstwie. Jest jednak wyjątkowo ostrożny, zależy mu bardzo na tym, by jego przestępcza działalność nie wyszła na jaw. Skutkiem tego policja ani razu nie zdołała zebrać materiału dowodowego, który wystarczyłby do osadzenia Larkina w więzieniu.

Concordia zacisnęła wargi.

– To, co pan mówi, jest zgodne z teorią moich uczennic na temat zagadkowego zniknięcia mojej poprzedniczki w Aldwick Castle.

– A więc przed panią zaangażowano inną nauczycielkę?

– Tak, pannę Bartlett. Bawiła tam zaledwie parę tygodni. Pewnego popołudnia Rimpton i jego kompan przybyli do zamku. Dziewczęta na tę noc zamknięto w ich sypialniach. Kiedy następnego ranka wyszły stamtąd, panny Bartlett już nie było. Obaj dżentelmeni z Londynu również wyjechali. Służba zamkowa wyjaśniła dziewczętom, że panna Bartlett została zwolniona z pracy, a tamci dwaj panowie odstawili ją wraz z

bagażem na stację kolejową o bardzo wczesnej porze, żeby zdążyła na pierwszy ranny pociąg do Londynu. Dziewczęta jednak były przeświadczone, że ci ludzie wyrządzili ich nauczycielce jakąś straszną krzywdę.

– Co wzbudziło w nich takie podejrzenia?

– Panna Bartlett zostawiła w Aldwick Castle kilka drobiazgów, między innymi swoje ulubione rękawiczki.

Ambrose uniósł brwi.

– Bardzo wnikliwa obserwacja!

– O, moje uczennice są bardziej spostrzegawcze, niż służba sądzi. – Concordia dumnie uniosła głowę. – Osoby samotne i z trudem wiążące koniec z końcem bardzo szybko dochodzą do wniosku, że zwracanie uwagi na pozornie błahe drobiazgi często się opłaca; zwłaszcza że inni po prostu ich nie dostrzegają.

– Ja również miałem możność przekonać się o tym, panno Glade.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Nie dodał nic więcej, ale miał wrażenie, że nauczycielka mu uwierzyła.

– W tym przypadku doszłam ostatecznie do wniosku, że teoria moich uczennic może być słuszna – odezwała się po chwili milczenia Concordia. – Nie uwierzyłam im bez reszty, oczywiście, zanim nie sprawdziłam. Dobrze wiem, że dziewczęta w tym wieku mają niesłychanie bujną wyobraźnię, zwłaszcza gdy pozostają bez dozoru przez dłuższy czas. A one przez większą część swego pobytu w Aldwick Castle były puszczone samopas. Nikt się nimi nie interesował. Do mojego przyjazdu, oczywiście.

– Wzięła je pani do galopu, co? – spytał wyraźnie ubawiony.

– Nie jestem zwolenniczką wojskowego drylu ani tresury, panie Wells. Przekonałam się jednak, że zaprowadzenie porządku i odrobina systematyczności daje poczucie stabilności i podnosi na duchu większość

młodych ludzi, zwłaszcza tych, którzy nie mają nikogo bliskiego na świecie.

Wnikliwość uwag panny Glade zrobiła na rozmówcy duże wrażenie.

– Proszę, niech pani mówi dalej!

Concordia odchrząknęła i kontynuowała:

– Kiedy dziewczęta pokazały mi znalezione w pokoju panny Bartlett rękawiczki, z którymi prawie się nie rozstawała podczas pobytu w zamku, przyznaję, że byłam zaintrygowana. Pensja nauczycielska nie jest tak wysoka, by któraś z nas mogła sobie pozwolić na wyrzucanie całkiem jeszcze przydatnych ubrań czy dodatków. A rękawiczki panny Bartlett były naprawdę całkiem nowe i w bardzo dobrym gatunku.

Ambrose znów uniósł brwi, przyznając jej rację.

– Kiedy dziewczynki powiedziały pani o swoich podejrzeniach?

– Nie od razu. Z początku były wobec mnie bardzo nieufne. – Zbagatelizowała sprawę machnięciem ręki. – Niczego innego nie mogłam się spodziewać. Choć takie młode, przeżyły tyle wstrząsów, tyle zmian! Nic dziwnego, że nauczyły się ostrożności i nie obdarzały zaufaniem pierwszej z brzegu osoby!

– Mam wrażenie, że rozumie pani młodzież jak mało kto, panno Glade.

– Szczerze mówiąc, w chwili gdy opowiedziały mi o tajemniczym zniknięciu panny Bartlett, sama już nabrałam podejrzeń, że w Aldwick Castle dzieje się coś dziwnego. – Westchnęła. – Od samego początku wyczuwałam w całym tym charytatywnym przedsięwzięciu jakiś fałsz.

– Co wydało się pani najbardziej podejrzane?

– Zna pan chyba przysłowie, że coś jest „zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe”?

Ambrose zastanowił się przez chwilę.

– Bardzo przepraszam, panno Glade, ale nie mogę zrozumieć, czemu perspektywa uczenia i sprawowania opieki nad czterema dziewczętami w

położonym na odludziu, rozsypującym się zamczysku wydała się pani czymś „zbyt pięknym”? Ja z pewnością nie byłbym nią oczarowany.

– Ocena, czy posada jest atrakcyjna, zależy między innymi od sytuacji, w jakiej znajduje się osoba, której proponuje się to stanowisko – odparła sucho.

– Zrozumiałem!

– Tak się akurat zdarzyło, że straciłam doskonałą posadę w szkole dla dziewcząt w pobliżu Londynu. Pilnie potrzebowałam nowej pracy. Kiedy otrzymałam list od pani Jervis z propozycją objęcia posady w Aldwick Castle, byłam jej ogromnie wdzięczna i przyjęłam bez namysłu tę ofertę.

Ambrose zmarszczył brwi.

– Kim jest pani Jervis?

– Prowadzi agencję pośrednictwa pracy; dzięki niej otrzymałam również poprzednią posadę. Agencja specjalizuje się w dostarczaniu szkołom nauczycieli, a osobom prywatnym guwernantek.

Ambrose skinął głową.

– Jakich udzielono pani informacji na temat posady w zamku?

– Zostałam poinformowana, że w Aldwick Castle powstaje nowa instytucja dobroczynna: szkoła dla osieroconych panien z dobrych domów. Zaproponowano mi stanowisko przełożonej. Dano mi też wyraźnie do zrozumienia, że chociaż w tej chwili znajdują się na terenie zamku tylko cztery dziewczęta, w przyszłości będzie ich znacznie więcej. Wszystko to wyglądało… – wzruszyła lekko ramionami w pełnym żalu geście – …po prostu cudownie. Jakby moje marzenia wreszcie się spełniły.

– O czym pani marzyła, panno Glade?

– O własnej szkole. – Mimo wielkiego zmęczenia nauczycielka ożywiła się nagle. – Mogłabym w niej działać zgodnie z moimi przekonaniami, sprawdzić w praktyce własne teorie na temat edukacji dziewcząt.

– Rozumiem. – Ten projekt wzbudził zainteresowanie Ambrose’a; w tej chwili jednak nie było czasu na dyskusję o realizacji marzeń panny Glade. –

Czy poinformowano panią, jaki dobroczyńca lub dobrodziejka sypnęli groszem na nową szkołę w Aldwick Castle?

Ambrose nie zdawał sobie sprawy z tego, jak szorstko zabrzmiało jego pytanie, póki nie zauważył, że jego rozmówczyni sztywnieje i spogląda na niego nieufnie.

– W liście z agencji została wymieniona jakaś pani Jones – odparła. – Miała to być bogata wdowa, żyjąca w odosobnieniu.

– Czego jeszcze dowiedziała się pani na temat nowej szkoły?

– Bardzo niewiele. Tylko tyle, że będę miała wolną rękę co do programu i metod nauczania. Pani Jones wyraziła jedno jedyne życzenie: żeby otoczyć należną troską uczennice i dbać o ich reputację. Po przyjeździe do Aldwick Castle zapoznałam się z nowymi uczennicami i byłam oczarowana całą czwórką. Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora okazały się inteligentne i żądne wiedzy. Czego więcej może pragnąć nauczyciel? A jednak, jak już wspomniałam, czułam przez skórę, że nie wszystko jest w porządku.

– Myślę, że możemy spokojnie założyć, iż pani Jones jest postacią fikcyjną. Co jeszcze, prócz rękawiczek panny Bartlett, wzbudziło pani podejrzenia?

– Zarządzająca była wiecznie posępna i stroniła od ludzi. Potem dowiedziałam się, że jest uzależniona od opium. Musiałam odbyć kilka bardzo niemiłych rozmów z kucharką, która ignorowała wszelkie uwagi na temat zdrowej żywności, niezbędnej dla rozwijającej się młodzieży. Stajenny był z gruntu leniwy i wiecznie zapijaczony. Ogrodnicy nie mieli pojęcia o pielęgnowaniu ogrodu i… – urwała nagle i dodała, mrużąc oczy – nie rozstawali się z bronią palną.

– Aha! Strażnicy, a nie ogrodnicy!

– Tak to właśnie wyglądało. – Upiła znowu łyczek sherry i odjęła kieliszek od ust. – Ale najbardziej zaniepokoiły mnie suknie!

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Jakie suknie?

– Dziesięć dni temu zjawiła się krawcowa z Londynu. Z belami luksusowych tkanin i z trzema pomocnicami. Uszyły po kilka ślicznych sukien dla każdej z dziewcząt. Poinformowano mnie, że pani Jones pragnie w ten sposób przygotować uczennice do przyszłego życia w wielkim świecie. Ale to przecież bzdura!

– Czemu pani tak uważa?

Nawet się nie starała ukryć zniecierpliwienia wywołanego tym pytaniem.

– Wszystkie powierzone mojej opiece panny pochodzą z dobrych domów. A Theodorze i Edwinie w dzieciństwie nie brakowało żadnych luksusów. Teraz jednak są ubogimi sierotami. Żadna z nich nie ma własnego dachu nad głową ani nadziei na spadek czy wpływowych przyjaciół, skorych do pomocy. Znalazłoby się może kilku dalekich krewnych, ale w gruncie rzeczy nie obchodziło ich, co się stanie z moimi uczennicami. Nikt nie wyraził chęci wzięcia ich pod swój dach.

Ambrose zastanowił się przez chwilę.

– Teraz już rozumiem, czemu uznała pani za bzdurę obstalowanie szykownych toalet dla pani uczennic. Żadnej z nich nie czekał debiut w wielkim świecie.

– Właśnie! W najlepszym wypadku zetkną się z wielkim światem jako bony lub guwernantki. Po cóż więc ofiarowywać im stroje wieczorowe, odpowiednie na bal lub do teatru?

– I, oczywiście, powzięła pani jak najgorsze podejrzenia?

– Tak, panie Wells. – Jedna z jej spoczywających na kolanach rąk zacisnęła się w pięść. – Doszłam do wniosku, że moje uczennice zostaną odpowiednio przeszkolone, a następnie wystawione na sprzedaż jako luksusowe zabawki: efektowne, obyte w świecie kurtyzany.

– Owszem, to całkiem możliwe – powiedział Ambrose, rozważywszy sprawę. – Jak już wspomniałem, Larkin czerpie ogromne zyski z domów publicznych, w które zainwestował pokaźne sumy.

– Z pewnością czytał pan sensacyjne artykuły na temat handlu żywym towarem? O zwabianiu młodziutkich dziewcząt z sierocińca i zmuszaniu ich do nierządu. Ohydny proceder! A policja nic prawie nie robi, by ukrócić te oburzające praktyki!

– Zgadzam się z panią. Ale pani podopiecznych nie odesłano do domu publicznego, tylko do Aldwick Castle. Zaangażowano dla nich nauczycielkę. I, jak sama pani przyznaje, pilnie ich strzeżono i dbano o reputację.

– Sądzę, że moje dziewczęta miały zostać kimś lepszym od zwykłych prostytutek. Niech pan pomyśli, panie Wells, wszystkie otrzymały staranne wychowanie. Zachowują się kulturalnie, pochodzą z dobrych domów i są wykształcone. Nawet ich nienaganna wymowa świadczy o przynależności do klas wyższych.

– Innymi słowy, nie wychowała ich ulica.

– Właśnie! Nie jestem naiwnym dziewczątkiem, panie Wells. Zdążyłam już poznać świat. Jestem świadoma tego, że istnieje podziemny rynek, na którym odnotowano wzmożony popyt na specjalnie wyszkolone kurtyzany, dorównujące wytwornością i inteligencją damom z wyższych sfer.

Ambrose był zaskoczony, ale zdołał ukryć swoje zdziwienie. Concordia znała realia otaczającego ją świata i mówiła o nich otwarcie, ze swobodą, która wprawiała go w zakłopotanie. Kobiety z jej środowiska bardzo rzadko wypowiadały się na ten temat, a już z pewnością nie mówiły o tym tak rzeczowo.

– Ma pani rację – przytaknął.

– O ile cenniejsze byłyby kobiety naprawdę pochodzące z wyższych sfer i obdarzone naturalną godnością i gracją, charakterystyczną dla ich środowiska! Nie wspominając już o ich niewinności, młodzieńczej świeżości i nieskalanej reputacji.

– Nie będę się z panią spierał w tej materii. Jednakże…

– Tego wieczoru usłyszałam przypadkiem, jak Rimpton dyskutuje ze swoim kompanem na temat aukcji, która miała się odbyć niebawem. Jestem pewna, że moje podopieczne miały być wystawione na pokaz i sprzedane tym, którzy zaoferują za nie najwyższą cenę.

– Sprzedane na aukcji?

Druga ręka Concordii, spoczywająca na podołku, zacisnęła się w pięść.

– Tak.

Ambrose zawahał się, zastanowił i kiwnąwszy głową, odparł z namysłem:

– Może ma pani rację. Takie rozwiązanie wyjaśniałoby wiele niezrozumiałych aspektów tej sytuacji.

– Wolno spytać, czemu jest pan tak zainteresowany tym problemem? Czemu śledził pan z ukrycia, co się dzieje w zamku? Czemu czekał pan na przybycie Larkina? – Concordia rozpromieniła się nagle. – Czyżby pan był z policji? Może ze Scotland Yardu?

– Nie, proszę pani. Prowadzę prywatne śledztwo na życzenie klientki, która poleciła mi rozwiązać zagadkę tajemniczej śmierci jej siostry.

– Jest pan prywatnym detektywem? – Concordia była wyraźnie zbita z tropu. Ale już w następnej chwili jej oczy zapłonęły ciekawością. – Ogromnie interesujące! Jeszcze nigdy nie miałam do czynienia z przedstawicielem pańskiej profesji.

– Mam nadzieję, że pani zainteresowanie moją osobą i profesją nie minie zbyt szybko, gdyż jesteśmy skazani na swoje towarzystwo co najmniej w najbliższej przyszłości.

– Co takiego?!

Ambrose odsunął się od kominka i stanął na wprost Concordii.

– Po tym, co wydarzyło się na zamku ostatniej nocy, Larkin z pewnością uzna, że jakimś sposobem odkryła pani jego zamiary. Zechce też z pewnością odzyskać to, co uważa za swoją własność. Krótko mówiąc, zrobi wszystko, by dostać znów w swoje ręce panią i dziewczęta.

Concordia znieruchomiała.

– Pojmuję, że nie spodobało mu się nasze zniknięcie z zamku. I właśnie dlatego chcę się wraz z dziewczętami zaszyć w ukryciu… przynajmniej na jakiś czas.

Ambrose pochylił się, wziął ją za ramiona i łagodnie, ale stanowczo podniósł z fotela.

– Nie ma pani pojęcia, do czego zdolny jest potwór, z którym pani zadarła! Wątpię, czy zdołałaby się pani ukryć sama przed Larkinem… a co dopiero z czterema dziewczętami!

– Myślałam, że wyjedziemy do Szkocji…

– Choćbyście się schroniły na morzach południowych, nie uciekłybyście przed Larkinem, zwłaszcza gdy uprze się, by was odnaleźć. A jestem pewien, że się uprze!

– Będzie nas szukał przez kilka tygodni, może nawet przez miesiąc czy dwa – zgodziła się z całym spokojem. – Ale nie przypuszczam, że chciałby stracić więcej czasu i energii na pościg za czterema pannami i nauczycielką. Z pewnością taki mistrz zbrodni, jak go pan nazwał, ma ważniejsze sprawy na głowie.

– Dla Larkina nie ma ważniejszych spraw niż jego osobiste bezpieczeństwo i własne interesy. Dałbym głowę, że nie spocznie, póki się nie upewni, że pani już nie stanowi dla niego zagrożenia.

– Jakim cudem ktoś taki jak ja mógłby zagrażać komuś takiemu jak on? – Concordia była wyraźnie zniecierpliwiona. – Jestem przecież zwykłą nauczycielką, na litość boską! Nie mam potężnych protektorów ani żadnej władzy. Nie jestem w stanie sprawić żadnych kłopotów Alexandrowi Larkinowi. A on z pewnością wie o tym równie dobrze jak ja!

– Jest pani maleńką skazą na pancerzu jego doskonałości, panno Glade. A Larkin nie uznaje żadnych niedoróbek. Kiedy tylko odkryje, że uciekła pani wraz z dziewczętami, dojdzie do wniosku, że wie pani zbyt dużo o nim

i o jego planach. Uzna, że musi panią odnaleźć. A jeśli panią odnajdzie, to zabije. Może być pani pewna.

Concordia zamrugała oczyma i odetchnęła głęboko.

– Ach, tak? – powiedziała.

Jest zdumiewająco opanowana! – pomyślał. Mało kto, wszystko jedno jakiej płci, przyjąłby z taką obojętnością informację o wyroku śmierci. Concordia Glade była doprawdy niezwykłą kobietą!

Wypuścił ją z objęć.

– Pora do łóżka, panno Glade! Musi się pani przespać. Wrócimy do naszej rozmowy jutro rano.

Ku jego zdumieniu uśmiechnęła się cierpko.

– Chyba pan sobie nie wyobraża, że zasnę po tym, co mi pan naopowiadał!

– No, może i nie… ale niech się pani postara wypocząć. Musimy wyjechać stąd jutro rano, najwcześniej jak zdołamy.

W jej oczach znów błysnęła podejrzliwość.

– Mówi pan tak, jakby miał własne plany co do moich uczennic, panie Wells.

– I co do pani, panno Glade!

– A mianowicie?

– Jutro dotrzemy do najbliższej stacji kolejowej. A stamtąd uda się pani wraz ze swymi podopiecznymi do Londynu. W wagonie pierwszej klasy. Wiele osób będzie mogło zaświadczyć, że wsiadłyście do pociągu.

– Ależ… jeśli to, co mi pan opowiadał o Larkinie, jest prawdą, dowie się wkrótce, że pojechałyśmy do Londynu. Będzie nas tam śledził!

– Owszem, będzie szukał czterech panien pod opieką nauczycielki.

Spojrzała na rozmówcę, znów zainteresowana.

– Co pan ma w zanadrzu, panie Wells?

– Sztuczkę magiczną. Zaraz po przyjeździe do Londynu rozpłyniecie się we mgle.

– Cóż to ma znaczyć? – spytała ostrym tonem.

– Wyjaśnię to pani jutro rano.

Concordia się zawahała. Wiedział, że walczą w niej przeciwstawne uczucia. Pragnęła pożegnać się z godnością, życząc mu dobrej nocy… a równocześnie zażądać natychmiastowych wyjaśnień.

– Dobranoc panu – powiedziała wreszcie cicho. – Winnam panu podziękowanie za okazaną nam pomoc. Nie jestem pewna, czy wydostałybyśmy się z Aldwick Castle bez pańskiego wsparcia.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że i beze mnie poradziłaby sobie pani znakomicie, panno Glade. Znamy się od kilku godzin, ale mogę stwierdzić z całym przekonaniem, że jest pani najbardziej pomysłową i zaradną ze wszystkich znanych mi kobiet.

Skinęła tylko głową, nie wiedząc, jak sobie tłumaczyć tę uwagę, następnie ruszyła po schodach na górę. Ambrose usłyszał cichutkie brzęknięcie, gdy obrąbek jej spódnicy zawadził o pierwszy stopień.

– Panno Glade, usłyszałem mimo woli, że pobrzękuje pani, kiedy się pani porusza – powiedział. – Zauważyłem to zjawisko już wcześniej, gdy pani spódnica otarła się o framugę drzwi. Muszę przyznać, że zaintrygowało mnie to zjawisko. Czy to jakaś nowa moda?

Concordia przystanęła na schodach i obejrzała się przez ramię.

– Bynajmniej, panie Wells. Wiedziałam, że po opuszczeniu zamku będziemy potrzebowały trochę pieniędzy, by utrzymać się przy życiu. Przez kilka ostatnich tygodni wyszukiwałam i chowałam drobiazgi ze srebra i rozmaite bibeloty, które wydawały mi się wartościowe. Zaszywałam je w spódnice.

Ambrose skinął głową. Znów mu zaimponowała!

– Sprytna sztuczka, panno Glade! Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, kieszonkowcy i panienki spod latarni bardzo sobie ją cenią. A to przecież specjaliści w tej branży!

Aż się zatrzęsła z oburzenia.

– Zapewniam pana, że nie zaliczam się do tego rodzaju specjalistów!

Co go opętało, że wyrwał się z tą głupią uwagą?! Powinien był przewidzieć, że ta dama nie pozna się na komplemencie, tylko uzna go za zniewagę.

– Nie zamierzałem pani porównywać do złodziei, panno Glade! – zapewnił ją poniewczasie.

Wiedział jednak, że niewiele to da. Co się stało, to się nie odstanie.

– Zdecydowałam się na tę „sprytną sztuczkę” tylko dlatego, by zapewnić moim podopiecznym dach nad głową i skromne wyżywienie. Nie miałam innego wyjścia.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panno Glade. Proszę o wybaczenie.

– Dobranoc, panie Wells.

Kroczyła dumnie po schodach, pobrzękując przy każdym stąpnięciu, wreszcie znikła w mroku.

Ambrose podszedł znów do kominka i przez długi czas wpatrywał się w ogień.

Nie ulegało wątpliwości, że pani nauczycielka nie żywi szacunku ani sympatii do złodziei.

Szkoda.

Był najlepszy w tym fachu.

5

Concordia zmierzała szybko korytarzem w stronę sali ogólnej. A więc pan Wells uważa ją za kogoś niewiele lepszego od kieszonkowca czy ulicznicy okradającej klienta!… Niech sobie myśli, co chce. Co ją obchodzi opinia jakiegoś tam pana Wellsa?! Byli dwojgiem ludzi niemających ze sobą nic wspólnego, których dziwny kaprys losu złączył na krótką chwilę. Kiedy zagmatwana sytuacja wyjaśni się, każde z nich uda się w swoją stronę i to będzie koniec ich znajomości.

Tym lepiej! – mówiła sobie Concordia. Jeśli uznał ją za złodziejkę tylko dlatego, że w wyjątkowej sytuacji przywłaszczyła sobie kilka drobiazgów, ciekawe, jak by zareagował, dowiedziawszy się o jej… niekonwencjonalnym wychowaniu?…

Zachowaj, do licha, hierarchię ważności! – ofuknęła się w duchu. Drobne kradzieże nie były jej najcięższym grzechem. Tego wieczoru uczyniła coś znacznie gorszego. Zabiła człowieka.

Zaschło jej w ustach. Oczyma duszy ujrzała znów Rimptona, leżącego twarzą do ziemi i broczącego krwią ze śmiertelnej rany. Przypominało to koszmar senny.

Odpędziła od siebie to niechciane wspomnienie. Na ataki nerwowe przyjdzie pora kiedy indziej. Teraz miała na głowie znacznie ważniejsze sprawy. Musi uratować swoje podopieczne, zadbać o Phoebe, Hannah, Edwinę i Theodorę.

Weszła po cichutku do niewielkiego pokoju, starając się nie przerywać snu Hannah i Phoebe, z którymi dzieliła sypialnię.

– O! Nareszcie pani wróciła, panno Glade! – Phoebe siadła na łóżku, podciągając kołdrę pod szyję. – Już niepokoiłyśmy się z Hannah, czy pani nie stało się coś złego!

– Naprawdę byłyśmy niespokojne! – Hannah, leżąca po przeciwnej stronie wielkiego łóżka zmieniła pozycję i oparła się na łokciu. – Dobrze się pani czuje, panno Glade?

– Znakomicie, dziękuję za troskę. – Zapaliła świecę stojącą na umywalce. – Ale skąd wam przyszło do głowy, że spotka mnie coś złego?

– Hannah powiedziała, że pan Wells może nadużyć pani zaufania – wyjaśniła Phoebe ze zwykłą otwartością.

– Nadużyć mego zaufania? – Concordia obróciła się raptownie i wzdrygnęła, słysząc brzęk bibelotów, gdy jej spódnica obiła się o bok umywalki. – Na litość boską, Hannah, co ci strzeliło do głowy?! Zapewniam cię, że pan Wells zachował się jak dżentelmen.

Jeśli nie liczyć tej obrzydliwej uwagi, kiedy porównał jej zapobiegliwość do chytrych sztuczek kieszonkowców i ulicznic, dodała w myśli. Być może jednak była dziś nieco przeczulona.

– Naprawdę nie pozwolił sobie na żadne niestosowne poufałości? – spytała z niepokojem Hannah.

– Naprawdę – zapewniła swą uczennicę Concordia i natychmiast zadała sobie w duchu pytanie, czemu to zapewnienie wcale nie poprawiło jej humoru.

– O…! – Hannah opadła na poduszki, wyraźnie zawiedziona. – Obawiałam się, że zechce panią pocałować.

– Cóż za pomysł! – Concordia mocowała się z haftkami przy obcisłym staniku swojej sukni. – Przecież my się prawie nie znamy.

– Hannah była zdania, że pan Wells może wykorzystać pani wdzięczność za okazaną pomoc; wmówi pani, że należy mu się przynajmniej pocałunek

– wyjaśniła Phoebe.

– Ach, tak? – Concordia ściągnęła rozpiętą suknię przez biodra. Poczuła wyraźną ulgę, pozbywając się przyciasnego stanika i podszytej bibelotami spódnicy. – Nie zaprzątaj sobie tym głowy, Hannah. Jestem pewna, że pan Wells nigdy by się nie zniżył do takich podstępnych sztuczek.

– Jak pani może być tego pewna? – spytała Hannah.

Concordia rozważała tę kwestię, rozwieszając suknię na wbitych w ścianę kołkach. No właśnie! Skąd mogła być pewna, że Ambrose Wells nigdy by nie wykorzystał niecnie kobiecej słabości?…

– Przede wszystkim nie sądzę, by musiał narzucać się damom – odparła wreszcie. – Z pewnością nie brak kobiet, które z ochotą będą całować go bez żadnego przymusu, dla własnej przyjemności.

– A to dlaczego? – Hannah była najwyraźniej zdumiona. – Nie jest wcale przystojny. Ma taką groźną minę! Przypomina lwa, wilka czy jakąś inną drapieżną bestię.

– A poza tym jest stary – stwierdziła rzeczowym tonem Phoebe.

Concordia spojrzała w lustro, w którym odbijały się ich postacie, opromienione blaskiem świec. Na chwilę odjęło jej mowę. Czy to możliwe, by ona i dziewczynki mówiły o tej samej osobie?! Ambrose Wells z całą pewnością był najbardziej atrakcyjny ze wszystkich znanych jej mężczyzn.

– Nic dziwnego, że wydaje ci się całkiem zgrzybiały, Phoebe; masz przecież zaledwie piętnaście lat – odpowiedziała uczennicy, siląc się na lekki ton. – Ale zapewniam cię, że wcale nie jest taki stary. Niewiele starszy niż ja!

Najwyżej o parę lat, uściśliła w duchu. Widocznie przykre życiowe doświadczenia Ambrose’a i żelazna samokontrola postarzały go w oczach jej uczennic.

Phoebe, nie wyłażąc spod kołdry, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami.

– Możliwe… ale jestem tego samego zdania co Hannah. Nie wyobrażam sobie, by damy ustawiały się w kolejce do niego i miały ochotę go całować!

Concordia usiadła w nogach łóżka, by rozsznurować sfatygowane trzewiki, sięgające kostek u nóg.

– Wstrzymaj się z wydawaniem sądów; kiedy przybędzie ci kilka lat, przekonasz się, jestem tego pewna, że mężczyźni pokroju pana Wellsa bywają naprawdę atrakcyjni. Tym bardziej że rzadko się ich spotyka.

Phoebe otworzyła buzię ze zdumienia. Potem parsknęła śmiechem i musiała zatkać sobie usta ręką.

Concordia rzuciła jej spojrzenie godne poskromicielki dzikich zwierząt.

– Cóż cię tak rozbawiło, moja panno?

– Pani by go pocałowała, gdyby o to prosił? – Phoebe z trudem zachowywała powagę. – Założę się, że ustawiłaby się pani w tej kolejce do niego!

– Dość tych głupstw! – Concordia zdmuchnęła świeczkę. – W żadnym wypadku nie ustawiałabym się w kolejce do mężczyzny, choćby był nie wiem jak atrakcyjny.

– Pani naprawdę uważa, że pan Wells jest przystojny?! – zdumiała się Hannah.

– A gdyby nie było kolejki? – Phoebe swoim zwyczajem metodycznie drążyła sprawę. – Gdyby pan Wells miał ochotę całować się tylko z panią? Pozwoliłaby mu pani na to?

– Dość tego! – Concordia ucięła dyskusję, przenosząc się na swoją stronę łóżka. – Przerwijmy tę idiotyczną konwersację. Nie zamierzam rozprawiać z wami na temat całowania pana Wellsa! Ani teraz, ani później! Dobranoc, moje panny.

– Dobranoc, panno Glade – odparła szeptem Hannah.

– Dobranoc, panno Glade – powtórzyła Phoebe, opadając na poduszkę.

Concordia odwinęła kołdrę i wśliznęła się do łóżka.

Niemal natychmiast zorientowała się po równomiernym oddechu, że obie uczennice zasnęły. Pozazdrościła im.

Zgodnie z długoletnim nawykiem Concordia przed snem zamiast rozważać dawne wydarzenia, koncentrowała się na przyszłości. Tej nocy cały jej świat stanął na głowie. Ponieważ zdarzyło się to nie po raz pierwszy, wiedziała, że musi obmyślić nowy plan działania. W ten sposób będzie jej łatwiej przystosować się do nowej sytuacji.

Tylko jak zdoła włączyć Ambrose'a Wellsa do swojej wizji przyszłości? Jego znajomość z tajemiczym Alexandrem Larkinem może okazać się nieoceniona! Bez wątpienia Ambrose wplątał się w tę aferę dla jakichś osobistych celów. Ciekawe, jakie metody stosuje prywatny detektyw? W czyim imieniu działa? Czy w tej sytuacji można mu nadal ufać? Złożyć w jego ręce los czterech dziewcząt? A jeśli tak, to na jak długo?

Zdławiony jęk, dolatujący z przeciwległego końca wielkiego łóżka wyrwał Concordię z głębokiej zadumy.

Hannah usiadła raptownie na łóżku; nie mogła złapać tchu.

– Nie! Nie!… Proszę nie zamykać drzwi! Błagam!…

Phoebe nie całkiem jeszcze przytomna, poruszyła się i szepnęła:

– Panno Glade!…

– Wszystko w porządku. Jestem z wami – uspokoiła ją Concordia, wyskakując z łóżka.

Śpiesznie usiadła obok Hannah i przygarnęła do siebie udręczoną sennymi majakami dziewczynę.

– Uspokój się, kochanie. Już wszystko w porządku.

– Tak ciemno! – Hannah szeptała półprzytomnie. Była jakby zawieszona w próżni między dwoma światami: sennych koszmarów i realnego życia. – Będę grzeczna!… Proszę nie zamykać!…

– Posłuchaj mnie, dziecinko. – Concordia głaskała uczennicę po drżących ramionach i plecach. – Nie jesteś już w tej okropnej piwnicy. Widzisz? Księżyc. Świeci tak jasno! Chcesz, żebym otworzyła okno?

Hannah zadrżała.

– Panna Glade?

– Jestem przy tobie. Phoebe też tu jest. Wszystko w porządku.

– To był… tamten sen – wymamrotała Hannah.

– Wiem – odparła Concordia. – Nic dziwnego, że się powtórzył… po tylu emocjach wczorajszego dnia. Ale teraz jesteś bezpieczna.

– Bardzo przepraszam, panno Glade. – Hannah otarła oczy rąbkiem prześcieradła. – Nie chciałam wyrywać ze snu pani i Phoebe.

– Obie doskonale o tym wiemy. Nie musisz się o nic martwić.

Nadal obejmowała dziewczynkę i uspokajała ją, póki duszności nie ustąpiły.

Wreszcie Hannah położyła się na wznak z poduszką pod głową. Concordia wróciła na swoją stronę łóżka.

– Panno Glade… – szepnęła Hannah.

– O co chodzi, kochanie?

– Czy będę mogła po przyjeździe do Londynu wysłać list do Joan? To moja przyjaciółka z sierocińca. Bardzo się o nią martwię. Nie odpowiedziała na żaden z listów, które wysyłałam do niej z Aldwick Castle.

Concordia zawahała się; przypomniała sobie uwagę Ambrose’a na temat morderczych skłonności i pogróżek Alexandra Larkina.

– Mam wrażenie, Hannah, że żadna z nas nie powinna teraz kontaktować się z osobami postronnymi – powiedziała łagodnie. – Nie martw się, jak tylko minie zagrożenie, będziesz mogła odszukać Joan.

Phoebe wyraźnie nie mogła usiedzieć na poduszkach.

– Nadal grozi nam poważne niebezpieczeństwo, panno Glade?

– Przez jakiś czas lepiej będzie zachować wszelkie środki ostrożności. – Concordia starannie dobierała słowa. – Na szczęście mamy teraz sojusznika w osobie pana Wellsa, który nieraz bywał w podobnej sytuacji. I zawsze znakomicie dawał sobie radę.

– W jakiej my właściwie jesteśmy sytuacji, panno Glade? – spytała Phoebe, jak zawsze żądna wiedzy.

Gdybym to ja wiedziała! – pomyślała Concordia.

– Sytuacja jest dość skomplikowana, Phoebe. Ale poradzimy sobie, bez obawy! A na razie koniec rozmów! Postarajmy się zasnąć.

Concordia przez długi czas leżała bez ruchu, wsłuchując się w równomierny oddech obu swych towarzyszek. Kiedy nabrała pewności, że Hannah i Phoebe zapadły ponownie w sen, przymknęła oczy.

…I ujrzała powalonego Rimptona, usiłującego wstać. Nadal miał w ręku broń. Tył jego głowy wyglądał jakoś dziwnie… przerażająco…

Ocknęła się nagle. Serce waliło jej jak szalone.

Ktoś był na korytarzu, pod drzwiami ich sypialni. Concordia nie wiedziała, co ją obudziło, ale wyczuwała wyraźnie czyjąś obecność po przeciwnej stronie zamkniętych drzwi.

Ambrose! – pomyślała. Tak, to z pewnością on!

Najwyższy czas, by wreszcie i on przespał się trochę! – pomyślała. Miała nadzieję, że nie spędził ostatnich kilku godzin, pijąc sherry. Ledwie nasunęło się jej to podejrzenie, odpędziła je natychmiast. Tej nocy obserwowała bacznie Ambrose’a i dowiedziała się o nim dostatecznie dużo, by wiedzieć, że nie brak mu samokontroli. W każdym razie w jej obecności wypił tylko jeden kieliszek sherry, gdy podawał jej to „lekarstwo”.

Concordia nadsłuchiwała, kiedy wreszcie Ambrose wejdzie do swojego pokoju. Ale wokół panowała absolutna cisza. Co też on robi?! Czemu tkwi na korytarzu?

A może była w błędzie? Może to wcale nie Ambrose czaił się na korytarzu? Któż to mógł być? Jakiś inny podróżny? A może Edwina lub Theodora?

…Albo ktoś z Aldwick Castle, idąc ich śladem, dotarł aż tu?…

Przeszył ją dreszcz trwogi, ostry jak brzeszczot, porażający jak grom. Concordia nie odrywała oczu od szpary pod drzwiami, przez którą

usiłowało przedostać się światło księżyca.

Przez sekundę czy dwie sekundy była jak skamieniała – niezdolna do najmniejszego ruchu, nawet wstrzymała oddech.

Z najwyższym wysiłkiem zdołała wyślizgnąć się spod kołdry. Obie dziewczynki spały głęboko i ani drgnęły.

W sypialni robiło się coraz chłodniej, ale Concordia była zlana potem. Znalazła i włożyła okulary. Następnie podeszła do swego okrycia, wsunęła rękę do kieszeni i natrafiła na rękojeść pistoletu Rimptona. Bardzo ostrożnie wyciągnęła broń z kieszeni.

Dotarłszy do drzwi, znowu się zatrzymała. Ten tajemniczy ktoś był nadal na korytarzu. Niemal namacalnie wyczuwała jego obecność.

To musi być Ambrose! – przekonywała samą siebie. Wiedziała jednak, że nie odpręży się nawet na minutę, póki się nie upewni.

Odsunęła rygiel i uchyliła drzwi.

Księżycowa poświata oświetlała wnętrze domu, sącząc się przez okno znajdujące się na końcu korytarza.

Concordia przez wąską szparkę w drzwiach mogła zobaczyć jedynie górny podest schodów. W pobliżu nie było żywej duszy. Nauczycielka zorientowała się, że ze swego punktu obserwacyjnego nie zdoła dostrzec niczego na wprost drzwi ani na korytarzu na prawo od niej.

– Jak widzę, sherry nie poskutkowało. – Dotarł do niej szept niewidocznego w mroku Ambrose’a.

W pierwszej chwili Concordia podskoczyła nerwowo, ale zaraz potem odetchnęła z ulgą. Skierowała pistolet lufą do dołu, otworzyła nieco szerzej drzwi i wyjrzała na korytarz.

Z początku nie mogła dostrzec Ambrose’a. Potem zrozumiała dlaczego. Wyobrażała go sobie w pozycji stojącej, z twarzą na poziomie jej twarzy. Tymczasem Ambrose siedział po turecku na podłodze, z rękoma na kolanach. Wydawał się uosobieniem spokoju.

– O, pan Wells! – powiedziała cicho. – Chyba pana usłyszałam, bo byłam pewna, że pan tu jest. Czemu siedzi pan na podłodze?! Powinien pan leżeć w łóżku! Sen jest panu tak samo potrzebny jak nam wszystkim.

– Proszę się mną nie przejmować, panno Glade. Niech pani wraca do łóżka!

O tej porze nie mogła domagać się od niego odpowiedzi na swoje pytania. A poza tym nie chciała budzić swoich uczennic ani przerywać snu oberżyście i jego żonie.

– W porządku, niech pan robi, co chce.

Nie starała się nawet ukryć swoich wątpliwości co do jego poczynań.

– Może pani wierzyć albo nie, panno Glade, ale ja naprawdę wiem, co robię.

Niechętnie zamknęła drzwi; po chwili szczęknął zasuwany rygiel. Concordia podeszła do łóżka, zdjęła okulary, położyła je na nocnym stoliku obok pistoletu i wsunęła się pod kołdrę.

Przez pewien czas wpatrywała się w szparę pod drzwiami i zastanawiała się nad dziwnym zachowaniem Ambrose’a. Nie odpowiedział na jej pytanie… Mimo to wiedziała, czemu spędzał tę noc na korytarzu i czemu nie tknął sherry. Miał zamiar stać na warcie.

Nagle zrobiło jej się zimno pod grubą kołdrą.

To, że Ambrose uznał za konieczne pełnienie nocnej warty, było najlepszym dowodem, iż uważał Larkina za groźnego przeciwnika.

6

Ledwie słyszalny szczęk zasuwanego rygla dotarł do Ambrose’a.

Zaczekał jeszcze chwilę, wsłuchując się w odgłosy pogrążonej we śnie oberży. Jego umysł, poddany kiedyś intensywnemu treningowi, dzięki któremu potrafił wyłowić najlżejszy dysonans mącący naturalną harmonię nocy, tym razem nie wykrył niczego, co mogło być zapowiedzią niebezpieczeństwa.

Ambrose pozwolił więc sobie na pogrążenie się w strefie ciszy swego umysłu. O śnie nie było oczywiście mowy aż do świtu, ale dzięki zanurzeniu się w tym wewnętrznym królestwie mógł zaznać odprężenia i wyciszenia podobnego do skutków zwykłego wypoczynku. A jednocześnie potrafił z łatwością zgłębiać problemy i rozważać wszelkie ewentualności.

W tej chwili nic nie wydawało mu się bardziej naglące i niepokojące od słów, które Concordia rzuciła mimochodem: „Widać pana usłyszałam, bo byłam pewna, że pan tu jest”.

Oczywisty absurd! Ambrose wiedział, że nie zdradził się najcichszym nawet szmerem. Równie pewny był tego, że idąc korytarzem, w żaden sposób nie zaniepokoił cieni zbierających się pod drzwiami. Umiał się poruszać po ciemku. Miał do tego wrodzony talent.

A jednak… „Widać pana usłyszałam”…

Pozwolił fali wspomnień, by uniosła go w przeszłość, ożywiła w nim pamięć tamtej odległej nocy…

Chłopiec siedział skulony i drżący w gęstniejącym mroku na górnym podeście schodów. Wsłuchiwał się w gniewne, stłumione głosy, docierające aż tu z gabinetu ojca. Tak, ojciec kłócił się ze swoim tajemniczym gościem. Ich słowa nie docierały do kryjówki chłopca, ale z samego tonu podniesionych głosów można się było zorientować, że obu rozmówców rozpiera gniew, który był jak groźna, mroczna fala przypływu, mogąca zatopić cały dom.

Głos ojca nabrzmiewał coraz większą wściekłością.

– Zabiłeś ją z zimną krwią, może nie? Nie mogę ci tego dowieść, ale wiem! Rozumiesz? Wiem, żeś to ty ją zamordował!…

– O takiej jak ona nie warto nawet gadać. – Głos nieznajomego był niski i gniewny. – Zwykłe hotelowe popychadło, które bezmyślnie podsłuchało za dużo i nie wyszło mu to na zdrowie. Zapomnij o tym śmieciu. Jesteśmy o krok od zdobycia fortuny!

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

– Nie możesz wszystkiego rzucić dla kaprysu…

– Właśnie, że mogę. I rzucę!

– Zadziwiasz mnie, Colton – stwierdził tajemniczy gość. – Kantowałeś, fałszowałeś, oszukiwałeś przez całe życie. Sądziłem, że masz więcej zdrowego rozsądku!

– Co innego nabić w butelkę i oskubać kilku bogaczy, którzy nawet nie zauważą straty paru tysiączków. A co innego morderstwo! Wiedziałeś z pewnością, że się na to nie zgodzę!

– No to się nie dziw, że nie wspomniałem ci o niczym! – odgryzł się rozmówca. – Czułem przez skórę, że będziesz dziwaczył!

– Myślałeś, że się nie dowiem? Nie domyślę?! Była taka młoda i niewinna…! Jak mogłeś ją zabić?

– Taka znów niewinna to ona nie była. – Nieznajomy parsknął niemiłym śmiechem, który przeszedł w atak kaszlu. – Możesz mi wierzyć, że zaliczyła już niejedno łóżko, zanim się wpakowała do mojego.

– Wynoś się stąd i nigdy tu nie wracaj! Rozumiesz?!

– Tak, Colton, rozumiem cię aż za dobrze. Szkoda, że właśnie tego sobie życzysz. Przykro mi, że tracę wspólnika. Ale uszanuję twoje życzenie. Możesz być pewny, że nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Nagły ostry wystrzał odbił się echem od ścian domu.

Huk pistoletu przyprawił chłopca o taki szok, że przez kilka sekund był jak sparaliżowany. Wiedział, co się wydarzyło w gabinecie, ale jego umysł nie chciał zaakceptować tej prawdy.

Tam, na dole, drzwi gabinetu otworzyły się na oścież. Chłopiec stał jak skamieniały, ukryty wśród cieni na górnym podeście schodów, śledził poczynania nieznajomego, który był dobrze widoczny w blasku gazowej lampy, palącej się na biurku za jego plecami.

Mimo przepełniającej chłopca trwogi jakaś cząstka jego umysłu odnotowywała automatycznie każdy szczegół powierzchowności mordercy. Jasne włosy i baki, kosztowne, doskonale skrojone ubranie…

Mężczyzna zerknął w kierunku schodów.

Chłopiec był pewny, że nieznajomy zaraz wejdzie na górę i go zabije. Był tego równie pewien jak śmierci ojca.

Morderca postawił nogę w wysokim bucie na pierwszym stopniu schodów.

– Wiem, że tam jesteś, mój mały! Mam dla ciebie, niestety, złe wieści: twój ojciec odebrał sobie życie. Zejdź no tu do mnie. Zaopiekuję się tobą.

Chłopiec wstrzymał dech. Starał się ukryć wśród cieni, stać się jednym z nich.

Morderca był już na schodach… I nagle się zatrzymał.

– Niech to szlag! Zapomniałem o tej babie! – wymamrotał i znowu zaniósł się kaszlem.

Chłopiec przyglądał się jak wróg zawraca, schodzi z kilku stopni i wreszcie znika w mrocznym holu. Chce sprawdzić, czy gospodyni, pani Dalton, jest w swoim pokoju.

Chłopiec wiedział coś, o czym morderca nie miał pojęcia. Nie znajdzie pani Dalton w jej pokoju, bo dostała wychodne. Ojciec nie lubił, by służba plątała się po domu, kiedy załatwiał podejrzane interesy.

Kiedy morderca przekona się, że nie ma żadnych dorosłych świadków jego zbrodni, zapoluje na jedyną osobę, która mogła powiadomić policję, co się tu wydarzyło tego wieczoru.

Chłopiec spojrzał w dół i pojął, że w żaden sposób nie zdoła zbiec z wszystkich trzech kondygnacji, dotrzeć do drzwi frontowych i zniknąć w bezpiecznym mroku nocy przed powrotem mordercy.

Znalazł się w potrzasku…

7

Następnego dnia magiczna sztuczka Ambrose’a udała się doskonale. Było to prawdziwe arcydzieło synchronizacji i koordynacji. Concordię ogarnął zbożny podziw. Z pewnością na całym świecie znalazłoby się ledwie paru ludzi, którzy zdołaliby przeprowadzić podobny eksperyment!

– Cały dowcip polega na tym, by nie przedobrzyć. Nic tak nie fascynuje jak prostota. – Ambrose tłumaczył Concordii, odprowadzając ją i jej uczennice na stację kolejową. – I nie wolno zapominać, że ludzie widzą zawsze to, co spodziewają się ujrzeć.

Dla lepszego efektu, zanim Concordia się zorientowała, zniknął i Ambrose. Ale przed samym odjazdem przemknął jej przed oczami jakiś nędznie odziany człowiek i w ostatniej chwili zdołał wepchnąć się do zatłoczonego wagonu trzeciej klasy. W jego ruchach było coś znajomego… Concordia doszła do wniosku, że ten człowiek to Ambrose.

Dotarli do Londynu po kilku godzinach jazdy w ślimaczym tempie. Pociąg zatrzymywał się w każdym niemal miasteczku i wiosce, a pasażerowie nie narzekali, gdyż mogli dzięki temu rozprostować nogi, przechadzając się po peronie. W końcu dotarli jednak do Londynu. Cztery młode damy i towarzysząca im nauczycielka wysiadły z przedziału pierwszej klasy na ludnym i gwarnym londyńskim dworcu kolejowym. Cała piątka jakoś zmieściła się w wynajętym powozie, który wnet zniknął w tłumie innych pojazdów; przyczyniła się do tego również słynna londyńska mgła.

Godzinę później przez zbity tłum na targowisku przebijało się czterech młodych robotników. Ubrani byli typowo: czapki z daszkiem, długie spodnie, okręcone wokół szyi szaliki i – ma się rozumieć – kurtki. Bez większego pośpiechu ruszyli za uliczną kwiaciarką w dziurawej i obszarpanej pelerynie.

Niewielka grupka przedarła się przez ciżbę błądzącą pozornie bez celu po targu warzywnym. Zgodnie z planem wszyscy wsiedli do pustej chłopskiej furmanki. Nad tylną częścią wozu rozpięto plandekę, pod którą mogli się schronić pasażerowie. Z okiem przytkniętym do szparki w plandece Concordia obserwowała mijanych ludzi. Powóz jechał szybko, widoki zmieniały się w tym samym tempie. Najpierw znikła bezładna krzątanina i ucichły gromkie odgłosy wielkiego targowiska. Potem jechali przez istny labirynt maleńkich zaułków i wąskich, mrocznych ulic. Następnie ulice stały się szersze. Mieściły się przy nich doskonale prosperujące sklepy i dość skromne budynki mieszkalne. W końcu i one zniknęły, ustępując miejsca wytwornym rezydencjom, nierzadko położonym przy pięknie zadrzewionych skwerach.

Ku zdumieniu Concordii furmanka, na której jechali, bez przeszkód dotarła przez bramę z kutego żelaza na tyły wielkiego domu, zaturkotała na kocich łbach i ostatecznie zatrzymała się na brukowanym dziedzińcu.

Ściągnięto plandekę osłaniającą tylną część wozu. Ambrose, w zgrzebnym ubraniu i kłapciastym chłopskim kapeluszu, zerknął na gromadkę przebierańców z wyżyn kozła.

– Witajcie w waszym nowym domu, drogie panie! – Rzucił cugle wysokiemu, kościstemu jegomościowi w średnim wieku, ubranemu w roboczy strój ogrodnika. – Pozwólcie, że wam przedstawię pana Oatesa. Oates, oto nasi mili goście, panna Glade i jej cztery uczennice: Phoebe, Hannah, Theodora i Edwina. Zabawią u nas jakiś czas.

– Serdecznie witamy łaskawe panie – powiedział Oates, przykładając dwa palce do czapki.

– Miło mi pana poznać, panie Oates – zrewanżowała się Concordia.

Cztery dziewczęta powitały ogrodnika rozentuzjazmowane.

Oates wydawał się uradowany i odrobinkę zażenowany tym, że damy witają się z nim jak równy z równym. Wymamrotał coś niezrozumiałego i zaczerwienił się jak burak.

Dwa wielkie gładkowłose psy o spiczastych uszach i wydłużonych łbach wybiegły w podskokach i zatrzymały się na wprost przybyszów. Chłodne, inteligentne spojrzenia tych zwierząt sprawiły, że delikatne włoski na karku Concordii się zjeżyły. Psy wydały się jej podobne do posągu Anubisa, egipskiego bóstwa o głowie szakala, który ujrzała niegdyś w muzeum.

– Oto Dante i Beatrycze – przedstawił psy Ambrose.

Concordia spojrzała na nie z niepokojem.

– Czy one gryzą?

Ambrose się roześmiał. Wydawał się jej w tej chwili podobny do tych psów.

– Oczywiście! Jaki sens miałoby sprowadzanie do domu psów obronnych, gdyby nie rzucały się na nieproszonych gości? Ale pani nie ma powodu do obaw. Dante i Beatrycze spostrzegły, że jesteście z nami na przyjacielskiej stopie, i zawarły z wami uroczyście znajomość. Ani pani, ani dziewczętom nic już nie grozi ze strony tych psiaków.

– Jest pan tego pewny?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Całkowicie, panno Glade.

– Ale fajna zabawa! – Phoebe zeskoczyła z wozu, nie czekając, aż jej ktoś pomoże; podbiegła do psów i zaczęła drapać Dantego za uszami. – Cudownie się czuję w tych spodniach! Są sto razy wygodniejsze od tych przeszytych pośrodku spódnic. – Spojrzała na Concordię z nadzieją w oczach. – Mogłabym je zatrzymać, panno Glade?

– Nie widzę przeszkód – orzekła Concordia. Odprężyła się, widząc, że groźny pies przyjmuje z radością karesy Phoebe. – Spodnie mogą okazać

się bardzo przydatne w niektórych sytuacjach.

Beatrycze podbiegła do niej, trąciła ją nosem i wyraźnie dopraszała się pieszczot. Concordia ostrożnie poklepała ją po łebku.

– Ja też chciałabym zachować spodnie. – Hannah, stojąca nadal na wozie, wyprostowała się, zatknęła oba kciuki za pasek spodni i przybrała buńczuczną postawę. W mgnieniu oka przeobraziła się w zadziornego łobuziaka, który z powodzeniem mógł się przyłączyć do gromady gazeciarzy czyhających na klientów na rogu uczęszczanej ulicy. – Są znacznie wygodniejsze niż spódnica i bluzka! Czuję się w nich całkowicie przeobrażona!

Edwina popatrzyła na zgrzebne przebranie i zmarszczyła nosek.

– Może i są wygodne, ale nie mają za grosz szyku!

– Ale ta przebieranka była naprawdę zabawna – orzekła Theodora, przyjmując pomoc Oatesa, podczas schodzenia z wozu. – Zauważyliście, jak ludzie rozstępowali się na nasz widok?

– Pewnie się bali, że ich okradniemy – skomentowała cierpkim tonem Hannah.

Ambrose był wyraźnie ubawiony tą uwagą.

– Masz rację, Hannah, ale ich obawa to bezwiedny hołd dla twojego talentu. Byłem pod wrażeniem! – Zeskoczył lekko na ziemię i ku zdumieniu Concordii obdarzył ją łobuzerskim uśmiechem. – Pani również mi zaimponowała, panno Glade, w roli kwiaciarki. W życiu nie widziałem bardziej przekonującej kreacji!

– Pan Wells ma rację, panno Glade – wyrwała się Phoebe. – W tych łachmanach wyglądała pani na prawdziwą starą jędzę!

Concordia westchnęła i zaczęła rozplątywać postrzępiony szalik, którym zakryła swoje bujne włosy.

– Dziękuję za komplement, Phoebe.

– Gdzie, u diabła, wytrzasnąłeś to rozsypujące się pudło i zdychającą szkapę? – mruknął Oates do Ambrose’a.

– Pożyczył mi je zacny wieśniak, który wierzy w ludzką uczciwość.

Oates spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Pożyczył, powiadasz?

– Bez takich min, Oates! – Ambrose klepnął go po plecach. – Ten chrześcijański uczynek już mu się opłacił z nawiązką. Ale pewnie chciałby odzyskać tę królewską karocę. Możesz to załatwić za mnie? Powiedziałem temu poczciwcowi, że wóz i koń będą na niego czekać na Brinks Lane, koło teatru.

– Wedle rozkazu, panie kapitanie! – Oates wdrapał się na kozioł i trzepnął lejcami.

Nie był ani trochę zdziwiony nagłym przybyciem Ambrose'a, w dodatku z gośćmi, rozważała w duchu Concordia, Oates zapewne zdążył się już oswoić z jego dziwactwami.

– Wejdźmy do środka! Zaraz wam przedstawię panią Oates – powiedział Ambrose. – Całe gospodarstwo spoczywa na jej głowie. To ona pokaże wam, gdzie kto będzie sypiał.

Zanim Concordia zorientowała się, na co się zanosi, Ambrose wziął ją za rękę i pociągnął w stronę kuchni. Czuła mocny uścisk jego palców. I ni stąd, ni zowąd pożałowała, że ma na sobie to okropne przebranie.

Starając się odpędzić od siebie ponure myśli, przyglądała się elewacji budynku, gdy Ambrose ciągnął ją w stronę drzwi.

Była to piękna budowla w palladiańskim stylu, z charakterystycznymi wysokimi oknami i pięknymi kolumnami. Otaczał ją kamienny mur i doskonale utrzymane ogrody. Całość sprawiała bardzo korzystne wrażenie, a Concordia odkryła przy tym, że imponujący dom tchnie również błogim spokojem, daje poczucie bezpieczeństwa. Przytulna forteca nie do zdobycia! Całości dopełniały ostre psy obronne, Dante i Beatrycze, które dopraszały się o pieszczoty domowników.

Podekscytowane, rozgadane podlotki wbiegły z entuzjazmem do środka, a psy za nimi. Concordia przyglądała się bacznie uczennicom. Serce się jej

ściskało. Czy postąpiła słusznie, przywożąc je tutaj?… Czy miała jakieś inne wyjście?…

Zawahała się przez sekundę, nim przestąpiła próg tego domu.

– To imponująca rezydencja, panie Wells – powiedziała cicho, by dziewczęta nie podsłuchały. – Zakładam, że należy do pana?

– Prawdę mówiąc, nie.

Concordia zatrzymała się raptownie.

– Co takiego?!

– Właścicielem tego domu jest pan John Stoner.

Concordia zmarszczyła brwi.

– I przebywa w tej chwili w swoim domu?

– Nie – odparł Ambrose. – Tak się składa, że teraz go tu nie ma.

Concordia miała wrażenie, że Ambrose sili się na niedbały ton, mówiąc o nieobecności tajemniczego pana Stonera.

– I jest pan pewny, że właściciel nie miałby nic przeciwko sprowadzaniu tu obcych ludzi bez jego pozwolenia?

– Jeśli nie wróci nieoczekiwanie, nawet się nie dowie, że gościł pod swym dachem panią i pani podopieczne – zapewnił ją Ambrose.

Concordii zdecydowanie nie odpowiadała taka sytuacja.

– Zupełnie tego nie rozumiem. Gdzie przebywa obecnie pan Stoner?

– Mam wrażenie, że jest na kontynencie. Ale Stoner często bywa nieobliczalny.

– Ach, tak?… Wolno spytać, czy to pański krewny? A może wspólnik w interesach?

Ambrose zamyślił się na chwilkę.

– No, cóż… powiedzmy, że jesteśmy starymi znajomymi.

– Bez urazy, to niczego nie wyjaśnia!

– Proszę się nie obawiać, panno Glade – powiedział bardzo cicho. – Daję pani słowo, że będziecie tu bezpieczne, pani i pani podopieczne.

Przebiegł ją nagły dreszcz, nerwy się rozdygotały. Intuicja mówiła jej, że dziewczynkom nic nie grozi ze strony Ambrose’a Wellsa. Ale ona?… Całkiem możliwe, że ktoś jej tu skradnie serce.

8

Ciche kap, kap, kap kropel deszczu bijących o szyby obudziło Concordię. Jaka błoga, kojąca melodyjka!… Przez chwilę leżała bez ruchu, rozkoszując się spokojem. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie odczuła zaraz po przebudzeniu gwałtownego strachu i napięcia; po raz pierwszy nie zaczynała dnia, głowiąc się nad kolejnym planem ucieczki.

To prawda, że ostatnim razem nie wszystko poszło zgodnie z jej przewidywaniami… ale udało się jej uciec z dziewczętami z Aldwick Castle. A przecież o to przede wszystkim chodziło! Dzisiejszego ranka tylko to się dla niej liczyło. Zapewne niebawem zacznie znów snuć plany na przyszłość… ale z powodzeniem może zabrać się do tego po śniadaniu!

Concordia odrzuciła kołdrę, znalazła okulary i otuliła się szlafrokiem, który pani Oates wyczarowała dla niej wczoraj wieczorem. Zebrała garstkę przyborów toaletowych, które przywiozła ze sobą do zamku. Na koniec otworzyła drzwi na korytarz.

Ani żywej duszy! Pani Oates wspomniała, że na tym piętrze są tylko dwa pokoje gościnne; ten drugi należał do Ambrose’a. Dziewczęta zostały ulokowane piętro wyżej.

Concordia pośpieszyła do łazienki; przepełniało ją radosne oczekiwanie na nie byle jaką przyjemność.

Ubiegłej nocy odkryła rozkosze, jakich może dostarczyć łazienka urządzona w wielkim stylu. Teraz nie mogła się doczekać chwili, gdy doświadczy równie miłych wzruszeń. John Stoner może zasługiwał na

miano ekscentryka, ale bez wątpienia był zwolennikiem postępu technicznego i najnowszych udogodnień w łazience.

Pokój kąpielowy, który zwiedziła wczoraj, zachwycił ją; robił wrażenie salonu, urządzonego przez dekoratora o nieco dekadenckich skłonnościach. Ze wszystkich stron połyskiwały oślepiająco białe, iskrzące się kafelki. Nie brakło tu najnowszych wygód. Sterczące ze ściany kurki dostarczały zarówno gorącej, jak i zimnej wody, która płynęła rurami zamontowanymi w bocznej ścianie domu. Wanna po prostu olśniewała czystością. Zamontowano nad nią nawet prysznic.

Toaleta, mieszcząca się w równie imponującym pomieszczeniu jak wanna, stanowiła niezrównane połączenie sztuki dekoratorskiej i nowoczesnej techniki. Okazałe żółte słoneczniki upiększały oba zewnętrzne boki oraz wnętrze sedesu.

Rzadko kto, wprowadzając u siebie w domu podobne wygody, czynił to z równie wyrafinowaną elegancją.

Łatwo by mi było przywyknąć do takich luksusów! – pomyślała Concordia.

Drzwi łazienki otworzyły się same, nim zdążyła nacisnąć klamkę. Zaskoczona przystanęła przed wejściem i obejrzała się przez ramię, starając się obliczyć na oko odległość do sypialni, dokąd zamierzała czmychnąć.

Ale zabrakło jej czasu na ten strategiczny odwrót.

Z łazienki wynurzył się Ambrose. Miał na sobie szlafrok z czarnego atłasu, ozdobiony egzotycznym haftem. Mokre włosy sterczały na wszystkie strony.

– Ooo!… Pan Wells?…

Concordia jedną ręką przytrzymywała klapy szlafroka, żeby się nie rozchyliły, a w drugiej ręce ściskała woreczek z przyborami toaletowymi. Przeraziła ją myśl, że na jej widok Ambrose gotów pomyśleć, iż dopiero co wstała z łóżka. Świadomość, że jej wygląd całkowicie odpowiada prawdzie, bynajmniej jej nie pocieszyła. Tym bardziej że sama od pierwszej chwili

była pewna, iż Ambrose pod szlafrokiem jest nagi. Jeśli zaś o nią chodziło, to narzuciła zwiewny peniuar na cieniutką koszulkę.

Ambrose powitał ją leniwym uśmiechem, od którego zmysły jej się rozszalały, a rozsądek uleciał na cztery wiatry.

– Ranny ptaszek z pani, panno Glade!

– Tak… no bo… myślałam, że wszyscy jeszcze śpią. – Odchrząknęła. – Nie miałam pojęcia, że pan już wstał.

– Ja też zazwyczaj wcześnie wstaję. A więc zgadzamy się przynajmniej pod tym względem.

Concordia, zmieszana, cofnęła się o krok.

– Przyjdę tu później, o dogodniejszej porze.

– Nie musi pani uciekać. Cała łazienka jest już do pani dyspozycji.

– O?… Bardzo panu dziękuję. – Zerknęła do lśniącego wnętrza za jego plecami; buchało stamtąd przyjemne ciepło. – Co za wspaniałości!

Kąciki ust zadrgały mu w uśmiechu.

– Naprawdę podoba się to pani?

– Ależ oczywiście! – Nie była w stanie powściągnąć swego entuzjazmu. – To takie nowoczesne i higieniczne pod każdym względem! Jest nawet prysznic!

Wetknął ręce do kieszeni szlafroka i z całą powagą skinął głową.

– Przed chwilą przekonałem się na własnej skórze o zaletach tego urządzenia.

Concordia nie była w stanie zaczerwienić się jeszcze więcej. Czuła, że twarz jej płonie żywym ogniem. Gdybyż w tym raju nowoczesnej techniki była jeszcze zapadnia!… W tej chwili Concordia dałaby nie wiem co, by ziemia się pod nią rozstąpiła.

Niestety, mogła tylko westchnąć.

– Pewnie pan uważa, że jestem niemądra… ale ja po prostu nigdy dotąd nie pracowałam w tak nowoczesnym domu.

– Ależ, panno Glade! – Cieniutkie zmarszczki w kącikach oczu pogłębiły się, nadając twarzy Ambrose’a wyraz lekkiej irytacji. – Ile razy mam pani powtarzać, że jest tu pani miłym gościem, a nie guwernantką najętą do uczenia cudzych dzieci?

– To bardzo ładnie z pańskiej strony mówić mi takie miłe rzeczy… Ale wie pan równie dobrze jak ja, że znalazłam się w kłopotliwym położeniu… mówiąc bardzo oględnie… zwłaszcza że właściciel tego domu podziewa się nie wiadomo gdzie…

– Z pewnością nie uważam pani za osobę niemądrą – kontynuował z całym spokojem Ambrose, jakby słowa Concordii w ogóle do niego nie dotarły. – I jeszcze jedno, póki pamiętam: gdyby pani zdecydowała się na prysznic zamiast kąpieli w wannie, radzę mieć się na baczności! To paskudztwo siecze swe ofiary wodnym śrutem, to lodowatym, to wrzącym! Moim zdaniem ten najnowszy cud techniki wymaga dokładnego sprawdzenia i wielu ulepszeń, jeśli kiedyś ma zastąpić tradycyjną kąpiel w wannie.

Concordia odchrząknęła znacząco.

– Wezmę pańską opinię pod uwagę.

Ambrose odwrócił się i skierował ku drzwiom swojej sypialni.

– Kiedy już się pani nacieszy urokami bardzo nowoczesnej i w najwyższym stopniu higienicznej kąpieli, może spotkamy się na parterze, w pokoju śniadaniowym? Chciałbym zadać pani kilka pytań – rzucił na odchodnym.

– O co panu konkretnie chodzi? – spytała podejrzliwie.

– Między innymi pragnę dowiedzieć się czegoś więcej o pani, panno Glade. Jest pani taka tajemnicza!

Serce w niej zamarło.

– W jaki sposób szczegóły mojego prywatnego życia mają panu pomóc w odnalezieniu tego Larkina?!

– Być może wcale mi w tym nie pomogą… – Stojąc przed drzwiami swojego pokoju, obejrzał się raz jeszcze na Concordię. – Ale na długiej liście moich wad i słabostek poczesne miejsce zajmuje upór. I jeśli już zadam komuś kilka istotnych pytań, to nie spocznę, póki nie uzyskam na nie odpowiedzi.

Concordia zmierzyła go spojrzeniem, które w mgnieniu oka uciszyłoby klasę złożoną z nieuleczalnych chichotek.

– Obawiam się, że jeśli mówił pan serio, czeka pana wiele bezsennych nocy.

– Zapewne, ale to dla mnie żaden problem. – Okrasił te słowa leniwym, zatrważająco poufałym uśmiechem. – Zawsze sobie znajdę jakieś zajęcie, które umili mi nieprzespaną noc.

Concordia ani przez chwilę w to nie wątpiła. Czując, że czerwieni się znów po uszy, wkroczyła do olśniewającej łazienki i ostentacyjnie zatrzasnęła za sobą drzwi.

9

Na parterze, w pokoju śniadaniowym, Ambrose popijał herbatę i przeglądał gazety, jak miał w zwyczaju. Zdawał sobie jednak sprawę, że jakaś cząstka jego istoty oczekuje przybycia Concordii z mieszaniną radości i rozdrażnienia.

To była drobnostka… ale jakże irytująca! Złościło go, że Concordia czuje się skrępowana rolą gościa, którą chcąc nie chcąc, musi odgrywać w jego domu. Miał wrażenie, że stara się za wszelką cenę utrzymać dystans między nimi… o tyle, o ile to było w jej mocy.

Przypomniał sobie, jak wyglądała, gdy nie tak dawno spotkali się na korytarzu: owinięta szlafrokiem, z włosami niedbale upiętymi w kok na czubku głowy, z twarzą zaróżowioną jeszcze od snu. Jego wyobraźnia jak szalona zarzucała go płomiennymi majakami: oto porywa ją w ramiona… niesie do swojej sypialni…

Nietrudno było odgadnąć, jak Concordia zareagowałaby na propozycję namiętnego sam na sam w jego pokoju!… Aż się wzdrygnął. Nawet bez podobnych sugestii Concordia miała się przed nim na baczności. Nie mógł mieć do niej o to pretensji.

Wcale go nie cieszyła perspektywa wywierania nacisku na Concordię, gdy tylko zejdzie na dół, wyciągania od niej przemocą osobistych sekretów. Z pewnością będzie miała mu za złe ingerencję w jej prywatne życie. Skomplikuje to jeszcze bardziej ich wzajemne stosunki… Ale nie miał innego wyjścia.

Problemy, z którymi się borykał, ostatnio jeszcze bardziej się zagmatwały. Musiał koniecznie wyświetlić kilka kwestii. A Concordia spędziła sporo czasu w Aldwick Castle i musiała się w sposób nieunikniony stykać z ludźmi Larkina. Stanowiła więc nieocenione źródło informacji, podsumował sprawę Ambrose, wracając do gazety.

Ciągle to sobie powtarzał, od chwili gdy wskoczył za nią na konia i wyprowadził jej dziewczęta ze stajni. I doskonale wiedział, że oszukuje samego siebie.

Od momentu, gdy uświadomił sobie, że to z winy Concordii jego plan zakończył się fiaskiem, wiedział, że nie traktuje jej wyłącznie jako źródła informacji.

W każdym razie byłoby o wiele milej, gdyby Concordia wykazywała tyle entuzjazmu na wieść o spotkaniu z nim, ile teraz żywi na myśl o tej nowoczesnej, cholera, i higienicznej, psiakrew, kąpieli!

– O, gazety! – wykrzyknęła już od progu Concordia. – Znakomicie! Nie miałam w ręku żadnej z nich, odkąd wyjechałam na nową posadę do Aldwick Castle.

Ciepły, żywy ton jej głosu sprawił, że przeszył go ostry dreszcz niepokoju. Poczuł, jak prężą się w nim wszystkie mięśnie, a krew gwałtowniej tętni mu w żyłach.

Podniósł głowę znad gazety i ujrzał stojącą w drzwiach Concordię. Jej ciemne włosy były starannie upięte w węzeł na karku. Okulary błyszczały. Miała na sobie tę samą suknię o surowym kroju, pozbawioną wszelkich ozdób, w której uciekła z zamku. Ani śladu tiurniury! No, cóż… jeśli dama przygotowuje się do dramatycznej ucieczki w mroku nocy, musi dokonać okrutnej selekcji swych toalet, pomyślał Ambrose.

Doszedł do wniosku, że powinien w jakiś sposób uzupełnić braki w garderobie wszystkich uciekinierek. Jeśli zapewnia schronienie pod tym dachem gronu dam, które zjawiły się u niego w jednej koszuli… albo prawie, powinien zatroszczyć się i o to, by miały się w co ubrać.

– Niewiele pani straciła, obywając się bez tej lektury. – Odłożył gazetę na stół i wstał z miejsca, by przysunąć Concordii krzesło. – Zwykła mieszanina skandali i plotek.

– Zapewne ma pan rację… – Concordia usiadła i rozłożyła serwetkę. – Ale gdy ktoś został odcięty na tak długo od wszelkich źródeł informacji, to łaknie wiadomości każdego rodzaju… nawet sensacji prasy brukowej. – Wzięła do ręki leżącą najbliżej gazetę. – A jeśli już o tym mowa… o jakiej to najnowszej sensacji donosi prasa?

– Oczywiście, piszą o morderstwie. – Wskazał jej artykuł, który czytał przed chwilą. – Okazuje się, że w czasie, gdy my uganiamy się we dwoje po prowincji, pewien dżentelmen z Londynu w złą godzinę oznajmił swej kochance, że z nią zrywa, bo znalazł sobie inną. Podobno porzucona niewiasta uraczyła go szczodrze trucizną. Każda z gazet zamieszcza własną wersję tej tragedii; wszystkie są równie niedokładne, ma się rozumieć.

– Ach, tak?… – Poprawiła okulary na nosie i przejrzała podsunięty jej artykuł. – Wygląda na to, że opisy zbrodni najbardziej się opłacają… zwłaszcza gdy je powiązać z plotkami o grzesznych namiętnościach, nieprawdaż?

Powaga, z jaką dokonała tej obserwacji, wprawiła Ambrose’a w dobry humor.

– Ja również zaobserwowałem tę prawidłowość – odparł sucho. – To zdumiewające, jak często miłość i zbrodnia idą ze sobą w parze.

Concordia odłożyła gazetę i spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Jak pan sądzi? Czy w przypadku, nad którym pan pracuje, także miłość towarzyszy zbrodni?

Pokręcił głową.

– Nic nie wskazuje na to, by miłość czy namiętność odgrywała tu jakąś rolę. Wszyscy są zgodni co do tego, że motywem działania Larkina jest tylko żądza władzy i chciwość.

Drzwi wewnętrzne między pokojem śniadaniowym a kuchnią się otworzyły. Stanęła w nich pani Oates; jej okrągła, pogodna twarz była zarumieniona od kuchennego żaru. Gospodyni wniosła na srebrnej tacy jajecznicę, chrupką smażoną rybę i grzanki.

– Dzień dobry, panno Glade! – Pani Oates uśmiechnęła się ciepło. – Mam nadzieję, że dobrze się pani spało?

– Owszem, dziękuję – odparła Concordia. – Ale moje uczennice nadal śpią. Chyba lepiej ich nie budzić. Były kompletnie wyczerpane.

– I nie dziwota, biedactwa!… Proszę się nie kłopotać. Już ja dopilnuję, żeby nikt im nie przeszkadzał. – Pani Oates postawiła tacę na stole i dolała Concordii herbaty. – Jak to miło mieć znowu gości w domu! Rzadko ich zapraszamy. – Zerknęła na Ambrose'a. – Mam rację, proszę pana?

– Owszem – potwierdził Ambrose.

Concordia delikatnie odchrząknęła.

– Pan Stoner nie przepada za gośćmi?

– Ależ nie… to znaczy… nie o to chodzi! – wykręcała się pani Oates. – Sęk w tym, że nasz domek nie ma własnej pani. Wszyscy wiedzą, jak wygląda kawalerskie gospodarstwo! Mężczyznom nie chce się urządzać proszonego obiadu ani balu; mówią, że to niepotrzebne zawracanie głowy. A co dopiero, gdyby goście przyjechali na dłużej!

– No, tak… – powiedziała Concordia. – Mam nadzieję, że nie sprawimy państwu wiele kłopotu.

– Co też pani mówi? To żaden kłopot! – Pani Oakes cofnęła się do drzwi i zniknęła w kuchni.

Concordia nabrała trochę jajecznicy.

– Panie Wells, zastanawiałam się poważnie nad niespotykanym charakterem naszych wzajemnych stosunków…

Niech to szlag! – pomyślał Ambrose. Nie zanosi się na nic dobrego!

– Wyjątkowe sytuacje wymagają nietypowych rozwiązań – zapewnił ją.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Wzięła do ręki widelec. – Ale moim zdaniem byłoby lepiej, gdybyśmy nadali naszym kontaktom jednoznaczny, wyłącznie roboczy charakter, tak jak planowaliśmy od początku.

– Bez urazy, panno Glade, ale o czym pani mówi, do diabła?!

Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Wspomniał pan, że jest prywatnym detektywem.

– Istotnie – przytaknął i dodał w myśli: miej się na baczności!

– Doskonale! Wobec tego chciałabym panu powierzyć śledztwo w interesie moich czterech uczennic.

Bez pośpiechu usiadł na dawnym miejscu.

– Nie musi pani angażować mnie oficjalnie, panno Glade. Prowadzę na zlecenie innej klientki rozległe dochodzenie, dotyczące między innymi problemów, w które uwikłała się pani wraz ze swymi podopiecznymi.

W oczach Concordii pojawił się błysk podejrzliwości.

– Jak dotąd, nie uraczył mnie pan żadnymi informacjami, dotyczącymi tego śledztwa.

– Moja klientka poleciła mi, abym zebrał wszelkie informacje, wiążące się pośrednio czy bezpośrednio z niedawną śmiercią jej siostry. Mimo oficjalnego orzeczenia stróżów prawa, że zgon nastąpił w wyniku nieszczęśliwego wypadku, moja klientka jest przeświadczona, że było to morderstwo.

– Rozumiem… – Concordia zmarszczyła brwi. – A jakim cudem znalazł się pan na zamku właśnie wtedy, gdy zamierzałyśmy uciec?

– W trakcie śledztwa jeden z moich informatorów napomknął, że, prawdopodobnie, można połączyć śmierć tamtej kobiety z tym wszystkim, co dzieje się w Aldwick Castle. Udałem się więc do zamku, by osobiście zbadać sprawę. Dalszy ciąg już pani zna.

Concordia zacisnęła wargi.

– Pańska praca jest bezsprzecznie oryginalna i zagadkowa. I właśnie dlatego czułabym się o wiele pewniej, gdybyśmy spisali formalną umowę.

Nie wiedzieć czemu sugestia Concordii wydała się Ambrose’owi wyjątkowo irytująca.

– A ja nie widzę potrzeby zawierania oficjalnego kontraktu!

Delikatnie zarysowane brwi Concordii uniosły się ponad szkła jej okularów.

– Mimo uprzejmych zapewnień pani Oates ani moje wychowanki, ani ja nie jesteśmy tu w gościnie. Na litość boską: właściciel tego domu nie ma nawet pojęcia, że w tej chwili korzystamy z jego gościnności!

– O Stonera niech się pani nie martwi.

Zignorowała tę uwagę.

– Zaoferował nam pan swoją pomoc i bezpieczne schronienie, a ja przyjęłam pańską propozycję, gdyż sądziłam, że leży to w interesie moich uczennic. Wolałabym jednak ustalić zasady naszej koegzystencji. Zatrudnienie pana według przyjętych ogólnie zasad wydaje mi się najprostszym sposobem dojścia do celu.

Ambrose oparł łokcie na poręczach fotela i złączył końce palców. Pragnął zaciągnąć Concordię do łóżka… a ona chciała rozmawiać z nim tylko o interesach. Sprawy między nimi nie układały się zbyt obiecująco.

– Rozumiem – odparł obojętnym tonem.

Lubił ten bezpieczny, niezobowiązujący zwrot.

– Doskonale! – Uśmiechnęła się, biorąc jego uwagę za zgodę. – A teraz proszę mi powiedzieć, ile wynosi pańskie przeciętne honorarium? Mam wrażenie, że sporo tych drobiazgów, które wyniosłam z zamku, przedstawia pewną wartość. Na przykład urocza solniczka ze srebra i kryształu warta jest z pewnością dobrych kilka funtów.

– Zamierza pani płacić za moje usługi częścią swojego złodziejskiego łupu, panno Glade?

Concordia zaczerwieniła się, ale nie spuściła oczu.

– Niestety, nie dysponuję w tej chwili gotówką. A w obecnej sytuacji nie mam co liczyć na kwartalną pensję za pracę z dziewczętami w Aldwick

Castle.

– Jestem tego samego zdania.

Uniosła dumnie głowę.

– Jeśli sumienie panu zabrania przyjąć tego, co raczył pan nazwać „złodziejskim łupem”, panie Wells… będę musiała obmyślić jakieś inne rozwiązanie.

– Nie ma żadnych innych rozwiązań, panno Glade. I wie pani o tym równie dobrze jak ja.

Nabrała powietrza w płuca.

– Mimo to…

– Mimo to chce pani związać mnie kontraktem jako najemną siłę roboczą, by uzyskać pełną kontrolę nad sytuacją.

– To zbyt prostackie i bardzo powierzchowne ujęcie sprawy… ale dość wiernie oddaje moje intencje.

– Doskonale, panno Glade. Jeśli pani koniecznie chce mi płacić za pomoc, wyrażam oficjalnie swoją zgodę na taki układ. A teraz, co do honorarium, powinna pani wiedzieć, że nigdy nie żądam pieniędzy za swoje usługi.

– Ja… nie rozumiem, co to ma znaczyć.

– Działam na zasadzie nietypowego handlu wymiennego: przysługa za przysługę.

Concordia zesztywniała.

– Jakich to… przysług oczekuje pan od swoich klientów?

– Większość moich klientów nie mogłaby sobie pozwolić na zapłatę w gotówce, panno Glade. Toteż dawno temu opracowałem system oparty na wymianie usług. Działa on do dziś mniej więcej tak: ja na własny, niepodlegający dyskusji sposób spełniam życzenia klientów, którzy otrzymują dzięki temu odpowiedzi na dręczące ich pytania. W zamian za to wyrażają zgodę na rewanż w bliżej nieokreślonej przyszłości, gdybym

potrzebował pomocy tego rodzaju i na tym polu, na którym mogą spełnić moje życzenie.

– Jakich przysług pan najczęściej żąda? – spytała zimno.

– Bywa z tym rozmaicie. Niekiedy potrzebuję informacji. Kiedy indziej towarów czy usług. Ot, na przykład, kilka lat temu zwróciła się do mnie o pomoc gospodyni mająca pieczę nad gospodarstwem domowym bogatej rodziny. Chciała, bym znalazł odpowiedzi na dręczące ją pytania, dotyczące potajemnej działalności jej chlebodawcy. Gdy po przeprowadzeniu śledztwa potwierdziłem jej obawy (pracodawca istotnie był członkiem tajnego stowarzyszenia i uczestniczył w jego odrażających praktykach), moja klientka oświadczyła stanowczo, że noga jej nigdy już nie postanie w tamtym domu. Spytałem wówczas, czy odpowiadałaby jej praca tutaj. Zarówno gospodyni, jak i jej mąż, nawiasem mówiąc, utalentowany i bardzo zręczny ogrodnik, zgodzili się pracować w tym domu.

– A więc w ten sposób zapewnił pan sobie usługi Oatesów?

Ambrose kiwnął głową.

– Pokojówka Nan przybyła tu razem z nimi. Jest krewniaczką pani Oates. I od tej pory wszystko nam się dobrze układa.

Concordia dyskretnie zakasłała.

– Powiada pan, panie Wells, że sprowadził pan tu i zaangażował państwa Oatesów i Nan? Pan Stoner nie miał nic do powiedzenia w tej kwestii?

– Stoner nie miał żadnych obiekcji co do mojej decyzji. Poza tym mieliśmy wówczas za mało służby. Kogoś trzeba było zatrudnić… więc dlaczego nie Oatesów?

– Przyznam, że wydaje mi się to dość dziwne, że pan domu powierza tak odpowiedzialne zadanie jak wynajęcie służby komuś innemu.

– Stoner jest niezwykle odpowiedzialny, jeśli chodzi o to, co stanowi treść jego życia: badania naukowe, działalność literacką i podróże. Problemy związane z gospodarstwem domowym i służbą niewiele go obchodzą.

– Jak często pan Stoner przebywa w swojej rezydencji?

– Pojawia się i znika, kiedy mu się spodoba.

– Bardzo dogodny dla pana układ! – stwierdziła sucho. – Może pan korzystać do woli z wszelkich wygód i zalet wspaniałej rezydencji… nie płacąc ani grosza.

– Tego rodzaju układ od początku odpowiadał obu stronom, a z czasem sprawdził się w zupełności. – Ambrose pochylił się nad stołem i znów ujął widelec. – A zanim pani mi przerwała, zamierzałem właśnie powiedzieć, że moja ostatnia klientka, która chciała, żebym wyjaśnił zagadkową śmierć jej siostry, ma sklep z parasolkami. Przyrzekła uroczyście dostarczyć mi tylu parasolek, ile zechcę, gdybym przypadkiem odczuwał brak tego artykułu.

– Wielkie nieba! – Concordia zamrugała oczami. – Na co mogłyby się panu przydać damskie parasolki?!

– Nigdy nic nie wiadomo.

– W niektórych sferach poczytano by pańską metodę załatwiania interesów co najmniej za dziwactwo… wyrażając się bardzo oględnie.

– Mało mnie obchodzi, co mówią o mnie w tych sferach.

– Widzę. – Concordia westchnęła. – No, dobrze… Dowiedziałam się już coś niecoś o tym, jak pan prowadzi interesy. Jakiego rodzaju przysługi mógłby pan oczekiwać od zawodowej nauczycielki?

– Nie mam pojęcia. – Mocno już poirytowany odłożył widelec i zrobił gniewną minę (a przynajmniej tak mu się zdawało). – Nigdy jeszcze nie pracowałem dla przedstawicieli pani profesji. Będę musiał poważnie się nad tym zastanowić. Dam pani znać, kiedy postanowię, co będzie według mnie odpowiednią zapłatą za moje usługi. Do tego czasu może mnie pani uważać za swego pracownika najemnego.

Concordia – o dziwo – zdawała się nie dostrzegać jego groźnej miny.

– W takim razie wszystko ustalone! – odparła z chłodną satysfakcją. – Od tej chwili proszę mnie uważać za swego pracodawcę!

– W ten sposób niczego nie osiągniemy, Concordio!

– Dlaczego? Przecież to całkiem logiczne! Zatrudniłam pana, by w moim imieniu przeprowadził pan śledztwo. Taki układ sprawia, że jestem pańską pracodawczynią. A teraz, kiedy ustaliliśmy wzajemne powiązania, pragnę stwierdzić dobitnie, że będąc pańską klientką, chcę, aby mnie pan informował na bieżąco o postępach śledztwa, pragnę też brać żywy udział w akcji.

– Nie pozwalam swoim klientom mieszać się do śledztwa – oświadczył z chłodną pewnością siebie.

– Nie należę do zwykłych klientek. Jestem jedyna w swoim rodzaju! A poza tym ugrzęzłam już po uszy w tym śledztwie! Mówiąc otwarcie, gdybym nie prowadziła swego własnego dochodzenia na terenie Aldwick Castle, nigdy bym się nie zdecydowała na ucieczkę.

– Przyznaję, że ma pani w tym względzie rację, jednakże…

– W dodatku musi pan również przyznać, że to ja dostarczyłam panu kilku niezwykle ważnych informacji dotyczących zamiarów Larkina.

Sprawy nie szły tak, jak powinny!

– Hm… – mruknął. Nie była to zbyt celna riposta, ale w tym momencie nie umiał wymyślić nic lepszego.

– Zakładam, że to miało oznaczać uznanie faktów – powiedziała Concordia. – Co więcej, w miarę postępu śledztwa być może ja i moje dziewczęta przekażemy panu wiele innych szczegółów i obserwacji, które okażą się jeszcze bardziej przydatne. Czy może pan temu zaprzeczyć?

– Nie.

Concordia uśmiechnęła się, bardzo z siebie zadowolona.

Ambrose uniósł brwi.

– Dochodzę poniewczasie do wniosku, że powinienem był wcześniej się domyślić, że nie warto zapuszczać się w debatę z nauczycielką z prawdziwego zdarzenia.

To jej się bardzo spodobało.

– A teraz, kiedy już ustaliliśmy, na jakiej płaszczyźnie mają przebiegać nasze kontakty, możemy przejść do spraw bardziej istotnych.

– Na przykład? – wymamrotał.

– Na przykład rozwikłania całej sprawy. Jaki będzie pański następny krok?

Następny krok?… Nade wszystko w świecie pragnął zerwać się na równe nogi, w paru susach znaleźć się na przeciwległym końcu stołu, podnieść ją z krzesła i scałować z jej twarzy ten wyraz babskiego triumfu!

Zmusił się jednak do dyskusji na jedyny temat, jaki w tej chwili zaprzątał jej myśli.

– Wspomniała pani, że znalazła posadę w zamku z pomocą agencji kierowanej przez panią Jervis – powiedział.

– Istotnie.

– Nie wie pani przypadkiem, czy z usług tej samej agencji korzystała także pechowa panna Bartlett?

Concordia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nie mam pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Czemu pan o to pyta?

– Jeśli zarówno pani, jak i panna Bartlett otrzymałyście pracę za pośrednictwem agencji pani Jervis, byłby to zastanawiający zbieg okoliczności… albo ogniwo w łańcuchu bardzo interesujących zależności.

– Wielkie nieba! Nie chce pan chyba powiedzieć, że i pani Jervis była zamieszana w tę sprawę?

– W tej chwili nie mam pojęcia, ale zamierzam zbadać tę sytuację. Czy ma pani adres tej agencji?

– Oczywiście! Ale nie zamierza pan chyba wkroczyć tam i zacząć przesłuchania na temat panny Bartlett albo posady w szkole na zamku? Jeśli pani Jervis jest w jakiś sposób związana z machinacjami Larkina, od razu nabierze podejrzeń, a może nawet zaalarmuje go!

– Może mi pani wierzyć albo nie, ale mnie także przemknęła przez głowę taka myśl.

– Oczywiście! – Concordia zmarszczyła nosek i sięgnęła po imbryk z herbatą. – Proszę mi wybaczyć arogancję: chciałam pana pouczać, jak powinien pan pracować w swoim zawodzie! To główna nauczycielska wada: nie możemy oprzeć się pokusie pouczania wszystkich!

Ambrose, ku własnemu zdziwieniu, się roześmiał.

– Nie wziąłem sobie tego do serca.

– Czym się pan teraz zajmie?

– Przejrzę kartotekę agencji pani Jervis.

– Nie wierzę, by pozwoliła panu grzebać w jej aktach.

– Nie zamierzam pytać jej o pozwolenie.

Filiżanka Concordii zawisła w powietrzu.

– Chce się pan włamać do biura agencji pod nieobecność pani Jervis?

– Myślę, że to najbardziej skuteczna metoda. Ale chyba wstrzymam się z tym do jutra. Dzisiejszy wieczór chcę spędzić z pewnym znajomym, który coś niecoś wie o Larkinie. Zresztą, zanosi się na pluchę. Będzie lało przez większość dnia.

Concordia spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Co ulewa ma wspólnego z pańskimi zamiarami?!

Ambrose wzruszył ramionami.

– Lepiej nie urządzać tego rodzaju wypraw w czasie deszczu. W tych warunkach nietrudno pozostawić ślady stóp.

– No, tak… – Concordia wydawała się zdezorientowana. – Ale ten pomysł wydaje mi się ryzykowny niezależnie od pogody. Co by było, gdyby pana przyłapali?!

Uniósł palec w górę.

– O, dotarliśmy do najchytrzejszej sztuczki z mojego repertuaru. Ani myślę sprawić moim wrogom takiej satysfakcji!

Między brwiami Concordii ukazała się zmarszczka dezaprobaty.

– Czyżby miał pan doświadczenie w sprawach tego rodzaju?

– Takie umiejętności bardzo się przydają w moim fachu.

– Jest pan doprawdy kopalnią tajemnic, panie Wells!

– No to możemy podać sobie ręce, panno Glade. Jest pani dla mnie fascynującą zagadką!… Ale, ale! Jeśli już mowa o zagadkach i wyjaśnianiu intrygujących kwestii… Wspomniała pani, że zdecydowała się pojechać do Aldwick Castle, gdyż straciła pani właśnie pracę w szkole dla dziewcząt.

Concordia zagryzła zęby, ale jej głos pozostał chłodny i obojętny.

– Istotnie. Straciłam pracę i odmówiono mi referencji.

– Z jakiego powodu?

Concordia odłożyła grzankę i zmierzyła swego rozmówcę badawczym spojrzeniem.

– Nie pojmuję, jaki ma związek moje zwolnienie z pracy ze śledztwem, którego się pan podjął.

Kiwnął głową, jakby otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

– Rozumiem: chodziło o jakiegoś mężczyznę.

Concordia zmięła leżącą na jej podołku serwetkę i z błyskiem gniewu w oczach odparła:

– Oczywiście uczepił się pan od razu tego pomysłu! Oklepana historyjka, nieprawdaż? Nie trzeba wiele wysiłku, by zniszczyć raz na zawsze reputację jakiejś kobiety. Zwłaszcza jeśli jest nauczycielką. Pogłoski o jakimś romansie, przyłapanie na mniej lub bardziej gorącym uczynku, a niekiedy drobne towarzyskie uchybienie, i biedaczka odkrywa nagle, że jej kariera zawodowa legła w gruzach.

– Proszę o wybaczenie! Nie chciałem budzić pani bolesnych wspomnień…

– Bzdura! Z pewnością panu na tym zależało. Liczył pan na to, że stracę głowę, wybuchnę gniewem i wykrzyczę na głos wszystko, czego pan chciał się dowiedzieć. No cóż… udało się panu znakomicie. Tylko małe

sprostowanie, wyłącznie do pańskiej wiadomości: nie popadłam w tarapaty z powodu skandalicznego romansu z pierwszym lepszym mężczyzną!

– To może z kobietą?

Concordia zrobiła wielkie oczy, zbita z tropu jego sugestią. Ale już w następnej chwili parsknęła śmiechem.

Po raz pierwszy widział ją rozbawioną. Był oczarowany.

Concordia chwyciła serwetkę i zasłoniła usta.

– Bardzo… przepraszam! – wymamrotała zza tej osłony.

Ambrose odsunął pusty talerz i złożył skrzyżowane ręce na stole.

– Czy to moje pytanie tak panią ubawiło?

– Nie tyle pytanie… – Concordia opanowała się już i odjęła serwetkę od ust – …ile sposób, w jaki pan je zadał: tak niedbale, od niechcenia… Kompletnie mnie pan zaskoczył! Na całym świecie znalazłoby się najwyżej kilku mężczyzn, którzy ośmieliliby się napomknąć o fizycznej miłości między kobietami, a w dodatku z takim… takim… – Concordia zamilkła na moment, a następnie zakończyła swój wywód: – …brakiem zainteresowania.

– Nie od dziś chodzę po świecie, panno Glade. Zdaję sobie sprawę, że miłość i namiętność nie zawsze wędrują utartymi ścieżkami. Zauważyłem również, że moje pytanie nie przyprawiło pani o szok, tylko pobudziło do śmiechu.

Machnęła lekceważąco ręką i sięgnęła po następną grzankę.

– Zostałam wychowana w sposób zgoła niekonwencjonalny.

– Ja też.

Zmierzyła go przeciągłym, badawczym spojrzeniem. Ambrose miał wrażenie, że jest poddawany skrupulatnym oględzinom i ważony na jakiejś niewidzialnej wadze. Gdy Concordia odłożyła nietkniętą grzankę na talerz i wyprostowała się, pojął, że wyszedł zwycięsko z tej próby.

– Choć doceniam i podziwiam pański brak uprzedzeń – powiedziała Concordia – chcę oświadczyć z całkowitą szczerością, że nie straciłam

posady z powodu jakiegoś bulwersującego romansu. Moje kłopoty były efektem niekonwencjonalnego wychowania, o którym już wspomniałam.

– Rozumiem.

– Może i lepiej, że dowie się pan od razu, iż pańską najnowszą klientką jest kobieta, która od początku kariery zawodowej skrzętnie ukrywała swą przeszłość i zatajała tożsamość przed pracodawcami.

– Pani opowieść z każdą chwilą staje się bardziej fascynująca, panno Glade.

– Stwierdzam z przykrością, że nie miałam wielkiego wyboru, jeśli chodzi o pracę zarobkową – kontynuowała nienaturalnie obojętnym tonem. – Jest zaledwie kilka profesji dostępnych dla kobiet. A jeśli któraś z nich, tak jak ja, musi ukrywać swoją przeszłość, jej możliwości są jeszcze bardziej ograniczone.

– Może mi pani wierzyć albo nie, ale doskonale rozumiem kłopotliwe położenie kobiet pracujących.

– Ubiegając się o miejsce we wspomnianej szkole dla dziewcząt, posłużyłam się przybranym nazwiskiem: Irene Colby. To niewinne w gruncie rzeczy oszustwo służyło mi całkiem dobrze w poprzednich latach. Ale tym razem było inaczej. Nie mam pojęcia, w jaki sposób prawda wyszła na jaw. Zostałam, rzecz jasna, zwolniona od ręki.

Nie była to wesoła opowieść, Ambrose nie mógł się jednak powstrzymać od uśmiechu.

– A więc ubiegała się pani kilkakrotnie o pracę pod przybranym nazwiskiem? Znakomity pomysł. Podziwiam pani inwencję!… Proszę mi opowiedzieć o swojej rodzinie. Czy wszyscy są równie niezwykli jak pani?

– Nie mam już najbliższej rodziny, panie Wells. Straciłam równocześnie oboje rodziców dziesięć lat temu. Miałam wówczas szesnaście lat. Znalazłoby się pewnie kilku krewnych ze strony mojego ojca, ale nigdy nie zetknęłam się z nimi. Nie uznali mnie nigdy za prawowitego członka rodziny.

– A to dlaczego?

– Prawdopodobnie dlatego, że jestem z nieprawego łoża – odparła lekkim tonem.

Zbyt lekkim, pomyślał Ambrose, a głośno spytał:

– Niekonwencjonalny początek niekonwencjonalnego wychowania?

– Mhm… Chyba tak. – Nieznacznie obróciła głowę ku niemu i przyjrzała mu się badawczo. – Nie zostawi mnie pan w spokoju, póki nie wydobędzie ze mnie całej prawdy, co?

– Uprzedziłem panią, że jestem dociekliwy – odparł.

Concordia zawahała się, jakby rozważała niezwykle ważne zagadnienie. W końcu podjęła decyzję.

– Moi rodzice byli nieuleczalnymi wolnomyślicielami, panie Wells. Nie wierzyli w świętą nierozerwalność małżeństwa być może dlatego, że każde z nich przekonało się na własnej skórze o utrapieniach niedobranego stadła. Uznali instytucję małżeństwa za pułapkę, a wspólne pożycie za ciasną klatkę, w której męczyli się oboje, ale szczególnie dotkliwie torturowana i poniżana była kobieta.

– Rozumiem.

– Niczego pan nie rozumie! – Concordia obdarzyła go prowokacyjnym uśmiechem; zaraz się okaże, czy nie ugnie się pod brzemieniem jej przeszłości! – Moim ojcem był William Gilmore Glade. A matką Sybil Marlowe.

Oba nazwiska wydawały się Ambrose’owi znajome. Minęło jednak dobrych kilka sekund, nim z mroku niepamięci wyłoniło się wspomnienie dawnego skandalu.

– Chyba nie masz na myśli twórców Społeczności Krystalicznych Zdrojów? – spytał zaintrygowany mimo woli.

– A więc i pan o nich słyszał?

– Dziesięć lat temu wszyscy słyszeli o Marlowe, Gladzie i Społeczności Krystalicznych Zdrojów.

Usta Concordii się zacisnęły.

– Gdy Społeczność się rozpadła, w prasie brukowej ciągle pojawiały się artykuły na ten temat. Nie brakło też koszmarnych groszowych broszurek, które raczyły czytelników „bulwersującymi szczegółami wołających o pomstę do nieba bezeceństw", które rzekomo miały odbywać się w obrębie Społeczności.

– Pamiętam niektóre z tych paszkwili.

– Większość tych publikacji to bzdury wyssane z palca.

– Nic dziwnego. – Ambrose lekkim ruchem ręki odpędził od siebie niemiłe wspomnienie. – Prasa nie słynie z prawdomówności. Żeruje na skandalach i pogłoskach, nie na realnych faktach. – Zamilkł na chwilę; na jego czole zarysowała się zmarszczka niepokoju. – Dlaczego właściwie Społeczność się rozpadła?

– Poszła w rozsypkę niemal natychmiast, gdy dotarły do nas wieści o tragicznej śmierci moich rodziców podczas straszliwej zamieci śnieżnej w Ameryce – wyjaśniła szeptem Concordia. – To oni byli założycielami i przywódcami Społeczności. Bez nich pozostali jej członkowie nie potrafili utrzymać właściwego kierunku ani szczytnych celów.

– Jakim sposobem pani rodzice znaleźli się wówczas w Ameryce?

– Udali się tam z zamiarem utworzenia filii naszej Społeczności. – Concordia sięgnęła znów po filiżankę z herbatą. – Sądzili, że w Ameryce znajdą bardziej podatny grunt do krzewienia szczytnych idei oraz większe zrozumienie dla wolnomyślnych poglądów.

– Ogromnie pani współczuję, że w tak młodym wieku straciła pani oboje rodziców. Musiało być pani wówczas bardzo ciężko! – dodał.

– Tak.

Odpowiedź była zwięzła i pozornie obojętna. Twarz Concordii jakby skrzepła, nie wyrażała żadnych uczuć. A jednak Ambrose wyczuwał jej ogromne napięcie. Coś wrzało w jej wnętrzu. Sprężyła się, przygotowana na szyderstwo lub słowa potępienia.

– Nie miałem okazji zaznajomić się z ideami propagowanymi przez Społeczność Krystalicznych Zdrojów – powiedział, dobierając słowa z niezwykłą ostrożnością. – Ale mam wrażenie, że pani rodzice mieli wyjątkowo liberalne poglądy na temat związków przedstawicieli obojga płci.

– Przede wszystkim prasie zawdzięczamy taki pogląd na działalność i ideologię naszej Społeczności! – odparła porywczo. – Ale zainteresowania moich rodziców nie ograniczały się do problemów seksualnych! Mieli bardzo szerokie i nowoczesne poglądy na wiele spraw! Byli na przykład zdania, że kobiety powinny otrzymywać takie samo wykształcenie jak mężczyźni. I że należy im umożliwić studia w kolegiach i na uniwersytetach na takich samych zasadach jak mężczyznom. Podobnie zapatrywali się na uprawianie przez kobiety tak zwanych męskich zawodów.

– Rozumiem.

– Moja matka marzyła o studiach medycznych. – Concordia odzyskała znów panowanie nad sobą, nagły wybuch gniewu i urazy minął pozornie bez śladu. – Kiedy zaś, z oczywistych względów, nie przyjęto jej na studia, rodzice zmusili ją do zawarcia małżeństwa bez miłości.

– A pani ojciec?

– Był człowiekiem niezwykle utalentowanym i błyskotliwym, filozofem i naukowcem. Pasjonował się nowoczesnością, w nauce i sztuce. Jego małżeństwo również było nieudane i nieszczęśliwe. A potem ujrzał moją matkę podczas wykładu na temat praw kobiet. – Concordia uśmiechnęła się z odrobiną smutku. – Twierdzili z uporem, że była to wzajemna miłość od pierwszego wejrzenia.

– Wnioskuję z pani tonu, że nie wierzy pani w taką miłość?

– Wręcz przeciwnie! Moi rodzice byli żywym dowodem istnienia tego fenomenu. Ale musieli zapłacić zań bardzo wygórowaną cenę. Doszło do

rozpadu dwóch, co prawda, nieudanych małżeństw i do straszliwego skandalu, nim osiągnęli wreszcie upragnione szczęście.

– I naznaczyli swe jedyne dziecko piętnem nieprawego pochodzenia.

Concordia zaśmiała się cicho, z przymusem.

– To najmniejsza szkoda! Największe problemy, z którymi wiecznie się borykam, wynikają z dwóch rozpowszechnionych, choć z gruntu fałszywych założeń. Po pierwsze, zasady głoszone przez Społeczność Krystalicznych Zdrojów nie ograniczały się do spraw seksualnych. Po drugie zaś, atmosfera i poglądy Społeczności, w której się wychowałam, nie pokrywają się z moimi poglądami.

– Sądzę, że większość tych nieporozumień dotyczy pani życia… intymnego?

– Trafił pan w sedno, panie Wells! – Odstawiła filiżankę na spodek z takim impetem, że brzęknęła krucha porcelana. – Kiedy ludzie dowiadują się, że jestem dzieckiem Williama Gilmore’a Glade’a i Sybil Marlowe, dochodzą do wniosku, że jestem wyznawczynią równie skrajnych poglądów… zawężonych do współżycia obu płci.

– Teraz rozumiem, czemu starała się pani ukryć swoją przeszłość przed potencjalnymi pracodawcami!

– Mało kto zatrudniłby nauczycielkę, której od dzieciństwa wpajano tak nowoczesne poglądy! Jak już mówiłam, kiedy w szkole dla dziewcząt wyszło na jaw, kim jestem, zwolniono mnie natychmiast.

Ambrose zastanowił się przez chwilę.

– Idealnie się pani nadawała do celów Larkina, nieprawdaż?

– Słucham?…

– Rozpaczliwie poszukiwała pani pracy i nie miała żadnych krewnych, którzy mogliby się o panią upomnieć. Gdyby pani gdzieś się zapodziała już po wszystkim, kiedy nie byłaby już pani potrzebna Larkinowi, nikt by się tym nie przejął na tyle, by zadawać kłopotliwe pytania.

Concordia się wzdrygnęła.

– Brr… dreszcz mnie przechodzi!

– Ciekawe, czy panna Bartlett spełniała te same warunki?

– Jakie znów wa… A, już rozumiem! Wszystko na to wskazuje, prawda? Zniknęła z zamku w tajemniczych okolicznościach i nikt, jak sądzę, o nią nie rozpytywał. – Concordia się zawahała. – Ale z drugiej strony, choćby nawet rozpytywał, to w zamku nikt nie rozmawiałby ze mną na ten temat. Byłam nikim, nie wiedziałam o niczym, toteż zazwyczaj mnie ignorowano.

Ambrose skinął głową i nagle odniósł dziwne wrażenie, jakby w jego wnętrzu coś rozwijało się i rosło. Podobnego uczucia doznawał, ilekroć jego dochodzenie zbliżało się do ostatecznego wyjaśnienia sprawy i zdobycia odpowiedzi na nurtujące go pytania.

– Coś mi mówi, że klucze do rozwiązania tej zagadki spoczywają w pani rękach, Concordio – powiedział cicho. – Myślę również, że wciągając panią w swoje machinacje, Larkin popełnił fatalną pomyłkę… która może spowodować jego upadek.

– Jaką pomyłkę?

– Nie docenił nauczycielskich zalet: dociekliwości, zapału i poświęcenia.

10

Podróżny, który wypytywał właściciela zajazdu, nie przypadł do gustu jego żonie. Nie tylko dlatego, że nie ukrywał pogardy dla ich skromnej oberży od chwili, gdy do niej wszedł. Oberżystka nie na darmo od wielu lat pracowała w tej branży. Bogaty, arogancki panek, który traktował ich schludną, przyzwoitą, dobrze utrzymaną oberżę, jakby to był chlew, to nie rzadki fenomen, tylko codzienne utrapienie, do którego już niemal przywykli. Taki gość w najgorszym wypadku upijał się w sztok, nagabywał służącą i czasami paskudnie brudził pościel. Ale ten dzisiejszy zachowywał się całkiem inaczej. Bardzo wątpliwe, myślała oberżystka, by taki elegant zniżał się do równie pospolitych grzeszków.

Wydawał się z gruntu porządny i szacowny. Wczoraj przybył tu pociągiem z samego Londynu, spędził noc we wsi, w najbliższym sąsiedztwie Aldwick Castle; dziś rano zwiedził ruiny, a następnie wynajął powóz i zabrał się do rozpytywania miejscowej ludności.

A chociaż tak się uwijał po całej okolicy, na jego wytwornym ubraniu nie dojrzałbyś ani odrobiny kurzu. Koszula też była czyściutka, porządnie wykrochmalona i wyprasowana.

Nie tylko przyzwoity, ale aż za bardzo! – podsumowała go oberżystka. Jeden z tych, co podróżują z własną pościelą i ręcznikami, bo nie wierzą w czystość przydrożnych zajazdów, takich jak ten, który we dwójkę z mężem prowadzili i nie mieli się czego wstydzić!

Oberżystka zasiadła w kantorku i udawała, że pilnie sprawdza rachunki. Jej Ned rozmawiał z tamtym podróżnym w głównym holu, ale drzwi kantorka były otwarte. Zerkała więc na mężowskie biurko stojące na wprost drzwi frontowych i słyszała każde słowo z ich rozmowy.

– Cztery uczennice pod opieką nauczycielki zatrzymały się tu na noc? – Gość z Londynu rzucił kilka monet na blat biurka. – I wyjechały wczoraj wczesnym rankiem?

Ned nawet nie tknął pieniędzy.

– Coś tam mówiły, że chcą być na stacji na czas, żeby zabrać się porannym pociągiem do Londynu.

– Mówiły coś o pożarze zamku? – rzucił ostro nieznajomy.

– Ani słowa, wielmożny panie. Ale od starego zamku kawał drogi do naszej oberży. Nic nie wiedzieliśmy o pożarze, dopiero jak te podróżne były już w drodze na stację. – Ned pokręcił smętnie głową. – Podobno spaliło się do cna. I kilku ludzi zginęło w tych płomieniach.

– Dokładnie dwóch. – W głosie nieznajomego słychać było zniecierpliwienie, jakby śmierć tych dwóch nieszczęśników wydawała mu się raczej niepotrzebną zawadą niż tragedią. – I nie takie znów pewne, że zginęli w płomieniach.

– Słucham, wielmożny panie?…

– Nieważne, zresztą to nie twój interes. Możesz mi powiedzieć coś więcej o tych panienkach i ich nauczycielce?

– Nie, wielmożny panie. Jak już mówiłem, przyjechały późno i zabrały się stąd całkiem rano.

Dżentelmen zgrzytnął zębami.

– Ciekawe, co też zrobiły z tymi przeklętymi końmi? – mruknął raczej do siebie niż do Neda.

– To akurat wiem, proszę wielmożnego pana – oznajmił Ned. – Zostawiły je w prywatnej stajni, obok stacji kolejowej.

Nieznajomy rzucił jeszcze kilka monet na blat biurka.

– Powiadasz, że ta nauczycielka zapłaciła za pokoje dla siebie i tych panienek? Starczyło jej na to pieniędzy?

– Nie mam pojęcia, czy nauczycielka miała pieniądze, czy nie. – Ned wzruszył ramionami w teatralnym geście lekceważenia. – To nie ona uregulowała rachunek.

Twarz nieznajomego dżentelmena nie zmieniła się ani na jotę, nawet okiem nie mrugnął… Ale podsłuchującej rozmowę oberżystce zabrakło nagle tchu.

– Któż więc płacił za ich pokoje? – spytał przybysz z Londynu niepokojąco łagodnym głosem.

– A któż by, jak nie ten gość, co go nauczycielka wynajęła do obrony w czasie podróży? – odparł Ned ze zdumiewającym spokojem.

Ręka eleganta zacisnęła się na złotej gałce laski. Zmierzył Neda wzrokiem zimnym jak u ryby.

– Wynajęła sobie kogoś do obrony?

– A jakże! I bardzo mądrze zrobiła, jakby mnie kto spytał. Zwłaszcza że podróżowały nocą.

– Jak się nazywał ten anioł stróż do wynajęcia?

– Chyba Smith. – Oberżysta otworzył księgę gości i powiódł palcem po wpisach. – O, już go mam! Pan Smith. Pod piątką. A tej nauczycielce i panienkom dałem trójkę i czwórkę.

– Niech no się przyjrzę… – Podróżny wyrwał oberżyście księgę gości i zapoznał się z wpisami. – To mi wygląda na pismo tej nauczycielki.

– Wypełniła rejestr za wszystkich: za panienki, Smitha i za siebie.

– Opisz mi tego Smitha.

Ned znowu wzruszył ramionami.

– Nic ciekawego. Wzrost chyba średni. Twarz jakich wiele, prawdę mówiąc. – Obejrzał się przez ramię na żonę. – Lizzie, może ty lepiej zapamiętałaś tego jegomościa, co był z tą nauczycielką i panienkami zeszłej nocy?

Oberżystka zmusiła się do powolnych, leniwych ruchów osoby, którą odrywają od ważnych zajęć do jakichś głupstw.

– Włosy miał chyba ciemne – odparła z uprzejmą obojętnością.

– Niczego więcej nie zapamiętałaś, kobieto? – nalegał z gniewem obcy.

– Bardzo mi przykro, wielmożny panie. Jak już mój mąż powiedział, nie było w nim nic do oglądania.

– Gdzie, do wszystkich diabłów, mogły wynająć tego draba?! – spytał poirytowany dżentelmen.

Oberżysta i jego żona spojrzeli na niego; ich twarze były pozbawione wszelkiego wyrazu; żadne z nich się nie odezwało.

– Tracę tylko czas! – mruknął.

Nie wypowiedział już ani słowa. Obrócił się na pięcie, wyszedł z oberży i wsiadł do czekającego nań powozu.

Ned zgarnął leżące na blacie monety i wszedł do swego kantorka. Poklepał żonę uspokajająco po ramieniu. Oboje spoglądali za powozem, który opuścił dziedziniec i skręcił w drogę, prowadzącą do wsi i stacji kolejowej.

– Pan Smith miał rację, kiedy nam mówił, że ktoś obcy się zjawi i będzie rozpytywał o tę nauczycielkę – zauważył Ned.

Oberżystka się wzdrygnęła.

– Bogu dzięki, że pan Smith nie kazał nam okłamywać ludzi za te pieniądze, co je nam zostawił. Bo tego, co odjechał, strasznie trudno by było oszwabić!

Instrukcje, jakie im wczoraj rano pozostawił Smith, były wyraźne i nieskomplikowane. Położył dziesięć funtów przed Nedem i odezwał się do niego bardzo uprzejmie: „Będą was wypytywać. Możecie spokojnie powiedzieć, że pani nauczycielka wynajęła mnie dla bezpieczeństwa i że bardzo chciała zdążyć na poranny pociąg do Londynu. Ale byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście nie mieli wiele do powiedzenia, jak zaczną wypytywać o mój wygląd”.

– W pewnym sensie okłamaliśmy tego z Londynu. – Ned westchnął. – Powiedzieliśmy, że ten Smith niczym się nie wyróżniał.

– Bo nie – uspokoiła go żona. – Ani piękny, ani przystojny!

– Zawsze jednak coś w sobie miał… – zaczął Ned, ale urwał i dał temu spokój.

Obejdzie się bez słów, pomyślała oberżystka. Oboje pracowali wystarczająco długo w tym fachu, by poznać naturę ludzką od podszewki. Bez wątpienia, pan Smith miał w sobie coś… Coś takiego, z czym lepiej nie zadzierać! Ale z drugiej strony ta nauczycielka najwyraźniej miała do niego zaufanie. Tym lepiej dla niej, bo dobrali się jak w korcu maku! W niej też siedziało to groźne coś.

Lizzie dostrzegła w tej kobiecie taką zajadłość i determinację, jakie spotyka się u samic niejednego gatunku, gdy ich potomstwu coś zagraża.

Nakryła rękę męża własną dłonią.

– Mniejsza o to, sprawa już skończona… przynajmniej dla nas. Wyszliśmy z tego obronną ręką i z całkiem niezłym groszem w garści.

– Prawda…

– No to czym się gryziesz?

Ned wziął głęboki oddech.

– W żaden sposób nie mogę zrozumieć, czemu ten Smith sobie nie zażyczył, żebyśmy tego drugiego ołgali?! Za te pieniądze, jakimi sypnął wczoraj rano, miał prawo wymagać, żebyśmy nabrali wody w usta i zapomnieli, że ktoś taki w ogóle u nas był.

– A on tylko grzecznie poprosił, żeby się na jego temat zanadto nie rozgadywać!… To mi naprawdę podejrzanie wygląda. Dziesięć funtów piechotą nie chodzi! Kto by tak szastał pieniędzmi za byle głupstwo?!

– Coś mi się widzi – odparł po namyśle Ned – że Smithowi wcale nie zależało na naszym milczeniu. On chciał mieć pewność, że ten elegancik z Londynu dowie się, że tamta nauczycielka i jej uczennice mają kogoś, kto ich w razie czego obroni!

– Po kiego licha go zawiadamiał, i to tak ogródkami? I jeszcze dopłacał do tego interesu?!

– Może liczył na to, że tamtego odstraszy… – Ned podrapał się po karku. – Ale może być jeszcze jedna możliwość.

– Jaka?

– Może chciał go zmylić.

– O czym ty gadasz?

– Jak kto zobaczy, że głodny tygrys podkrada się do bezradnych jagniątek, może go odciągnąć od tej rzezi, jak mu podetknie coś ciekawszego do uboju.

Palce oberżystki zacisnęły się na ręce męża.

– Musisz wspominać o rzezi i uboju?! Nie mogłeś wyrazić się delikatniej?

– Wybacz, kochanie. Tak mnie jakoś poniosło, ale to puste gadanie!

– Chciałabym ci wierzyć. – Westchnęła. – A tamtych dwóch nigdy więcej nie widzieć!

11

Suknia w kolorze nieba i suknia o barwie morza… jak stworzone dla Edwiny i Theodory! – stwierdziła Concordia. Spojrzała na swoje uczennice i na panią Oates. – Nieprawdaż?

Odpowiedział jej nieartykułowany pomruk aprobaty.

– Prześliczne! – orzekła pani Oates, spoglądając na Edwinę i Theodorę ze szczerym podziwem. – Wspaniale pasują do tych jasnych włosów.

Edwina i Theodora przyłożyły nowe suknie do piersi i podziwiały swe odbicie w zwierciadle. Miały rozpromienione miny. Stojące za ich plecami Hannah i Phoebe czekały na swoją kolejkę do lustra.

Była piąta po południu. Większość zamówionej wczoraj rano garderoby jeszcze wykańczano w pracowni krawieckiej, ale przed chwilą dostarczono tyle rzeczy, że każda z dziewcząt miała już co na siebie włożyć i w co się przebrać.

W dodatku pani Oates wybrała się do jednego z ogromnych sklepów z gotową odzieżą przy Oxford Street i kupiła tam pantofle, kapelusze, rękawiczki i bieliznę.

Dante i Beatrycze, które tak już się zaprzyjaźniły z dziewczętami, że chodziły za nimi krok w krok, zostały bez litości wyrzucone z pokoju. W psim towarzystwie śliczne nowe sukienki mogłyby doznać niepowetowanych szkód. Podniecenie ogarnęło wszystkie stłoczone w pokoju damy… z wyjątkiem Phoebe. Trzymała się demonstracyjnie z boku

w swoich zgrzebnych spodniach i w męskiej koszuli, które od przyjazdu do Londynu nosiła od rana do nocy.

– Miałyście rację, wybierając ten materiał. Czekolada ze śmietanką, w sam raz coś dla Hannah! – przyznała pani Oates, spoglądając z podziwem na suknię, w której Hannah krygowała się przed lustrem. – Ten brąz pasuje jak ulał do twoich oczu.

– I te śliczne falbanki u dołu! – dodała Hannah. – Szkoda, że Joan nie może ich zobaczyć.

Concordię zaniepokoiła nuta smutku w głosie Hannah.

– Nie martw się – pocieszyła ją. – Niebawem Joan będzie cię podziwiać w najnowszej kreacji.

Hannah od razu poweselała.

– Byłoby cudownie, gdyby i Joan dostała taką samą…

– O tym nie ma mowy – wtrąciła się Edwina. – W każdym razie tak długo, jak będzie w Winslow Charity School. Wszystkie uczennice muszą tam nosić te szare szkaradzieństwa. Dobrze o tym wiesz!

– No, tak… ale jak skończy siedemnaście lat, odejdzie stamtąd. I wtedy będzie mogła nosić takie sukienki jak ja! – Hannah obstawała przy swoim.

– Joan zostanie guwernantką albo nauczycielką w jakiejś szkole, tak samo jak reszta dziewcząt z Winslow – odezwała się Theodora, dławiąc w zarodku marzenia Hannah. – Takie jak ona nie potrzebują ładnych sukien.

Dolna warga Hannah zaczęła drżeć. Dziewczyna rozpaczliwie mrugała oczami, żeby powstrzymać łzy.

– Proszę cię, kochanie, nie płacz! – Concordia wetknęła jej chusteczkę do ręki. – Jak tylko zakończymy nasze śledztwo, zajmiemy się Joan.

Hannah otarła oczy pełne łez.

– Bardzo dziękuję, panno Glade.

– Głowa do góry, dziewczyno! I przymierz te śliczne buciki – powiedziała pani Oates, podając Hannah parę jasnożółtych trzewiczków zapinanych na guziki. – Będą w sam raz do twojej nowej sukni!

Concordia zwróciła się do Phoebe.

– Podoba ci się ta różowa sukienka?

Phoebe spojrzała niechętnie na nową kreację.

– Nie będę nosić żadnych sukienek! Sto razy wolę moje spodnie.

– Rzeczywiście, wyglądasz w nich wspaniale – odparła z zimną krwią nauczycielka. – Możesz je nadal nosić, kiedy tylko zechcesz. Ale na wszelki wypadek, gdybyś musiała wystąpić w tradycyjnym stroju, może byłoby lepiej mieć pod ręką jakąś sukienkę? Na przykład tę różową?

Udobruchana tym, że nikt jej nie będzie przemocą ubierał po babsku, Phoebe zmierzyła różową kreację mniej krytycznym wzrokiem.

– Może być… Włożę ją kiedyś na proszoną herbatkę.

– Doskonale! W takim razie umowa stoi – zakończyła sprawę Concordia.

Pani Oates z aprobatą pokiwała głową.

– Pewnie trzeba ją będzie zwęzić tu i tam i zebrać w talii. Ale nasza Nan ma lekką rękę do igły. Zaraz ją tu przyślę, żeby przyjrzała się, co poprawić.

Concordia okrągłym ruchem ręki wskazała na pozostałe paczki, do których nikt jeszcze nie zaglądał.

– A teraz wybierajcie sobie pantofle i rękawiczki, moje panny!

Edwina, Theodora, Hannah i Phoebe rzuciły się do rozpakowywania.

Concordia podeszła do pani Oates. Przyglądały się wspólnie dziewczętom mierzącym rękawiczki.

– Nie wiem, jak pani dziękować, droga pani Oates! – szepnęła nauczycielka. – Dokonała pani istnych cudów!

– To nie było żadne poświęcenie. – Gospodyni zachichotała. – Świetnie się przy tym bawiłam!

– Byłam mile zaskoczona, że krawcowa zdołała w tak krótkim terminie przygotować tyle sukien. Chyba musiała wszystkie inne zamówienia odłożyć na bok, żeby się wywiązać z tego!

Pani Oates uniosła brwi i zrobiła zagadkową minę.

– Jestem pewna, że to zrobiła.

– Czyżby była krewną pana Wellsa?

– Raczej jego dawną klientką. Z pewnością była rada, że wywiąże się z długu honorowego.

Concordia spoglądała z konsternacją na kosztowne stroje.

– Wielkie nieba! Chce pani powiedzieć, że wynagrodzenie pana Wellsa jest takie wysokie? I za jego usługi trzeba płacić tyle, co za luksusowe suknie?!

– Skądże znowu, panno Glade! – Pani Oates zbyła machnięciem ręki podobne przypuszczenie. – Pan Wells zapłacił co trzeba za te sukienki. Przysługa, o którą się upomniał, dotyczyła tylko terminu wykonania zamówień i dostarczenia ich tu jak najprędzej. Krawcowa spełniła te warunki i tym sposobem spłaciła dług.

– Rozumiem… Pan Wells prowadzi swoje interesy w dość niezwykły sposób, prawda?

– Prawda, panno Glade.

– Jest coś, czego w żaden sposób nie mogę zrozumieć…

– Czego, panno Glade?

– Jeśli pan Wells nie bierze ani grosza od klientów, tylko wymaga od nich gotowości do przysług, i to w dowolnym terminie, to chyba musi być człowiekiem majętnym.

– Ma dość grosza, starczy mu do końca życia.

– A mimo to mieszka w cudzym domu! – zdumiała się Concordia.

– O, pan Stoner nie ma nic przeciwko temu, żeby pan Wells tu mieszkał.

– Nie są chyba bliskimi krewnymi?

– Nie, panno Glade. Nie są spokrewnieni. Przyjaźnią się ze sobą, i tyle.

– Jakaż to musi być wielka przyjaźń!

– I owszem, panno Glade. Naprawdę wielka przyjaźń.

– Pan Stoner żywi ogromne zaufanie do pana Wellsa? – Concordia usiłowała wyrażać się taktownie. Miała nadzieję, że gospodyni nie uzna jej za wścibską plotkarę.

Pani Oates kołysała się przez chwilę, rozważając tę uwagę.

– Pewnie, że tak!

Wielka przyjaźń… ogromne zaufanie… Concordia przypomniała sobie, jak lekko Ambrose potraktował wzmiankę o fizycznej miłości między dwiema kobietami. Czyżby dlatego, że sam czuł pociąg do osób tej samej płci?… Rzucałoby to nieco światła na dziwne więzi łączące go z tajemniczym panem Stonerem…

W każdym razie z jej punktu widzenia, osobistego i egoistycznego, była to fatalna nowina!

Ale czemu tak nią wstrząsnęło to odkrycie?

Przecież nigdy nie liczyła na upojny romans z Ambrose’em!

– Może mi pani powiedzieć, która to godzina? – Pytanie pani Oates wyrwało Concordię z zamyślenia. – Już tak późno? Nie do wiary! Muszę zmykać do kuchni i dopilnować wszystkiego przed obiadem. Proszę wybaczyć, panno Glade… jestem pewna, że pani chętnie porozmawia z panienkami o nowych sukniach!

Niemal biegiem ruszyła do drzwi i już jej nie było.

Concordia z roztargnieniem postukiwała jednym palcem o toaletkę, przysłuchując się rozmowie dziewcząt na temat właściwego doboru pantofli i pończoch do sukni.

Oto jak zakończyła się jej pierwsza próba wydobycia informacji od służby. Jeśli znowu spróbuje pociągnąć domowników za język, musi zabrać się do tego z większym sprytem i taktem. Tylko wówczas może się dowiedzieć czegoś ważnego.

12

Stukanie do drzwi biblioteki przerwało medytacje Ambrose’a, który – jak w transie – wpatrywał się zachłannie w ogród, doskonale stąd widoczny. Powoli wracał do realnego świata.

– Proszę wejść!

Usłyszał skrzypienie drzwi otwierających się za jego plecami, ale nie odwrócił się w tamtą stronę. Pozostał w tej samej pozie: siedział po turecku na dywanie, z rękami na kolanach.

Pani Oates zakasłała dyskretnie.

– Bardzo przepraszam, że zakłócam panu wypoczynek… Pomyślałam jednak, że powinien się pan o tym dowiedzieć. Panna Glade zaczęła wypytywać o pana Stonera.

– Wcześniej czy później musiało do tego dojść, droga pani. Przy odrobinie szczęścia rozwiązywanie tej zagadki pochłonie ją bez reszty, a ja przez ten czas zajmę się innymi sprawami.

– Na pańskim miejscu nie byłabym taka pewna, że panna Glade zajmie się nową zagadką i przestanie zwracać uwagę na to, co się dzieje wokół niej.

– Jestem pani bardzo wdzięczny. Będę miał na uwadze pani przestrogi.

– Bardzo mnie to cieszy.

– A co słychać u dziewcząt? Są zadowolone z nowych strojów?

– Jeszcze jak!… Z wyjątkiem panienki Phoebe. Te spodnie całkiem ją zauroczyły: biegałaby w nich od rana do nocy!

Ambrose się uśmiechnął.

– W tym domu nie przywiązujemy wagi do konwenansów. Niech sobie nosi spodnie, kiedy zechce.

– Doskonale. Czy dziś wieczorem zje pan obiad w domu, z panną Glade i z panienkami?

– Owszem. Już się na to cieszę! – Zamilkł na chwilę. – Ale potem, kiedy nasi goście będą już w łóżku, zamierzam wyjść. Niech nikt ze służby na mnie nie czeka. Zapewne wrócę bardzo późno.

– Jak pan sobie życzy.

Drzwi zamknęły się za gospodynią niemal bezgłośnie. Ambrose wlepił znów wzrok w ogród za oknem i wrócił do swych medytacji. Jego myśli popłynęły wstecz, ku przeszłości.

Ambrose skończył właśnie osiemnaście lat, gdy wtargnął do wytwornej rezydencji Johna Stonera przez tylne okno na górnym piętrze.

Jego kariera złodzieja i włamywacza zaczęła się już pierwszej nocy, gdy błądził po ulicach. Chociaż miał wtedy zaledwie trzynaście lat, jego instynkt samozachowawczy był zdumiewająco silny. Po ucieczce z domu udał się na najbliższy cmentarz, otworzył tylne drzwi niewielkiej kaplicy i pozostał w niej przez resztę nocy, do chwili, gdy blask jutrzenki wślizgnął się do wnętrza przez niewielkie okno za ołtarzem.

Tej nocy nie zmrużył nawet oka. Lękał się koszmarów sennych; był pewien, że go dopadną. Już wtedy wiedział, że wspomnienia tej nocy będą go prześladowały przez resztę życia.

Zmusił się więc do tego, co jego dziadek i ojciec uważali za niezbędne przed każdym skokiem. Opracował plan działania. Kiedy uporał się z tym, pozwolił sobie na kilka łez.

Następnego ranka przypomniało mu się stare porzekadło: „Pan troszczy się o tych, którzy troszczą się o siebie”, i tak mu przypadło do gustu, że w trosce o swój byt ukradł część liturgicznego srebra. Wybrał parę całkiem

ładnych świeczników oraz dwa kielichy, zmówił pacierz i ruszył wytyczoną drogą, postanawiając wykorzystać rodzinne talenty. Dobrze wiedział, że należy zastawić kościelny łup w którymś z zaprzyjaźnionych lombardów. Ojciec i dziadek często do nich zaglądali, gdy interesy szły kiepsko.

Kariera przestępcza okazała się trafnym wyborem, rozmyślał osiemnastoletni Ambrose, rozglądając się bystrym wzrokiem po sypialni upatrzonej ofiary, Johna Stonera. Zresztą, do tego właśnie fachu był przyuczany od lat, zgodnie z tradycją rodzinną. Pochodził w prostej linii od zawodowych oszustów, fałszerzy dzieł sztuki i szulerów.

Zgodnie z jego oczekiwaniami w sypialni nie było żywej duszy. Ambrose przeprowadził dokładne rozeznanie; zanim zabrał się do planu działania, obserwował upatrzoną ofiarę przez tydzień. Dzięki temu wiedział, że John Stoner jest uczonym i że dawniej, w młodości, spędził wiele lat na Dalekim Wschodzie.

Wiedział również, że tego dnia służba Stonera ma wychodne. A szczegółowe badanie planów domu pozwoliło mu stwierdzić, że pokój na parterze, w którym nadal się świeci, to biblioteka.

Obserwując wcześniej dom, przez szczelinę między kotarami dostrzegł Stonera w brązowym, haftowanym szlafroku. Siedział przy kominku z kieliszkiem portwajnu w zasięgu ręki i z jakimś opasłym tomiskiem na kolanach. Był wyraźnie zafascynowany tą lekturą.

Ambrose otworzył szufladę. Pierwszą rzeczą, która przyciągnęła jego uwagę, był zegarek kieszonkowy. Nawet w mdłej księżycowej poświacie rozpoznał od razu błysk szczerego złota.

Sięgnął po zegarek.

Drzwi wewnętrzne między tym a sąsiednim pokojem otworzyły się bez ostrzeżenia.

– Masz oczy jeszcze bystrzejsze niż ja w twoim wieku – odezwał się z ciemności John Stoner.

Wtedy to po raz pierwszy Ambrose został schwytany na gorącym uczynku; był jednak świadomy tego, że wcześniej czy później zdarzy się wpadka. Przygotował się na taką okazję zgodnie ze wskazówkami ojca i dziadka. A na koniec opracował dwie wersje planu ucieczki.

Pierwsza wersja bazowała na szybkości i zręczności.

Ambrose nie miał czasu na zastanowienie, a tym bardziej na kradzież zegarka. Musi natychmiast podbiec do otwartego okna i linki, którą zostawił przymocowaną do parapetu. Po kilku sekundach będzie już na ziemi.

Nie dotarł jednak do okna. Podcięto mu nogi i w ułamku sekundy leżał już na wznak na dywanie. Upadek oszołomił go i pozbawił tchu.

– Nie ruszaj się!

Zignorował to polecenie, nabrał powietrza w płuca i podniósł się do pozycji klęczącej. Myślał tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się przy oknie.

Noga w wysokim bucie zaczepiła o jego kostkę. Wywalił się znowu jak długi na podłogę.

Nim zdążył wstać po raz wtóry, Stoner pochylił się nad nim i schwycił najpierw za jeden, potem za drugi nadgarstek. Ambrose usiłował mu się wyrwać. Był o wiele młodszy od swego przeciwnika, a poza tym nie miał nic do stracenia. Powinien mieć znaczną przewagę nad Stonerem. A jednak po kilku sekundach jego ręce zostały związane za plecami mocnym sznurem.

Zaczął wierzgać obiema nogami. Stoner bez trudu uniknął ciosu.

– Podziwiam twoją determinację, młodzieńcze, ale nie zamierzam puścić cię wolno. A przynajmniej nie od razu. – Stoner spojrzał na powalonego jeńca. – Jest takie stare przysłowie: „Nie przebijaj głową muru. Wykop pod nim tunel!”

Ambrose zmagał się z panicznym strachem, który w każdej chwili mógł go obezwładnić. Wiedział, że taki lęk unicestwia równie szybko jak kula z

pistoletu.

Najwyższy czas przystąpić do drugiej wersji planu! Zaczął więc mówić… i to szybko!

– Bardzo mi przykro… Chyba nigdy nie słyszałem tego przysłowia. To Szekspir?… A może coś z przypowieści Salomona?

Mówił spokojnym, naturalnym głosem; poprawność jego wymowy była cechą wrodzoną. Zawsze przemawiał w ten sposób do dżentelmenów z krwi i kości. Sam ton jego głosu sugerował, że od urodzenia jest członkiem tej samej społeczności, z którą się teraz styka, że jest jednym z nich!

Była to zresztą szczera prawda. Ojciec Ambrose'a i jego dziadek byli, co prawda, przestępcami i łotrami z wyboru, ale dżentelmenami z urodzenia. Ambrose zaś miał świadomość tego, że przynależność do tej samej klasy społecznej wiąże ludzi ze sobą znacznie silniej niż wyznawanie podobnych zasad moralnych.

Przy odrobinie szczęścia może zagada swego rozmówcę i jakoś się wymiga z tej afery. Dżentelmen nie posyła swego brata dżentemena do więzienia!

Stoner wetknął obie ręce w kieszenie szlafroka i ruchem głowy wyraził swe uznanie.

– Znakomicie, młody człowieku! Nie każdy włamywacz umiałby prowadzić rozmowę towarzyską w takich okolicznościach! Potrafisz myśleć i na stojąco, i na leżąco, jak popadnie. To ogromnie ważna zaleta!

Ambrose nie miał zielonego pojęcia, o czym tamten mówi. W każdym razie bawił go rozmową i nie wzywał policji.

– Przepraszam z całego serca za to niefortunne spotkanie. – Ambrose ostrożnie usiadł. – Zapewniam pana, że pozory często mylą.

– Doprawdy?

– Obawiam się, że mój dzisiejszy wybryk jest rezultatem kilku butelek portwajnu i niefortunnego zakładu z kilkoma kolegami. – Ambrose się

skrzywił. – Wie pan, jak to bywa, kiedy się zejdzie kilku studentów z Oksfordu. Gotowi są założyć się o byle co.

– A o co się założyli tym razem? – W głosie Stonera brzmiało szczere zainteresowanie.

– Jak już wspomniałem, kilku z nas popijało przez całą ostatnią noc. Ktoś… chyba Kelbrook, skierował rozmowę na serię opowiadań, publikowanych ostatnio na łamach gazet żądnych sensacji. Może wpadła panu w rękę taka opowiastka? Stek nonsensów o włamywaczu, który okradał wyłącznie bogaczy.

– Istotnie… Teraz, kiedy pan poruszył ten temat, uświadomiłem sobie, że przeczytałem jedno czy dwa z tych arcydzieł. Mam wrażenie, że autor, zdaje się, dziennikarz, nazwał swego bohatera Duchem.

Ambrose z niesmakiem burknął:

– Autorzy podobnych sensacji lubią nadawać swym łotrzykom zaskakujące imiona, by pozyskać im sympatię czytelników.

– Istotnie.

– Tak więc, jak mówiłem, Kelbrook wspomniał o Duchu. A potem wdaliśmy się w dyskusję, czy bardzo trudno byłoby naśladować kogoś ze znanych włamywaczy. Utrzymywałem, że to nic trudnego. Ktoś wyraził odmienne zdanie… I tak od słowa do słowa, aż w końcu przyjąłem wyzwanie, czego teraz szczerze żałuję.

– Rozumiem… A czemu obrałeś dla tego eksperymentu właśnie moje okno?

Ambrose odetchnął głęboko.

– Bo… widzi pan… bez urazy, ale pan jest zdumiewająco podobny do ofiar, jakie sobie przeważnie obierał Duch.

Stoner zachichotał.

– Jesteś naprawdę bystry, młodzieńcze! Muszę ci to przyznać. Jak się nazywasz?

– Ambrose Wells – odparł złodziejaszek, wymieniając nazwisko, które wymyślił tamtego dnia, gdy uciekał po ciemku z domu swego ojca. Jeśli wyjdzie cało z tego przesłuchania, trzeba będzie znaleźć nowe przezwisko.

– Co ty na to, panie Wells, żebyśmy zeszli na dół i przy herbacie porozmawiali o twojej przyszłości?

– Przy herbacie?

– Pomyślałem, że taka propozycja będzie ci bardziej odpowiadała niż druga możliwość.

– A jak się przedstawia ta druga?

– Spotkanie z inspektorem policji. Wątpię, by podczas rozmowy zaproponował panu filiżankę herbaty.

– Dochodzę do wniosku, że pierwsza propozycja bardziej mi odpowiada. Wiwat właściwie zaparzona herbata!

– Przewidywałem, że dojdziesz do tego wniosku. A zatem chodźmy do kuchni! Będziemy musieli sami się obsłużyć. Dzisiaj cała moja służba ma wychodne. Ale ty z pewnością już o tym wiesz!

Ambrose siedział jak przykuty do drewnianego krzesła i przyglądał się ze zdumieniem, jak pan domu zaparza herbatę. W odróżnieniu od przeważającej większości mężczyzn dorównujących mu pozycją i stanem majątkowym, John Stoner czuł się swobodnie w swojej kuchni. Nalał wody do czajnika i dokładnie odmierzył ilość herbaty do eleganckiego dzbanuszka.

– Od jak dawna bawisz się w Ducha, panie Wells? – spytał wreszcie.

– Wybaczy pan, ale ostatnie pytanie zostało niezbyt zręcznie sformułowane. Bez względu na to, co bym powiedział, uzna pan to za przyznanie się do roli Ducha.

– Moim zdaniem w tych okolicznościach możemy zrezygnować z twojej ślicznej bajeczki o przyjęciu zakładu. – Stoner przeniósł dzbanek z herbatą i dwie filiżanki na drewniany stół i ustawił je porządnie. – Zastanówmy się.

Po tym wszystkim, co zaobserwowałem w pokoju sypialnym na górze, jesteś praworęczny. Wobec tego twoja lewa ręka nie jest aż tak zręczna jak prawa. Uwolnimy zatem lewą rękę.

– Pan widział mnie tak wyraźnie mimo ciemności? – Ambrose'a coraz bardziej intrygował John Stoner, mimo że właśnie przez niego znalazł się w kłopotliwym położeniu.

– Jak już wspomniałem, moja umiejętność widzenia w ciemności osłabła nieco z wiekiem, ale nadal przewyższam pod tym względem większość moich rówieśników.

Stoner siadł przy stole naprzeciw swego gościa i nalał herbaty. Ambrose zauważył, że delikatne filiżanki nie mają uszek. Podobnie jak dzbanek były ozdobione scenkami z jakichś odległych krajów. Ambrose nie miał pojęcia z jakich. Ani Chiny, ani Japonia, myślał. Jednak coś w tych barwnych obrazkach kojarzyło mu się wyraźnie z Dalekim Wschodem.

Ostrożnie wziął do ręki jedną z filiżanek… nie, były to raczej czarki, i wdychał aromat herbaty. Był subtelny, złożony i intrygujący.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, jakim sposobem odkrył pan, że jestem na górze? – spytał. – Widziałem pana w bibliotece; myślałem, że jest pan zaprzątnięty lekturą.

– Czekałem na ciebie od kilku dni.

Wytworna mała czarka omal się nie wymknęła z palców Ambrose'a.

– Pan mnie zauważył?

Stoner z roztargnieniem kiwnął głową, jakby to nie miało większego znaczenia. Ambrose wiedział jednak, że to nieprawda. Żadna z jego poprzednich ofiar nie dostrzegła, że kręcił się w pobliżu i obserwował ich zwyczaje.

– Nie powiem, że bardzo się zdziwiłem, gdy dostrzegłem cię właśnie dziś – odparł Stoner. – Z tego, co wyczytałem o Duchu w gazetach, wywnioskowałem, że stara się dowiedzieć jak najwięcej o przyszłych ofiarach, zanim wtargnie do ich domów. Byłem bardzo ciekaw twoich

metod. Większości włamywaczy brakuje inteligencji albo cierpliwości na tak drobiazgowe przygotowania. Są przeważnie oportunistami, a nie strategami. Korzystają raczej z nadarzającej się okazji, zamiast przygotowywać pole do zamierzonego działania.

– Już panu mówiłem, że nie jestem Duchem! Próbowałem tylko odegrać jego rolę z powodu zakładu. Sam pan widzi, że zupełnie nie nadaję się do tego!

Stoner popijał herbatę i nad czymś dumał.

– Szczerze mówiąc, zabrałeś się do tego całkiem sprytnie. Kto cię nauczył tego fachu?

– Jestem dżentelmenem, proszę pana! Nigdy bym się nie poniżył do terminowania w jakimś fachu!

Stoner zachichotał.

– Nasza rozmowa stanie się bardzo jednostronna, jeżeli będziesz wiecznie stosował uniki.

– Bardzo przepraszam, ale nie wiem, o co chodzi. Pan mi zadał pytanie, a ja odpowiedziałem najlepiej jak potrafię.

– Strategia fałszywej szczerości bywa niekiedy pożyteczna, a ty masz wyraźny talent do tego. Zapewniam cię jednak, że tym razem możesz sobie darować ją w naszej nocnej pogawędce.

Po raz pierwszy Ambrose’a nawiedziła obawa, że pan Stone jest pomylony.

– Nie rozumiem, o co chodzi – powiedział wymijająco.

– Być może wziąłem się do tego ze złej strony. – Stoner trzymał czarkę w palcach gestem pełnym wdzięku. – Ponieważ nie jesteś teraz usposobiony do zwierzeń, opowiem ci historię własnego życia. A kiedy uporamy się z przeszłością, pomówimy o twojej przyszłości.

13

Siedziba agencji pani Jervis znajdowała się na najwyższym piętrze szkaradnego kamiennego gmachu wzniesionego w niezbyt eleganckiej dzielnicy. Tuż po północy Ambrose dostał się do wnętrza za pomocą wytrycha.

Wszedł do pokoju, zamknął drzwi i przez chwilę stał w milczeniu, rozkoszując się dobrze znanym dreszczem podniecenia, który go przeszywał.

Ambrose podejrzewał, że ma wrodzoną skłonność do takich ataków przerażającej wprost energii, których doświadczał w podobnych chwilach jak ta. To doznanie rozpłomieniało wszystkie jego zmysły i dawało poczucie takiej potęgi, że czuł, iż mógłby wzbić się w niebo jak jakiś ogromny nocny ptak. Niestety – siła ta działała jak potężny narkotyk – istniały więc efekty uboczne. Szalone podniecenie nie znikało od razu z krążącej w jego ciele krwi.

Poczekalnia była zamknięta od dłuższego czasu. Unosił się w niej niezbyt miły zapaszek, charakterystyczny dla niewietrzonych pomieszczeń oraz nikły ślad innego, bardziej odrażającego odoru.

Dzisiaj było tu o wiele jaśniej niż zwykle: księżycowa poświata przenikała do wnętrza przez niezasłonięte okno i pozwalała od razu dostrzec, że nikt się w tym pokoju nie kryje. Jednak Ambrose gotów był się założyć o niebagatelną sumę, że niedawno ktoś tu poniósł śmierć.

Podłoga wokół masywnego biurka była zasłana odłamkami szkła, porozrzucanymi dokumentami, piórami i ołówkami. Toczyła się tu walka.

Ambrose przeszukał szuflady biurka, ale nie znalazł w nich nic ciekawego; charakterystyczny dla biura zapas artykułów papierniczych – notatniki, papeteria, zapasowe buteleczki atramentu i wosk do pieczętowania listów.

W najniższej szufladzie leżała czarna mufka.

Podszedł do szaf z aktami i otworzył pierwszą z brzegu. Po prostu wylewały się z niej papierzyska. Ambrose zapalił światło i przekartkował pierwszą teczkę, a potem szybko i metodycznie sprawdził pozostałe.

Nie zdziwił się specjalnie, nie znalazłszy nigdzie akt oznaczonych nazwiskiem Bartlett. Nie mieli w końcu żadnych dowodów na to, że panna Bartlett znalazła pracę za pośrednictwem tej agencji. Natomiast brak w kartotece pozycji z nazwiskiem Concordia Glade czy Irene Colby (pseudonim Concordii, który wykorzystała, starając się o poprzednią posadę) był w najwyższym stopniu interesujący.

Ambrose zatrzasnął szuflady, zamknął szafy z aktami, zgasił światło i przez chwilę stał pogrążony w myślach.

Potem wrócił znów do biurka i otworzył ponownie najniższą szufladę. Wyjął mufkę. Wewnątrz znajdowała się kieszonka, znalazł w niej jednak tylko chusteczkę.

Miał już odłożyć mufkę na dawne miejsce, gdy nagle coś go zaintrygowało. Nie zgadzały się proporcje. Szuflada była za płytka.

Przykucnął i zbadał jej wnętrze prawą ręką, dotykając lekko opuszkami palców. Na samym końcu wyczuł niewielkie wgłębienie. Byłoby zapewne niedostrzegalne dla niewtajemniczonego obserwatora, nawet w środku dnia.

Ambrose miał jednak pewne doświadczenie, jeśli chodzi o fałszywe szufladki i ukryte wnęki.

Nacisnął ostrożnie wgłębienie i poczuł odzew maleńkiej sprężynki. Dno szufladki podniosło się z cichym skrzypnięciem ukrytych zawiasów,

ukazując skrytkę.

Niestety, była pusta, nie licząc gazety złożonej we czworo.

Ambrose wyjął gazetę ze schowka i rozpostarł ją tak, że była złożona tylko pośrodku. Raz jeszcze zapalił światło i ujrzał dobrze znany nagłówek: „Lotny Zwiadowca”. Był to wyjątkowo odrażający okaz z gatunku tak zwanych czasopism sensacyjnych, dobrze znany z dramatycznych relacji o wykryciu krwawych morderstw oraz z powieści w odcinkach tak gorących, że niemal się poduszki paliły pod parą kochanków.

Czemu pani Jervis zadawałaby sobie tyle trudu, by schować egzemplarz gazety? Może nie chciała, by potencjalny klient zobaczył, że pochłania ją taka lektura. „Lotny Zwiadowca” mógł być od czasu do czasu interesujący, ale nie tego rodzaju czasopism można się było spodziewać na biurku właścicielki agencji czy w ręku guwernantek i nauczycielek, które z zasady podobnych arcydzieł czytać nie powinny.

Mimo wszystko chowanie gazety do skrytki wydawało się zdumiewającym posunięciem. Gdyby pani Jervis chciała ukryć to piśmidło przed wzrokiem dostojnych gości, wystarczyłoby w zupełności położyć je tuż obok mufki.

Ambrose wetknął złożoną gazetę do kieszeni i pożegnał się z siedzibą agencji.

Znalazłszy się na parterze, opuścił budynek tylnym wejściem. Wyszedłszy zaś na ulicę, podniósł kołnierz palta, wcisnął kapelusz głębiej na czoło, by osłaniał twarz, i zapuścił się w labirynt nieoświetlonych zaułków i zatłoczonych ulic.

Wrócił do domu inną drogą, wyłaniając się z tego labiryntu nędzy w najbliższym sąsiedztwie niepozornego domu rozpusty. Na ulicy czekało kilka dorożek. Ambrose wybrał pierwszą z brzegu.

Zasiadłszy w środku, przygasił oświetlającą wnętrze latarnię. Było niezbyt prawdopodobne, by ktoś zwrócił uwagę na jeszcze jednego pijaka,

wracającego do domu po nocy spędzonej na rozmaitych bezeceństwach – ale wolał nie ryzykować.

Zagłębił się jeszcze bardziej w mroczne wnętrze dorożki i zastanawiał się, czy Concordia będzie na niego czekać. Gwałtowne pragnienie ujrzenia jej i porozmawiania z nią o tym, co udało mu się dziś odkryć, nieco go zaniepokoiło.

Gazeta szeleściła pod płaszczem, ale z czytaniem musiał zaczekać do chwili, gdy znów będzie w domu. Wtedy przestudiuje ją dokładnie. Miał rzeczywiście wyjątkowo bystry wzrok, ale nawet on nie potrafił czytać po ciemku.

14

Skrobanie psich pazurów o deski podestu było pierwszą oznaką powrotu Ambrose'a.

Concordia poczuła ogromną ulgę. Ambrose wrócił! Wrócił do domu, nic mu nie zagrażało! Może wreszcie otrząśnie się z niepokoju, który ją ogarnął zaraz po jego wyjściu.

Teraz czuła radosne podniecenie. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy jej opowie, co odkrył – jeśli coś odkrył – podczas swych odwiedzin w agencji pani Jervis.

Potem usłyszała, że Ambrose przemawia po cichu do psów. Znów zachrobotały na drewnianym parkiecie psie łapy… i wreszcie zapadła cisza. Widocznie odesłał Dantego i Beatrycze na najwyższe piętro, tam, gdzie były sypialnie dziewcząt.

Głębokie cienie widoczne w szparze pod drzwiami Concordii się przemieściły. A więc Ambrose zatrzymał się przed jej pokojem! Oczekując, że lada chwila rozlegnie się dyskretne stukanie, Concordia odrzuciła kołdrę, siadła na łóżku i sięgnęła po okulary, potem otuliła się szlafrokiem.

Nadal jednak panowała cisza.

Cienie znowu się przesunęły. Concordia pojęła, że Ambrose zmienił zamiar. Szedł teraz korytarzem prosto do własnej sypialni.

Concordia związała mocniej pasek szlafroka, wsunęła stopy w nowe pantofle domowe, kupione przez panią Oates, i podbiegła do drzwi. Jeśli Ambrose wyobraża sobie, że takim sposobem wymiga się od dokładnego

sprawozdania z wydarzeń ostatniej nocy, myślała zaniepokojona, to ona go wyprowadzi z błędu!

Z rozmachem otworzyła drzwi i wychyliła się na mroczny korytarz w samą porę, by usłyszeć cichutkie skrzypnięcie: Ambrose zamykał za sobą drzwi.

Concordia wyszła na zimny korytarz i szybko ruszyła do jego pokoju.

Ambrose otworzył drzwi, nim zdążyła do nich zastukać. Zupełnie jakby na mnie czekał! – pomyślała. Jego sylwetka była dobrze widoczna w blasku lampy stojącej na nocnym stoliku za jego plecami. Czarna koszula Ambrose'a, rozpięta, ale niezdjęta, zwisała luźno wypuszczona ze spodni.

– Dość osobliwa pora na składanie wizyt, panno Glade – zauważył.

Concordia uświadomiła sobie, że przygląda się ciemnemu trójkątowi owłosienia na nagiej męskiej piersi, ledwie widocznemu między połami rozpiętej koszuli.

Upokorzona swoim idiotycznym zachowaniem zebrała resztkę sił i zdołała zapanować nad sobą. Poprawiła okulary na nosie i przypomniała sobie, w jakim celu tu przyszła.

– Pan też nie pilnuje ściśle programu dnia! – ofuknęła go szeptem. – Co się wydarzyło? Czy dowiedział się pan czegoś interesującego?

– Nie mam pewności, ale podejrzewam, że pani Jervis nie żyje. W siedzibie jej agencji pozostały ślady jakiejś szamotaniny. A wszelkie akta dotyczące zarówno pani, jak i panny Bartlett zniknęły.

– Dobry Boże! – Concordią owładnęło nagłe przerażenie. Schwyciła się framugi, by nie upaść, i skoncentrowała myśli na najbardziej zdumiewającej wieści w przerażająco zwięzłym raporcie Ambrose'a. – Pani Jervis nie żyje?!

– Na razie nie mam na to dowodu. Jutro rano postaram się dowiedzieć jak najwięcej o tej sprawie. Ale tego rodzaju wieści nie powinny nikogo zaskoczyć, zwłaszcza że pani Jervis prawdopodobnie miała jakieś konszachty z Larkinem.

– Jeśli to prawda, aż trzy morderstwa łączą się z tą koszmarną sprawą. Siostra pana klientki, panna Bartlett, a na dodatek jeszcze pani Jervis! – Concordia zadrżała i otuliła się ciaśniej szlafrokiem. – Larkin widocznie uważa moje uczennice za bardzo cenną zdobycz!

– I ja tak myślę. – Ambrose przegarnął palcami włosy; Concordię zdziwił ten gest niepokoju, pozornie obcy jego naturze. – Czy mogłaby pani zaczekać chwilę na resztę szczegółów? – spytał. – Chciałbym umyć twarz i ręce i trochę się ogarnąć. Dorożka, którą wróciłem do domu, nie była zbyt czysta.

– Co takiego?… A tak, oczywiście. – Concordia śpiesznie cofnęła się, robiąc mu przejście. – Bardzo przepraszam!

– Proponuję, żebyśmy spotkali się w bibliotece. Zejdę tam za kilka minut i podzielę się z panią wszystkim, czego zdołałem się dowiedzieć. Nie będzie tego zbyt dużo.

– Doskonale – przytaknęła, ale spytała jeszcze raz z niepokojem: – Naprawdę wszystko w porządku? Nic się panu nie stało?

– Miewam się znakomicie. – Próbując ją wyminąć, rzucił niecierpliwie: – A teraz, proszę mi wybaczyć, ale…

– O, bardzo przepraszam! – wymamrotała.

Ambrose przeszedł na drugą stronę korytarza, jego palce zacisnęły się na klamce łazienki.

– Nie zabawię tu długo.

– Jeszcze chwilkę, bardzo proszę! – wyszeptała, nie mogąc się powstrzymać. – Czy znalazł pan jakieś… dowody rzeczowe?

Ambrose obejrzał się przez ramię.

– Żadnych… jeśli nie liczyć starej gazety.

– Jakiej gazety?

– Tej, która leży na moim biurku. – Ruchem głowy wskazał swoją sypialnię. – Wątpię, czy to poważny dowód, ale mam wrażenie, że gazeta została specjalnie ukryta przed ciekawskimi. Znalazłem ją w biurku pani

Jervis, między jednym a drugim dnem szuflady skrytki. Może ją pani zabrać do biblioteki i zapoznać się z nią dokładniej, jeśli ma pani ochotę.

Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Concordia zaczekała na korytarzu przy drzwiach łazienki. Dopiero gdy usłyszała szum wody napływającej do wanny, podeszła znów, nie śpiesząc się, do drzwi sypialni Ambrose'a i zajrzała do wnętrza.

Był to zdecydowanie męski pokój, utrzymany w różnych odcieniach zieleni i ciemnego bursztynu. Na puszystym dywanie pyszniły się monstrualne paprocie. Wielkie łoże z baldachimem i ogromna szafa zajmowały oczywiście wiele miejsca. Surdut Ambrose'a, z którego, widać, oswobodził się przed chwilą, leżał na łóżku, niecierpliwie rzucony tam przez właściciela.

Na stojącym koło okna stoliku do pisania listów zobaczyła złożoną gazetę.

Powinna zrobić kilka kroków, zabrać gazetę ze stolika i opuścić pokój. Nic nadzwyczajnego… a jednak się wahała. Wejście do sypialni Ambrose'a wydawało się jej niezwykle śmiałym i niedelikatnym postępkiem.

Nabrała powietrza w płuca i szybko weszła do sypialni, chwyciła gazetę i wróciła pędem do drzwi.

Dopiero w chwili, gdy znalazła się znów na korytarzu, zdrowa i cała, uświadomiła sobie, że nadal wstrzymuje dech.

Śmieszne skrupuły! Cóż z tego, że to była sypialnia? Taki sam pokój jak każdy inny! A w dodatku – jeśli dobrze zrozumiała aluzje pani Oates – nie była to wcale jaskinia rozpustnika, tylko prywatne schronienie kogoś, kogo wcale nie pociągają stosunki z kobietami.

Concordia pośpieszyła do swego pokoju, zapaliła lampę i rozłożyła gazetę. Poczuła rozczarowanie, przekonawszy się, że jest to egzemplarz „Lotnego Zwiadowcy" sprzed sześciu tygodni.

Obejrzała piśmidło ze wszystkich stron; szukając jakichś uwag czy adnotacji poczynionych przez panią Jervis na marginesach.

Gdy przerzuciła kartkę, wypadły schowane między stronami gazety dwa arkusiki papieru listowego. Zaadresowane do pani R.J. Jervis. Podpisane przez S. Bartlett.

Concordia podniosła oba liściki i przeczytała je pośpiesznie. W miarę czytania krew coraz bardziej wrzała jej w żyłach.

Concordia, uporawszy się z lekturą, znów wypadła na korytarz. Z łazienki nie dochodził już szum wody.

Zastukała więc energicznie do drzwi łazienki.

– Panie Wells! – nawoływała półgłosem, całą siłą woli powstrzymując się od krzyku. Jeszcze tego brakowało, by przebudziły się mieszkające piętro wyżej uczennice! – Panie Wells, musi pan koniecznie zobaczyć, co znalazłam w tej gazecie!

Otworzył drzwi z wyrazem posępnej rezygnacji. Zdjął koszulę i był nagi do pasa. Ramiona wydawały się niesłychanie szerokie. Klatka piersiowa i szczupła talia nie przyniosłyby wstydu unieśmiertelnionym w tylu posągach i płaskorzeźbach antycznym herosom. Trójkąt ciemnych włosów na piersi zwężał się ku dołowi i niknął za paskiem spodni.

– O co znów chodzi, panno Glade? – spytał z wymuszoną uprzejmością.

Concordia gapiła się na niego z otwartymi ustami.

– Wielkie nieba! Czy to tatuaż?… Prawdziwy tatuaż!

Spojrzał na niewielki kwiatek tuż nad klatką piersiową, po prawej stronie.

– Istotnie, panno Glade, tatuaż. Jest pani bardzo spostrzegawcza.

– Wielkie nieba! – powtórzyła i odetchnęła głęboko. – Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo z tatuażem…

– Zdołałem wreszcie panią zaszokować mimo pani niezwykle nowoczesnych poglądów.

– Skądże znowu, to nie był wcale szok – zapewniła go pośpiesznie. – Tylko, widzi pan, prawdziwy tatuaż… – Przyjrzała mu się uważniej,

mrużąc oczy. – To jakiś kwiatek, nieprawdaż? Tylko jaki?… Nie mogę rozpoznać…

– Wiem, że gorzko pożałuję mojej głupoty… – powiedział Ambrose i biorąc ją pod brodę, skłonił do podniesienia głowy tak, by mógł wpatrywać się w rozmarzone oczy Concordii. – Ale dłużej już nie wytrzymam! Przyłapała mnie pani w chwili największej słabości, panno Glade. Myślałem, że zimna kąpiel poskutkuje jako antidotum… ale niewiele to dało.

– Antidotum…? Czyżby się pan czymś zatruł? Ma pan gorączkę?…

– Cały jestem w ogniu, panno Glade.

I nim się spostrzegła, jego usta były już na jej ustach, a pocałunek sprawił, że zapomniała o wszystkim innym, z tatuażem włącznie.

15

Nie zamierzał jej całować. Jeszcze nie. Nie tej nocy. Było na to za wcześnie, nieodpowiednia pora. Dlatego właśnie próbował skłonić Concordię, aby zeszła na dół; dlatego starał się ugasić trawiący go pożar lodowatym wodospadem.

Ale Concordia sama przyszła do niego. A jej widok, gdy stała w drzwiach łazienki, otulona szlafrokiem, i z otwartą buzią wpatrywała się w jego tatuaż, wydał mu się nieodparcie kuszący, niezwykle intymny…

Logika i zdrowy rozsądek nie miały żadnych szans na zwycięstwo w tej walce.

Całował Concordię powoli, zaborczo, z bolesnym przeświadczeniem, że popełnia wielki błąd.

Ale przecież to ona dobijała się tej nocy do jego drzwi, przekonywał samego siebie. Tak, Concordia Glade, nieuznająca konwenansów, nieodrodna córka osławionych wolnomyślicieli – Williama Glade'a i Sybil Marlowe. Nie jakieś tam niewiniątko, mdła, niedoświadczona panieneczka!

Przez chwilę, wydającą się wiecznością, Concordia stała w jego uścisku jak skamieniała. Ambrose jedną ręką objął jej głowę od tyłu i całował ją w usta coraz mocniej, rozpaczliwie pragnąc jakiegoś odzewu z jej strony, jakiegoś dowodu, że Concordia odwzajemnia – choćby po części – targające nim emocje.

Przebiegł ją dreszcz, dotyk jej warg stał się czulszy. Z jej ust wydobyło się cichutkie westchnienie rozkoszy.

– Panie Wells… – szepnęła przyjemnie zaskoczona. – Więc jednak kobiety pana pociągają?…

Ambrose znieruchomiał. Potem jakby z wahaniem podniósł głowę.

– Co to ma znaczyć, u licha? – spytał.

– Pani Oates napomknęła mi… może ją źle zrozumiałam?… że łączy was z panem Stonerem coś więcej niż przyjaźń.

– A to chytruska! – Poczuł nagłe rozbawienie. – Mam za swoje!

– Nie mówmy o tym więcej. To już nie ma znaczenia!

– Ależ ma! Pozwól, że wyjaśnię to drobne nieporozumienie.

Przytulił ją z całej siły i pocałował raz jeszcze, tym razem wyjątkowo zachłannie.

Objęła go za szyję i odwzajemniła pocałunek z takim entuzjazmem, że dostał zawrotu głowy. Zalała go wrząca fala namiętności i szalonej radości.

Zanurzył palce we włosach Concordii i pożerał ją pocałunkami.

Po długiej, bardzo długiej chwili musiał zaczerpnąć tchu.

– Po tym wszystkim – powiedział – chyba już czas, byśmy mówili sobie po imieniu.

– Ambrose…

Cofnął się odrobinę i ujrzał, że szkła jej okularów okryły się mgiełką ich oddechów.

– Przepraszam najmocniej! – Uśmiechnął się i zdjął jej z nosa okulary. – Musiało ci się zdawać, że całujesz po ciemku kogoś nieznajomego!

– Nie! – odparła. Mrugnęła oczami i spojrzała na niego zamglonym wzrokiem. – Poznałabym cię zawsze i wszędzie!

– Co ty ze mną wyrabiasz, Concordio?! – szepnął, zaskakując samego siebie.

Przytulił ją z całej siły, rozpaczliwie pobudzony; spragniony dotyku jej delikatnego, ciepłego ciała. Nic innego nie mogło zaspokoić głodu, który szarpał jego wnętrzności.

Przywarła do niego, wydawała się równie złakniona jak on. Sięgnął niżej i rozwiązał pasek jej szlafroka.

Kiedy poczuła jego rękę na swej piersi, zesztywniała.

Z najwyższym trudem oderwał usta od jej ust.

– Co się stało?

Jej oczy były szeroko otwarte, mroczne. Przestała go obejmować i pośpiesznie cofnęła się o krok.

– Boże wielki! Na śmierć zapomniałam!

– O czym?

– O listach. – Pomachała dwoma arkusikami papieru. – Przybiegłam do ciebie z tego właśnie powodu. Znalazłam je między stronicami gazety. Panna Bartlett napisała je do pani Jervis z Aldwick Castle. Jeden z nich tuż przedtem, zanim zniknęła.

Siłą woli zmusił się, by przyjrzeć się dwóm kartkom papieru, którymi wymachiwała mu przed nosem.

– Pozwól, niech przeczytam.

Podała mu listy.

– Panna Bartlett odkryła, że w Aldwick Castle dzieje się coś podejrzanego. W pierwszym liście daje do zrozumienia, że nie może wysłać listu z zamku i wątpi, czy przysłane tam listy dotarłyby do niej. Ten udało się jej wyekspediować za pośrednictwem farmera, który dostarczał żywność do zamkowej kuchni.

Ambrose podał jej okulary.

– Zejdź do biblioteki. Za kilka minut dołączę do ciebie.

Dziesięć minut później ubrany w szlafrok Ambrose stał przy swoim biurku w bibliotece. Dwa listy od panny Bartlett do pani Jervis leżały przed nim na pokrytym bibułą blacie.

– Nie ulega wątpliwości, że te damy dobrze się znały – zauważył.

– Tak. – Concordia krążyła nerwowo wokół biurka. – Nawet z tonu tych listów widać, że korespondentki znały się od dawna.

– W pierwszym liście panna Bartlett mówi, że natknęła się w zamku na ślad jakichś niecnych machinacji, związanych z grupką dziewcząt, powierzonych jej opiece.

– Doszła do tego samego wniosku co ja. – Concordia zacisnęła kształtne usta. – Nie ulega wątpliwości. Ten nikczemny Larkin naprawdę próbował się włączyć do handlu żywym towarem, i to najwyższej klasy.

Ambrose w milczeniu wpatrywał się w list.

– Wszystko wskazuje na to, że Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora miały być królikami doświadczalnymi. Larkin chciał sprawdzić dzięki nim chłonność rynku. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, warto byłoby rozszerzyć ten proceder, zwabiając podopieczne z sierocińca.

– Co za podlec!

Ambrose zastanowił się przez chwilę.

– W żadnym z tych listów nie ma najmniejszej wzmianki o Larkinie. Bardzo możliwe, że panna Bartlett nie wiedziała o jego udziale w tym przedsięwzięciu.

– Wspominałeś, że Larkin bardzo dba o to, by jego nazwiska nie łączono z żadnym przestępstwem.

– Istotnie.

Obie ręce Concordii zacisnęły się w pięści.

– Okropna, wstrętna, nikczemna kreatura!

Ambrose pochylił się nad biurkiem, kładąc obie dłonie na blacie, i przeczytał na głos pierwszy list:

– „Nietrudno odgadnąć, co się tu dzieje. Jeśli pierwsza aukcja okaże się korzystna, nastąpią po niej inne. Czemu i my nie miałybyśmy skorzystać z takiej okazji?”

Concordia mu przerwała.

– Wygląda na to, że panna Bartlett miała ochotę zabawić się w mały szantaż.

– Rzeczywiście. Wielka szkoda, że w żadnym z listów nie ma nazwiska osoby, którą warto było szantażować.

Concordia zmarszczyła czoło.

– Dopiero co powiedziałeś, że Larkin pilnuje się, by jego nazwiska nie łączono z żadnym podejrzanym interesem. Obie te panie musiały mieć na myśli kogoś innego.

– Też tak sądzę. I takie założenie pasuje do całości. – Ambrose obszedł biurko i oparł się o jego krawędź. – W tej sprawie kryje się znacznie więcej zagadek, niż mogło się wydawać na początku.

– Co mianowicie?

– Od kilku miesięcy fama głosi, że Larkin chce zawiązać spółkę z pewnym dżentelmenem z wyższych sfer. Być może to właśnie on skontaktował się z panią Jervis i prosił ją o znalezienie nauczycielki dla pierwszej, doświadczalnej grupy dziewcząt. Całkiem możliwe, że panie Bartlett i Jervis jego zamierzały szantażować.

Concordia skrzyżowała ręce pod biustem.

– Jeśli nowy wspólnik Larkina obraca się w wielkim świecie, byłby wymarzoną ofiarą dla szantażysty.

– Gotową nawet posunąć się do morderstwa, byle się wybronić?

Zapadła długa cisza. Każde z nich rozważało tę sprawę.

– Jak panna Bartlett mogła coś takiego zrobić?! – spytała po chwili Concordia.

– Zdecydować się na szantaż? – Ambrose wzruszył ramionami. – Pracowała w zawodzie, który trudno nazwać dochodowym. Dostrzegła nadarzającą się okazję łatwego zarobku i nie chciała jej przepuścić.

Concordia pokręciła głową.

– Nie miałam na myśli szantażu. Nie pojmuję, jak mogła widzieć w tej podłości dochodowy interes, do którego warto się przyłączyć. Jak mogła

zgotować taki los dziewczętom powierzonym jej opiece?!

Ambrose uśmiechnął się lekko, wspominając spotkanie w stajni z Concordią, starającą się poskromić nerwowego konia i mierzącą z pistoletu w łotra spod ciemnej gwiazdy, by umożliwić ucieczkę Edwinie, Theodorze, Hannah i Phoebe.

– Nie możesz tego zrozumieć, bo panna Bartlett jest ulepiona z całkiem innej gliny niż ty – powiedział łagodnie.

– Ale przecież to nauczycielka!

– Mylisz się, Concordio. – Ambrose wyprostował się i podszedł do niej. – Tylko ty zasługujesz na to miano. Panna Bartlett była mistrzynią w całkiem innym fachu.

– O czym teraz myślisz? – spytała, usiłując się opanować za wszelką cenę.

– Myślę, że gdybym miał dość rozsądku, powinienem był posłać cię na górę, do łóżka. Jest już bardzo późno.

Concordia zesztywniała.

– Tak, to prawda. Bardzo późno.

– Dla mnie już za późno.

Podniósł ręce i objął ją za szyję. Pochylił się i pocałował raz jeszcze. Poczuła rozkoszny dreszcz.

Rozchylił jej wargi językiem i całował, tak jak umierający z pragnienia pije wodę. Palce Concordii zacisnęły się na jego ramionach.

Po raz drugi tej nocy rozwiązał pasek jej szlafroka. Gdy poły się rozchyliły, ujrzał pod spodem białą nocną koszulę z cienkiego płótna.

Concordia wymamrotała coś naglącym tonem, gdy objął dłońmi jej obie piersi. Przez cienki materiał wyczuwał wyprężone sutki.

Jego ręce sunęły coraz niżej, czuł krągłość jej bioder i ud.

Znowu przejął ją dreszcz. Zanurzyła palce w jego włosach.

Wziął ją na ręce i ruszył w stronę sofy. Concordia wpatrywała się w niego rozmarzonymi oczyma.

Posadził ją na sofie i wyciągnął rękę, by zdjąć jej okulary.

Ktoś zastukał do drzwi, ostro i nagląco.

– Panno Glade! – Głos Theodory ledwie docierał zza zamkniętych drzwi. – Proszę, niech pani szybko przyjdzie. Hannah znów miała ten koszmarny sen. Płacze i nie możemy jej uspokoić!

Ambrose ujrzał nagłą zmianę zachodzącą w Concordii. W jej oczach nie było już zmysłowej zachęty. Zmienił się rytm serca. Zerwała się z sofy, zawiązała pasek szlafroka.

– Muszę iść do Hannah – rzuciła przez ramię i pośpieszyła do drzwi. – Już idę, Theodoro! – zapewniła znacznie głośniej.

Ambrose poprawił szlafrok, nie odwracając oczu od Concordii. Podbiegła do lustra sprawdzić, czy wszystko w porządku, a następnie otworzyła drzwi.

Theodora w szlafroku i rannych pantoflach krążyła niespokojnie po korytarzu z zafrasowaną miną. Na widok Ambrose’a oczy jej się zwęziły.

– Pobiegłam do pani pokoju, ale pani nie było – wyjaśniła Concordii. – A potem zobaczyłam światło na parterze.

– Omawialiśmy z panem Wellsem pewien problem, o którym dowiedzieliśmy się dopiero dzisiaj – odparła rzeczowym tonem. Wychodząc na korytarz, zatrzymała się, by raz jeszcze spojrzeć na Ambrose’a. – Proszę wybaczyć, ale muszę już iść. Nie przypuszczałam, że Hannah znów nawiedzi ten nocny koszmar.

Ambrose wpatrywał się badawczo w Theodorę, która w odpowiedzi posłała mu spojrzenie niewiniątka. Lekka przesada, pomyślał.

– Istotnie, pojawienie się koszmaru właśnie teraz wydaje się bardzo znamienne – stwierdził.

Concordia nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Słucham?…

– Dobranoc, panno Glade. – Pochylił głowę w ukłonie. – Może pani być pewna, że wrócimy niebawem do naszej rozmowy.

Zaczerwieniła się.

– Dobranoc panu.

Wybiegła na korytarz, pośpiesznie zamykając za sobą drzwi.

Ambrose wahał się przez chwilę. Potem zgasił lampę i wyszedł z biblioteki.

Wchodząc na górę, nadsłuchiwał bacznie. Kiedy dotarł do podestu na pierwszym piętrze, z pogrążonego w ciemności wyższego piętra doleciały do niego zduszone szepty i cichy śmiech.

Potem dały się słyszeć czyjeś lekkie kroki, ktoś pośpiesznie zamknął drzwi i zapadła nagła cisza.

16

Nazajutrz rano Ambrose ze swego miejsca u szczytu stołu w pokoju śniadaniowym bacznie przyglądał się Concordii, która siedziała przy drugim końcu stołu. Ambrose był zdania, że Concordia wygląda wspaniale, zachowuje się swobodnie i wydaje się wprost stworzona do tego, by swoim widokiem umilać mu początek każdego dnia.

Włosy Concordii znów były upięte w kunsztowny, twarzowy kok. Miała na sobie jedną z nowych sukien, które zamówił u krawcowej. Ta, którą Concordia włożyła tego ranka, była uszyta z ciemnobrązowego materiału w cienkie paski w kolorze czerwonego wosku do pieczętowania listów.

Dziewczęta również były tego ranka w doskonałym humorze, zauważył Ambrose. Znakomity przykład niespożytych sił młodości.

Zwłaszcza Hannah sprawiała wrażenie zdumiewająco wesołej jak na kogoś, kogo podobno przez całą noc dręczyły koszmary senne. Siedząca obok niej Phoebe, ożywiona i rozradowana, ubrała się w ukochane spodnie i męską koszulę. Muszę napisać do krawca, by przysłał więcej chłopięcych strojów; w lepszym gatunku! – pomyślał Ambrose.

Edwina i Theodora siedziały po przeciwnej stronie stołu; wyglądały jak aniołki w swych seledynach i błękitach. Rozmawiały z wielkim zapałem o zwiedzaniu oranżerii. Oates obiecał, że je tam zaprowadzi i zabawi się w przewodnika.

Ambrose jadł jajecznicę, chrupał grzanki i przysłuchiwał się żywej rozmowie, która toczyła się przy stole. Był rozbawiony, ale i nieco

zaskoczony własną reakcją na obecność Concordii i jej uczennic przy stole. Przez długie lata początek dnia spędzał samotnie, przeglądając prasę. Tego ranka jednak poranne gazety – jeszcze nieruszone – leżały na bocznym stoliku. I tak nie mógłby się skupić na lekturze w tym rozgardiaszu; dziewczętom buzie się nie zamykały.

Równie dobrze może przejrzeć gazety nieco później.

– Najwyższy czas wrócić do nauki – oświadczyła stanowczym tonem Concordia. – Podejmiemy nasze studia jeszcze dziś.

To obwieszczenie zostało przyjęte ze zdumieniem, a nawet z konsternacją.

– Ależ… panno Glade! – obwieściła z całą powagą Theodora. – Nie mamy książek ani globusów, ani map!

Concordia uśmiechnęła się nieco prowokacyjnie do Ambrose’a.

– Jestem pewna, że pan Wells nie weźmie nam tego za złe, jeśli na jakiś czas przekształcimy bibliotekę w salę lekcyjną.

Ambrose zastanowił się przez chwilę nad tą propozycją; potem wzruszył ramionami.

– Nie, pan Wells nie weźmie paniom tego za złe.

– Jestem panu ogromnie wdzięczna! – odparła i spojrzała na niego z wyraźną aprobatą.

Phoebe zwróciła się do Ambrose’a, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć.

– Czy któraś z książek w tej bibliotece traktuje o chemii?

– Książki poświęcone chemii znajdziesz w drugiej szafie bibliotecznej, na prawo od drzwi – odparł Ambrose.

– A coś o starożytnym Egipcie? – spytała Edwina.

– Starożytny Egipt znajduje się na antresoli, tuż obok górnego podestu schodów. Jest tam także wiele książek na temat Chin, Ameryki, Indii, Afryki oraz wiele publikacji dotyczących naszych lokalnych osobliwości.

Edwina się rozpromieniła.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Pan Stoner przez wiele lat podróżował po świecie. Jest autorem kilku książek, które również znajdziecie w bibliotece.

Dziewczęta były zafascynowane. Concordia przyjmowała te rewelacje z uprzejmym zainteresowaniem, ale wyraz jej twarzy był nieco sceptyczny.

– Znajdziecie także w bibliotece mnóstwo niezwykłych przedmiotów, przywiezionych przez pana Stonera z różnych podróży. Jeden z nich z pewnością was zaintryguje. Nazywamy tę ciekawostkę sekretarzykiem osobliwości. Legenda głosi, że w sekretarzyku jest ponad sto skrytek; jednak nikt z oglądających to curiosum nie zdołał odnaleźć wszystkich.

– Sekretarzyk z mnóstwem schowków! – Phoebe była urzeczona. – Jakież to podniecające! Czy my także możemy ich szukać, panie Wells?

– Wszystkie są do waszej dyspozycji, panno Leyland.

Edwina z nadzieją w głosie spytała:

– Czy znajdę w pańskiej bibliotece utwory pani Browning? Jestem zachwycona jej poezją.

– Dzieła Elizabeth Barrett Browning i jej męża oczywiście są tutaj – zapewnił ją Ambrose. – Stoją obok siebie, bo z pewnością sami by sobie tego życzyli.

Theodora rzuciła mu przez całą długość stołu kolejne pytanie.

– Czy znajdą się tu również akwarele i pędzelki?

Ambrose zastanowił się chwilę.

– Wydaje mi się, że w którymś kredensie były przybory do malowania. Sądzę jednak, że są już zbyt stare i nie na wiele się przydadzą. Jeszcze dziś poślę Oatesa po nowe farby.

Theodora była uradowana.

– Dziękuję! Strasznie panu dziękuję! To byłoby cudowne! Panna Glade przywiozła do Aldwick Castle cały zestaw najlepszych farb i pędzelków… ale musiałyśmy je zostawić w zamku. Zawadzałyby nam w trakcie ucieczki.

– Rozumiem – odparł.

– A co z powieściami? – spytała Hannah. – Bardzo je lubię czytać; zwłaszcza takie, w których jest mowa o potajemnych małżeństwach, zaginionych spadkobiercach, i niebezpiecznych furiatkach uwięzionych na poddaszu.

– Masz na myśli powieści grozy?

– Tak, proszę pana! – Hannah uśmiechnęła się z wyraźną nadzieją.

Ambrose wziął następną grzankę.

– Mogę powiedzieć z całkowitą pewnością, że w tej bibliotece nie ma ani jednego z tych powieścideł!

– Ooo…! – Hannah wyraźnie zrzedła mina.

Entuzjazm na twarzach pozostałych trzech dziewcząt również nieco przygasł.

– Wielka szkoda! – wyszeptała Hannah.

Przyjrzał się uważnie ich zawiedzionym minom.

– Prenumerujemy sporo gazet i czasopism – powiedział w końcu. – W niektórych z nich znajdują się tak zwane powieści w odcinkach. Jeśli chcecie, możecie je sobie czytać. – Zawahał się, napotkawszy spojrzenie Concordii. – Jeśli panna Glade nie ma nic przeciwko temu.

– Absolutnie nic! – oświadczyła Concordia, smarując grzankę masłem. – Uważam, że czytanie powieści jest kształcące. Wpływa dodatnio na rozwój twórczej wyobraźni i dostarcza mocnych wrażeń oraz emocji, których, rzecz jasna, nie należy okazywać w tak zwanym eleganckim towarzystwie.

Ambrose uniósł brwi.

– Zadziwia mnie pani, panno Glade! Wątpię, czy którakolwiek z koleżanek po fachu zgodziłaby się z panią w tym względzie. Jestem przeświadczony, że absolutna większość pedagogów i niemal wszyscy rodzice uważają, iż czytanie powieści tego rodzaju wywiera najgorszy wpływ na kształtowanie młodocianych umysłów.

– Wiem, że moje poglądy na wychowanie młodych panien cokolwiek odbiegają od utartych opinii.

– Ładne mi cokolwiek! – odparł z rozbawieniem.

– Być może. – Oczy Concordii zabłysły entuzjazmem. – Ale jestem przekonana o ich słuszności. Kiedyś założę szkołę dla dziewcząt opartą na zasadach, które sama opracowałam.

Ambrose odłożył nietkniętą grzankę. Był zafascynowany nieoczekiwanym przebłyskiem szczerości ze strony Concordii – po raz pierwszy pozwoliła mu rzucić okiem na starannie ukrywany świat jej nadziei i marzeń.

– Pani w to naprawdę wierzy – powiedział cicho.

– Moja szkoła będzie się po części opierać na podobnych zasadach, jakie przyświecały moim rodzicom – oznajmiła. – Byli przekonani, podobnie jak ja, że szeroki, wielostronny program kształcenia nie tylko rozwija umiejętność logicznego rozumowania młodych dziewcząt, ale stanowi dobre przygotowanie do różnorodnych profesji. Mam stuprocentową pewność, że młode panny, przygotowane duchowo i intelektualnie do samodzielnego wyboru własnej drogi życiowej, nie będą zmuszane do małżeństwa, jedynego sposobu zapewnienia sobie dachu nad głową.

– A jednak sama pani zauważyła, że kobiety mają niewielki wybór dostępnych dla nich zawodów – sprzeciwił się Ambrose.

Brwi Concordii zbiegły się znów nad oprawką okularów.

– Jednym z argumentów przeciwko przyjmowaniu kobiet na studia medyczne albo inne, umożliwiające im dostęp do tak zwanych wolnych zawodów, jest niski poziom szkół dla dziewcząt. Ale moje uczennice będą miały zasób wiadomości pozwalający im dotrzymać kroku kolegom na etapie kształcenia akademickiego. A po ukończeniu studiów absolwentki będą z determinacją walczyć o przyszłe stanowiska i domagać się prawa wykonywania zawodu, który obrały.

– Rozumiem.

– Proszę zapamiętać moje słowa! Kiedy wystarczająco duża grupa kobiet zjednoczy się w walce o należne im prawa, na świecie zajdą ogromne

zmiany.

Ambrose pochylił głowę z szacunkiem.

– Jestem pod wrażeniem pani poświęcenia dla szczytnych celów, panno Glade. Z całego serca życzę powodzenia pani wielkim planom!

Podziękowała olśniewającym uśmiechem.

– Bardzo panu dziękuję. Pańskie podejście do sprawy świadczy o tym, że ma pan bardzo nowoczesny światopogląd.

Uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo nowoczesny… jak na mężczyznę, nieprawdaż?

Poczerwieniała.

– Jak na człowieka, wszystko jedno jakiej płci. Mówiąc ogólnie, ruchy domagające się równych praw dla kobiet napotykają prawie wszędzie ogromny opór. Jestem pewna, że pan dobrze o tym wie.

– Może to i prawda, jeśli chodzi o ogół społeczeństwa. Ale tutaj, podobnie jak w pani domu rodzinnym, panno Glade, wszyscy wyróżniają się nietypowym podejściem do wielu uświęconych prawd.

Concordia odkaszlnęła znacząco.

– No, tak… Dość już rozmów na ten temat. Czeka nas wszystkich ciężki dzień. – Odłożyła pogniecioną serwetkę na stół, obok talerza. – Proszę mi wybaczyć. Chciałabym jak najprędzej rozejrzeć się po bibliotece i zebrać materiał do dzisiejszych lekcji.

Ambrose wstał i obszedł stół, by pomóc Concordii wstać z miejsca.

– Proszę mnie zawiadomić, gdyby życzyła sobie pani jakichś wyjaśnień związanych z księgozbiorem.

– Bardzo panu dziękuję, na pewno zwrócę się do pana w razie potrzeby. – Wstała i podeszła szybko do drzwi. Odwróciła się, by spojrzeć raz jeszcze na Hannah, Edwinę, Theodorę i Phoebe. – Spotkamy się wszystkie za dwadzieścia minut w bibliotece!

Odpowiedział jej zgodny chór potulnych głosów:

– Tak, panno Glade!

Concordia opuściła pokój. Niewielka tiurniura jej brązowej sukni w czerwone paski zakołysała się w wytworny, a zarazem powabny sposób. Ambrose mógłby wpatrywać się w tę kobietę godzinami.

Zorientował się nagle, że w pokoju zrobiło się podejrzanie cicho. Odwróciwszy się, spostrzegł, że wszystkie cztery dziewczęta wpatrują się w niego z napięciem i powagą.

Wrócił więc na swoje miejsce u szczytu stołu.

– Czy coś się stało? – spytał uprzejmie.

Hannah, Theodora i Phoebe spojrzały znacząco na Edwinę.

Ta ostatnia postanowiła, widać, podjąć się trudnej roli rzeczniczki, którą jej bezgłośnie powierzyły, gdyż wstała, podeszła do drzwi i zamknęła je stanowczym ruchem. Wróciła na swoje miejsce i usiadła ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

– Jesteśmy zaniepokojone sytuacją, w jakiej znalazła się panna Glade, proszę pana – oświadczyła.

Ambrose dolał sobie herbaty.

– Sytuacją panny Glade?

– Jej sytuacją w tym domu – uzupełniła Theodora.

– Chwileczkę… – Ambrose rozsiadł się wygodnie. – Jesteście bardzo zaniepokojone położeniem panny Glade w tym domu?

Phoebe skinęła pośpiesznie głową, wyraźnie zadowolona, że tak szybko pojął, o co chodzi.

– O to właśnie chodzi, proszę pana.

– Problem polega na tym – powiedziała z wyjątkowym przejęciem Hannah – że panna Glade, choć jest inteligentna, wykształcona i bardzo nowoczesna w swoich poglądach, nie ma większego doświadczenia.

Przyjrzał się każdej z dziewcząt po kolei.

– Myślę, że nie doceniacie waszej nauczycielki. Panna Glade od dobrych kilku lat zdana jest wyłącznie na własne siły. Możecie mi wierzyć, że nikomu by się to nie udało, gdyby nie miał życiowego doświadczenia.

– Pan nie rozumie, o co chodzi – odezwała się Edwina z lekkim zniecierpliwieniem. – Oczywiście, że panna Glade ma dużo doświadczenia… ale nie pod każdym względem. Zna się na rozkładzie kolejowym, potrafi przerobić sukienkę tak, by jej służyła przez dłuższy czas, i tak dalej. Ale nie ma doświadczenia… jeśli idzie o panów.

– Rozumiem.

– Panie, które pracują jako nauczycielki lub guwernantki, muszą strasznie uważać na swoją opinię – wyjaśniła Theodora poważnie i z nadzieją. – Nie mogą sobie pozwolić na jeden fałszywy krok, bo straciłyby posadę.

– I z tego powodu nie mają doświadczenia w tych sprawach – dorzuciła Hannah.

Ambrose sięgnął po swą filiżankę.

– Jesteście całkiem pewne, że panna Glade nie wie, jak sobie radzić z panami?

– Panna Glade przez cały czas pracowała jako guwernantka lub nauczycielka na pensji dla panien – powiedziała bez ogródek Phoebe. – Właśnie dlatego jesteśmy pewne, że nie ma doświadczenia pod tym względem.

Ambrose odstawił filiżankę.

– Chodzi wam o to, co się zdarzyło ostatniej nocy, prawda?

Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora wymieniły między sobą posępne spojrzenia, po czym wszystkie zwróciły znowu wzrok na Ambrose’a. Wyraźnie czuł na sobie spojrzenia czterech zdeterminowanych par oczu.

– Widzę, że musimy mówić szczerze – powiedziała Edwina złowróżbnym tonem. – Ubiegłej nocy uznałyśmy za swój obowiązek ocalić pannę Glade, ponieważ nie mając doświadczenia, nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństw czyhających na nią w sytuacji, w jakiej się znalazła.

– A jakież to niebezpieczeństwa na nią czyhały, mówiąc konkretnie? – spytał Ambrose.

Wszystkie zaczerwieniły się i znów wymieniły spojrzenia pełne niepokoju. Ale ani jedna z nich nie dała za wygraną.

Ciekawe, pomyślał, czy któraś z nich zdaje sobie sprawę z tego, że ich wysunięte podbródki i wyprostowane plecy są odbiciem ruchów i postawy Concordii, gdy ta upiera się przy swoim. Nauczyły się od swej nauczycielki znacznie więcej w ciągu kilku tygodni niż od wszystkich innych osób, z którymi się stykały. Concordia stała się dla nich wzorcem postępowania, ideałem kobiecej postawy.

– Mamy na myśli ryzyko, na jakie kobieta się naraża, przesiadując z dżentelmenem sam na sam w środku nocy – wypaliła z pośpiechem Phoebe.

– Kiedy jest z nim sam na sam w koszuli i szlafroku – uzupełniła Hannah.

– I on też ma na sobie tylko szlafrok – dorzuciła Edwina.

– Rozumiemy – podsumowała Theodora, nie wpadając w oskarżycielski ton – że ponieważ panna Glade jest taka inteligentna i ma takie postępowe poglądy, światowy mężczyzna może się pomylić co do niej i uznać ją za bardziej doświadczoną, niż jest w rzeczywistości.

Ambrose skinął głową.

– Rozumiem wasze obawy.

Hannah wydawała się zadowolona, że do czegoś wreszcie doszli.

– Nie chcemy, by pannę Glade spotkał taki los, jak Lucindę Rosewood.

– Któż to taki?

– Bohaterka powieści *Róża i ciernie* – wyjaśniła Hannah. – To wspaniała najnowsza powieść jednej z naszych ulubionych autorek. W rozdziale siódmym Lucinda Rosewood zostaje uwiedziona przez pana Thorne’a, który wykorzystuje jej niewinność i ufną naturę. A gdy zło już się stało, Lucinda uświadamia sobie, że została ostatecznie skompromitowana i w środku nocy ucieka, gdzie ją oczy poniosą.

– I co dalej? – spytał Ambrose, zainteresowany wbrew woli.

– Niestety, nie wiem – przyznała Hannah. – Zabrałam książkę ze sobą, kiedyśmy uciekały z zamku, ale nie miałam ani chwili czasu, by przeczytać ją do końca.

– Rozumiem. – Ambrose zastanowił się przez chwilę. – Nie zamartwiałbym się zanadto jej losem. Jestem pewien, że gdy znajdziesz trochę czasu, by doczytać do końca, przekonasz się, że pan Thorne pędzi za Lucindą co koń wyskoczy, kaja się przed nią za swój niecny postępek i błaga ją, by została jego żoną.

– Naprawdę tak pan sądzi? – spytała żywo Hannah.

– Nie bądź głupia! – Phoebe zmiażdżyła ją swą pogardą. – Dżentelmen nigdy nie żeni się z uwiedzioną dziewczyną, chyba że ma ogromny majątek. Wszyscy o tym wiedzą!

– Prawda! – przytaknęła Edwina. – Zhańbione dziewczęta bez majątku zawsze źle kończą… i w powieściach, i w życiu.

Theodora się skrzywiła.

– To nie w porządku! Przecież to ten podły dżentelmen powinien zostać ukarany, jak mówiła panna Glade.

– Panna Glade może mieć najszczytniejsze zasady moralne i poczucie sprawiedliwości, ale na świecie jest całkiem inaczej – oświadczyła Edwina, wbijając w Ambrose’a gniewne spojrzenie. – I właśnie dlatego, że panna Glade ma takie zasady i nowoczesne poglądy, może niechcący w rozmowie z jakimś światowcem zrobić coś takiego, że będzie miał o niej całkiem błędne mniemanie.

– W porządku, przekonałyście mnie – stwierdził Ambrose.

Edwinę zadowoliły, widać, jego słowa. Spojrzała znacząco na przyjaciółki.

– Biegnijmy czym prędzej do biblioteki, zanim panna Glade zacznie nas szukać!

– Już się nie mogę doczekać tego sekretarzyka osobliwości! – oznajmiła Phoebe.

– A ja tych poezji! – wykrzyknęła Theodora.

Ambrose wstał i chciał im pomóc przy wstawaniu, ale wszystkie panny były już na nogach i biegły do drzwi.

– Jeszcze chwilkę, bardzo proszę – powiedział spokojnym tonem.

Posłusznie zatrzymały się pod drzwiami i zwróciły ku niemu pytające spojrzenia.

– O co chodzi, proszę pana? – spytała Edwina.

– Byłyście w sierocińcu, zanim was przewieziono do zamku, prawda?

Atmosfera pokoju zmieniła się, jakby ciężka chmura przesłoniła słońce. Twarze wszystkich dziewcząt straciły blask.

– Tak, to prawda – odpowiedziała bardzo cicho Theodora.

– Wszystkie cztery byłyście w tym samym sierocińcu? – spytał.

– Tak, proszę pana – wyszeptała Phoebe.

– Proszę, niech pan nas nie odsyła do tego strasznego miejsca! – Ręce Hannah zacisnęły się w pięści. Oczy miała pełne łez. – Będziemy grzeczne… bardzo grzeczne…

Theodorze drżały usta. Phoebe zaczęła mrugać oczyma. Edwina pociągnęła nosem.

Ambrose poczuł się jak złośliwy olbrzym z baśni.

– Psiakrew! Co za cholerne bzdury!

Wszystkie wydawały się zaszokowane. Ambrose przypomniał sobie, że nie wypada kląć przy damach, wszystko jedno w jakim wieku.

– Bardzo was przepraszam. – Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wetknął ją w rękę Hannah. – Wytrzyj oczy, proszę. Nikt nie zamierza odsyłać was do tego sierocińca!

– Bardzo panu dziękuję. – Hannah dygnęła wdzięcznie i ruszyła znów ku drzwiom.

Theodora, Phoebe i Edwina pośpieszyły za nią.

– Jeszcze jedno! – powiedział.

Wszystkie cztery skamieniały jak króliczki na widok wilka.

Theodora z trudem przełknęła ślinę.

– Czego pan sobie życzy?

– Chciałbym znać dokładną nazwę tej dobroczynnej instytucji, w której przebywałyście, zanim was zabrano do zamku.

Przez chwilę zdawały się rozważać sprawę; było jasne, że wątpią w jego dobre intencje.

W końcu Edwina zwróciła się do niego.

– To Dobroczynna Szkoła dla Dziewcząt.

– Gdzie się mieści? – ponaglił.

– Pod numerem 6 na Rexbridge Street – odparła Phoebe. Wyglądała tak, jakby wydzierał jej te słowa z gardła. – To… straszne miejsce, proszę pana.

Hannah zabrakło już łez. Zbladła jak ściana.

– Panna Pratt, dyrektorka, zamyka w piwnicy każde dziecko, które nie zna na pamięć „Złotych reguł dla dziewcząt pełnych wdzięczności”. Czasem siedzi się tam w ciemności kilka dni… To… to jest przerażające…

To ta piwnica z koszmarnych snów! – domyślił się Ambrose.

– No, starczy już, moje drogie – powiedział. – Nikt was tam nie odeśle wbrew waszej woli.

Chmura, która zakryła słońce, nagle znikła. Pokój śniadaniowy znów był pełen blasku.

Dziewczęta pędziły korytarzem do biblioteki. W całym domu rozbrzmiewały echem ich melodyjne głosy.

Znalazłszy się wreszcie sam, Ambrose opadł na fotel. Przez chwilę mierzył wzrokiem stertę gazet, potem sięgnął po „Timesa”.

Po chwili zorientował się, że pokój śniadaniowy, jego zaciszna przystań, jego sanktuarium samotności, wydaje mu się teraz nieprzyjemnie pusty.

17

Tuż po trzeciej po południu tego samego dnia Concordia poczuła dobrze jej już znany dreszcz niepokoju. Oderwała wzrok od jadłospisów, które staranie opracowała, by wręczyć je pani Oates, i spojrzała w stronę drzwi. Stał w nich Ambrose z jakimś pudłem pod pachą.

– O, jesteś wreszcie, mój panie! – Odłożyła notatki i z głębi swego fotela zmierzyła go wzrokiem. – Właśnie przygotowuję spis owoców i jarzyn, którymi warto by było urozmaicić menu pani Oates. Gdzie byłeś tak długo? Powiedziałeś, wychodząc, że chcesz trochę się porozglądać… a wracasz po tylu godzinach!

– Myślałem, że będziesz zajęta nowym planem lekcji aż do mojego powrotu. – Przeszedł na drugi koniec biblioteki i zajął miejsce za biurkiem. – Gdzież się podziały twoje pupilki?

– Zwiedzają oranżerię pod opieką pana Oatesa. Obawiam się, że wie o tych wszystkich roślinach sto razy więcej niż ja!

– Z pewnością był zachwycony tym zadaniem. – Ambrose postawił pudło na blacie biurka. – Oates pasjonuje się ogrodnictwem i ma złote ręce do kwiatów.

– Od razu to widać. – Concordia obserwowała bacznie swego rozmówcę, gdy siadał przy biurku. – No i co? Opowiesz mi, czym się zajmowałeś przez ten czas, gdy nie było cię w domu?

– Między innymi pociągnąłem za język kilka osób, z którymi pani Jervis sąsiadowała.

Concordia natychmiast zauważyła, że użył czasu przeszłego.

– A więc… nie żyje?…

– Jej ciało wydobyto z rzeki mniej więcej sześć tygodni temu. Werdykt brzmiał: samobójstwo.

– Ale jeśli okaże się, że to było morderstwo?… Zginęła niemal w tym samym czasie, kiedy zniknęła panna Bartlett.

– Larkin albo jego wspólnik skorzystali pewnie z kartoteki pani Jarvis, żeby znaleźć następczynię panny Bartlett.

Ręka Concordii zacisnęła się na poręczy fotela.

– Mnie?…

– Tak. Kiedy się o tym dowiedziałem, postanowiłem odwiedzić pewną instytucję charytatywną przy Rexbridge Street.

– Tę dobroczynną szkołę, w której przebywały moje dziewczynki, zanim je przewieziono do Aldwick Castle? – Concordia zesztywniała z przerażenia. – Nie myślisz chyba poważnie o odesłaniu ich z powrotem do tego piekła?! A choćbyś nawet myślał, powiadam ci: nie dopuszczę do tego! Jeśli moje dziewczęta dają ci się we znaki i wolałbyś mieć cały dom dla siebie, wyniesiemy się stąd natychmiast. Ale nie pozwolę…

– Błagam, dość już tego! – Gestem uniesionej ręki powstrzymał Concordię od wygłoszenia kazania. – Przerabialiśmy ten temat dzisiaj rano z twoimi wychowankami. Nikogo nie odeślemy wbrew woli do tej Dobroczynnej Szkoły dla Dziewcząt. Masz na to moje słowo.

Concordia nieco się odprężyła.

– Wyobrażam sobie, jak musi być wam niewygodnie, odkąd zamieszkałyśmy tutaj!

– To duży dom – odparł Ambrose. – Starczy miejsca dla wszystkich.

– Jestem ci ogromnie wdzięczna. Sierociniec to takie straszne miejsce… wszyscy są co do tego zgodni. Dowiedziałam się, że dyrektorka tej szkoły, panna Pratt, zwalcza wszelkie przejawy nowoczesnego wychowania; sama stosuje metody wychowawcze z czasów króla Ćwieczka. W ogóle cały

personel szkoły odnosi się wrogo do uczennic. Właśnie tam zaczęły się koszmarne sny Hannah.

– O zamykaniu w piwnicy już słyszałem.

– To taka okrutna kara! Ilekroć o tym pomyślę, mam ochotę udusić pannę Pratt własnymi rękami!

– Wcale ci się nie dziwię! A teraz, jeśli łaska, wróćmy do tematu.

– Tak, oczywiście. – Splotła ręce na podołku i przybrała stosowny wyraz twarzy.

– A zatem, co się tyczy mojej wyprawy na Rexbridge Street… – Odchylił się na tylne oparcie fotela, wyciągnął przed siebie nogi i splótł ręce na karku. – Dziś rano przyszło mi do głowy, że ta instytucja charytatywna stanowi jedyne wspólne ogniwo łączące wszystkie cztery dziewczynki.

– Masz rację! Ale to zawsze jakaś więź, nieprawdaż?

– Oczywiście. Mając to na uwadze, przespacerowałem się po sąsiedztwie, by obejrzeć tę szkołę ze wszystkich stron.

– Wszedłeś do środka?

– Nie. Nie wpadłem na żaden prosty sposób, aby wejść na teren szkoły i nie zwrócić na siebie uwagi. A zdecydowanie nie chcę ujawniać się na tym etapie dochodzenia.

– Całkiem zrozumiałe. Ale chyba nie masz zamiaru zakradać się tam po nocy, jak do agencji pani Jervis?

– Cóż… Jest to zawsze jakieś wyjście – przyznał w zamyśleniu. – Ale ponieważ w tym budynku mieszka wiele osób, trzeba się liczyć z ryzykiem zmylenia drogi, przypadkowego obudzenia którejś z dziewcząt albo natknięcia się na kogoś z personelu, kto licho wie czemu nie śpi i buszuje w nocy po budynku.

– Prawda!

Spojrzał na nią i zdawał się coś rozważać.

– Wspomniałaś, że chcesz brać udział w śledztwie. Mówiłaś ot tak czy poważnie?

– Jak najbardziej poważnie! – Z podniecenia zabrakło jej tchu. – Chcesz, żebym to ja odwiedziła szkołę?

– Owszem, ale pod warunkiem, że naprawdę chcesz zabawić się w szpiega.

– To bardzo podniecająca perspektywa!

Ambrose zmarszczył brwi.

– Byłbym najszczęśliwszy, gdybyś nie odkryła tam nic podniecającego. Twoja wyprawa nie powinna zwrócić niczyjej uwagi. Nie wolno ci napomknąć choćby przelotnie o Edwine, Hannah, Phoebe czy Theodorze. Nie wspominaj też o Aldwick Castle ani o późniejszych wydarzeniach. Czy to jasne?

– Jak najbardziej! Nikt z personelu Dobroczynnej Szkoły dla Dziewcząt ani żadna z uczennic mnie nie zna, więc nie powinno być problemów.

– Prawda! Ale niczego nie należy zakładać z góry. Nie chciałbym, żeby ktoś zapamiętał twoją twarz… zwłaszcza panna Pratt!

– Mam iść w przebraniu?

– W pewnym sensie… tak. – Ambrose rozplótł ręce, na których opierał głowę, usiadł prosto i sięgnął po pudło, które postawił na biurku. – Kupiłem to w drodze powrotnej do domu. Dlatego wróciłem tak późno.

Zdjął wieko, sięgnął do wnętrza i wyjął duży kapelusz z czarnej słomki. Był przybrany kwiatami z czarnego jedwabiu i długą, gęstą czarną woalką.

– Wdowi welon! – Zachwycona Concordia podbiegła do biurka. Chwyciła kapelusz i obracała go w rękach; zauważyła, że przyszyta koliście woalka zasłoni jej twarz ze wszystkich stron. – Genialny pomysł! Absolutnie nikt nie zobaczy mojej twarzy!

– Tu masz czarne rękawiczki do kompletu. Włóż swój ciemnoszary płaszcz. Musisz wyglądać jak szykowna wdówka.

18

Alexander Larkin spoglądał na swojego wspólnika, siedzącego naprzeciwko niego na rzeźbionej ławce z marmuru i miał ochotę zgrzytać zębami. Temperatura w wynajętym na prywatny użytek pomieszczeniu do kąpieli parowej była wystarczająco wysoka, by każdy normalny człowiek ociekał potem. Ale Edward Trimley wydawał się odświeżony i wypoczęty, jakby nie przebywał w łaźni, tylko siedział w swoim klubie, zagłębiony w fotelu.

Ale ostatecznie trudno się dziwić: Trimley był dżentelmenem, niech go szlag! Nigdy nie gotował się w dusznej klitce pod dachem, nie marzł też na mrozie. Już po sposobie mówienia i postawie pełnej wysublimowanej arogancji dało się poznać, że to ktoś z klasy uprzywilejowanej.

Trimley nigdy nie musiał kraść, by nie umrzeć z głodu, dumał Larkin. Nigdy nie oblewał się śmiertelnym potem, jak ktoś, kto widzi przed sobą osiłka z nożem w garści i czuje w bebechach, że tamten bez żadnych skrupułów poderżnie mu gardło, by ściągnąć z niego przyzwoite buty.

– Pewien jesteś, że ogień nie został zaprószony przypadkiem? – spytał. – Kuchnie w zamku były stare jak świat.

– Możesz mi wierzyć, to się nie zaczęło w kuchni – odparł Trimley.

Ta pewność siebie Trimleya cholernie mu działała na nerwy! Na początku ich współpracy Trimley chętnie słuchał wyjaśnień Larkina i chłonął jak gąbka wszystko, czego Larkin mógł go nauczyć. Ale ostatnio znarowił się i zachowywał tak, jakby to on był starszym partnerem.

Obaj mieli na sobie w tej chwili ogromne, białe prześcieradła z lnu. Larkin czuł się w tym przebraniu niezręcznie; wydawało mu się, że robi z siebie błazna. Musiał to cholerstwo ciągle przytrzymywać z przodu, żeby się nie ześlizgnęło. Ale Trimley czuł się w tym przebraniu swobodnie i, nie wiedzieć czemu, wyglądał jak jeden z tych starożytnych Rzymian, których posągami bogacze ozdabiali swoje rezydencje. Larkin zadbał o to, by nie brakło tego antycznego tatałajstwa we frontowym holu pięknego, wielkiego domu, który sam sobie wybrał i kupił kilka lat temu.

– A może to wina tego gazowego pieca w nowym skrzydle? – Larkin wstał i zaczął krążyć po niewielkim pomieszczeniu wykładanym kafelkami. – Każdy wie, jakie to draństwo bywa zawodne!

– Pożar nie zaczął się w kuchni! – Trimley wydawał się poirytowany. – Pogadałem sobie ze wszystkimi służącymi, którzy byli na służbie tamtej nocy. Każdy z nich twierdził zgodnie, że były dwa wybuchy, oba w najbliższym sąsiedztwie jadalni.

– Ktoś wzniecił pożar, by ułatwić tym dziewczynom ucieczkę? – burknął Larkin.

– Na to wygląda.

– Do jasnej cholery! – Larkin dotarł do wykładanej kafelkami ściany i ruszył w odwrotnym kierunku. – I nikt nie widział, jak uciekały razem z tą swoją marmozelą?

Trimley pokręcił głową.

– Działo się to w środku nocy, wszędzie było pełno dymu i wszyscy potracili głowy. Dwóch chłopaków twierdzi, że w pewnej chwili usłyszeli tupot końskich kopyt, ale obaj myśleli, że ktoś wyprowadza konie z boksów, by nie zginęły w płomieniach.

– Czemu, do wszystkich diabłów, nie przyszło nikomu do głowy zajrzeć do dziewczyn, kiedy tylko wybuchł pożar? – wściekał się Larkin. – Moi ludzie wiedzieli, jak mi na nich zależy.

– Widocznie Rimpton powiedział wszystkim, że sam się nimi zajmie. – Trimley gestem ręki odżegnał się od dalszych głupich pytań. – A potem zniknął i więcej się nie pokazał tej nocy. Następnego dnia znaleziono jego zwłoki w pobliżu starych szop, które służyły dawniej za składy.

– I nikt się nie domyślił, że dziewczęta zwiały razem z tą wychowawczynią? Dopiero następnego dnia rozum wrócił tym durniom?!

– Z początku byliśmy pewni, że wszystkie zginęły w czasie pożaru. – Trimley poprawił się na ławce, żeby mu było jeszcze wygodniej. – To wydawało się całkiem prawdopodobne. Wszędzie było pełno dymiących gruzów i strzaskanych belek. W takiej sytuacji trudno nawet myśleć o grzebaniu w popiołach!

– Jasna cholera! – Larkin poczuł, że coś się w nim gotuje; dobrze znał to uczucie. – Wszystkie nasze plany poszły z dymem! A takie były dopracowane i dopieszczone… Aukcja za kilka dni! Nie mogę uwierzyć, że zdarzył się nam taki niefart!

Jak za dawnych lat zakipiała w nim wściekłość. Był bliski uduszenia. Rąbnął pięścią w połyskującą białymi kafelkami ścianę.

– Jasna cholera! A niech to szlag!

Przekleństwa mu nie wystarczały. Chwycił więc dzban w wodą, stojący na niskim stoliku, i z całej siły rąbnął nim o ścianę. Odłamki i okruchy stłuczonego dzbana unosiły się w powietrzu i z brzękiem uderzały o płytki.

Larkin od razu poczuł się lepiej. Odzyskał kontrolę nad sobą. Ale już pożałował wybuchu.

Zaczerpnął powietrza i wydychał je bez pośpiechu; czuł, jak krew zaczyna wolniej płynąć w żyłach. Takie ataki furii zdarzały mu się od dzieciństwa. Teraz umiał je powściągnąć w razie potrzeby, ale czasami się im poddawał. Ludzie, którzy obserwowali jego napady wściekłości, mieli cholernego pietra. Larkin uważał, że tak właśnie powinno być. Jeśli jego pracownicy i wspólnicy w interesach czuli się swobodnie w jego towarzystwie, nie wróżyło to nic dobrego.

Ale ten cholerny laluś Trimley całkiem inaczej reagował na efektowne napady furii. Larkin podejrzewał, że ten bezczelny drań śmieje się z niego i go lekceważy.

Zacisnął jeszcze mocniej rękę na prześcieradle i raptownie obrócił się na pięcie. Chciał zaskoczyć Trimleya, zbić go z tropu, sprawdzić, czy nie ma w nim ani odrobiny lęku. Ale jak zwykle niczego nie zdołał wyczytać z wyrazu twarzy wspólnika. Niestety, miał twarz pokerzysty!

– Wszystko zależało od tych czterech dziewczyn – mruknął. – A teraz przepadły jak kamień w wodę! To wina tej przeklętej nauczycielki! Po jaką cholerę weszła nam w paradę?!

– Zapewne zniknięcie jej poprzedniczki wydało się jej podejrzane i doszła do wniosku, że i jej grozi niebezpieczeństwo – odparł z zimną krwią Trimley.

– Rozumiem, że sama czmychnęła z zamku. Ale to wcale nie wyjaśnia, czemu wzięła ze sobą te smarkule! Przecież to nie miało za grosz sensu! Musiała przecież wiedzieć, że gdyby uciekła sama, miałaby znacznie większe szanse powodzenia. A ta zabiera ze sobą wszystkie dziewczyny!

– Rzeczywiście – przytaknął cicho Trimley – to bardzo interesujący problem! Zastanawiałem się nad nim przez całą drogę do Londynu.

Larkin przystanął i odwrócił się do niego.

– Masz jakieś pojęcie, o co jej chodziło?

– Zgadzam się z tobą, że to nierozsądne, by kobieta, uciekając w obawie o własne życie, obciążała się odpowiedzialnością za los tych czterech uczennic. – Trimley zrobił pauzę dla większego efektu. – Ale chyba już mogę stwierdzić z całą pewnością, że ta nauczycielka nie działała sama.

– O czym ty gadasz, u diabła?!

– Nie wierzę, by panna Glade, żeby nie wiem jak sprytna, sama wszystko zaaranżowała, by pomóc dziewczynom uciec z zamku.

– Namówiła kogoś do pomocy?… Kogoś ze straży?! No, co tu się zapierać? Nie pierwszy raz ktoś z naszej organizacji pokumał się z

wrogami, ale często się takie rzeczy nie zdarzają. Każdy dobrze wie, czym by za to zapłacił.

– Nie, to żaden z twoich ludzi – odparł Trimley. – Udało mi się dowiedzieć o nim coś niecoś od właściciela zajazdu i od jego żony. Cała gromadka zatrzymała się u nich na noc. – W ciemnych oczach opowiadającego błysnęła ciekawość. – Powiedzieli, że pięknie mówił i miał nieskazitelne maniery. Krótko mówiąc: to dżentelmen.

– Byli tego pewni? – spytał Larkin. – Prawdziwy dżentelmen, nie ktoś udający dżentelmena?

Trimley uniósł nieco brew.

– Wybacz, ale muszę ci uzmysłowić, że rolę dżentelmena bardzo trudno zagrać, jeśli ktoś nie urodził się dżentelmenem. W każdym razie wiem z doświadczenia, że właściciele zajazdów, podobnie jak sklepikarze, nigdy się nie mylą w ocenie pozycji społecznej swoich klientów. Pod tym względem nie różnią się od ciebie, mój drogi, gdyż ich interes, podobnie jak twój, opiera się na spostrzegawczości.

Larkin zmusił się do tego, by puścić mimo uszu przycinek wspólnika. Trimley uważał go za dość dobrego, by wejść z nim w spółkę, ale pogarda tego bydlaka dla niżej urodzonych, aczkolwiek niekiedy skrywana, bardzo często dochodziła do głosu.

– Czy ci oberżyści mówili jeszcze coś ciekawego?

– Nie. Wspomnieli tylko, że damy i towarzyszący im dżentelmen mieli się udać do Londynu. Postanowiłem sprawdzić tę informację u zawiadowcy stacji. Dobrze zapamiętał panienki i ich guwernantkę. Podróżowały pierwszą klasą.

– A co z towarzyszącym im dżentelmenem? – spytał z pośpiechem Larkin.

– Bardzo interesujące: zawiadowca nie przypominał sobie, by ktokolwiek tym damom towarzyszył. Wygląda na to, że rozpłynął się w powietrzu między zajazdem a stacją kolejową.

Larkin czuł, że pot leje się mu po plecach.

– No, cóż… w każdym razie obecność tego pomocnika wyjaśnia to i owo.

– Przede wszystkim zgruchotaną czaszkę Rimptona oraz wstrząs mózgu i złamane ramię Bonnera – odparł Trimley.

Larkin zmarszczył brwi.

– Cóż to ma znaczyć? Mówiłeś przecież, że Rimpton zginął w pożarze.

– Powiedziałem, że zginął tamtej nocy. Ale miałem sposobność obejrzeć jego zwłoki i jestem absolutnie pewny, że zginął z czyjejś ręki, a nie od płomieni.

Larkin prychnął pogardliwie.

– Żadna nauczycielka by tego nie zrobiła. Masz rację, Trimley. Musiała mieć pomoc! Pytanie tylko, co ten dżentelmen, który pośpieszył jej z pomocą, chciał na tym zyskać? Choćby nawet znał szczegóły naszego planu, nie mógł sam z niego skorzystać. Przecież zorganizowanie takiej aukcji zajęło nam kilka miesięcy!

– Nie musiał iść po naszych śladach, by mieć z tego jakiś profit – stwierdził Trimley. – Masz głowę do interesów, Larkin, więc pomyśl. Co byś zrobił, gdyby wpadł ci w ręce towar, który dla kogoś innego ma ogromną wartość?

Larkin odprężył się po raz pierwszy od chwili, gdy dotarła do niego wieść o zaginięciu dziewcząt.

– Dałbym poprzedniemu właścicielowi szansę odzyskania utraconego towaru.

– No właśnie! Jestem pewien, że wcześniej czy później ten, kto sprzątnął nam te dziewczyny sprzed nosa, da znać, że jest skłonny do negocjacji. A wtedy będziemy go mieli w garści!

– E tam, do wszystkich diabłów! Nie możemy przecież siedzieć na tyłku i czekać, kiedy tamten raczy się z nami skontaktować! Larkin nie czeka, tylko innym każe czekać!

– Uspokój się, Larkin! – Trimley wstał z ławki i podszedł do drzwi. – Tego tylko trzeba, żebyśmy zwrócili na siebie uwagę! Wcześniej czy później nasz dżentelmen złodziejaszek wynajdzie sposób skontaktowania się z tobą i da ci znać, że jest chętny do transakcji.

– Nie ty mnie będziesz pouczał, Trimley! – Ręka Larkina zacisnęła się w pięść. – Choćbym miał przeczesać całe miasto, odnajdę te dziewczyny!

– Rób, co chcesz, ale stracisz tylko czas.

– Skąd wiesz?

Trimley zatrzymał się przy drzwiach.

– Nie przeczę, że masz wspaniałe układy w niektórych dzielnicach Londynu. Ale obaj dobrze wiemy, że nigdy cię nie przyjmą w najlepszych domach w tym mieście. A wszystko wskazuje na to, że nasz dżentelmen jest tam mile widziany i czuje się jak ryba w wodzie.

Larkina ogarnął nagle ziąb, choć w pomieszczeniu było więcej niż gorąco.

Trimley uśmiechnął się lekko.

– Twoje bezceremonialne podejście do spraw ma swoje dobre strony, Larkin, ale obecna sytuacja wymaga finezji. Pozwól, bym się tym zajął. Przecież to jeden z powodów, dla których zgodziłeś się wejść ze mną w spółkę. Jestem mile widziany tam, gdzie twoja noga nigdy nie postała.

Trimley wyszedł, zamknął za sobą drzwi i udał się do sali, w której był basen z zimną wodą.

Larkin przez dłuższy czas wpatrywał się w zamknięte drzwi. To załatwia sprawę! – zdecydował. Trimley okazał się pomocny w ubiegłym roku, ale co za dużo, to niezdrowo. Kiedy szczęśliwie zakończą tę sprawę, postara się o to, by jego spółka z Trimleyem przestała istnieć raz na zawsze.

Larkin poprawił opadające prześcieradło i zamyślił się nad sposobem rozwiązania spółki. Pozbycie się dżentelmena z wyższych sfer wymagało gruntownego przemyślenia. Kiedy ktoś w rodzaju Trimleya ginie w

zagadkowych okolicznościach, policja przykłada się do roboty. Prasa dostaje amoku. Przesłuchania trwają bez końca.

W tej sprawie już i tak było za wiele podejrzanych zniknięć. Tylko tego brakuje, by zainteresował się tym Scotland Yard!

Niemniej jednak mnóstwa rzeczy można dokonać, jeśli działa się ostrożnie. Trimley nie miał racji. Mur, który odgradza klasy uprzywilejowane od pospólstwa, nie jest tak nieprzenikniony, jakby się zdawało. Śmierć może przekroczyć każdą barierę.

19

Dobroczynna Szkoła dla Dziewcząt, której Concordia poszukiwała, mieściła się w wielkim domu czynszowym. Nauczycielka odniosła wrażenie, że budynek ten wchłania w siebie każdy promyk wiosennego słońca i przetwarza całą tę jasność i ciepło na przejmujący chłodem, nieustępliwy mrok.

Gabinet dyrektorki idealnie pasował do całości. Tonął w nieustającym, przygnębiającym mroku. Było to idealne tło dla Edith Pratt, dyrektorki, która siedziała za wielkim biurkiem.

Straszliwa panna Pratt nie była aż tak wiekowa, jak utrzymywały Hannah, Phoebe, Edwina i Theodora. Prawdę mówiąc, była starsza od Concordii zaledwie o kilka lat; miała najwyżej trzydziestkę.

Była też całkiem atrakcyjna – wysoka, zgrabna, z wydatnym biustem. Miała delikatne rysy, włosy ciemnoblond i piwne oczy.

Ale walory fizyczne, którymi niegdyś mogła się poszczycić, od dawna skryły się pod grubą warstwą srogości i zawziętości. Zapewne życie przyniosło Edith Pratt gorzkie rozczarowanie. Concordia podejrzewała, iż główną ambicją dyrektorki szkoły było wzbudzenie w dziewczętach powierzonych jej opiece nieufności do życia, przekonania, że przyniesie im ono wszystko co najgorsze, wyrobienie w nich postawy, jaką ona sama przybrała z powodu życiowych rozczarowań.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci męża, pani Thompson – zwróciła się dyrektorka do swego gościa.

W jej głosie nie dało się słyszeć ani krzty współczucia. Jeżeli była kiedyś do niego zdolna, życie dawno temu wyleczyło ją z podobnych słabostek.

– Dziękuję, panno Pratt.

Concordia rozejrzała się ukradkiem po pokoju; czarna gęsta woalka miała bezsprzecznie wiele zalet! Ściany gabinetu dyrektorki pokryte były ciemną boazerią i pozbawione wszelkich upiększeń. Wisiały na nich tylko dwie fotografie i jakiś oprawny w ramkę tekst.

Na jednej z fotografii widniała – oczywiście – królowa Wiktoria, odziana we wdowie szaty, które włożyła po śmierci ukochanego męża, księcia Alberta, by nigdy już nie zdjąć żałoby.

Druga fotografia przedstawiała damę mniej więcej czterdziestoletnią we wspaniałej toalecie, obwieszoną biżuterią. Pod fotografią widniały słowa wypisane złotymi, ozdobnymi literami: „Nasza umiłowana dobrodziejka, pani Hoxton”.

Oprawny w ramkę tekst wisiał na ścianie za biurkiem dyrektorki. Pod nagłówkiem „Złote reguły dla dziewcząt pełnych wdzięczności” znajdowała się mało zachęcająca lista dwudziestu reguł. Concordia zapoznała się z pierwszą: „Szczerze wdzięczna dziewczyna jest zawsze posłuszna”.

Następnych reguł już nie czytała.

Edith Pratt złożyła splecione ręce na blacie biurka i spojrzała na gościa z wyrazem uprzejmego zainteresowania.

– Czym mogę pani służyć? – spytała.

– Przyszłam tu w bardzo delikatnej sprawie, panno Pratt. Dotyczy ona zdumiewających odkryć, które znalazłam w ostatniej woli mego zmarłego męża. Czy mogę polegać na pani dyskrecji?

– Jestem od wielu lat dyrektorką tej szkoły, pani Thompson. Przywykłam do spraw delikatnych i potrafię być dyskretna.

– Tak, tak! Oczywiście… – Concordia zdobyła się na smętne westchnienie. – Proszę mi wybaczyć… Nie otrząsnęłam się jeszcze z szoku.

– Co panią tak zaszokowało?

– Dowiedziałam się, że mój zmarły mąż przed kilkoma laty nawiązał… grzeszne stosunki z pewną kobietą i został ojcem nieślubnego dziecka. Nikt z rodziny nie miał o tym pojęcia.

Edith cmoknęła z dezaprobatą.

– Niestety, takie przypadki często się zdarzają.

– Przypuszczam, że pani w związku z pełnioną funkcją niejednokrotnie ma do czynienia z… żywymi dowodami braku odpowiedzialności niektórych dżentelmenów?

– Mężczyźni zawsze będą mężczyznami, pani Thompson. – Edith Pratt prychnęła z niesmakiem. – Obawiam się, że nie ma co liczyć na uszlachetnienie ich natury. Moim zdaniem zmniejszenie liczebności nieślubnych dzieci zależy wyłącznie od kobiet. Powinny się nauczyć umiarkowania i opanowania pod każdym względem… a szczególnie tam, gdzie dochodzą do głosu mroczne instynkty.

– Mroczne instynkty?…

– Te niemądre istoty, które pozwalają się sprowadzić pochlebstwem z prostej drogi na manowce, zawsze drogo za to płacą. A wraz z nimi cierpi ich niechciane dziecko.

Gorycz w głosie dyrektorki była bardzo wymowna. Concordia mogłaby się założyć, i to o większą sumę, że kiedyś, przed laty, Edith także dała się nabrać na czyjeś oszukańcze przysięgi i padła ofiarą własnej łatwowierności.

Concordia odchrząknęła lekko.

– A zatem, jak już mówiłam…

– Zaręczam pani, że w naszej szkole staramy się gorliwie wszczepić wszystkim wychowankom zdrowe zasady dyscypliny wewnętrznej, powściągliwości i opanowania – oświadczyła panna Pratt.

Concordię przejął dreszcz, ale opanowała się i przypomniała sobie, że przyszła tu w konkretnej sprawie; chciała poznać szkołę panny Pratt od

podszewki, dowiedzieć się jak najwięcej o dyrektorce, a nie wszczynać filozoficzne dysputy na temat właściwych metod wychowania młodych dziewcząt.

– Bardzo szczytne cele – rzuciła od niechcenia.

– Zapewniam panią, że nie jest to łatwe zadanie. Młode dziewczęta są tak pełne życia i skłonne do nieprzemyślanych entuzjastycznych zrywów! Tutaj, w naszej szkole, nie szczędzimy starań, by wyplenić te wszystkie wady.

– Jestem pewna, że dokonuje pani cudów, pozbawiając dziewczęta radości życia i skutecznie odzierając je z entuzjazmu. – Concordia uświadomiła sobie, że spoczywająca na jej podołku ręka zaciska się w pięść. Zmusiła się do rozprostowania palców. – Jak już mówiłam, owocem grzesznego związku mojego męża była dziewczynka. Nazwano ją Rebecca. Jej matka zmarła dwa lata temu. Mój mąż zadbał o to, by dziecko dostało się do sierocińca. Nigdy nie wspomniał mi o całej tej sprawie. Aż do jego śmierci nie miałam pojęcia, że prowadził podwójne życie. Był to dla mnie straszny cios.

– Bez wątpienia! – Na srogiej twarzy dyrektorki pojawiła się konsternacja. – Ale w jaki sposób mogło się to odbić na pani życiu?

– W swoim testamencie mój mąż wyraził żal, że zgodził się oddać Rebekę do sierocińca. Widocznie uznał poniewczasie, że dziewczynka powinna wychowywać się w domu swego ojca.

– To nonsens! Pani mąż nie mógł oczekiwać, że będzie pani wychowywać jego bękarta! Jak można wymagać czegoś takiego od przyzwoitej, dobrze wychowanej damy i ranić jej wrażliwe uczucia?

A uczucia dziecka można ranić bezkarnie?! – chciała wrzasnąć na cały głos Concordia. Czy cierpienia i ból małej dziewczynki w ogóle się nie liczą?… Przecież obowiązkiem dorosłych jest opieka nad biednym maleństwem. To nie wina Rebeki, że jest owocem nielegalnego związku!

Concordia czuła, że serce kołacze jej coraz mocniej, a emocje lada chwila wymkną się spod kontroli. Opanuj się, mówiła sobie w myśli, bo wszystko zepsujesz! To przecież tylko bajeczka, grasz rolę zmyślonej komedii!

Wiedziała jednak doskonale, że ta historia niebezpiecznie przypomina prawdę. A dzieci takich jak mała Rebecca jest mnóstwo na całym świecie.

– Być może – wycedziła przez zęby. – Ale mój mąż gorzko żałował, że oddał córkę do sierocińca. W swojej ostatniej woli prosił, bym dołożyła starań i odnalazła Rebekę oraz bym przekazała jej skromny spadek po ojcu i jego fotografię.

– Ach, tak?… Chodzi o spadek?

Edith Pratt okazała w tej chwili znacznie więcej zainteresowania sprawą. Concordia to zauważyła.

– Tak… Niewielki, raczej symboliczny, rozumie pani.

– Ach, tak?… – Iskierka zainteresowania w oczach dyrektorki zgasła.

– Chodzi o to – kontynuowała Concordia, uparcie trzymając się scenariusza – że w ostatniej woli mojego męża nie ma żadnej wzmianki, do jakiego sierocińca dziewczynka została oddana. Staram się więc odwiedzić jak najwięcej podobnych instytucji w nadziei, że natrafię w końcu na właściwą.

– No, cóż… Jeśli została oddana do przytułku albo do sierocińca, gdzie znajdują się dzieci pozbawione wszelkich koneksji, to zapewne poszła już na służbę.

– Ależ Rebecca ma dopiero dziewięć lat! – zawołała Concordia, znów zapominając o swojej roli.

– Jest już wystarczająco duża, by pomagać w kuchni w jakimś porządnym, zacnym domu – odparła Edith. – Dzieci, które idą na służbę, powinny być wdrażane do ciężkiej pracy. Należy też wbić im do głowy, że muszą ciężko pracować, by znaleźć dobrą posadę i nie skończyć na ulicy.

– Czy pani wychowanki, panno Pratt, idą na służbę?

– Ależ skąd! – Dyrektorka była głęboko urażona. – Przyjmujemy do naszej szkoły dziewczęta z dobrych domów. Zapewniamy im wykształcenie, by mogły pracować w charakterze guwernantki lub nauczycielki. Pozostają u nas przeważnie do siedemnastego roku życia. – Edith Pratt się nachmurzyła. – Mogłyby z pewnością zarabiać wcześniej na życie, ale bardzo trudno przekonać potencjalnych pracodawców, że panienka w młodszym wieku poradzi sobie z całą klasą albo wypełni obowiązki guwernantki w stosunku do niewiele od niej młodszych dziewcząt.

– Istotnie – powiedziała sztywno Concordia. Ona sama, szukając pierwszej posady, musiała kłamać ile wlezie, między innymi na temat swojego wieku. – Czy wszystkie pani wychowanki znajdują w końcu pracę?

– Te, które nauczą się właściwego zachowania, będą skromne, postarają się żyć zgodnie z naszymi złotymi regułami, znajdą z pewnością pracę. Ale… – tu Edith rozłożyła bezradnie ręce – od czasu do czasu zdarza się niepowodzenie.

– Ach, tak?… – Concordia uświadomiła sobie, że jej ręka znów zaciska się w pięść. – Co wówczas dzieje się z taką pechową wychowanką?

– Niestety, najczęściej idzie na ulicę – odparła zdawkowym tonem Edith Pratt. – A teraz wróćmy do nieślubnej córki pani męża. Mamy u nas trzydzieści siedem dziewcząt. Jeśli dobrze pamiętam, dwie z nich mają na imię Rebecca. Z przyjemnością sprawdzę ich akta w naszej kartotece. W ten sposób dowiemy się, czy któraś z nich ma jakieś powiązania z rodziną Thompsonów.

– To bardzo uprzejmie z pani strony.

Edith Pratt rzuciła znaczące spojrzenie na szafki pełne akt.

– Mam wyjątkowo dużo spraw na głowie, pani Thompson. A dokładne przejrzenie akt wymaga sporo czasu.

Aluzja była bardzo przejrzysta.

– Oczywiście, dodatkowa żmudna praca wymaga specjalnej zapłaty. Nalegam, by pani zechciała ją przyjąć.

Ambrose miał świętą rację, pomyślała Concordia, Edith wręcz domagała się łapówki.

Z wnętrza mufki wydobyła banknot, który Ambrose wręczył jej w tym właśnie celu. Położyła pieniądze na blacie biurka.

– Doskonale, sprawdzę, czy jest u nas Rebecca, nieślubna córka pana Thompsona. – Banknot znikł błyskawicznie w kieszeni dyrektorki. – Czy pani zna może nazwisko jej matki?

– Niestety, nie.

Edith wstała, podeszła do znajdujących się w przeciwległym kącie pokoju szaf z aktami, otworzyła szafkę oznakowaną literami: „P–T”. Concordia zauważyła, że jest w niej mnóstwo teczek i luźnych dokumentów. Znów ją coś ścisnęło w brzuchu. Ileż to tragicznych losów upchano do tej mrocznej szafy!

Ktoś zastukał do drzwi gabinetu.

– Proszę wejść, panno Burke – powiedziała dyrektorka, nie odwracając głowy.

Drzwi otworzyły się i Concordia ujrzała bezbarwną kobiecinę, podobną do niepozornego ptaszka. To ona przed chwilą otworzyła jej drzwi.

– Bardzo przepraszam, panno Pratt, ale sama pani poleciła, by powiadomić ją od razu, gdy się zjawią ci węglarze.

– W porządku, panno Burke. – Edith zatrzasnęła szafkę i odwróciła się ze zdumiewającą energią. – Proszę wybaczyć, pani Thompson, że opuszczę panią na chwilę. Muszę zamienić kilka słów z dostawcami węgla. Zużywamy go stanowczo za dużo; przecież to już wiosna! Mam zamiar zmniejszyć zamówienie.

– Oczywiście – mruknęła Concordia, myśląc przy tym, że tego roku wiosna jest wyjątkowo chłodna.

Dyrektorka wyszła na korytarz. Panna Burke rzuciła Concordii przepraszające spojrzenie, skinęła jej głową i zamknęła za sobą drzwi.

Concordia została sama w gabinecie.

Spojrzała na szafy pełne akt. Potem na zamknięte drzwi. Energiczne kroki Edith Pratt cichły w dali.

Okazja była zbyt dobra, by jej nie wykorzystać.

Concordia zerwała się z miejsca, podbiegła do szaf z aktami i otworzyła piewszą, opatrzoną napisem: „A–C”.

Cooperów było sporo, ale nie znalazła akt Edwiny ani Theodory.

Zamknęła szafkę i zajęła się inną, w której powinny być akta Phoebe Leyland.

Także i w tym wypadku poszukiwania okazały się daremne.

Nie odnalazła również żadnych danych na temat Hannah Radburn.

Wyglądało to tak, jakby tych dziewcząt nie było na świecie.

Rozczarowanie i bezsilny gniew ogarnęły Concordię. Przecież musiały zostać jakieś dokumenty dotyczące tych czterech dziewcząt! Wszystkie były przecież uczennicami tej szkoły!

Concordii przypomniał się sukces, jaki odniósł Ambrose po przeszukaniu biurka pani Jervis. Podeszła więc do masywnego biurka Edith Pratt.

Pierwszą rzeczą, która przyciągnęła jej uwagę, był wielki, oprawny w skórę dziennik.

Otworzyła go i znalazła w środku wykaz spotkań i rozkład zajęć oraz harmonogram podobny do tych, jakie można znaleźć na biurku prawie każdej dyrektorki. Concordia nie była zdziwiona, że Edith Pratt utrzymywała w nieskazitelnym porządku swoje papiery. Szczegółowy plan zajęć dla każdej grupy, opracowywane na tydzień jadłospisy, wzmianka o zmianie bielizny pościelowej raz na miesiąc – wszystko to odnotowywała drobnym, ale czytelnym pismem.

Pościel zmieniano tu raz na miesiąc? Oburzające! – myślała Concordia. W większości szkół z internatem oraz w domach prywatnych przewlekano

bieliznę pościelową raz na dwa tygodnie. Widocznie panna Pratt znalazła jeszcze jeden sposób na obcinanie wydatków. To prawda, że pranie, suszenie i prasowanie kosztowało wiele czasu i wysiłku, ale wykonywanie tych czynności możliwie często było niezbędne dla utrzymania ogólnej czystości oraz zdrowia podopiecznych.

Concordia z uwagą studiowała notatki z minionego tygodnia, ale nie dostrzegła nic wartego zapamiętania. Nie mogąc skupić się na niczym innym, cofnęła się do miesiąca, w którym Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora opuściły szkołę i zostały wysłane do Aldwick Castle.

Dwa dni przed wyjazdem dziewcząt w księdze panny Pratt pojawiła się notatka: „H. Cuthbert, Dorchester Street", nie tylko wyraźnie wypisana, ale dwukrotnie podkreślona. Bezpośrednio pod nią znalazło się wyjaśnienie: „rach. za 4 p. nowych rękaw. & 4 nowe czepki".

Concordia przejrzała dokładnie rozkład zajęć z kilku dni poprzedzających tę datę, ale nie znalazła nic równie pożytecznego.

Zamknąwszy dziennik, Concordia otworzyła największą szufladę biurka. Rzucił się jej w oczy napis: „Korespondencja".

Była to bardzo cienka teczka.

Przejrzała ją pośpiesznie. Większość korespondencji stanowiły listy od potencjalnych pracodawców, domagających się szczegółowego opisu wyglądu i uzdolnień najnowszych absolwentek szkoły. Concordia zauważyła, że istnieje duży popyt na skromne młode kobiety o nieciekawej powierzchowności. Niewiele mężatek kwapiło się do zatrudniania guwernantki, która mogłaby wzbudzić zainteresowanie męskich członków rodziny.

Concordia miała już odłożyć teczkę do właściwej szuflady, gdy rzucił się jej w oczy podpis pod jednym z listów: „W. Leyland".

Leyland?! Przecież to nazwisko Phoebe!

W holu rozegły się głośne kroki.

Nie było czasu na czytanie listu. Concordia wyjęła go więc z teczki i wetknęła do kieszeni płaszcza.

Szybciutko okrążyła biurko i stanęła przy oknie, udając, że wygląda na ulicę.

Drzwi gabinetu otworzyły się z impetem.

– No! Jedna sprawa załatwiona! – obwieściła Edith Pratt. Była nieco zaróżowiona i ogromnie zadowolona. – Koniec z paleniem w kominkach do października włącznie!

– Miała pani przejrzeć kartotekę i poszukać w niej Rebeki – przypomniała „pani Thompson”, odwracając się od okna.

– Tak, tak… Oczywiście.

Edith podeszła do szafki zawierającej nazwiska na T; przewertowała śpiesznie akta i zatrzasnęła drzwiczki.

– Bardzo mi przykro, ale nie mam tu danych o dziewięcioletniej dziewczynce imieniem Rebecca, córce pana Thompsona.

– Dziękuję, panno Pratt – powiedziała Concordia, kierując się ku drzwiom. – Ogromnie mi pani pomogła.

Wyszedłszy na korytarz, musiała hamować się ze wszystkich sił, by nie przyśpieszyć kroku. Instynkt podpowiadał jej, że powinna stąd wyjść jak najprędzej, wydobyć się z tej duszącej atmosfery.

Mizerna panna Burke otworzyła drzwi i słabym głosem pożegnała wychodzącą damę. Concordia miała nieodparte wrażenie, że ta kobieta marzy wprost o tym, by w ślad za nią wyjść z budynku. Biedaczka była – podobnie jak uczennice – więźniem szkoły.

Concordia odetchnęła z ulgą, wyszedłszy na ulicę. Nagle uświadomiła sobie, że przez cały czas, kiedy była w szkole, nie natknęła się na żadną uczennicę.

Nie zdumiało jej to jednak. Hannah, Phoebe, Edwina i Theodora opowiadały, że dziewczęta większość czasu spędzają na górnych piętrach starego domu. Schodzą na dół jedynie na dwa posiłki w sali jadalnej oraz,

trzy razy w tygodniu, na dwudziestominutowe ćwiczenia gimnastyczne, które odbywają się na ogrodzonym kawałku gruntu na tyłach domu.

Na rogu ulicy Concordia przystanęła, by po raz ostatni spojrzeć na mroczny budynek. Zauważyła nagły ruch w jednym z okien na górze. Dostrzegła nawet bladą twarz, zwróconą w jej kierunku. Przyszła jej na myśl Joan, przyjaciółka Hannah, ukryta gdzieś w gmachu szkoły.

Concordia zadrżała. Ależ miała szczęście! Udało się jej wyjść z tego okropnego domiska! Ale dziewczynka stojąca w oknie i trzydzieści sześć jej koleżanek były uwięzione w jego mrocznym wnętrzu.

Oczy Concordii zachodziły łzami, gdy skręciła za róg ulicy i ruszyła wprost do powozu, w którym czekał na nią Ambrose. Ściągnęła pośpiesznie rękawiczkę.

Nikt z przechodniów nie zwrócił na nią uwagi, gdy ocierała zapłakane oczy. Kto jak kto, ale wdowa ma prawo ronić łzy w najbardziej nieodpowiednich momentach.

20

Odebrało ci rozum?! – spytał gniewnie Ambrose, siadając w powozie na wprost Concordii. – Skąd ci przyszedł do głowy ten niewydarzony pomysł?!

Concordia uświadomiła sobie, że Ambrose jest wściekły. Ta reakcja zupełnie ją zaskoczyła.

Gdy kilka minut temu wsiadła do powozu, spodziewała się pochwały i podziwu dla swojej pomysłowości. Ale Ambrose rozzłościł się na nią.

– O co ci chodzi? Po prostu przejrzałam kartotekę panny Pratt, korzystając z jej nieobecności! – Concordia, oburzona, uniosła czarną, mocno wymiętą woalkę i udrapowała na rondzie kapelusza. Dzięki temu Ambrose mógł widzieć w całej okazałości jej wrogie spojrzenie. – Zupełnie nie pojmuję, co cię tak wzburzyło, mój panie! Gdybyś się znalazł na moim miejscu, jestem pewna, że postąpiłbyś tak samo!

– Nie dyskutujemy o tym, co ja bym uczynił! Otrzymałaś wyraźne wskazówki, jak masz się zachowywać w tym okropnym miejscu! Podkreślałem, że nie wolno ci zrobić niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia!

– I nie wzbudziło, możesz być pewny!

– Tylko dlatego, że masz znacznie więcej szczęścia niż rozumu. Inaczej przyłapaliby cię na gorącym uczynku!

– To nie szczęśliwy traf uchronił mnie od zdemaskowania – odparła – tylko moja ostrożność i spryt! A poza tym nie życzę sobie takich kazań i

wyrzutów… i to od kogo?! Od człowieka, który dzień w dzień naraża się na takie samo albo i gorsze ryzyko! Kto obrał sobie taką karierę?!

– Nie dyskutujemy o mojej karierze!

– O tak, to święta prawda! – Obdarzyła go na tyleż słodkim co fałszywym uśmiechem. – Na dobrą sprawę nic o tobie nie wiem! Tajemniczy z pana osobnik, panie Wells!

– Nie zmieniaj tematu! Mówimy o twoich wybrykach!

– Na litość boską! Zachowujesz się tak, jakbyś miał prawo wydawać mi rozkazy, a potem rozliczać mnie z ich wykonania. Czyżbyś zapomniał, że to ja cię wynajęłam? Jestem twoją klientką!

– A ja jestem ekspertem, który zjadł zęby na podobnych sprawach! Zdrowy rozsądek nakazuje, żebyś słuchała moich instrukcji!

– Doprawdy? Czyżbyś aż tyle wiedział o przechowywaniu dokumentacji i o tym, jak wygląda szkolna kartoteka? Założę się, że nie masz o tym pojęcia. Natomiast ja od początku mojej kariery mordowałam się z tą piekielną dokumentacją!

– Jesteś nauczycielką, psiakrew, a nie detektywem!

– To po prostu śmieszne! Dlaczego, u licha, tak dramatyzujesz coś, co w gruncie rzeczy sprowadza się do chwilowej zabawy w detektywa, i to z niezłym rezultatem?

– Jeśli, jak to określasz, dramatyzuję, to dlatego, że przeraziłem się jak nigdy w życiu! I to wyłącznie przez ciebie, panno Glade!

Zamrugała oczyma.

– Co takiego?!

Jęknął i przyciągnął ją ku sobie. Zacisnął ręce na jej ramionach i zanim Concordia zorientowała się, co on wyrabia, już siedziała mu na kolanach.

– Wpadłem bez nadziei, prawda? – W głosie Ambrose’a była nutka rezygnacji. – Taki widać mój los. Doprowadzasz mnie do szaleństwa!

Concordia mocowała się z kapeluszem, który przekrzywił się z powodu nagłej zamiany miejsc.

– Co ty wygadujesz, na litość boską?!

Zaczął całować ją z taką gwałtownością, że nie tylko odebrało jej mowę, ale i zabrakło tchu.

Cały świat poza trzęsącym się i chyboczącym powozem przestał istnieć. A w jej wnętrzu zapłonęło cudowne migotliwe światło. Położyła dłonie na ramionach Ambrose’a. Już po raz drugi ją całował, Concordia skorzystała więc ze sposobności, aby sprawdzić w praktyce to, czego się za pierwszym razem nauczyła.

W ramach tych ćwiczeń powtórzeniowych rozchyliła lekko wargi. Ambrose wymamrotał coś naglącym szeptem i objął ją mocniej.

Bardzo udany eksperyment! – orzekła w duchu.

Concordia była rozgorączkowana i podniecona, a szkła jej okularów znów się zamgliły.

Pozbyła się ich jednym szarpnięciem.

– Do licha z tym!

Spojrzał na nią przeciągle, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Czekasz na przeprosiny?

– Za to, że okulary zaszły mi mgłą? – Wytarła starannie szkła czystą chusteczką i spojrzała na nie pod światło, czy nie pozostały jakieś smugi. – Doprawdy, nie widzę potrzeby. Przecież to nie twoja wina, że gorące, wilgotne powietrze, na przykład czyjś oddech, stykając się ze szkłem lub z lustrzaną powierzchnią, wytwarza na niej mgiełkę. To dobrze znane zjawisko fizyczne.

Włożyła znów na nos okulary i odkryła, że Ambrose patrzy na nią, uśmiechając się dziwnie. Zmarszczyła brwi.

– Czy coś się stało?

Pokręcił głową, jakby nadal był oszołomiony.

– Nic takiego, co mógłbym wyrazić w rozsądny sposób.

Wyczuwała grę potężnych mięśni na jego udach, twardość jego pobudzonego ciała, napierającego na nią. To wszystko przeze mnie! –

powtarzała w duchu, olśniona dopiero co odkrytą potęgą własnej kobiecości.

Powóz podskakiwał na wyjątkowo nierównej jezdni. Ten ruch sprawił, że przytuliła się do Ambrose’a jeszcze mocniej… Nagle wróciło jej poczucie rzeczywistości. Byli w wynajętym powozie, na litość boską! To nie miejsce na podobne igraszki!

Odkaszlnęła.

– Chyba lepiej będzie, jeśli wrócę na swoje miejsce.

Jego usta skrzywiły się lekko, ale gorące spojrzenie nadal podniecało Concordię tak, że trudno jej było oddychać.

– Chyba lepiej, panno Glade.

No, cóż… Przynajmniej już się na mnie nie złości, pomyślała. Dobry znak! Wzięła się w garść, poprawiła spódnicę i siadła znów naprzeciwko Ambrose’a.

– Może teraz, kiedy skończyłeś mnie besztać, zainteresuje cię, co znalazłam w gabinecie panny Pratt? – zagadnęła go.

Zmarszczył brwi.

– Powiedziałaś przecież, że nie było tam akt żadnej z czterech dziewcząt?

– Istotnie. Najmniejszego śladu, że przebywały niegdyś w tej szkole – odparła cierpliwie. – Znalazłam jednak dwa interesujące drobiazgi w biurku dyrektorki. Pierwszy to notatka w dzienniku panny Pratt, dotycząca rachunku za cztery pary rękawiczek oraz cztery nowe czepki, który miał być odesłany komuś o nazwisku H. Cuthbert na Dorchester Street.

– Któż to taki?

– Nie mam pojęcia, ale jego nazwisko znalazło się w dzienniku dwa dni przedtem, zanim przekazano cztery uczennice pod opiekę panny Bartlett i wyprawiono je do Aldwick Castle. Myślę, że zakup czterech par rękawiczek i czterech czepków akurat wtedy nie jest zwykłym zbiegiem

okoliczności, nieprawdaż? Wniosek nasuwa się sam, dziewczęta zostały tak wyposażone na drogę do zamku.

Brwi Ambrose’a powędrowały w górę.

– Wybacz mi, Concordio! Masz doprawdy zadatki na wzorowego detektywa. A jak fachowo się wyrażasz!

– Dziękuję! – Concordia, bardzo z siebie zadowolona, sięgnęła do kieszeni płaszcza. – A drugi dowód rzeczowy, moim zdaniem bardzo obiecujący, to list podpisany nazwiskiem W. Leyland.

W oczach Ambrose’a dostrzegła błysk zrozumienia.

– Jakiś krewny Phoebe?

Pies gończy znowu na tropie! – pomyślała Concordia z wyraźną ulgą. Znacznie łatwiej było dogadać się z Ambrose’em w takim wcieleniu.

– Możliwe – odparła. – Nie miałam jeszcze okazji, by zapoznać się z jego treścią. – Ostrożnie otworzyła kopertę. – Jak widzisz, nieco się zmiął. W chwili gdy go odkryłam, usłyszałam, że panna Pratt wraca. Wetknęłam więc list do kieszeni, najszybciej jak mogłam.

– Innymi słowy, omal cię nie zdemaskowała. Dokładnie tak, jak się obawiałem: byłaś o włos od katastrofy.

Concordia próbowała wygładzić list na ławeczce.

– Dla dobra nas obojga, lepiej do tego nie wracaj!

Ambrose zacisnął szczęki, ale nie drążył tematu.

– Czytaj głośno! – poprosił.

Concordia wzięła list do ręki.

„Do wiadomości wszystkich zainteresowanych:

Piszę ten list, by dowiedzieć się, czy moja bratanica nie przebywa przypadkiem w Państwa szkole lub sierocińcu. Nazywa się Phoebe Leyland. Cztery miesiące temu płynęła łodzią po rzece i skutkiem wypadku zaginęła bez wieści. Jej ciała nie znaleziono. Policja jest przekonana, że utonęła.

W odróżnieniu od większości dziewcząt, Phoebe umiała pływać, i to bardzo dobrze. Przyszło mi do głowy, że być może ocalała, ale straciła pamięć z powodu szoku lub urazu głowy.

Na wypadek gdyby Phoebe została odnaleziona i umieszczona w przytułku, ponieważ nie wiedziała, kim jest ani co się z nią stało, wysyłam te listy do wszelkich możliwych instytucji w nadziei, że w którejś z nich znajdzie się dziewczynka podobna do mojej siostrzenicy. Załączam dokładny opis jej wyglądu i charakteru…”

Concordia przeczytała opis, odpowiadający co do joty wyglądowi i charakterowi Phoebe. Skończywszy czytać, spojrzała na Ambrose’a.

– List podpisano: „W. Leyland” – powiedziała cicho. – Phoebe nieraz wspominała z wielką serdecznością swoją ciocię, starą pannę, Winifred Leyland. Ojciec Phoebe życzył sobie, by w razie jego śmierci córka pozostawała pod opieką Winifred. Jednakże wuj ze strony matki wziął ją do siebie. I on, i jego żona zapewnili Phoebe, że ciotka Winifred zmarła na febrę.

– A potem odesłali Phoebe do sierocińca?

– Właśnie! – Concordia postukała w list. – To jakaś bezsensowna bzdura! Gdyby wuj i wujenka chcieli się pozbyć podopiecznej, czemu nie odesłali jej Winifred Leyland, która się paliła do tej opieki? Czemu posłali Phoebe do szkoły panny Pratt, nagadawszy dziewczynie łgarstw o śmierci ciotki Winifred?

Ambrose usiadł wygodniej i się zamyślił.

– Najbardziej mnie zdumiewa, że wuj i wujenka zadali sobie tyle trudu, by poinformować pannę Winifred Leyland o utonięciu Phoebe!

Palce Concordii zacisnęły się na liście.

– Jak w ogóle ktoś mógł rozłączyć, uciekając się do podłego kłamstwa, dwie samotne i nawzajem kochające się osoby, na których nikomu innemu nie zależało?! To nieludzkie!

– Podejrzewam, że Larkin lub jego wspólnik nieźle zapłacił wujkowi i wujence za współpracę… i za milczenie.

Concordia wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w list.

– Myślisz, że krewni sprzedali Phoebe tym rajfurom?!

– Wszystko na to wskazuje. Widać też wyraźnie, że Edith Pratt maczała w tym palce. Larkin i jego wspólnik zapłacili jej za przyjęcie tych dziewcząt do szkoły bez żadnych indagacji, a potem znów je odebrali, by przewieźć do Aldwick Castle.

– Przypuszczam, że zapłacili sowicie pani dyrektorce za jej pomoc – powiedziała Concordia, zaciskając znów rękę w pięść. – Zwróciłam uwagę na to, że jest bardzo elegancko ubrana… Zbyt elegancko jak na dyrektorkę szkoły opłacanej przez instytucje dobroczynne. A ty co o tym myślisz?

Ambrose złożył głowę na tylnym oparciu powozu.

– Myślę, że już najwyższy czas porozmawiać z czterema osobami, które wiedzą o całej sprawie więcej niż ktokolwiek inny.

21

Ambrose zasiadł za biurkiem i przyglądał się Hannah, Phoebe, Edwinie i Theodorze. Siedziały naprzeciw niego w równym rzędzie. Ciekawość, nadzieja i radosne podniecenie dodawały blasku ich twarzom.

Concordia zajęła fotel w pobliżu okna. W odróżnieniu od dziewcząt była poważna, trochę zaniepokojona. Ambrose wiedział, że gryzła się tym, iż pod wpływem jego pytań dziewczęta będą musiały powrócić myślą do najbardziej tragicznych chwil swojego życia. On również nie palił się do tego przesłuchania, ale nie miał innego wyjścia.

Musiał znaleźć odpowiedzi na swoje pytania, a Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora prawdopodobnie wiedziały o wiele więcej, niż im się zdawało.

– Panna Glade mówiła, że pan potrzebuje naszej pomocy, żeby wyświetlić sprawę – zaczęła Theodora.

– Chętnie panu pomożemy – zapewniła go Edwina.

– Czy to znaczy, że zostałyśmy asystentkami detektywa? – spytała z zapałem Phoebe. Jej oczy za szkłami okularów błyszczały entuzjazmem.

– W rzeczy samej – potwierdził Ambrose.

– Jakie to podniecające! – oznajmiła teatralnym szeptem Hannah. – Zupełnie jak w powieści!

Concordia uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy zebrali się w bibliotece.

– Masz rację, Hannah. Wszystkie cztery stałyście się bohaterkami niezwykle tajemniczej i niepokojącej opowieści. My zaś próbujemy

zidentyfikować sprawcę wszystkich tych zbrodni.

– Czego pan chce się od nas dowiedzieć? – spytała Phoebe.

Ambrose spojrzał jej w oczy.

– Na początek, Phoebe, chcemy ci powiedzieć, że całkiem możliwe, iż twoja ciotka, pani Winifred Leyland, wcale nie zmarła. I w dodatku próbuje cię odnaleźć.

– Ciocia Winifred? – Phoebe wpatrywała się w mówiącego; była kompletnie zdezorientowana. – Żyje?… Przecież wuj Wilbert powiedział, że zmarła na febrę!

Ambrose spojrzał na datę leżącego przed nim listu.

– Przynajmniej dwa miesiące temu była żywa i zdrowa, i mieszkała w High Hornby.

– Tak, tam jest cioci dom – szepnęła Phoebe. – Mieszka tam od lat… Ale czemu wuj Wilbert i wujenka Mildred mówili, że ciocia zmarła? – zapytała takim tonem, jakby zaraz miała się rozpłakać.

Concordia w mgnieniu oka znalazła się przy Phoebe. Objęła mocno rozdygotaną dziewczynkę.

– Już dobrze, kochanie, już wszystko dobrze! – mówiła cicho. – Możesz być pewna, że jeśli twoja ciocia żyje, odnajdziemy ją z pewnością!

Phoebe chlipnęła kilka razy i spojrzała błędnym wzrokiem na Concordię.

– Ja już naprawdę nic nie rozumiem, panno Glade…

– My także… na razie – uściślił Ambrose. – Ale z pewnością wszystko rozwikłamy. A zatem, do roboty! Z listu twojej cioci wynika, iż powiadomiono ją, że utonęłaś podczas przejażdżki łodzią po rzece. Może wiesz, skąd się wzięło to dziwne nieporozumienie?

Phoebe pokręciła głową.

– Mój ojciec nieraz ze mną pływał łodzią po rzece. Nauczył mnie pływania, żeby nic mi się nie stało w razie wywrotki. Ale nie pływałam łodzią po rzece od czasu, gdy zachorował i zmarł.

Ambrose złożył ręce na blacie biurka i spojrzał na dziewczęta.

– Wiem, że to będzie dla was bolesne przeżycie. Ale bardzo bym chciał, żeby każda z was wróciła pamięcią do chwili, gdy zostałyście przeniesione do szkoły panny Pratt. Zależy mi na nazwiskach i adresach krewnych, którzy odwieźli was na Rexbridge Street.

Jego prośba wprawiła dziewczęta w zakłopotanie.

– Mój wujek wcale mnie nie odwiózł do szkoły – oznajmiła Phoebe, marszcząc czoło.

Concordia się zasępiła.

– Chcesz powiedzieć, że wysłali cię pociągiem bez opieki?!

– Nie – odparła Phoebe. – Wuj Wilbert zaprowadził mnie do zajazdu, a tam czekał już jakiś pan z własnym powozem. Wuj kazał mi wsiąść do powozu i powiedział, że ten pan odwiezie mnie do mojego nowego domu. To była bardzo długa podróż!

Oczy Hannah napełniły się łzami.

– Ze mną było tak samo. Moja ciotka oddała mnie pod opiekę nieznajomego pana, który zabrał mnie powozem. Od tamtej pory nie widziałam cioci.

– Z nami było podobnie, gdy opuszczałyśmy nasz dom – wyjawiła Edwina. – Prawda, Theodoro?

Theodora skinęła głową w milczeniu i sięgnęła po chustkę od nosa.

– Dobry Boże! – Concordia przyklękła na wprost dziewcząt i chwyciła je za ręce. – Nigdy nie wspomniałyście o tym, że zostałyście wysłane do szkoły pod opieką kogoś całkiem obcego! Musiałyście być przerażone… Czy on… czy wyrządził wam jakąś krzywdę?…

– Nie. – Edwina wzruszyła ramionami. – Nie był ordynarny ani nieuprzejmy. Jeśli dobrze pamiętam, nie odezwał się do nas ani razu w czasie podróży. Mam rację, Theodoro?

– Przez cały czas czytał gazety – potwierdziła Theodora.

– Ten pan, który mnie odwiózł do szkoły, zupełnie nie zwracał na mnie uwagi – powiedziała Hannah. – Ale nie bałam się jego, tylko tego, dokąd

mnie wiezie.

Phoebe skinęła głową potakująco.

– Nie zrobił mi nic złego, panno Glade. Naprawdę!

Concordia uśmiechnęła się przez łzy.

– Kamień spadł mi z serca!

Ambrose spojrzał na nie bacznie.

– Czy ten pan, który odwiózł was do szkoły, podał wam swoje nazwisko?

Wszystkie cztery pokręciły głowami.

– Potrafiłybyście go opisać? – spytał Ambrose.

Edwina zerknęła na siostrę.

– Przypominał mi pana Phillipsa.

Theodora żywo przytaknęła.

– Masz rację!

Ambrose sięgnął po pióro i kartkę papieru.

– Kto to taki, ten pan Phillips?

– To doradca prawno-finansowy naszego ojca – wyjaśniła Edwina. – Przeszedł na emeryturę tuż przed śmiercią naszych rodziców.

– Ten pan, który odwiózł mnie do szkoły, wyglądał podobnie – wtrąciła Hannah.

Przygarbiła się, dotknęła brodą piersi i przymrużyła oczy, jakby chciała odczytać coś niewyraźnie napisanego.

– Tak! Dokładnie tak wyglądał, kiedy przez całą podróż siedział bez słowa! – wykrzyknęła Phoebe.

Ambrose poczuł na sobie badawcze spojrzenie Concordii i zaprzeczył ruchem głowy.

– To nie Larkin – rzekł cicho. – Może to jego wspólnik.

Concordia zwróciła się do Theodory.

– Tak wspaniale rysujesz, kochanie. Mogłabyś naszkicować tego człowieka?

Wszyscy spojrzeli najpierw na Concordię, potem na Theodorę. Ambrose poczuł nagle, jak bardzo jest spięty.

– Mogę spróbować – powiedziała niezbyt pewnie Theodora. – Ale to było tak dawno… Nie pamiętam dokładnie jego rysów

– Wszystkie go widziałyśmy – przypomniała jej Phoebe. – Zacznij go rysować, Theodoro, a my podpowiemy ci, gdybyś o czymś zapomniała, dobrze? Dzięki temu może wyjść całkiem niezły portret!

– Genialny pomysł, Phoebe! – pochwalił Ambrose i wstał. – Siądź przy biurku, Theodoro. Postaram się o więcej papieru.

– Może Hannah usiądzie tak jak przed chwilą? Bardzo by mi to pomogło – poprosiła Theodora, zajmując miejsce Ambrose’a.

Hannah natychmiast się zgarbiła. Ambrose był zdumiony, jak w jednej chwili pełna życia panienka zmienia się w przygarbionego, krótkowzrocznego jegomościa w średnim wieku.

– Był prawie łysy – zauważyła Theodora, biorąc do ręki ołówek. – To pamiętam doskonale!

– A ta resztka włosów miała jasnoszary kolor – dodała Edwina i zmarszczyła nos. – Nosił tandetne ubranie i byle jakie buty.

Dziewczęta stłoczyły się wokół Theodory, każda coś dodawała.

– Jeszcze wąsy i bokobrody – podsunęła Phoebe. – I nie zapomnij o binoklach!

Ołówek Theodory zaczął śmigać po papierze.

Godzinę później Ambrose znów był sam na sam z Concordią w bibliotece. Stali oboje przed biurkiem, podziwiając portret, naszkicowany przez Theodorę.

– Rzeczywiście, wygląda na doradcę, który nie ma komu doradzać, nieprawdaż? – ocenił Ambrose, wpatrując się w rysunek. – Dziewczęta miały rację.

– Mówiłam ci, że są bardzo spostrzegawcze. – Concordia nie odrywała oczu od szkicu. – Myślisz, że to ten tajemniczy wspólnik Larkina?

– Nie. Wydaje mi się, że jest dokładnie tym, za kogo go wzięły dziewczęta, jakimś doradcą.

– Dlaczego tak uważasz?

Oparł się o biurko.

– Cała ta sprawa od początku do końca wygląda na wielce skomplikowany interes. Inwestowano w nią, nie licząc się z groszem. Wynajmowano… i przekupywano nauczycieli. Płacono od ręki tym, którzy chętnie by się pozbyli ubogich młodych krewnych. Wynajmowano powozy, żeby uniknąć podróży pociągiem. Lista tego rodzaju kosztownych wydatków musiała być bardzo długa.

– Rozumiem, do czego zmierzasz. Osoby takie jak Larkin czy jego wspólnik z pewnością nie zadawałyby sobie tyle fatygi. Trzeba było znaleźć kogoś, kto zająłby się tym wszystkim.

Ambrose rozpostarł ręce.

– A któż by się do tego lepiej nadawał niż prawdziwy doradca?

Concordia się rozpromieniła.

– Masz na myśli pana H. Cuthberta, wymienionego w dzienniku panny Pratt? Tego, któremu wysłała rachunek za cztery pary rękawiczek i cztery czepki?

Ambrose raz jeszcze spojrzał na szkic.

– Coś mi się zdaje, że dziś po południu złożę wizytę na Dorchester Street.

– Wspaniały pomysł! Jadę z tobą.

– Ależ Con…

– Kimkolwiek jest ten Cuthbert, wszystko na to wskazuje, że brał czynny udział w uprowadzeniu moich czterech uczennic. Jadę z tobą, Ambrose, i już!

22

Bardzo jesteśmy zobowiązani, panie Cuthbert, że zgodził się pan nas przyjąć bez uprzedniego ustalenia terminu.

Ambrose przysunął krzesło Concordii, a następnie sam zajął miejsce. Poprawił kanty na spodniach, umieścił laskę między kolanami, a okryte rękawiczkami dłonie na rączce laski.

Concordia wymamrotała z lodowatą uprzejmością jakiś banał. Herbert Cuthbert nie dostrzegł, na szczęście, z trudem maskowanej odrazy w jej głosie; jednak Ambrose zdawał sobie w pełni sprawę z uczuć swojej towarzyszki. Na szczęście gęsta czarna woalka nie pozwalała dostrzec wyrazu jej twarzy.

– Nie ma za co dziękować, doprawdy – odpowiedział Cuthbert. W jego bladych oczach chęć przypodobania się potencjalnym klientom walczyła o lepsze z desperacją. – Tak się akurat zdarzyło, że mam wolne popołudnie.

Ambrose przypuszczał, że to role, w jakie postanowili wcielić się dziś z Concordią – małżeńskiej pary z wyższych sfer, niewątpliwie bardzo zamożnej, skłoniły Cuthberta do znalezienia miejsca dla nich w terminarzu spotkań.

Theodora doskonale uchwyciła osobowość Cuthberta i sytuację, w jakiej się obecnie znajdował. Był rzeczywiście doradcą prawnym i finansowym, a powodziło mu się nieszczególnie. Sądząc po spłowiałych kotarach oraz nędznym umeblowaniu jego kancelarii, Cuthbert z pewnością nie mógł sobie pozwolić na to, by zrazić potencjalnych klientów.

– To naprawdę ładnie z pana strony – wymamrotał Ambrose w gęstą brodę.

Jego peruka, sztuczne wąsy, broda i bokobrody były obficie przetykane srebrem i szarością. Noszenie tego zarostu nie sprawiało Ambrose’owi przyjemności, gdyż w krótkim czasie robiło się gorąco pod takim kompresem. Ale zmieniało jego wygląd nie do poznania. Złudzenie podeszłego wieku wzmagały jeszcze staroświecki krój ubrania oraz ciepły szal owinięty wokół szyi.

Hannah, Phoebe, Edwina i Theodora przyjrzały się Ambrose’owi z wielkim zainteresowaniem, zanim przed godziną wyszedł z domu w towarzystwie Concordii. Dziewczęta były zafascynowane zmianą w jego wyglądzie.

„Wygląda pan na jeszcze starszego, niż jest! – oświadczyła Phoebe. Zupełnie jak miły, stareńki dziadunio!” „Ale nadal całkiem krzepki jak na swoje lata”, zapewniła go Concordia z mocno podejrzaną powagą.

Cuthbert zmierzył starszawego klienta wzrokiem i z uprzedzającą grzecznością spytał:

– Czym mogę służyć, panie Dalrymple?

– Najlepiej przejdę od razu do sedna. Otóż obecna tu pani Dalrymple i ja poszukujemy pewnej młodej damy. Jest to daleka krewna, która przed kilkoma miesiącami straciła oboje rodziców i została odesłana do sierocińca. Chcemy, by pan nam pomógł w jej odnalezieniu.

Twarz Cuthberta straciła wszelki wyraz. Za to w oczach błysnęło coś zbliżonego do paniki.

– Bardzo przepraszam, szanowny panie; zaszła tu jakaś pomyłka. Jestem doradcą prawnym i finansowym. Sprawy spadkowe, lokaty kapitału i tym podobne. Nie jestem prywatnym detektywem. Nie poszukuję zaginionych krewnych.

– Nawet wtedy, gdy w grę wchodzi pokaźna fortuna? – spytała zimno Concordia.

Cuthbert miał wyraźne trudności z oddychaniem. Na jego twarzy pojawiły się niezdrowe wypieki. Mocował się nieporadnie z węzłem krawata; widocznie usiłował go rozluźnić.

– Pokaźna fortuna, łaskawa pani?

Na jego twarzy zamiast poprzedniego popłochu odbiło się żywe zainteresowanie.

– Nie inaczej.

Drażni się z nim! – myślał Ambrose. Tak jak przewidywał, wrogość Concordii do Cuthberta mogła udaremnić ich plany! Najwyższy czas przejąć stery w swoje ręce.

– Nie będziemy pana zanudzać niemiłymi szczegółami – wtrącił się gładko do rozmowy. – Powiem tylko, że starsza dama, krewna mojej małżonki, niedawno zmarła. Była przykuta do łóżka i od pewnego czasu szwankowała na umyśle. Byłem przekonany, że jej majątek przypadnie mojej żonie. Dopiero po śmierci biednej staruszki odkryliśmy, że zmieniła testament, zapisując wszystko wspomnianej przed chwilą panience.

Cuthbert odchrząknął.

– Doskonale pojmuję rozczarowanie państwa, ale doprawdy nie wiem, jak mógłbym państwu pomóc.

– Może nam pan pomóc w odnalezieniu tej dziewczyny – odparł Ambrose z nutką zniecierpliwienia w głosie. – W tym przeklętym testamencie jest jeszcze zastrzeżenie, że gdyby wspomniana młoda dama nie mogła przyjąć tych pieniędzy, cały spadek ma przejść w ręce innej, jeszcze dalszej kuzynki. Nie możemy do tego dopuścić! Wszyscy wiedzieli od lat, że jedyną spadkobierczynią jest moja małżonka.

Cuthbert zdobył się na współczujący ton.

– Przyznaję, że to fatalny zbieg okoliczności. Ale poszukiwanie zaginionej panienki to niełatwe zadanie. W Londynie jest całe mnóstwo sierocińców i przytułków… – Przerwał i po chwili, marszcząc czoło, spytał: – Ile lat liczy sobie ta młoda dama?

– Jeśli się nie mylę, niedawno skończyła piętnaście lat – odpowiedziała Concordia.

Cuthbert westchnął.

– To jeszcze utrudnia sprawę. W wieku piętnastu lat wielu wychowanków płci obojga opuszcza sierociniec i musi odtąd samodzielnie zarabiać na życie. Nie możemy pozwolić na to, by leniwi i niezaradni młodzi ludzie obijali się po ulicach, marnowali cenny czas i nadużywali dobroci naszych hojnych filantropów.

– Gdyby sprawy tak się ułożyły w tym przypadku, z pewnością istnieją jakieś akta wychowanków, w których stoi czarno na białym, gdzie kto został zatrudniony – stwierdził Ambrose.

– Być może – zgodził się Cuthbert. – Niemniej jednak…

Ambrose stuknął mocno laską o podłogę. Cuthbert aż się wzdrygnął.

– Będę z panem całkiem szczery – oświadczył Ambrose. – Znalezienie tej dziewczyny jest dla mnie sprawą niezwykłej wagi.

– Rozumiem! Jednakowoż…

– Ta dziewczyna jest dla nas na wagę złota – ciągnął dalej znacząco. – Zamierzam wynagrodzić hojnie tego, kto pomoże mi ją znaleźć. Czy wyrażam się jasno?

– Jak hojnie? – burknął Cuthbert.

– Powiedzmy… tysiąc funtów.

Cuthbert dwukrotnie usiłował coś powiedzieć i dwukrotnie zamykał usta, nie wydawszy żadnego dźwięku.

– To doprawdy… hojna nagroda – wykrztusił wreszcie i odkaszlnął. – Chyba mógłbym poczynić pewne starania… Ale, ale: jak się nazywa ta młoda dama?

– Hannah Radburn.

Cuthbert znieruchomiał. Wyglądał tak, jakby na szyi miał stryczek zamiast krawata.

– Radburn? – szepnął. – Czy państwo są tego pewni?…

– Jak najbardziej – odparła lodowatym tonem Concordia.

Ambrose sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kartkę.

– Moja żona spisała tu kilka informacji na temat Hannah. Datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców i tak dalej. Bardzo nam zależy na dokładnym zbadaniu sprawy. Nie możemy pozwolić, by przywiózł nam pan kogoś innego!

Cuthbert miał minę zaszczutego lisa.

– Ja… proszę pana… To znaczy…

– Gdyby podczas prowadzenia śledztwa okazało się, że istotnie opuściła zakład – kontynuował jak gdyby nigdy nic Ambrose – będziemy ogromnie wdzięczni za dostarczenie nam informacji o jej obecnym miejscu pobytu.

– Osierocone dziewczęta nie zawsze znajdują pracę – odezwał się słabym głosem Cuthbert. – Z przykrością muszę powiedzieć, że niektóre z nich… znikają bez śladu.

– Chciał pan powiedzieć, że kończą na ulicy albo w domu publicznym, co? – warknęła Concordia. – A jak pan myśli, kto odpowiada za taki stan rzeczy? Dopóki kobieta nie może znaleźć uczciwej pracy, dostępnej tylko dla mężczyzn…

Ambrose wstał, położył rękę na ramieniu Concordii i uścisnął ją dość mocno.

Concordia zamilkła, ale nadal coś się w niej gotowało.

Ambrose spojrzał na Cuthberta, który wpatrywał się w Concordię w osłupieniu.

– Proszę wybaczyć mojej żonie – łagodził Ambrose. – Nie czuje się najlepiej od chwili, gdy utraciła należny jej spadek na rzecz Hannah Radburn.

– No, tak… Oczywiście. – Cuthbert jakoś się pozbierał. – To doprawdy okropna sytuacja. Czegoś takiego nie zniosłyby wrażliwe kobiece nerwy.

– Istotnie – odparł Ambrose. – Ale wracając do sprawy, musimy odnaleźć Hannah… choćby miała kompletnie zszarganą reputację. Ta

dziewczyna warta jest tyle złota, ile waży, całkiem dosłownie! Jak już powiedziałem, zapłacę tysiąc funtów, gdy nam ją pan przyprowadzi.

Cuthbert westchnął.

– Może nie uda mi się jej przyprowadzić… Gdybym jednak zdobył jej aktualny adres, czy taka informacja będzie dla pana coś warta?

– Owszem, pięćset funtów. I nie będę zadawał kłopotliwych pytań, jeśli pan dostarczy nam nazwisko kogoś, kto może powiedzieć coś więcej o Hannah – oświadczył cicho Ambrose.

Cuthbertowi oczy stanęły w słup.

– Pięćset funtów za samo nazwisko?!

– Zależy nam ogromnie na odnalezieniu jej – wyjaśnił Ambrose. – Każda pomoc zostanie należycie doceniona. Gdyby dziewczyna wylądowała… w burdelu albo w innych równie opłakanych warunkach, z pewnością nie będę się domagał wyciągnięcia jej stamtąd. Osobiście postaram się zakończyć dyskretnie tę sprawę.

Cuthbert zamachał rękoma.

– To doprawdy najbardziej niezwykła sprawa ze wszystkich, jakie znam!

Ambrose zacisnął kurczowo palce na rączce laski i zmrużył oczy.

– Niech się pan dowie tego nazwiska, a zarobi pan co najmniej pięćset funtów. Czy wyrażam się jasno?

– Jak najbardziej – wychrypiał Cuthbert.

– Doskonale! Nie będziemy panu zabierać więcej cennego czasu. – Ambrose wyjął z kieszeni wizytówkę. – Jeżeli zdobędzie pan choćby strzęp informacji o Hannah Radburn, proszę natychmiast przesłać wiadomość do mojego klubu. Tam będą już wiedzieli, jak się ze mną skontaktować. Zjawię się niezwłocznie, kiedy tylko przekażą mi wiadomość od pana.

Położył wizytówkę na blacie biurka. Concordia wstała.

Wyczuwał kipiący w niej gniew i niesłychane napięcie, gdy szli razem do drzwi. Żadne z nich nie obejrzało się na Cuthberta.

23

Na londyńskich ulicach popołudniowa mgiełka w błyskawicznym tempie przeobrażała się w gęstą mgłę. Kiedy wynurzyła się z niej dorożka, Ambrose przywołał ją i pomógł Concordii wsiąść.

Concordia, znalazłszy się w środku, usiadła i starannie rozłożyła fałdy spódnicy. Nadal kipiała z gniewu. Marzyła o tym, by wrócić do kancelarii Cuthberta i oznajmić mu, że zamierza powiadomić policję o jego sprawkach. Ale nawet tej drobnej satysfakcji musiała sobie na razie odmówić.

– Ten okropny Cuthbert z całą pewnością przypomniał sobie nazwisko Hannah! – powiedziała.

– Masz rację. – Ambrose pochylił się do przodu; ręce oparł na udach, a splecione palce zwisały między rozchylonymi kolanami. Wpatrywał się w ożywiony ruch uliczny. – To od razu rzucało się w oczy, był przerażony. Miałem już do czynienia z podobnymi typkami. U takich jak on chciwość zawsze, wcześniej czy później, pokona strach.

– Też tak sądzę! Ale jak ci się zdaje, co on teraz pocznie? Nie może udawać, że znalazł dla ciebie Hannah! Została oficjalnie uznana za zaginioną.

– Jeśli się nie mylę, Cuthbert wiele wie o tej sprawie. Na pewno spróbuje sprzedać mi kilka informacji.

Concordia dyskretnie zakasłała.

– Powiedziałeś panu Cuthbertowi, że może zawsze skontaktować się z tobą przez klub.

– Owszem.

– Nie wiedziałam, że należysz do jakiegoś klubu!

– Klub to doskonałe źródło wszelkich plotek i pogłosek – odparł Ambrose z pewnym roztargnieniem. – Niezwykle przydatne w moim fachu.

– Ach, tak? – Starała się mówić od niechcenia, podobnie jak on. – Jeśli należysz do jakiegoś klubu, to inni jego członkowie muszą cię znać.

Spoglądał nadal na ulicę, ale kącik ust mu drgał.

– Znają pewnego oryginała o nazwisku Dalrymple.

– Fascynujące. – Concordia wygładziła rękawiczki. – Niewiele wiem o tych sekretnych sprawach, ale mam wrażenie, że kandydatów przyjmuje się do klubu za poręczeniem jednego z dotychczasowych członków, bardzo w klubie cenionego, który zna tego kandydata bardzo dobrze.

– Z członkiem, który poparł moją kandydaturę, znamy się istotnie doskonale.

Concordia zmarszczyła nos.

– Pan Stoner?

– Nazwisko Stonera otwiera wszystkie drzwi w Londynie.

Concordia westchnęła.

– Podoba ci się ta zabawa, nieprawdaż?

Ambrose wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– O czym ty mówisz? Cóż to za zabawa?

– Doskonale wiesz, o czym mówię. Wyciąganie ci z gardła informacji o twoim prywatnym życiu przypomina łowienie księżyca siecią na jeziorze. Jedno i drugie doskonale widoczne, ale ani rusz nie można ich schwytać!

Ambrose milczał przez chwilę. Kąciki ust tym razem mu nie drgały.

– Nie zwykłem się nikomu zwierzać – rzekł w końcu.

– Ja również.

Ambrose oparł głowę o tylną ściankę powozu, a ramię o boczną poręcz ławeczki.

– Wiem o tym.

– Mam wrażenie, że ze względu na specyfikę twojego i mojego zawodu oboje zadaliśmy sobie bardzo wiele trudu, by odgrodzić się od otoczenia, zwłaszcza jeśli chodzi o nasze prywatne życie.

Ambrose zastanowił się przez chwilę i tylko skinął głową.

– Czegóż to dowodzi?

– Tego, mój panie – powiedziała łagodnie – że jeśli ktoś zbyt długo żyje w całkowitej izolacji, może mieć poważne trudności z powrotem do normalnej egzystencji.

Spojrzenie Ambrose’a stało się dziwnie mroczne. Przez chwilę Concordia przeraziła się, że posunęła się za daleko.

Ku jej zdumieniu Ambrose pochylił się do niej i końcem palca pogładził ją po podbródku.

– Czasami lepiej nie zrywać ze starymi przyzwyczajeniami.

– Ja zerwałam z czymś więcej, bo z moją niezłomną zasadą, gdy opowiedziałam ci o moich powiązaniach ze Społecznością Krystalicznych Zdrojów.

– Możesz być spokojna; nie wydam twoich sekretów.

– Wcale w to nie wątpię. Ale ta szczerość jest bardzo jednostronna, Ambrose. Ja ci zawierzyłam. Czemu ty mi nie wierzysz?

Znów cofnął się do swojej niedostępnej twierdzy. Concordii zdawało się, że słyszy stuk zasuwanych rygli.

– To nie jest brak zaufania – zaprzeczył.

– Czyżbyś miał aż tak przerażające sekrety?

Brwi Ambrose’a uniosły się; było to dyskretne, ale wyraźne ostrzeżenie.

– Nie jestem jedną z twoich pupilek, które możesz podnieść na duchu, okazując im współczucie i wysłuchując ich zwierzeń. Ja zżyłem się z moimi tajemnicami od lat.

Było to niewątpliwe odtrącenie wyciągniętej ręki. Concordia zesztywniała. Ambrose nie miał zamiaru się jej zwierzać. Koniec i kropka.

– W porządku. – Splotła znów palce leżących na podołku rąk. – Masz absolutne prawo do prywatności. Nie będę się naprzykrzała.

Ambrose znów wyglądał przez okno, pogrążony w zadumie. Zaległa cisza, coraz bardziej uciążliwa. Czując, że nie zniesie tego dłużej, Concordia postanowiła zmienić temat.

– Ciekawe, jak zareagowałaby pani Hoxton, gdyby się dowiedziała, co się naprawdę dzieje w jej charytatywnej szkole przy Rexbridge Street?

Ambrose zmarszczył czoło.

– Kim, u diabła, jest ta pani Hoxton?

– To szczególna dobrodziejka tamtej szkoły. Jej fotografia wisi w gabinecie panny Pratt, na wprost portretu królowej Wiktorii.

– Doprawdy? – Ambrose uniósł brwi. – W takim razie to rzeczywiście interesujące pytanie. Sam jestem ciekaw, co pani Hoxton sądzi o podwójnym obliczu tej szkoły.

– Zapewne nie ma o tym pojęcia.

– Skąd ta pewność?

Concordia się skrzywiła.

– Sądząc z tego, co wyciągnęłam od moich dziewcząt na jej temat, pani Hoxton to typowy przypadek nowobogackiej z ambicjami. Zdecydowała się na działalność filantropijną w nadziei, że tym sposobem uzyska lepszą pozycję w wielkim świecie. Damy jej pokroju w gruncie rzeczy wcale się nie interesują życiem szkół i sierocińców, którym patronują.

– Czy twoje dziewczęta w ogóle ją widziały, chociaż raz?

– Owszem. Właśnie raz, na Boże Narodzenie. Raczyła się zjawić i zabawiła tak długo, by wręczyć każdej z dziewcząt robione na drutach mitenki. Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora opowiadały, jak wszystkie uczennice spędzono do wielkiej sali biesiadnej, przed oblicze dostojnego gościa. Panna Pratt wygłosiła okolicznościową mowę, w której podkreśliła

jakie to szczęście i honor, że mają taką szlachetną i szczodrą dobrodziejkę. Potem dziewczęta zaśpiewały jedną czy dwie kolędy i pani Hoxton raczyła się oddalić.

Ambrose pokręcił głową z niesmakiem.

– To doprawdy musiało być niezapomniane przeżycie dla uczennic!

– I właśnie dlatego sądzę, że pani Hoxton nie okazuje zbyt wielkiego zainteresowania codziennym życiem tej szkoły.

– Wierzę ci – odparł Ambrose. – A jednak…

– Co jednak?

– Myślę, że warto by zadać pani Hoxton kilka pytań na temat jej szlachetnej działalności filantropijnej.

Concordia wpatrywała się w niego z najwyższym zdumieniem.

– Ty miałbyś wypytywać panią Hoxton?!

– A jakże! Ale wstrzymam się z tym do jutra. Dziś już na to za późno.

– A więc ją znasz?

– Na oczy jej nie widziałem – wyznał Ambrose.

Concordia rozłożyła ręce.

– To niewątpliwie bardzo bogata dama, która obraca się w wielkim świecie. Jak, na litość boską, zamierzasz dostać się do jej domu… i to od frontu, nie kuchennymi drzwiami?!

– Zamierzam wezwać na pomoc siły wyższe.

– Co takiego?!

Ambrose uśmiechnął się leniwie.

– Tak zwany wielki świat składa się z kręgów coraz to wyższych, węższych i coraz bardziej uprzywilejowanych. Pani Hoxton przyjmie każdą osobę z kręgów dla niej niedostępnych jak wysłannika niebios.

– Rozumiem… A ty przypadkiem znasz kilka z takich bóstw?

– W wielkim świecie zawsze znajdzie się kogoś, kto nas zaćmi… – Ambrose wzruszył ramionami. – Oczywiście ta prawidłowość nie dotyczy

Jej Królewskiej Mości. Ale mam wrażenie, że pani Hoxton do królowej bardzo dużo brakuje!

Herbert Cuthbert siedział samotnie w swoim gabinecie i dumał nad nieoczekiwaną odmianą losu. Można było dwojako rozegrać otrzymane przed chwilą karty, stwierdził. I w każdym wypadku zarobek był pewny.

Musi oczywiście być bardzo ostrożny, pracować w rękawiczkach. Zarówno Larkin, jak i Trimley byli wyjątkowo niebezpieczni. Jednak obaj chętnie skorzystają z informacji, których może im udzielać, gdy zyska wyższą pozycję. A przy odrobinie szczęścia ich wdzięczność wyrazi się konkretną sumką.

Alternatywne rozwiązanie nie stwarzało żadnych problemów tego rodzaju. Po prostu poda temu Dalrymple’owi pierwsze lepsze nazwisko, zainkasuje pięćset funtów, wetknie je do kieszeni i ruszy do swej najulubieńszej jaskini gry.

Szczęście znów się do niego uśmiechnęło. Nareszcie!

24

Kimkolwiek jest ten bydlak, zdołał wytropić Cuthberta! – Trimley krążył po łaźni parowej. – Rozumiesz, co to znaczy?!

Larkin rozsiadł się na ławie z czarką zimnej wody w ręce; doznał wreszcie uczucia satysfakcji. Trimley, myślał, już zaczął odczuwać skutki wiecznego napięcia. Ten facet naprawdę się pocił! A śliczna rzymska toga ciągle mu się obsuwała.

Nareszcie!

W gruncie rzeczy zawsze wiedział, że Trimleyowi puszczą nerwy. Trimley był za miękki. Nie miał kręgosłupa z hartownej stali jak ci, którzy wychowali się na ulicy.

– To znaczy – powiedział Larkin, wysuwając przed siebie nogi ruchem tak leniwym, jakby zasiadał w wygodnym, krytym skórą fotelu – że mamy okazję do zastawienia pułapki. Muszę przyznać, że bardzo mnie ciekawi, kim w rzeczywistości jest ten Dalrymple.

– Co do tego nie ma wątpliwości. To ten, co wykradł nam dziewczyny z zamku.

– Niekoniecznie – stwierdził Larkin. – Może być na usługach kogoś całkiem innego. Choćby kogoś, kto chce zająć moje miejsce.

Ja sam nigdy już nie wykonuję brudnej roboty, dumał. Może ten ktoś, kto sprzątnął nam sprzed nosa te dziewczyny, też zachowuje odpowiedni dystans między życiem osobistym a czynnościami zawodowymi?

Trimley przycisnął pięścią węzeł na prześcieradle udającym togę; ledwie mu się udało przytrzymać to draństwo, znowu się zsuwało z ramienia.

– Tak czy owak, złapiemy go, kiedy uda się znów z wizytą do Cuthberta.

– To byłoby wyjątkowo głupie. – Larkin napił się wody. – A ja idiotą nie jestem, Trimley!

– O czym ty mówisz, do diabła? Musimy powstrzymać tego Dalrymple’a, zanim znajdzie się blisko celu. Sprawy wymykają się nam spod kontroli. Nie widzisz tego?!

– Sprawy są pod kontrolą, Trimley – tłumaczył cierpliwie Larkin. – A jeśli ten Dalrymple jest rzeczywiście w to wmieszany, to przy okazji nas doprowadzi do dziewczyn i tej ich nauczycielki. Każę go śledzić od chwili, gdy wyjdzie z kancelarii Cuthberta. A kiedy już odzyskamy te panny i tego dragona w spódnicy, pannę Glade, to porachujemy się z Dalrymple’em.

Przez twarz Trimleya co jakiś czas przebiegał skurcz, ale nie sprzeczał się z Larkinem.

– No, tak… to nawet ma sens… Ale co z Cuthbertem? Żąda zapłaty za to, że powiadomił nas o wizycie Dalrymple’a.

– Dostanie to, na co zasłużył.

Trimley zatrzymał się nagle.

– Do ciężkiej cholery, czy do ciebie nic nie dociera?! Jeżeli ten Dalrymple zdołał wytropić Cuthberta, to i policji może się to udać!

– Skąd ci przyszło do głowy, że policja interesuje się tą sprawą? A choćby się zainteresowała, Cuthbert niczego im nie powie.

– Na twoim miejscu nie miałbym do niego tyle zaufania.

Larkin omal się nie uśmiechnął. Trimley naprawdę pruje się w szwach!

– Uspokój się, Trimley! Cuthbert nie sprawi nam więcej kłopotów.

25

Dorchester Street tonęła w morzu mgły i mroku. Rząd latarń gazowych stał w pogotowiu bojowym, śmiały do walki z ciemnością nocy, ale lampiony wypełnione jaskrawym światłem nie były w stanie przeniknąć gęstej mgły.

Ambrose stał tuż za drzwiami narożnego budynku i dokładnie obserwował całe otoczenie.

Wiadomość od Cuthberta dotarła do niego przed niespełna godziną. Treść listu zagadkowa, pismo prawie nieczytelne. Łatwo było zgadnąć, że nadawca jest ogarnięty paniką.

„Mam ważne nowiny. Spotkanie u mnie w pracy. Dziś, jedenasta wieczór. Ma pan być sam. Czek na umówioną sumę".

Sklepy na parterze już pozamykano; okna zasłonięto żaluzjami. W większości okien na wyższych piętrach było również ciemno. Ambrose ujrzał jednak cieniutkie pasemka światła w szczelinach między kotarami zaciągniętymi w gabinecie Cuthberta.

Ulica była pusta, jeśli nie liczyć samotnej dorożki. Woźnica, okutany grubym płaszczem, z kapeluszem wciśniętym na uszy, siedział na koźle. Wyglądał tak, jakby miał zaraz zasnąć. Koścista szkapa stała, czekając cierpliwie, ze zwieszonym łbem. Bez wątpienia marzyły się jej niedostępne rozkosze: świeże siano i ciepły boks w stajni.

Ambrose odczekał jeszcze chwilę. Wśród zalegających ulicę cieni nie dostrzegł najmniejszego ruchu. W gabinecie Cuthberta światło nadal się paliło, sądząc z jaśniejących szparek między kotarami.

Jedno było dla Ambrose’a pewne: niczego się nie dowie, jeśli nadal nie ruszy się z mrocznej bramy.

Poszedł więc w stronę drzwi wiodących do kancelarii Cuthberta; nie martwił się, że jego kroki na trotuarze rozbrzmiewają tak donośnie. Pan Dalrymple nie był z tych, co skradają się na paluszkach. Ogólnie szanowany, bogaty dżentelmen należał do ekskluzywnego klubu i ubierał się u znakomitego krawca. Przybył tutaj na spotkanie w interesach i chciał jak najprędzej załatwić sprawę.

Drzwi wejściowe domu, w którym znajdowała się kancelaria Cuthberta, nie były zamknięte na klucz. Ambrose wszedł do nieoświetlonego holu. Zatrzymał się tu na chwilę, usiłując zorientować się, czy ktoś czai się w pobliżu. Kiedy upewnił się, że nie ma nikogo, ruszył po schodach na piętro, a dotarłszy tam, rozejrzał się po korytarzu.

Ciemności rozpraszała tylko smuga światła wydobywającego się szparą pod drzwiami gabinetu Cuthberta.

Ambrose szedł po korytarzu, tym razem bezszelestnie. Metodycznie sprawdzał wszystkie drzwi, które mijał po drodze. Wszystkie były starannie pozamykane.

Stwierdziwszy z przyjemnością, że Cuthbert jest jedyną (prócz niego!) osobą na tym piętrze, Ambrose dotarł wreszcie do drzwi kancelarii i nacisnął klamkę. Zamek nie stawiał oporu.

Nie zawracał sobie więc głowy stukaniem do drzwi, tylko otworzył je raptownie i wszedł śpiesznie, bez ostrzeżenia.

Efekt nagłego zaskoczenia nie wypalił. W kancelarii nie było nikogo.

Przyjrzał się lampie oświetlającej biurko. Czemu jej nie zgaszono? Może Cuthbert musiał wyjść w jakiejś sprawie i zamierzał wrócić na umówione spotkanie z panem Dalrymple’em?

A może doradca prawny i finansowy wpadł w panikę i uciekł stąd w popłochu, nie chcąc tracić czasu na gaszenie lampy?

Ambrose zamknął za sobą drzwi i przekręcił w nich klucz. Nie chciał, by go przyłapano w trakcie dokonywania rewizji w kancelarii.

Spędził ostatnio dużo czasu na przeglądaniu akt i kartotek. Cóż za odmiana w porównaniu z dawno minionymi dniami, kiedy obiektem jego poszukiwań były fascynujące lśniące maleństwa, skrzące się iskrami i płonące nawet w pełnym świetle.

Ale bez względu na te zmiany towarzysząca poszukiwaniom energia, tak potężna jak wyładowania atmosferyczne, przepełniała go jak dawniej. Wielka szkoda, że nie można jej zamknąć w fiolce i sprzedawać jako środek gwarantujący niezapomniane przeżycia. Profit z tego handlu byłby ogromny!

Szybko uporał się z aktami w niewielkiej szafce. Nie znalazł nic interesującego wśród pożółkłych starych dokumentów. Sądząc z nazwisk i adresów umieszczonych na niektórych teczkach, większość klienteli Cuthberta stanowiły samotne, niezamożne kobiety. Kilka wdów, podstarzałe gospodynie, guwernantki i inne biedaczki ledwo wiążące koniec z końcem ze swych ubożuchnych pensji i drobniutkich inwestycji.

Ambrose zamknął ostatnią szufladę i podszedł do biurka, nie spodziewając się żadnych rewelacji. Nie pomylił się: większość szuflad i skrytek była wypełniona różnego rodzaju papierzyskami, wizytówkami, piórami, ołówkami i kałamarzami. W środkowej szufladzie znajdował się oprawny w skórę notatnik. Ambrose przekartkował go pośpiesznie. Całe strony liczb. Zapewne księga rachunkowa. Nieraz można się dowiedzieć bardzo wiele o człowieku, zapoznając się ze stanem jego finansów.

Wetknął więc notatnik do kieszeni płaszcza, zamknął szufladę i podszedł do okna. Stanąwszy płasko przy ścianie, wyjrzał przez szczelinę w kotarze.

W dole, na ulicy nic się nie zmieniło. Mgła wciąż spowijała latarnie gazowe. Powóz z drzemiącym na koźle woźnicą stał tam, gdzie natknął się na niego wcześniej. Ambrose nie zauważył żadnego ruchu, podszedł więc do drzwi, otworzył je i ruszył do mrocznego holu. Tym razem również

zatrzymał się na chwilę, wykorzystując swój bystry nawet w ciemności wzrok, by zbadać otoczenie.

Upewnił się, że nie ma w pobliżu żywej duszy i wymknął się drzwiami na tyłach domu. Znalazłszy się na zewnątrz, z całym rozmysłem skierował się do dorożki. Jego kroki rozbrzmiewały głośno w ciszy zalanej mgłą ulicy.

– Dobry człowieku, chciałbym zamienić parę słów! – zawołał głosem Dalrymple’a.

Woźnica zesztywniał i odwrócił pośpiesznie głowę w kierunku zmierzającego ku niemu Ambrose’a. Jego rysy były niewidoczne w cieniu padającym od podniesionego kołnierza, ciężkiego szala i kapelusza zsuniętego na oczy.

– Przepraszam wielmożnego pana, ale już jestem zajęty. Czekam na swego pasażera.

– Doprawdy? – rzucił od niechcenia Ambrose, nadal zbliżając się do niego.

– A pewnie! Jeśli wielmożny pan szuka dryndy, powinna stać przy następnej ulicy.

– Nie potrzebuję powozu – odparł Ambrose. – Chciałem ci tylko zadać kilka pytań.

Miał do powozu mniej niż dziesięć kroków. Lampy rozjaśniające wnętrze były zgaszone. Okna szczelnie pozasłaniane.

Kątem oka dostrzegł mokrą plamę na chodniku, dokładnie pod szczeliną w dnie zamkniętego pomieszczenia dla pasażerów. Widać albo woźnica, albo koń ulżył sobie podczas długiego oczekiwania na powrót klienta. Ambrose nie wyczuł jednak śladu dobrze znanego, wyjątkowo ostrego odoru.

– Możesz być pewny, że ci się opłaci rozmowa ze mną.

Ambrose sięgnął do kieszeni i wydobył garść monet.

Woźnica poruszył się niespokojnie na koźle.

– Niby o czym mamy gadać?

– Szukam doradcy prawnego, który ma kancelarię w domu, skąd właśnie wyszedłem. Byliśmy umówieni na dziś wieczór, ale on się nie stawił na spotkanie. Może widziałeś kogoś, kto wchodził do tego domu albo z niego wychodził przed moim przybyciem?

Był teraz jeszcze bliżej, zaledwie o dwa kroki od niego. Nagle w plamie na chodniku coś go zaniepokoiło… Po co woźnica miałby się wypróżniać w najbliższym sąsiedztwie swego powozu, kiedy miał o kilka kroków dalej alejkę lepiej nadającą się do tego celu?

– Ja tam nikogo nie widziałem – wymamrotał woźnica

Ambrose miał wrażenie, że przebiegł po nim dreszcz. Wyczulone aż do bólu zmysły doprowadziły go do pełnej napięcia percepcji zmysłowej, tak że najdrobniejszy ruch, dźwięk czy gra cieni miały dla niego niesłychane znaczenie.

– A co z pasażerem? – spytał. – Musiałeś go przecież widzieć.

– Podłapał sobie dziwkę, jak raz na tej ulicy. Ma tam pokój nad jednym sklepem. Poszedł tam za nią może godzinę temu. Kazał mi czekać. To wszystko, co wiem.

– Doprawdy? – mruknął Ambrose, wpatrując się nadal w ciemną plamę na chodniku.

Znajdował się tuż obok powozu. Chwycił za klamkę u drzwi i otworzył je jednym szarpnięciem.

Ramię przyciśnięte do drzwi straciło oparcie i dyndało groteskowo. Ambrose ujrzał ciemny zarys reszty ciała, skurczonego na podłodze powozu.

Resztka światła z dogasającej latarni na zewnątrz powozu zalśniła w kałuży krwi, która wyciekła ze śmiertelnej rany w piersi Cuthberta.

– Mam wrażenie, że twój klient uwinął się szybciej, niż zamierzał – stwierdził Ambrose.

26

*C*holerny, wścibski matoł! – Woźnica wyprostował się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni grubego płaszcza. – Powinieneś pilnować własnego nosa!

Ambrose stał już jedną nogą na stopniu ułatwiającym wspinanie się na kozioł. Lewą ręką przytrzymywał się uchwytu, podciągnął się i tym sposobem znalazł się w pół drogi na górę. W drugiej ręce miał laskę i jej ostrym szpikulcem dźgnął woźnicę w brzuch.

Dorożkarz stęknął i zwinął się z bólu. Nóż, który właśnie wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza, wypadł mu z ręki i upadł na bruk.

W pobliskiej alei rozległy się głośne kroki. Ambrose obejrzał się przez ramię i ujrzał drugiego zbira, który pędził, by go zaatakować. W świetle najbliższej latarni gazowej zalśniła lufa rewolweru.

Ambrose zeskoczył na bruk i zanurkował pomiędzy koła dorożki; schronił się w gęstym mroku w przeciwległym końcu pojazdu.

Huknął strzał. Kula z głuchym stuknięciem ugodziła w drewnianą obudowę dorożki.

Wyrwane z sennych marzeń konisko parsknęło, podrzuciło łbem i ruszyło niemal galopem. Siedzący na koźle woźnica, nadal nie mogąc złapać tchu, zorientował się w sytuacji i zdołał pochwycić lejce.

– Cholerna stara szkapa!

Ambrose podniósł się, ostrożnie wspiął się na tył dorożki i przykucnął na dachu. Wiedział z doświadczenia, że ludzie, szukając kogoś, prawie nigdy

nie spoglądają do góry.

– Gdzieś się zaszył, bydlaku?! – Drugi z napastników odwracał się nerwowo to w tę, to w tamtą stronę, starając się dostrzec swą ofiarę. Zajrzał nawet pod powóz. – Wyłaź, kiedy każą, z łapami do góry, to cię nie rozwalę!

Koń znowu szarpnął i dorożka zatrzęsła się gwałtownie.

– Uspokój to przeklęte bydlę! – wrzasnął do woźnicy zbir z rewolwerem, wyraźnie zaniepokojony tym, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

Ambrose wyprostował się na dachu, a następnie zsunął nogami w dół po bocznej ścianie powozu, przygniatając całym ciężarem stojącego tuż pod nim przeciwnika. Obaj zwalili się na ziemię.

– Złaź mi z drogi, cholerniku! – huknął woźnica.

Ambrose jednym zwinnym ruchem zerwał się na nogi i schylił się po rewolwer. Kątem oka dostrzegł, że woźnica sięga do swojego ciężkiego skórzanego buta.

Zapasowy nóż! Że też o tym nie pomyślałem!…

Ambrose zdołał w porę odskoczyć na tyły dorożki.

Ostrze rzuconego w jego kierunku noża chybiło o kilkanaście centymetrów i uderzyło w bok powozu.

Drugi z napastników pozbierał się już i pomknął na przód dorożki.

– To ścierwo rąbnęło mi gnata! – krzyknął do woźnicy. Podciągnął się na kozioł i zajął miejsce obok swego kamrata. – Wiejemy stąd! Szybko!

Dorożkarz popuścił cugle. Koń, kompletnie zdezorientowany i przerażony, rzucił się do przodu. Powóz zakołysał się niebezpiecznie, ale się nie wywrócił.

Ambrose stał na zasnutej mgłą ulicy. Przenikały go lodowate dreszcze, mroczna energia nadal krążyła w jego ciele. Wsłuchiwał się w stukot końskich kopyt i skrzypienie kół. Oddalały się coraz bardziej, aż wreszcie całkiem ucichły.

Wykorzystując swe bogate doświadczenie w zdobywaniu powozu w późnych godzinach nocnych, Ambrose dotarł na piechotę do najbliższej oberży i na chybił trafił wybrał jedną ze stojących tam dorożek.

Dwadzieścia minut później kazał woźnicy zatrzymać się na uroczym skwerze, otoczonym ze wszystkich stron pięknymi domami. W ich oknach nie było świateł.

Ambrose dotarł do alei biegnącej na tyłach rezydencji, otworzył furtkę i wszedł do troskliwie pielęgnowanego ogrodu.

Zastukał lekko do tylnych drzwi rączką swej laski.

Niebawem drzwi się otworzyły. Stojący w nich mężczyzna o rudoblond włosach, ubrany tylko w szlafrok, był mniej więcej w wieku Ambrose’a, ale nieco wyższy od niego.

Ambrose wiedział od dawna – z czasów, gdy obaj z Feliksem Denverem postanowili przetestować naukowo tę kwestię w różnorodnych środowiskach, na przykład w piwiarniach, teatrach oraz innych miejscach masowej rozrywki – że kobiety uważały Feliksa za przystojniejszego z nich dwóch.

– Oby to, z czym przyszedłeś do mnie w środku nocy, okazało się naprawdę ważne! Mam gościa.

Ambrose uśmiechnął się lekko. Biedne mieszkanki Londynu nie miały pojęcia, że inspektor Felix Denver ze Scotland Yardu nie interesował się kobietami, choć traktował je życzliwie, nawet przyjaźnie. Tajemniczy nocny gość, który czekał na powrót Denvera w sypialni na górze, był niewątpliwie rodzaju męskiego.

– Przepraszam, Feliksie.

Felix uniósł do góry świecę, by przyjrzeć się lepiej twarzy Wellsa. Skrzywił się.

– Na twoim miejscu nie przyklejałbym do twarzy tylu kłaków. Nie dodają ci uroku.

– Wiem. Ale znakomicie maskują. A tylko na tym mi zależy. Przyszedłem do ciebie, gdyż sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała.

– Jeszcze się nie zorientowałeś, że wszystko się gmatwa, ilekroć przyłożysz do czegoś rękę, Wells?

Ambrose opowiedział o wypadkach na ulicy obok kancelarii Cuthberta.

– I pomyśleć, że wszystkie te rany i bolesne obrażenia zadano tylko po to, by zmienić cztery dobrze wychowane panienki w kurtyzany najwyższej klasy! Ani rusz nie mogę w to uwierzyć! – podsumował. – Larkin to przede wszystkim człowiek interesu. Nie lubi narażać się na niepotrzebne ryzyko. Tu chodzi o coś więcej, czuję to przez skórę!

– Całkiem możliwe, że porwanie czterech dziewcząt, które ocaliłeś do spółki z ich nauczycielką, stanowiło preludium do zakrojonej na dużą skalę akcji Larkina i jego nowego wspólnika – powiedział Felix. – Jeśli interes jest wysoce lukratywny, trudno się dziwić, że gotowi są zabijać, byle nie stracić takiej okazji.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej od ludzi, na których liczyłeś?

– Ich odpowiedzi pokrywają się z moimi podejrzeniami. Wszystkie cztery dziewczęta rzekomo zginęły w jakimś wypadku. Nikt z krewnych nie wydaje się pogrążony w żałobie.

– Może ciocia Phoebe Leyland okaże się miłym wyjątkiem. Zasypuje listami sierocińce oraz inne instytucje filantropijne, odkąd jej siostrzenica znikła. Warto chyba posłać kogoś do niej; niech sobie pogadają.

– Masz jej adres?

– Tak. – Ambrose wręczył kartkę przyjacielowi i ruszył do wyjścia. – Wracam do domu. To była bardzo długa noc! – Zerknął w stronę sypialni. W jej oknach było ciemno. – A poza tym i na mnie ktoś czeka.

Felix uśmiechnął się lekko.

– Całkiem nowe doświadczenie, prawda?

– Tak – odparł Ambrose. – Całkiem nowe.

27

Concordia zebrała pod szyją klapy szlafroka, odwróciła się i zaczęła znów krążyć po bibliotece. Straciła już rachubę, ile razy pokonała tę przestrzeń w ciągu ostatniej godziny. Z każdym krokiem jej niepokój wzrastał.

Do tej pory Ambrose powinien już wrócić do domu. Musiało wydarzyć się coś strasznego, czuła to! Czemu się wybrał w pojedynkę? Czemu nie chciał słyszeć o tym, by mu towarzyszyła?!

W całym domu panowała niezmącona cisza. Dziewczęta poszły na górę do swych pokoi przed kilkoma godzinami. Państwo Oates, po sprawdzeniu wszystkich zamków i rygli, także udali się do siebie. Oba psy wślizgnęły się do biblioteki, by dotrzymać towarzystwa Concordii, kiedy pozostali domownicy poszli spać; teraz i one drzemały przy kominku, na którym ogień już się dopalał.

Concordia przystanęła przed starym sekretarzykiem osobliwości i zerknęła na zegar. Wskazówki posunęły się zaledwie o pięć minut od ostatniego razu, gdy spoglądała na jego tarczę. Znów przeszedł ją dreszcz. W pokoju było całkiem ciepło, ale żar bijący od kominka nie chronił jej od lodowatych dreszczy strachu, które nękały ją przez cały wieczór.

Ambrose naprawdę powinien był wziąć ją ze sobą na spotkanie z Cuthbertem! Już ona mu powie, gdy tylko wróci! Oświadczy mu dobitnie, że w przyszłości nie ma mowy o zostawianiu jej w domu! Była przecież jego klientką… prawie chlebodawczynią. I jako taka miała pewne niepodważalne prawa!

Dante uniósł łeb i przyjrzał się bacznie Concordii. Z pewnością wyczuł jej zdenerwowanie.

– Czy wasz pan wtajemnicza was w swoje sprawy? – spytała go.

Beatrycze również otworzyła oczy.

Oba psiska wstały i poczłapały do Concordii. Schyliła się i podrapała je za uszami.

– Założę się, że wcale was nie interesują jego sekrety! – stwierdziła. – Ale mnie ogromnie! Kiedy ta sprawa doczeka się wyjaśnienia, pewnie już nigdy nie zobaczę Ambrose'a… więc czemu tak mi zależy na tym, by odkryć wszystkie jego tajemnice?

Dante przysiadł obok Concordii i z uszczęśliwioną miną przytulił się do jej nogi. Beatrycze ziewnęła potężnie, demonstrując swe uzębienie. Żaden z psów nie miał ochoty udzielać wyjaśnień.

W przytłaczającej ciszy słychać było tylko tykanie zegara.

Concordia otworzyła drzwiczki prześlicznie zdobionego sekretarzyka. Egzotyczne różnobarwne wzory oraz mistrzowskie intarsje z różnych gatunków drewna, nadal doskonale widoczne, w niczym nie przypominały okazów zdobnictwa, z którymi się dotychczas zetknęła. Wykonane z wielkim staraniem, dopracowane w każdym szczególe trójkątne i romboidalne kompozycje niewątpliwie miały zmylić oko poszukiwacza skrytek.

– Jesteś taki sam jak ten sekretarzyk, Ambrose – szepnęła Concordia. – Na jedną odnalezioną skrytkę przypada Bóg wie ile niewykrytych!

Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora miały doskonałą zabawę z wyszukiwaniem sekretnych szufladek. Concordia posłużyła się schematem, który dziewczęta sporządziły i pozostawiły we wnętrzu sekretarzyka, by każdy mógł podziwiać ich postępy. Z diagramu wynikało jasno, że do tej pory odkryły dwadzieścia trzy skrytki. Wszystkie zostały starannie naniesione na szkic.

Concordia przyglądała mu się przez długą chwilę. Potem zbadała dokładnie wnętrze sekretarzyka. Zostało jeszcze bardzo wiele do odnalezienia!

Przesunęła końcami palców po powierzchni jednej z wymyślnych inkrustacji, w nadziei, że wyczuje dotykiem niedostrzegalne wypukłości, które doprowadzą ją do ukrytych szufladek; naciskała ostrożnie kolejne elementy zdobnicze, by przekonać się, że nie ma tu zamaskowanych sprężynek lub dźwigni otwierających inne skrytki.

Na próbę zajrzała do kilku schowków, znalezionych i zbadanych przez Phoebe oraz innych poszukiwaczy. Większość była pusta. W niektórych znajdowały się jakieś drobiazgi, zapewne schowane tam i zapomniane, na przykład ampułka wonności, pochodząca z antycznego Rzymu, na co wskazywało jej oznakowanie. Gdzie indziej uchował się pierścień z krwawnikiem.

Byłoby wspaniale odkryć szufladkę, której dziewczęta dotychczas nie znalazły, pomyślała Concordia. A poza tym, jeśli znajdzie sobie jakieś zajęcie, szybciej upłyną godziny oczekiwania na Ambrose’a.

Zabrała się do roboty.

Minęło dwadzieścia minut, a Concordia nie zdołała odkryć ani jednej skrytki.

– To o wiele twardszy orzech do zgryzienia, niż mi się zdawało! – zwierzyła się psom.

Dante i Beatrycze powróciły na dawne miejsce przy kominku. Na głos Concordii poruszyły uszami, ale nie otworzyły oczu.

Concordia obeszła sekretarzyk dokoła, przyjrzała mu się pod różnymi kątami; zaintrygowała ją ta zagadka nie do rozwiązania. Następnie powróciła do ścianki frontowej i przyjrzała się bacznie jednej ze zbadanych już szufladek.

Nagle przyszedł jej do głowy nowy pomysł. By sprawdzić swoją teorię, wsunęła rękę do jednej z przegródek i dokładnie obmacała całe wnętrze

końcami palców.

Nic nie znalazła.

Zabrała się do podobnych oględzin innych szufladek. Kiedy doszła do schowka oznaczonego na schemacie numerem 15, wyczuła niewielkie wklęśnięcie w tyle skrytki.

Nacisnęła ostrożnie i usłyszała ciche skrzypnięcie zawiasów i sprężyn.

Nieoczekiwanie zamiast jednej skrytki przesunął się cały segment, odsłaniając drugi sekretarzyk, ukryty wewnątrz pierwszego.

– Sprytna sztuczka! – mruknęła Concordia do piesków. – Nie powiem o tym dziewczynkom; będą miały znacznie więcej radości, jeśli odkryją to same!

Ten skromny sukces pobudził jej ciekawość. Zaczęła badać nową skrytkę. Kiedy przesunęła palcem po wzorze złożonym z koncentrycznych trójkątów, otworzył się wąski schowek.

Wewnątrz znajdowała się złożona, pożółkła ze starości gazeta. Bez wątpienia, ktoś wetknął ją do skrytki i zupełnie o niej zapomniał.

Concordia wydobyła gazetę ze schowka i ją rozłożyła. Większość strony tytułowej zajmował sensacyjny wstępniak, dotyczący samobójstwa oraz nadużyć finansowych.

Data świadczyła, że są to nowiny sprzed dwudziestu lat.

Concordia zabrała się do czytania.

„Ciało pewnego dżentelmena, podejrzanego o udział w serii wyjątkowo sprytnych oszustw finansowych, zostało znalezione w jego domu przy Lexford Square w ostatni wtorek.

Najwyraźniej nękany wyrzutami sumienia z racji doprowadzenia do ruiny wielu Bogu ducha winnych inwestorów, pan George Colton przytknął sobie rewolwer do głowy i popełnił samobójstwo. Jego gospodyni pierwsza ujrzała tę krwawą scenę, kiedy zjawiła się następnego ranka, by podjąć zwykłe obowiązki.

Kobieta doznała takiego szoku, że nie była w stanie odpowiadać z sensem na zadawane jej pytania. Dodatkowo gnębił ją niepokój o synka pana Coltona. Chłopiec zaginął bez wieści…”

Dante i Beatrycze zerwały się na równe nogi, pomknęły do drzwi i zniknęły na końcu korytarza.

Ambrose nareszcie wrócił do domu!

Słyszała jego kroki na korytarzu, gdy zamykała sekretarzyk. Kiedy zewnętrzna część zatrzasnęła się na dobre, zasłaniając część wewnętrzną, Concordia uświadomiła sobie, że nadal trzyma w ręku starą gazetę. Odłożyła ją na pobliski stolik i odwróciła się do drzwi.

Na progu biblioteki pojawił się Ambrose, psy powitały go radośnie. Pozbył się już sztucznych bokobrodów oraz brody. Concordia wyczuła otaczającą go aurę niebezpiecznej energii; powietrze dosłownie iskrzyło. A więc miałam rację! – pomyślała. Zdarzyło się coś strasznego.

– Myślałem, że jesteś już w łóżku – powiedział od drzwi.

– Nic ci się nie stało? – spytała. Z wahaniem postąpiła ku niemu. Tak bardzo chciała znaleźć się tuż przy nim; dotknąć go, upewnić się, że nie jest ranny. – Byłam niespokojna o ciebie. Naprawdę nie jesteś ranny?

– Więc aż tak źle wyglądam?

Wszedł do pokoju, zdejmując płaszcz.

– Na litość boską, Ambrose! Powiedz mi, co się stało?

– Cuthbert nie żyje. – Przerzucił płaszcz przez oparcie sofy. – Nie udało mi się z nim porozmawiać.

– Wielki Boże! – Siadła na poręczy obitego skórą fotela. – Wiedziałam, że zdarzyło się coś strasznego!

– To była robota dla dwóch zbirów. – Podszedł do stołu, na którym stały kryształowe kieliszki i karafki. Wybrał właściwą. – Czułem, że czyhają na mnie, może po to, by ruszyć moim śladem, kiedy wyjdę z kancelarii Cuthberta.

Concordia przyglądała się, jak jednym haustem wypił potężną dawkę koniaku. Wstrząsnął nią kolejny dreszcz.

– A więc ranili cię! – Zerwała się na równe nogi i podbiegła do niego. – Mam wezwać doktora?

– Nic mi nie jest. Tylko mi tu doktora trzeba! – Zaaplikował sobie kolejną porcję koniaku.

– Masz brudne ubranie. Czy tamci dwaj rzucili się na ciebie?

Zastanowił się przez chwilę i skinął głową.

– Chyba rzeczywiście zaatakowali mnie. Chciałem im odpłacić pięknym za nadobne… Ale nie byłem dość szybki.

– Ambrose!

– Wstyd się do tego przyznać, ale zwiali mi obaj. – Zmarszczył czoło. – Zabrali ze sobą trupa Cuthberta. Chyba do tej pory zdążyli go wrzucić do rzeki.

– To okropne! Co teraz zrobimy?

– No, cóż… Chyba powinniśmy położyć się do łóżka.

– Czyś ty oszalał?! – Uniosła ręce w wymownym geście. – Wchodzisz tu, oznajmiasz, że natknąłeś się na kolejne zwłoki, i każesz mi grzecznie iść na górę i kłaść się do łóżka?!

– Uważam, że będzie lepiej, jeśli odłożymy naszą dyskusję do jutra rana.

– Przedyskutujemy wszystko natychmiast!

Mroczny, niebezpieczny błysk pojawił się w jego oczach.

– To mój dom. Ja tu wydaję dyspozycje.

– Doprawdy? – Wysunęła wojowniczo brodę. – Miałam wrażenie, że to dom pana Stonera.

Ambrose wzruszył ramionami.

– Pod jego nieobecność ja zarządzam tym wszystkim.

– Cóż to za wygoda dla ciebie!

– W tej chwili akurat nie. – Spojrzał na pozostawioną na stoliku gazetę. – Cóż to takiego?

Jej spojrzenie powędrowało w tę samą stronę.

– Stara gazeta. Znalazłam ją w jednej z szufladek sekretarzyka.

– A niech to wszyscy diabli! – W dwóch susach był przy stole, podniósł gazetę i spojrzał na stronę tytułową. – Całkiem o tym zapomniałem!

Ruszył w stronę kominka. Na jego surowej twarzy ujrzała rosnący gniew i odnawiający się ból.

– Zaczekaj, Ambrose! – Skoczyła za nim i chwyciła go za ramię. – Dlaczego chcesz to spalić? Co w tej gazecie jest aż tak ważnego?

– Nie ma w niej nic ważnego. Już nic. – Jedną ręką odczepił jej palce od swego rękawa. – To doprawdy bardzo przedawniona sensacja, panno Glade!

– Przestań! – Wiedząc, że nie ma dość sił, by powstrzymać go, po prostu zastąpiła mu drogę. – Dość mam tych sekretów i wiecznych niedomówień! Żądam wyjaśnień. I to teraz, zanim ta noc dobiegnie końca!

– Żądasz?… – Zatrzymał się o kilkanaście centymetrów od niej; podniósł rękę i delikatnie wziął ją pod brodę. – Cóż za zbieg okoliczności: ty żądasz… a ja pożądam. I to równie żarliwie, panno Glade!

– Wolno wiedzieć czego?

– Ciebie – odparł.

Zgodnie z prawami natury jego zimny uśmiech powinien zmrozić jej krew w żyłach. Ale licho wie czemu zrobiło się jej strasznie gorąco.

– Chcesz mnie przestraszyć – szepnęła.

– Istotnie, panno Glade, chcę cię przestraszyć.

– No to ci się nie uda! Nie ruszę się z tego pokoju, póki nie odpowiesz na moje pytania!

– Ty chcesz poznać prawdę. Ja chcę poznać… ciebie. Interesujący dylemat, nieprawdaż?

– Mówię poważnie!

– Ja też! Mam dla ciebie dobrą i złą nowinę. Dobra jest następująca: jeśli nie ruszysz biegiem do tych drzwi, a stamtąd prosto na górę, do swojego

łóżka, przynajmniej jedno z nas zaspokoi tej nocy własne pragnienie.

– Co ty wygadujesz?

– A zła nowina – kontynuował z premedytacją – jest następująca: tym wybrańcem losu nie będzie panna Glade! Wyrażam się dość jasno?

Pełna treść jego słów poraziła ją niczym grom. Wpatrywała się w Ambrose'a, osłupiała na skutek szoku. I nagle rozbłysło w niej promienne, radosne oczekiwanie.

Przesłuchanie Ambrose'a można przecież odłożyć na potem!

– Czyżbyś groził mi gwałtem, mój panie? – spytała. – Jeśli tak, to zdejmę przedtem okulary. Pamiętasz chyba, że zawsze powlekają się mgłą w trakcie namiętnych uniesień.

Ambrose zamknął oczy i schylił głowę. Dotknął czołem jej czoła. Concordia usłyszała szelest spadającej na dywan gazety.

– Co ja mam z tobą począć, panno Glade?! – szepnął.

Objęła go ramionami.

– Miałam wrażenie, że chciałeś mnie zgwałcić. To brzmiało tak zachęcająco!…

Przeczesywał palcami jej włosy.

– Przepadłem z kretesem, co?… – wymamrotał.

– Nie mam pojęcia. No więc jak, przepadłeś?

– Tak.

Bardzo ostrożnie zdjął jej z nosa okulary i położył na gzymsie kominka za plecami. Rozległ się cichutki brzęk, gdy szkło i marmur zetknęły się ze sobą.

W następnej chwili jego usta znalazły się na jej ustach. Aura groźnej energii, która go przedtem otaczała, nagle przeistoczyła się w emanację całkiem innej potęgi. Atakowała jej zmysły, budziła oszałamiający odzew.

– Ambrose…

Przytuliła się do jego potężnej piersi.

Zareagował na to cichym, zduszonym okrzykiem i objąwszy Concordię, chwycił ją na ręce. Nie przerywając pocałunku, niósł ją na drugi koniec biblioteki, do drzwi.

Dante i Beatrycze najwyraźniej uznały, że wszyscy powinni się stąd wynieść. Zerwały się więc na nogi i popędziły, zapewne w obawie, by o nich nie zapomniano. Concordia słyszała, jak psie pazurki stukają o lśniące deski podłogi na korytarzu.

Kiedy jednak Ambrose dotarł do otwartych drzwi biblioteki, nie przekroczył progu, lecz zamknął je jednym ruchem nogi w ciężkim bucie.

– Zamknij na klucz – szepnął do Concordii z ustami na jej ustach.

– Co takiego?… Aha… Zaraz!…

Sięgnęła do zamka i biedziła się z nim; ręce jej się trzęsły.

– Pośpiesz się! – szepnął nagląco.

– Przepraszam…

W końcu udało się przekręcić klucz w zamku. Kiedy tylko Ambrose usłyszał metaliczny zgrzyt, ruszył wraz ze swym brzemieniem w drogę powrotną do sofy.

Ułożył Concordię na poduszkach, wyprostował się i zgasił lampy gazowe. Biblioteka była teraz oświetlona jedynie blaskiem ognia na kominku.

Concordia przyglądała się zafascynowana, z jaką niecierpliwością Ambrose rozpina koszulę. Nie zdjął jej, więc zwisała mu z ramion, gdy przysiadł na brzegu sofy, by zdjąć buty. Najpierw jeden, później drugi stuknął o podłogę.

Potem Ambrose odwrócił się i, pochylając się nad Concordią, uwięził ją w ciasnej klatce swoich ramion. Przez chwilę wpatrywał się w nią z takim natężeniem, jakby pragnął wyryć w pamięci jej obraz. Jakby w każdej chwili mogła rozwiać się w powietrzu.

– Wiedziałem, że będziesz na mnie czekała – powiedział.

Spojrzała w jego pełne udręki oczy i się uśmiechnęła.

– I tak cię to martwi? – spytała miękko.

– Nie przywykłem, by ktoś na mnie czekał – odparł takim tonem, jakby to wyjaśniało wszystko.

Pomyślała, że w gruncie rzeczy tak właśnie było. Ogarnął ją dziwny smutek.

– Ja także.

– Tak bardzo cię pragnę…

Dotknęła jego twarzy opuszkami palców.

– Ja również cię pragnę.

Nie odrywając od niej oczu, rozwiązał pasek jej szlafroka.

Widziała kędzierzawe włoski na jego piersi i ten dziwny tatuaż. Zafascynowana wsunęła ręce pod rozpiętą koszulę i przyłożyła dłonie do jego nagiej piersi, zachwycona żarem i siłą jego ciała.

Szlafrok opadł z niej; miała na sobie tylko nocną koszulę. Poczuła dotyk ręki Ambrose’a na wewnętrznej stronie uda i z trudem zaczerpnęła tchu. Intymność tego dotknięcia przyprawiła ją o zawrót głowy. Owładnęło nią pożądanie.

Ambrose całował ją w szyję, rozpinając przy tym górną część jej koszuli. I nagle poczuła delikatny dotyk jego zębów na sutku.

Wczepiła się obiema rękami w jego włosy. Przeszył ją gwałtowny dreszcz.

– Ambrose…

Przylgnął do niej, pobudzony i żądny spełnienia.

Kiedy dotknął wilgotnego, nabrzmiałego miejsca pomiędzy jej nogami, uniosła się ku niemu, a pieszczota jego palców omal nie przyprawiła jej o szaleństwo.

Porwał ją huragan niezwykłych doznań, nie pozostawiając miejsca na wahanie ani na względy przyzwoitości, a ona nie mogła się doczekać, dokąd ją zaniesie.

Ogarnięta przemożną ciekawością spróbowała odwzajemnić pieszczotę. Ambrose odpowiedział na nią gardłowym jękiem. Rozkoszy? Cierpienia?… Nie wiedziała.

– Sprawiłam ci ból?

– Chyba umrę…

– O Boże!… Nie chciałam…

– Nie przerywaj!

Poznawała go dotykiem, on zaś obsypywał pocałunkami jej szyję, ramiona i piersi.

Kiedy poczuła dotknięcie jego języka w miejscu, które przed chwilą drażniły i pieściły jego palce, nie mogła wykrztusić ani słowa, a o protestach nie było w ogóle mowy! Gdy wreszcie odzyskała głos, było już za późno. Całe jej ciało spięło się jak pięść podczas walki.

Bez ostrzeżenia przewalił się przez nią oszałamiający orgazm. Było to uczucie tak wszechogarniające, że po prostu nie zauważyła, iż Ambrose zmienił pozycję i pochyla się teraz nad nią.

Otworzyła oczy i zdołała ujrzeć jego twarz, pełną napięcia. Potem zanurzył się w niej.

To przekraczało jej siły. Nie była w stanie znieść tej magicznej mikstury bólu i rozkoszy. Chciała krzyknąć, lecz Ambrose zamknął jej usta pocałunkiem.

Jęknął i zaczął poruszać się w jej wnętrzu, jakby nie mógł się powstrzymać, jakby stracił kontrolę nad samym sobą.

Atakował ją raz po raz. Można by pomyśleć, że toczył zażartą bitwę. I nagle znieruchomiał.

– Obejmij mnie… – szepnął błagalnie z ustami tuż przy jej szyi.

Te słowa sparzyły ją żywym ogniem. W całym wszechświecie jedyną istotną dla Concordii sprawą stał się ich wzajemny uścisk. Musi objąć go mocniej… jeszcze mocniej… jeszcze!…

Orgazm przetoczył się przez Ambrose’a jak ogromna fala.

Czas stanął w miejscu, a noc rozkwitła pożogą.

28

Znacznie później Concordia poczuła, że Ambrose się porusza. Delikatnie wyśliznął się z jej objęć i wstał. Otworzyła oczy i przyglądała mu się, gdy zapinał spodnie. Widok ten sprawił, że uświadomiła sobie własną nagość.

Atmosfera uległa radykalnej zmianie – zmysły nie były już rozpalone do białości. Na kominku żarzyły się jeszcze węgle, ale powietrze było rześkie.

Concordia usiadła i pośpiesznie otuliła się szlafrokiem.

Ambrose podszedł do kominka, zabrał z jego gzymsu okulary Concordii i wrócił z nimi na sofę. Ostrożnie osadził je na nosie właścicielki i pomógł jej wstać.

– Wszystko w porządku? – spytał cicho.

– Oczywiście! – Poprawiła fałdy szlafroka, uparcie ignorując niewielką bolesność między nogami i plamki krwi na nocnej koszuli. Przecież to zupełnie naturalne w tej sytuacji! – Skąd ta nagła troska o mnie?

Uśmiechnął się cierpko.

– Przysięgłaś sobie wiecznie grać rolę niekonwencjonalnej, wolnomyślnej, na wskroś nowoczesnej bohaterki, co?

– Nie odgrywam żadnej roli. Jestem niekonwencjonalna, wolnomyślna i nowoczesna.

– I do niedawna byłaś też dziewicą.

Zmarszczyła brwi.

– Słuchaj, nie zamierzasz chyba przypisywać sobie całej winy ani ubolewać nad tym drobnym incydentem? Zapewniam cię, że to całkiem

zbędne. W każdym razie ja niczego nie żałuję.

– Jesteś tego pewna?

– Jak najbardziej! To było bardzo pouczające doświadczenie.

– Pouczające?…

Takie określenie wyraźnie zbiło go z tropu.

– Nazwałabym je nawet… wtajemniczeniem. – Podeszła do ściennego lustra i próbowała coś zrobić z włosami. – Jest wiele przyczyn, dla których warto zachować dziewictwo, kiedy się jest bardzo młodym… ale gdy damy w pewnym wieku przechwalają się cnotą, to jest to odrobinę… żenujące.

– Rozumiem.

Napotkała jego oczy w zwierciadle i nie zdołała powstrzymać się od śmiechu. Ambrose był taki poważny, tak mocno to przeżywał!

– Uspokój się, mój panie! Czas był jak najbardziej odpowiedni. A ciebie już od dawna uważałam za najodpowiedniejszego partnera. Do tego stopnia, że gdybyś tej nocy nie przejął inicjatywy, uznałabym to za swój obowiązek… a to by już było zbyt niekonwencjonalne!

Podszedł do lustra i stanął za nią; położył ręce na jej ramionach i popatrzył na odbicie w lustrze.

– Skąd to przekonanie, że byłem najbardziej odpowiednim partnerem?

Concordia zawahała się, jakich użyć słów. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że go kocha. Zwiększyłaby tylko jego wyrzuty sumienia.

– Po prostu wiedziałam, i tyle! – Położyła rękę na dłoni Ambrose’a. – Od pierwszej chwili niezwykle mnie pociągałeś.

Uścisk ręki Ambrose’a na jej ramieniu jeszcze się wzmocnił, gdy nachylił lekko głowę, by pocałować ją w ucho.

– Ze mną było tak samo.

To wyznanie dodało jej ducha.

– Naprawdę?

Ku zaskoczeniu Concordii obdarzył ją jednym ze swych bardzo rzadkich uśmiechów. Potem wypuścił ją z objęć i podszedł do stołu, na którym stał

koniak.

– Wmawiałem sobie, oczywiście, że to skutki wspólnej jazdy na koniu.

Odwróciła się powoli.

– To było wyjątkowo intymne przeżycie, prawda?

– Tak. Nigdy go nie zapomnę.

Lepiej poprzestać na tym, pomyślała. Nowoczesna, wolnomyślna i niekonwencjonalna kobieta z pewnością by poprzestała.

Nalał koniaku do dwóch kieliszków i odstawił karafkę.

– Może wypijemy za twoją nową pozycję kobiety wtajemniczonej?

– Oczywiście!

Wzięła kieliszek do ręki, czując się prawdziwą światową damą. Kobietą z przeszłością.

Ambrose uniósł swój kieliszek.

– Zdrowie Concordii Glade!

– I Ambrose'a Wellsa… – Wypiła odrobinkę koniaku, odjęła kieliszek od ust i spojrzała wymownie na leżącą na ziemi starą gazetę. – Jakiekolwiek nosił niegdyś imię.

Poznała po jego oczach, że znów dopadły go cienie przeszłości.

Podniósł gazetę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w stronę tytułową. Concordia wiedziała, że czyta artykuł o samobójstwie.

– Kim on był? – spytała cicho.

Nie odrywając wzroku od gazety, odparł:

– Moim ojcem.

– Och, Ambrose, tego się właśnie obawiałam! Tak mi przykro!… – Zerknęła na datę. – Ile miałeś wtedy lat?

– Trzynaście.

Złożył starannie gazetę i rzucił ją na pobliski stolik.

– Wielkie nieba! – Ścisnęła go mocniej za ramię. – Stracić ojca… zwłaszcza w podobnych okolicznościach… To musiało być koszmarne!

– Mój ojciec nie popełnił samobójstwa. – Ambrose znów napił się koniaku. – Został zamordowany.

Concordia zmarszczyła brwi.

– Jesteś tego pewien?

– Tak. – Odwrócił się i zdjął ze swego ramienia dłoń Concordii. – Nie spałem tamtej nocy. Tylko ja, nie licząc mordercy, wiedziałem, co się wówczas wydarzyło.

– Musisz mi o tym opowiedzieć, Ambrose!

Obrzucił ją dziwnym, nieodgadnionym spojrzeniem.

– To nie jest miła historyjka.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Ale opowiedziałeś mi już tyle, że po prostu muszę dowiedzieć się reszty!

Obracał kieliszek w palcach, pozornie zajęty bez reszty grą świateł na kryształe. Concordia wiedziała jednak, że Ambrose dobiera starannie słowa i zastanawia się, ile może jej wyjawić.

– Tamtego wieczoru ojciec wcześnie kazał mi iść na górę – zaczął. – I zapowiedział, żebym pod żadnym pozorem nie schodził na dół. Spodziewał się wizyty pewnego… dżentelmena, z którym łączyły go interesy.

– A twoja matka? Gdzie wtedy była?

– Moja matka zmarła, wydając mnie na świat. Ojciec nie ożenił się po raz drugi.

Jedna tragedia goni drugą, pomyślała Concordia i głośno powiedziała:

– Rozumiem.

– Mój ojciec przez cały dzień był spięty i rozkojarzony. Wiedziałem, że przyczyną tego niepokoju był człowiek, który miał się zjawić nocą. Nie miałem jednak pojęcia, co ojcu grozi. Kiedy nocny gość przybył, nie spałem. Wszedł tylnymi drzwiami. Gdy usłyszałem, jak mój ojciec go wita, przemknąłem się na górny podest schodów i ukryłem w najbardziej mrocznym kącie. Widziałem, jak obaj wchodzą do gabinetu ojca.

– I co było dalej?

– Doszło między nimi do bardzo gwałtownej kłótni. Ojciec i ten drugi dokonali wspólnie kilku sprytnych oszustw. – Ambrose zerknął na starą gazetę. – Pod tym względem prasa miała rację.

– Kłótnia dotyczyła tych wspólnych interesów?

Ambrose skinął potakująco głową.

– Coś poszło nie tak. Pokojówka przypadkiem wpadła na trop oszustwa. Wspólnik ojca chciał mieć pewność, że dziewczyna ich nie wyda… więc ją zamordował.

– Dobry Boże! – szepnęła Concordia.

Na ustach Ambrose'a pojawił się niewesoły uśmiech.

– Uprzedzałem cię, że nie będzie to pogodna bajeczka.

– Mów dalej, Ambrose!

– Mój ojciec oznajmił swojemu wspólnikowi, że nie zamierza patrzeć przez palce na jego zbrodnie. Postanowił definitywnie zerwać z nim wszelkie kontakty. Ale wspólnik miał przy sobie broń. – Ambrose wpatrywał się w kieliszek koniaku, który zdawał się płonąć. – Kiedy padł strzał, wiedziałem, co się stało. Doznałem szoku. I paraliżował mnie strach. To przypominało senny koszmar…

Concordia położyła mu znowu rękę na ramieniu. Tym razem jej nie odtrącił. Miała wrażenie, że Ambrose nie zdaje sobie sprawy z jej bliskości. Przebywał w świecie przerażających wspomnień, których odbicie widział nawet w kieliszku koniaku.

– Stałem w ciemności na górnym podeście schodów, gdy ten nieznajomy wyszedł z gabinetu ojca. Rozejrzał się dokoła, a potem ruszył w kierunku schodów. Wiedział, że jestem w domu. I nie zamierzał pozostawić przy życiu żadnego świadka.

Concordia ścisnęła go za ramię.

– Po prostu stałem tam jak sparaliżowany. Z dołu morderca nie mógł mnie zobaczyć, ale wiedziałem, że z podestu pierwszego piętra z pewnością mnie zauważy. I właśnie wtedy on… przypomniał sobie o gospodyni.

– O gospodyni?

– Pewnie doszedł do wniosku, że pani Dalton jest dla niego większym zagrożeniem niż ja. Była przecież dorosła!… I miał rację. Tak czy owak, postanowił, że najpierw rozprawi się z nią. Odwrócił się i powędrował na tyły domu, w stronę kuchennych schodów.

Concordia objęła Ambrose’a ramionami i tuliła do siebie tak mocno jak wówczas, gdy łączyły ich namiętne uściski.

Ambrose się zawahał. Nie wiedział, jak zareagować na szczere współczucie i ofiarowaną mu pociechę. Wreszcie powoli, bardzo powoli objął Concordię i nie protestował, gdy i ona go obejmowała.

– Dzięki Bogu, pani Dalton nie było w domu tamtej nocy. Mój ojciec dał jej wychodne aż do rana. Chciał mieć pewność, że nikt ich nie podsłucha, gdy w trakcie kłótni będą obrzucać się oskarżeniami. Wiedziałem jednak, że morderca, upewniwszy się, iż gospodyni nie stanowi dla niego zagrożenia, przypomni sobie o mnie.

– I co wtedy zrobiłeś?

– Kiedy on wyruszył na poszukiwanie pani Dalton, ja ocknąłem się z otępienia. Mogłem znów poruszać się i oddychać. Wiedziałem, że mam bardzo niewiele czasu, by schować się gdzieś na piętrze. Jednak pod jednym względem górowałem nad mordercą: znacznie lepiej niż on znałem całe wnętrze domu. W sypialni mojego ojca stała przy oknie wyścielana ławka. Otwarta mogła pełnić funkcję szafki, ale gdy wieko zostało dociśnięte, nikt by się nie domyślił, że to skrytka.

– Tam się ukryłeś?

– Tak. Musiałem najpierw pozbyć się koców, które tam leżały od lat. Wepchnąłem je pod łóżko. Zdążyłem wejść do środka i zamknąć szczelnie wieko w chwili, gdy morderca ruszył znów schodami na górę. Słyszałem, jak idzie korytarzem, przeszukując pokój za pokojem.

– To musiało być koszmarne przeżycie…

– Najbardziej makabryczne było to, że ten łotr ciągle mnie nawoływał. Namawiał, żebym przestał bawić się z nim w chowanego. Powtarzał, że mój ojciec popełnił samobójstwo. I obiecywał, że się mną zaopiekuje.

Concordia zadrżała i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

– A przez cały czas myślał tylko o tym, żeby cię zabić!

– Sprawdził wszystkie pokoje. Słyszałem, jak otwiera szafy i kredensy. Kiedy wszedł do sypialni, w której się ukrywałem, serce biło mi tak głośno, że byłem pewny, iż ono mnie zdradzi. Starałem się nie oddychać i nie poruszać. Bałem się, że podejdzie do okna i odnajdzie mnie w skrzyni.

– Ale nie znalazł!

– Nie. Słyszałem, jak klnie z bezsilnej wściekłości. On również był zdenerwowany, chciał jak najprędzej uciec stąd. I tak zamarudził na miejscu zbrodni zbyt długo. W końcu pogodził się z myślą, że mnie już tu nie ma, i opuścił dom. Zostałem jeszcze przez pewien czas w ukryciu, gdyż morderca mógł się umyślnie zaczaić, obserwować dom z zewnątrz; może chciał przyłapać mnie w chwili, gdy zapalę światło.

– I co zrobiłeś? – spytała.

– Kiedy już nie mogłem znieść tego dłużej, wygramoliłem się z kryjówki i zszedłem na dół, nie zapalając światła. Lampa w gabinecie ojca nadal się paliła. Kiedy stanąłem na progu, ujrzałem ojca leżącego na podłodze. – Ambrose wpatrywał się w dogasający ogień. – Było tam… pełno krwi…

– Musiałeś oglądać takie okropności! Byłeś przecież dzieckiem – szepnęła.

– Nawet nie pożegnałem się z nim… – Wyciągnął rękę w bezradnym geście. – Czasem zastanawiam się, jak potoczyłyby się sprawy, gdybym wcześniej zszedł na dół?… Wtedy, gdy mój ojciec i ten obcy jeszcze się sprzeczali?

Concordia cofnęła się o krok i spojrzała na niego z niepokojem.

– Nie, nie, Ambrose! Nie wolno ci tak myśleć!

– Może moja obecność coś by zmieniła?…

Uciszyła go, przykładając palce do jego ust.

– Posłuchaj! Wiem, o czym teraz myślisz. Nie powinieneś się tym zadręczać! Nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za to, co się wydarzyło tamtej nocy! Nie mogłeś nic na to poradzić!

– Byłem tam… i nie pomogłem ojcu.

– Miałeś zaledwie trzynaście lat. Byłeś dzieckiem! To wprost zdumiewające, że przechytrzyłeś tego mordercę i zdołałeś się wymknąć!

Ambrose nic na to nie odpowiedział, ale nie próbował uwolnić się z jej uścisku.

– Czy policja schwytała mordercę? – spytała po chwili Concordia.

Nie odpowiedział od razu.

– Nie – odparł wreszcie. – Nie złapali go.

Ogarnął ją nagły gniew.

– Nie spotkała go zasłużona kara?!

Wydawał się zaskoczony jej wybuchem.

– To zajęło sporo czasu – odparł cicho. – Ale można powiedzieć, że dopadła go ręka sprawiedliwości, choć zabrakło tradycyjnej zemsty.

– Jak to?

– Morderca był bardzo zaniepokojony, gdy nie zdołał mnie złapać. Wyjechał na cztery lata do Ameryki. Kiedy wrócił, czekałem już na niego. Moje plany zemsty były dopracowane w najdrobniejszych szczegółach.

– Więc dlaczego?…

Usta Ambrose’a się zacisnęły.

– Kiedy wrócił, był śmiertelnie chory. Dogorywał na suchoty.

– A ty pozwoliłeś, by natura dokonała swego dzieła?

– Natura i ta cholerna londyńska mgła. – Ambrose wzruszył ramionami. – Doszedłem do wniosku, że zabijając go, oszczędziłbym mu bólu.

– Nawet go nie odwiedziłeś?

– Nie. Ale posłałem mu list. Wyjawiłem, kim jestem, i zapowiedziałem, że zawsze mam go na oku, ciągle czuwam i czekam na jego śmierć. Nie

pociągnął nawet pół roku.

– A ty? Jak sobie dawałeś radę po śmierci ojca? – spytała Concordia. – Zamieszkałeś u krewnych?

– Nie miałem żadnych krewnych. Mój dziadek zmarł rok wcześniej. Innych krewniaków nie miałem.

– Trafiłeś do jakiegoś sierocińca czy przytułku?

– Nie.

– Więc jak sobie dawałeś radę? Miałeś zaledwie trzynaście lat!

Ambrose uniósł brwi.

– Nie byłem niewiniątkiem, Concordio. Pochodziłem z rodziny łotrów i oszustów. Mój dziadek, co prawda, obracał się w wielkim świecie, ale zarabiał na życie, okradając z klejnotów bogaczy, którzy zapraszali go do swoich salonów czy sal balowych. Mój ojciec był niezwykle skutecznym oszustem. W wieku trzynastu lat miałem za sobą niezły trening, pozwalający utrzymać się przy życiu własnym sprytem. Biorąc pod uwagę moje wrodzone talenty, sposób, w jaki mnie wychowano i dziedziczne skłonności, nietrudno było odgadnąć, jak potoczą się moje losy.

Concordia odchrząknęła z trudem.

– Rozumiem…

– Tej nocy, gdy zamordowano mojego ojca, zmieniłem nazwisko. Wkrótce potem zarabiałem już na życie jako kot: wchodziłem przez okno do pokojów na wyższych piętrach i kradłem cenne drobiazgi. – Twarz Ambrose’a była teraz maską bez wyrazu. – Rozumiesz, Concordio? Jestem zawodowym złodziejem. Urodziłem się w złodziejskim domu i podtrzymuję rodzinne tradycje.

– Teraz już nie! – zaprotestowała ostro Concordia. – Teraz jesteś prywatnym detektywem!

Wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, to niewielka różnica. Wymagane kwalifikacje są niemal identyczne. I nadal większą część pracy wykonuję nocą.

Chwyciła go za poły rozpiętej koszuli.

– Wiesz doskonale, że jest ogromna różnica między twoją obecną działalnością a tym, co robiłeś przed laty!

Spojrzał na przytuloną do niego kobietę, która gniotła mu koszulę. Kiedy znów podniósł głowę, jego oczy miały dziwny wyraz.

– Nie próbuj robić ze mnie bohatera – ostrzegł ją. – Nie jestem rycerzem w lśniącej zbroi!

Odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem.

– Przecież nim jesteś! Przyznam, że twój oręż jest nieco sfatygowany… ale to zupełnie normalne po latach spędzonych w ogniu walki.

Na twarzy Ambrose’a ukazał się kwaśny uśmiech.

– To, kim jestem teraz, zawdzięczam Johnowi Stonerowi.

– Kim on jest, Ambrose?

– Można chyba powiedzieć, że to twój kolega po fachu.

– Nauczyciel?

– Myślę, że i to określenie dobrze do niego pasuje. Gdybym go nie spotkał, pewnie do dziś podkradałbym biżuterię, miniatury i urocze starocie, by zarobić na życie.

– Wątpię w to! – Stanęła na palcach i leciutko musnęła wargami jego usta. Potem odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. – Śpij dobrze, Ambrose!

– Concordio…

Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

– Kimkolwiek jest John Stoner, z pewnością nie jest cudotwórcą. Nie mógłby przemienić cię w bohatera, gdybyś nie miał na to zadatków!

29

Po odejściu Concordii nalał sobie następny kieliszek koniaku. Potem zasiadł po turecku na dywanie przed kominkiem, na którym już dogasał ogień. Wpatrywał się w płomienie i wrócił myślą do rozmowy, którą odbył z Johnem Stonerem w jego kuchni przed wieloma laty. Pamiętał tę dyskusję tak wyraźnie, jakby miała miejsce wczoraj.

– Kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku, znalazłem się w położeniu podobnym do twojego. – Stoner nalał znów aromatycznej herbaty do maleńkich filiżanek. – Byłem samotny i mogłem liczyć tylko na siebie. Wiązałem jakoś koniec z końcem dzięki swoim karcianym talentom. Od czasu do czasu oszukiwałem, kiedy groziła mi eksmisja z mieszkania. Radziłem sobie z tym całkiem nieźle.

– Był pan szulerem?

Stoner wzruszył ramionami.

– Co tu gadać? To rodzaj talentu. Ale oszustwa karciane związane są z wielkim ryzykiem. W tamtych czasach pojedynek o świcie z powodu rzekomego oszustwa podczas gry był niemal codziennym zjawiskiem.

– Dziadek mi o tym opowiadał. Podobno było takie powiedzonko: „Pistolety dla dwóch, śniadanie dla jednego”.

Stoner uśmiechnął się do odległych wspomnień.

– Świat wyglądał wtedy inaczej niż dziś. Nasza królowa, niech Bóg ją błogosławi, nie zasiadła jeszcze na tronie. Bitwa pod Waterloo żyła nadal w

ludzkiej pamięci. A suknie modnych dam były bardziej twarzowe i pozwalały dokładniej ocenić wszelkie ich walory.

– Jeszcze dokładniej? – zainteresował się Ambrose.

– Mniejsza z tym. – Stoner odchrząknął. – Otóż moja przyszłość zapowiadała się niezbyt obiecująco do chwili, gdy przypadkiem zetknąłem się z dżentelmenem, który był mistrzem tajnego stowarzyszenia. Opierało się ono na zasadach filozofii starożytnej, do których dołączono elementy sztuki wojennej oraz medytacje wywodzące się z Dalekiego Wschodu.

Te wyjaśnienia pobudziły ciekawość Ambrose'a.

– Kto go nauczył takich dziwnych rzeczy?

– Dowiedział się o nich od garstki mnichów, żyjących na jednej z wysp Dalekiego Wschodu. Nie będę cię zanudzał szczegółami. Wystarczy, jeśli powiem, że ten dżentelmen zaofiarował mi jedyną w swoim rodzaju szansę: miałem udać się na tą wyspę, by studiować filozofię i zgłębiać sztukę wojenną pod kierunkiem tamtejszych mnichów.

– Pojechał pan tam?

– Tak – odparł Stoner. – Spędziłem prawie pięć lat na studiach w Kwitnących Przybytkach Vanzagary. Następnie postanowiłem zwiedzić trochę świata: Egipt, Amerykę, morza południowe… Nie było mnie w Anglii bardzo długo. Po powrocie odkryłem, jak wiele się tu zmieniło.

– I to nie tylko w damskich fatałaszkach?

– Tak. – Stonera ogarnęła nagle melancholia. Jego oczy spoglądały w odległą przeszłość. – Przekonałem się, że nikomu już nie zależy na zgłębianiu mądrości Vanzagary.

– Nawet dżentelmenowi, który wysłał pana na tę wyspę?

– Bez wątpienia on, a być może kilku innych, którzy w młodych latach uczyli się na tej wyspie, strzegło tajemnic stowarzyszenia i zapoznało swoich synów z mądrością Wschodu. Ale ci synowie uważali się za ludzi nowoczesnych. Nie obchodziły ich żadne tajne stowarzyszenia.

– Czy dzisiaj także można dotrzeć na Vanzagarę i uczyć się w Kwitnących Przybytkach?

Stoner pokręcił głową.

– Dwadzieścia lat temu wyspa przestała istnieć po trzęsieniu ziemi. Klasztor, w którym studiowałem rozliczne sztuki, zginął bez śladu.

Z niezrozumiałych dla niego powodów Ambrose poczuł się przygnębiony i rozczarowany.

– To okropne! – powiedział, sam nie wiedząc czemu. Co go obchodzili jacyś mnisi z końca świata i ich nauki?! Był przecież człowiekiem nowoczesnym, o postępowych poglądach!

– Gdy pięć lat temu powróciłem do Anglii, zdałem sobie sprawę, że nie ma tu dla mnie miejsca – kontynuował Stoner.

– Dlaczego?

– Być może nie było mnie tu zbyt długo. Albo po prostu pozostałem w tyle, gdy reszta świata posunęła się naprzód? Tak czy inaczej, pozostały mi tylko książki, badania naukowe i moja pisanina.

Zapadło milczenie. Ambrose czuł się jakoś głupio z tą zalewającą go falą współczucia. Weź się w garść, stary! Stoner dopiero co znokautował cię, a potem przywiązał do krzesła! Jak nic przekaże cię policjantom, kiedy przestanie ci opowiadać te banialuki! Nie masz powodu rozczulać się nad nim.

– Pewnie bardzo trudno zgłębić te wszystkie mądrości Vanzagary? – Ambrose najpierw usłyszał te słowa, a dopiero później zorientował się, że sam je wypowiedział.

Stoner zastanowił się przez chwilę.

– Mistrzowskie opanowanie sztuk walki wymaga naturalnych zdolności. Ale każdy, kto potrafi wspinać się po ścianie domu z taką łatwością, jaką dziś zademonstrowałeś, mógłby opanować te techniki w zadowalającym stopniu.

– Hm…

Ambrose napił się znów aromatycznej herbaty i pomyślał, jak użyteczne mogły okazać się te sztuki w jego zawodzie.

– Rzecz w tym – powiedział Stoner łagodnym głosem – że szkoła walki to tylko jeden z aspektów studiów na wyspie Vanzagara. Szczerze mówiąc, najmniej ważny aspekt.

– Bez urazy, szanowny panie, ale nigdy nie uwierzę, że to najmniej ważny aspekt! Zwłaszcza po tym, jak się pan ze mną rozprawił!

Stoner się uśmiechnął.

– Dla prawdziwego mistrza z Vanzagary największym osiągnięciem jest samokontrola. Jest on przede wszystkim panem własnych popędów. A przy okazji uczy się dostrzegać to, co kryje się pod powierzchnią. I zawsze potrafi rozpatrzyć wszelkie aspekty sytuacji, nim przejdzie do czynów.

Ambrose rozważył sprawę. Odpowiadało mu to, że może być mistrzem i panem czegokolwiek… choćby tylko własnych popędów. Możność zgłębiania istoty rzeczy wydała mu się również bardzo użyteczna.

Znów zapadło milczenie.

Ambrose poruszył się lekko na swoim krześle, sprawdzając wytrzymałość więzów na przegubach rąk i nóg. Trzymały mocno.

– Jak pan teraz postąpi? Wyda mnie w ręce policji?

– Chyba nie – odparł Stoner.

W sercu Ambrose’a zapłonęła znów nadzieja.

– Jeśli mnie pan puści wolno, przysięgam na wszystko, że już nigdy nie narobię panu kłopotów!

Stoner nie zwracał uwagi na jego słowa. Wpatrywał się w Ambrose’a przez dłuższą chwilę.

– Jestem ostatnim mistrzem z Vanzagary na terenie Anglii… a może i na świecie – powiedział na koniec.

– To musi być dziwne uczucie, prawda?

– Owszem. Ale dziś, gdy obserwowałem twoją wspinaczkę po ścianie mojego domu, przyszło mi na myśl, że znalazłem sobie ucznia.

Ambrose znieruchomiał.

– Mnie?!

– Uważam, że masz zadatki na znakomitego ucznia.

Ambrose czuł się tak, jakby jakiś prąd drażnił wszystkie jego nerwy. Znał już to uczucie. Ogarnęło go po raz pierwszy tamtej nocy, gdy zamordowano jego ojca, a on porzucił na zawsze swój dom, zabierając tylko kilka drobiazgów. To mrowienie oznaczało, że w jego życiu nastąpi całkowita zmiana.

– Jest jeszcze coś, o czym pan powinien wiedzieć. – Ambrose bardzo starannie dobierał słowa. – Mam wspólnika.

– To ten młody człowiek, który stoi na czatach po przeciwnej stronie ulicy?

Ambrose osłupiał.

– Więc pan i jego dostrzegł?

– Oczywiście. Obaj jesteście wyjątkowo sprytni, ale brakuje wam jeszcze mądrości, która przyjdzie z czasem i pod wpływem właściwych instrukcji.

– Chodzi o to, że nie mogę zostawić mojego wspólnika na lodzie i iść na naukę do pana. – Ambrose wzruszył ramionami. – Jesteśmy przyjaciółmi.

Stoner skinął głową na znak zgody.

– Nie widzę przeszkód. Równie dobrze mogę szkolić dwóch uczniów zamiast jednego. Nie mam żadnych spraw wielkiej wagi, które pochłaniałyby cały mój czas.

30

Następnego dnia rano Ambrose zatrzymał się przed drzwiami pokoju Concordii i nadsłuchiwał. Z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk i nic się nie poruszyło. Concordia nadal spała.

Tym lepiej, przekonywał samego siebie, zmierzając szybkim krokiem w kierunku schodów. Odpoczynek dobrze jej zrobi po nieprzespanej nocy i mocnych przeżyciach w bibliotece.

Ale jeśli Concordia nie śpi?… Jeśli leży skulona w swoim pokoju, cicho płacząc i żałując poniewczasie tego, co zaszło między nimi?…

Nie, Concordia nie kryłaby się przed nim, bez względu na to, jak czułaby się tego ranka. Należała do kobiet, które spoglądają rzeczywistości w twarz i idą naprzód!

Za to on nie miał w sobie tyle hartu. Zwątpienie nękało go od chwili, gdy się obudził.

Był skończonym durniem!

Dante i Beatrycze, widząc, że schodzi na dół, wybiegły mu naprzeciw. Spotkali się w połowie schodów. Ambrose przystanął i podrapał oba psy za uszami.

Cóż za diabeł go opętał, że opowiedział Concordii tyle o swojej przeszłości?! Strzegł tych tajemnic przez dwadzieścia lat z okładem. Jedynymi ludźmi, którzy znali prawdę lub domyślali się jej, byli John Stoner i Felix Denver.

Co go podkusiło ostatniej nocy, że wyzbył się ostrożności i odrzucił skrupuły?!

Zatopiony w myślach schodził ze schodów, z psami u nogi.

Nie mógł usprawiedliwić swojego gadulstwa porywem namiętności. Doznawał nieraz tego uczucia i wiedział z doświadczenia, że takie emocje nie czyniły go skłonnym do zwierzeń. Raczej odwrotnie! Był zawsze wyjątkowo czujny w damskim towarzystwie i miał się na baczności, by zachować odpowiedni dystans.

Ta niezwykła wylewność mogła być skutkiem szoku. A doznał go niewątpliwie na widok tamtej starej gazety. I właśnie dlatego postąpił tak nierozważnie.

Ale nie! Szok również nie mógł być przyczyną jego nierozwagi, myślał Ambrose, kierując się do biblioteki. Zwykle przecież w obliczu zaskakujących incydentów był całkowicie opanowany.

Zatrzymał się przy drzwiach biblioteki, uderzony siłą własnych emocji. Zdumiewająca żarliwość i intensywność ich nocnego spotkania wracały do niego potężną falą wspomnień. Nigdy dotąd nie pragnął kobiety tak, jak pragnął minionej nocy Concordii.

Na schodach dały się słyszeć lekkie kroki. Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora schodziły na śniadanie. Nie tęsknił tego ranka za spotkaniem z ochotniczą strażą przyboczną Concordii. Mógł jedynie żywić nadzieję, że cała czwórka spała grzecznie w swoich łóżkach, gdy oni się kochali.

Kochali się…

To określenie w pierwszej chwili zabrzmiało zgrzytliwie, ale zaraz potem znalazło właściwe miejsce, okazało się trafne. Tak było rzeczywiście: kochali się z Concordią.

Przeszedł przez pokój do stołu, na którym zostawił dziennik Cuthberta. Wziął znów do ręki niewielki notatnik oprawny w skórę.

– Dzień dobry, panie Wells – odezwała się oficjalnym tonem stojąca w drzwiach Edwina. – Możemy wejść? Chciałybyśmy zamienić z panem kilka

słów.

Oderwał wzrok od dziennika. Edwina nie przyszła sama. Theodora, Phoebe i Hannah tłoczyły się za jej plecami. Ich młode twarze były w tej chwili takie poważne i stanowcze.

Żegnajcie piękne sny o błogiej nieświadomości tej czwórki co do wydarzeń, które miały miejsce ubiegłej nocy w bibliotece!

– Dzień dobry, moje panie. – Zamknął dziennik. – Czym mogę wam służyć?

– Chcemy z panem porozmawiać o pannie Glade – obwieściła Phoebe, jak zawsze prosto z mostu.

Gdzieś w zakamarkach pamięci odnalazł jedną z maksym, które zarówno ojciec, jak i dziadek wpajali weń od małego. Reguła numer jeden: kiedy cię zapędzą w kozi róg, nigdy się nie przyznawaj!

– Doprawdy? – spytał obojętnym tonem.

Theodora pierwsza ruszyła ku niemu od progu.

– Widziałyśmy ją wczoraj późno w nocy. Wchodziła po schodach na górę. W stroju… Jakby to określić?… Niedbałym.

Reguła numer dwa: czym prędzej przerzuć winę na oskarżyciela.

– Doprawdy? – Uniósł brwi. – Zdumiewające, że wydajecie się takie świeże i wypoczęte, mimo nieprzespanej nocy i podglądania waszej nauczycielki o tak późnej porze!

– Wcale jej nie podglądałyśmy! – zapewniła z pośpiechem Hannah. – Przypadkiem zobaczyłyśmy ją na schodach.

– To wszystko przez Dantego. Był w moim pokoju i zaczął skrobać w drzwi, bo chciał wyjść – wyjaśniła Phoebe. – Kiedy wstałam z łóżka, żeby go wypuścić, usłyszałam kroki panny Glade na schodach.

– I wtedy Phoebe obudziła nas – zakończyła Edwina.

Ambrose skinął głową.

– Teraz już rozumiem, jakim cudem znalazłyście się wszystkie na podeście schodów, kiedy panna Glade szła do swojego pokoju.

Dziewczęta wymieniły niespokojne spojrzenia.

– Chodzi o to – wyjaśniła Edwina z niezwykłą powagą – że miała rozpuszczone włosy.

– Zupełnie jak Lucinda Rosewood w *Róży i cierniach* – dodała Hannah. – Kiedy wróciła z ogrodu z panem Thorne’em. To właśnie tam pan Thorne ją zniewolił, rozumie pan?

Ambrose skinął głową.

– W ogrodzie.

– A potem ją porzucił – stwierdziła ze smutkiem Hannah. – Pamięta pan? Opowiadałam panu o tym kiedyś przy śniadaniu.

– Jeśli dobrze pamiętam, wspomniałaś również o tym, że zdążyłaś przeczytać tylko połowę powieści – odparł Ambrose. – Udało ci się przeczytać ją do końca?

– No… nie – musiała przyznać Hannah. – Ale i bez tego wiadomo, że to się musiało źle zakończyć dla Lucindy Rosewood. A my nie chcemy, żeby pannę Glade spotkał los Lucindy!

Edwina wyprostowała się jak na baczność.

– I w tych okolicznościach, panie Wells, jesteśmy przeświadczone, że powinien pan poprosić pannę Glade, żeby za pana wyszła.

– Rozumiem – posłużył się znowu tym słowem.

Dziewczęta wpatrywały się w niego z niepokojem, ale i z nadzieją.

Pełną napięcia ciszę przerwało pojawienie się Concordii.

– Dzień dobry wszystkim! – odezwała się raźnym głosem od drzwi. – Co wy tu robicie o tej porze? Pora na śniadanie!

Wszystkie uczennice, wyraźnie spłoszone, odwróciły się śpiesznie do nauczycielki.

– Dzień dobry, panno Glade – odezwała się Edwina z pośpiechem. – Właśnie się wybierałyśmy do pokoju śniadaniowego.

– Zauważyłyśmy, że pan Wells jest w bibliotece i zajrzałyśmy tu, żeby się z nim przywitać – dodała Phoebe.

Theodora obdarzyła nauczycielkę nieco sztucznym uśmiechem.

– Pan Wells opowiadał nam właśnie bardzo interesujące dzieje artefaktów znajdujących się w sekretarzyku na galerii.

– Właśnie! – poparła ją Hannah. – To było bardzo pouczające.

– Doprawdy? – Concordia się uśmiechnęła. – Jak to ładnie z jego strony!

– Mówiąc szczerze – odezwał się z zimną krwią Ambrose – nie rozmawialiśmy wcale o starożytnych artefaktach.

– Naprawdę? – Concordia wydawała się nieco zbita z tropu.

– Pani czarujące wychowanki osaczyły mnie tutaj dziś rano, by poinformować, że w obecnej sytuacji honor nakazuje mi oświadczyć się pani, panno Glade.

Concordia otworzyła usta ze zdumienia. Zaczerwieniła się jak wiśnia. Jej ręka zacisnęła się na framudze drzwi, jakby potrzebowała jakiejś podpory.

– Oświadczyć?… – Powtórzyła chrapliwym szeptem. Z wyraźnym przerażeniem spojrzała na cztery uczennice. – Dyskutowałyście z panem Wellsem na temat mojego małżeństwa?!

– Nie miałyśmy innego wyjścia – powiedziała Hannah, prostując plecy. – Wczoraj w nocy widziałyśmy panią na schodach, panno Glade.

– Z rozpuszczonymi włosami! – dodała Phoebe.

– Wszystko wskazywało na to, że została pani zniewolona – orzekła Theodora. – I wobec tego wyjaśniłyśmy panu Wellsowi, że musi się z panią ożenić.

– Tak przecież dżentelmen winien postąpić, jeśli pozbawił damę czci – wyjaśniła Edwina. – Niestety, czasem dżentelmen nie spełnia tego obowiązku i wówczas dama jest zgubiona raz na zawsze. A my nie chcemy, żeby panią to spotkało – podsumowała.

Concordia zwróciła zbolałe spojrzenie na Ambrose’a.

Miał wrażenie, że serce w nim zamiera.

– Zamierzałem właśnie wyjaśnić tym młodym damom, że znajdujemy się w bardzo nietypowej sytuacji – powiedział spokojnie. – Chciałem im

przypomnieć, że jest pani nowoczesną, nieliczącą się z konwenansami kobietą, która nie czuje się zobligowana do przestrzegania staromodnych, niezwykle krępujących zasad, jakie narzuca kobietom wielki świat.

– Bardzo słusznie. – Concordia opanowała się z widocznym trudem. – A poza tym pozory często mylą. – Spojrzała na Phoebe, Hannah, Edwinę i Theodorę spod zmarszczonych groźnie brwi. – Ileż to razy wam powtarzałam, że nie należy wyciągać pośpiesznych wniosków bez dowodów, opartych na niepodważalnych faktach?

– Ależ, panno Glade – broniła się Phoebe. – Pani miała rozpuszczone włosy!

– Zostały upięte zbyt ciasno i szpilki przyprawiały mnie o ból głowy – odparła Concordia – więc je powyjmowałam. Sama!

Hannah zmarszczyła brwi.

– Ależ, panno Glade…

– Zostawmy zresztą złudne pozory – kontynuowała szorstkim tonem Concordia. – Czy muszę znowu przypominać wam, całej czwórce, podstawową zasadę dobrego wychowania: szanowanie prywatności innych? Młodym dziewczętom po prostu nie wypada ingerować w sprawy dorosłych. Czy wyrażam się jasno?

Niezręczna cisza, jaka zapadła po tym kazaniu, świadczyła dobitnie, że dziewczęta nie przywykły do tak surowej reprymendy z ust ukochanej nauczycielki.

– Tak, panno Glade – potwierdziła szeptem Edwina.

– Tak, panno Glade – powtórzyła drżącymi ustami Hannah.

Phoebe przygryzła mocno wargę.

Theodora zwiesiła głowę.

– Bardzo przepraszamy, panno Glade. Miałyśmy jak najlepsze intencje…

Concordia natychmiast zmiękła.

– Nie wątpię. Zechciejcie więc przyjąć do wiadomości, że ubiegłej nocy nie zaszło pomiędzy mną a panem Wellsem nic takiego, czym mogłybyście

się kłopotać. Nieprawdaż, panie Wells?

– Chciałbym zwrócić uwagę wszystkich obecnych, że w podobnej sytuacji może być zagrożona reputacja nie tylko jednej osoby – powiedział Ambrose.

Wszystkie damy spojrzały na niego ze zdumieniem.

– Przepraszam, co pan powiedział? – spytała Concordia. Zabrzmiało to zgrzytliwie, jakby miała zaciśnięte zęby.

– To prawda, że w wielkim świecie przywiązuje się większą wagę do reputacji damy, ale liczy się także ujma na męskim honorze – wyjaśnił ze spokojem.

Concordia przybrała kamienny wyraz twarzy.

– Mam wrażenie, panie Wells, że nasza dyskusja schodzi na błędne tory. Proponuję udać się czym prędzej do pokoju śniadaniowego.

Ambrose zignorował jej uwagę.

– Jako że chodzi tu o mój honor, sądzę, że i mnie powinny przysługiwać pewne prawa.

– Nie pojmuję, jakim sposobem pańskie prawa mogłyby w tej sytuacji ucierpieć – powiedziała Concordia głosem pełnym napięcia.

– Proszę wierzyć, panno Glade, że żywię głęboki szacunek dla pani nowoczesnej postawy i związanych z nią emocji – kontynuował. – Sądzę więc, że najlepszym wyjściem jest kompromis. Chciałbym zaproponować alternatywne rozwiązanie, zamiast utartych metod, jakie stosuje się w takich warunkach.

Phoebe, Hannah, Theodora i Edwina okazywały coraz żywsze zainteresowanie.

– O czym pan mówi? – spytała Concordia, podkreślając każde słowo ze złowróżbną emfazą.

– Moim zdaniem – odparł – istnieje rozwiązanie nowoczesne i niekonwencjonalne, które można by wykorzystać w tej sprawie ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych.

– Panie Wells – stwierdziła posępnie Concordia – nie mogę się doszukać żadnego sensu w tym, co pan mówi. Być może nie wyspał się pan jak należy.

– Dziękuję za troskę. Spałem doskonale – zapewnił ją.

Hannah zrobiła krok w jego kierunku. Na jej twarzy malowała się ciekawość.

– Na czym polega ta nowoczesna, niekonwencjonalna metoda, o której pan wspomniał?

Ambrose odpowiedział na pytanie Hannah, ale jego uśmiech skierowany był do Concordii.

– Uważam, że powinno zadowolić wszystkich pozostawienie ostatecznej decyzji pannie Glade. Obwieści ją, zwracając się do mnie z propozycją zawarcia małżeństwa lub uchylając się od oświadczyn.

Concordia wpatrywała się w niego bez słowa. Najwidoczniej sugestia Ambrose’a ją zaszokowała.

Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora powitały tę innowację ze zdumieniem i z zachwytem.

– Zrównanie dam z dżentelmenami w prawie do oświadczyn to naprawdę nowoczesny pomysł! – oświadczyła Phoebe.

– Znakomite rozwiązanie, proszę pana. – Edwina pogratulowała Ambrose’owi.

– Dziękuję – odparł ze skromną miną.

Hannah promieniała.

– Pomyśleć tylko! Gdyby Lucinda Rosewood mogła prosić o rękę pana Thorne’a, nie zostałaby przez niego skompromitowana!

– Genialny pomysł! – entuzjazmowała się Theodora. – Rozwiązuje cały problem. Nieprawdaż, panno Glade?

Concordia odzyskała wreszcie mowę.

– Nie widzę żadnego problemu do rozwiązania.

Ale nikt nie zwracał uwagi na jej słowa.

– To naprawdę oryginalny sposób – stwierdziła Phoebe. – Ciekawa jestem, czy się przyjmie?

Hannah zacisnęła wargi.

– Ale co będzie, jeśli panna Glade nie oświadczy się o rękę pana Wellsa?

Brwi Theodory zbiegły się nad nosem.

– Albo oświadczy się i dostanie kosza?

Po tej uwadze konwersacja się urwała. Oczy dziewcząt zwróciły się na Concordię, która ostentacyjnie sięgnęła po zegarek zwisający na łańcuszku u paska.

– Mój Boże! Ależ się zrobiło późno! – Spojrzała na wszystkich z uprzejmym uśmiechem. – Nie wiem jak wy, ale ja umieram z głodu. Bardzo przepraszam, ale nie oprę się pokusie zjedzenia czegoś!

Obróciła się na pięcie i ruszyła korytarzem. Obcasy jej pantofelków stukały po błyszczącej podłodze.

Po jej odejściu dziewczęta zwróciły na Ambrose’a oskarżycielskie spojrzenia. Rozpostarł ręce w bezradnym geście.

– Otóż i najtrudniejszy aspekt wprowadzania nowych, niekonwencjonalnych rozwiązań. Bardzo mi przykro. Byłaby to ze wszech miar interesująca innowacja. Niestety, nie ma żadnej gwarancji, że po dokonaniu zmiany nowator nadal będzie pewny, iż wyjdzie mu ona na dobre i zakasuje poprzednie, trącące myszką metody.

31

Concordia szybkim ruchem palców poprawiła czarną rękawiczkę na lewej ręce i zerknęła na Ambrose’a przez czarną gęstą woalkę, zakrywającą jej twarz. Była w pełni świadoma burzy sprzecznych uczuć, które się w niej kłębiły. Nie wiedziała tylko, czy bardziej jest zaniepokojona, gniewna, czy przygnębiona.

Ostatecznie uznała, że dominuje w niej gniew. Wydało się jej to najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

– Nie pojmuję, jak mogłeś pozwolić, by rozmowa w bibliotece przybrała dziś rano taki oburzający charakter! – zaczęła zgodnie z obraną rolą. – Czyżbyś nie wiedział, że mając do czynienia z młodymi osobami, należy przez cały czas zachowywać kontrolę nad tematem i przebiegiem dyskusji?

Ambrose obserwował ją ze swego miejsca naprzeciw niej. Miał dziś sztuczne bokobrody, wąsy i okulary. Razem z wyjątkowo niegustownym surdutem, podwatowanym w talii, sztywnym, wysokim kołnierzykiem koszuli i spodniami, które dawno już przestały być modne, wyglądał dokładnie tak, jak przystało na doradcę w interesach, któremu się w życiu nie powiodło.

– Stwierdzam z ubolewaniem, że moje kontakty z młodymi osobami, szczególnie płci żeńskiej, są w porównaniu z twoimi bardzo ograniczone – odparł.

Concordię irytowało, gdy nie miała pewności, czy Ambrose mówi poważnie, czy też się z nią droczy. Chybabym poznała, gdyby bawił się

moim kosztem, pomyślała na pociechę.

Byli w drodze do rezydencji pani Hoxton. A teraz Concordia – po raz pierwszy od tego okropnego spotkania w bibliotece przed śniadaniem – mogła porozmawiać z Ambrose'em sam na sam. Łudziła się, że całkowicie odzyskała panowanie nad sobą, lecz właśnie odkryła, że nerwy nadal dają się jej we znaki i są niepokojąco rozdrażnione.

– Doprawdy nie rozumiem, co cię podkusiło, by zaprzątać im głowy takimi pomysłami!

– Jakie znów pomysły mi przypisujesz? – spytał.

– Nie udawaj niewiniątka! Wiesz równie dobrze jak ja, że chodzi mi o ten żart w najgorszym guście, którym błysnąłeś w bibliotece.

Z trudem udawał wstrząśniętego jej oskarżeniem.

– Naprawdę nie pamiętam, bym dziś rano pozwalał sobie na jakieś żarciki!

Jego bezczelne zaprzeczenie było ostatnią kroplą przepełniającą czarę. Conordia straciła do reszty panowanie nad sobą.

– Mam na myśli twoje idiotyczne uwagi na temat właściwego postępowania damy i dżentelmena zaraz po… po… – Zabrakło jej słów. Musiała ograniczyć się do wymachiwania rękoma w żenujący sposób. Gdy nagle zdała sobie sprawę z tego, co robi, niezwłocznie splotła ręce na podołku. – Doskonale wiesz, co mam na myśli!

– Po nocnych porywach namiętności, noszących na sobie piętno geniuszu, które pozostawiły wyróżnionego dżentelmena zbyt urzeczonym, usidlonym i uskrzydlonym, by mógł być zdolny do logicznego myślenia?…

– Mężczyzna, który potrafi tak zręcznie wpleść w krótkie zdanie tyle poezji, jest jak najbardziej zdolny do logicznego myślenia!

Poprawił się na poduszkach.

– Myślałem, że kto jak kto, ale ty docenisz, jak zręcznie pokierowałem dyskusją, nie dopuszczając do krępujących scen z twoimi wychowankami.

– Uważasz zwalenie całej odpowiedzialności na mnie za przykład swojej zręczności?!

– No, cóż… musisz w każdym razie przyznać, że był to prawdziwie nowoczesny sposób rozumowania.

Concordia westchnęła.

– Jesteś niemożliwy, mój panie!

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie.

– Wolałabyś, żebym postąpił według utartych reguł? – zagadnął obojętnym tonem. – Miałem prosić cię o rękę jeszcze tego ranka?

Concordia zesztywniała i skoncentrowała całą uwagę na widokach za oknem powozu.

– Z powodu jednej nocy namiętnych uniesień, którymi rozkoszowaliśmy się oboje? Oczywiście, że nie! Nie wykorzystałeś mnie ani nie oszukałeś. Nie masz za co przepraszać ani czego wynagradzać propozycją małżeństwa!

– A gdybym oświadczył ci się mimo to? – spytał.

Spojrzała na niego wilkiem.

– Odmówiłabym, to jasne!

– Aby udowodnić, jaka jesteś nowoczesna i niekonwencjonalna?

Tym razem nabiera mnie z całym rozmysłem i premedytacją! – pomyślała.

– Nie! – odparła szorstko. – Odmówiłabym, wiedząc, że tylko twoje poczucie honoru nakazuje ci prosić mnie o rękę. Nigdy nie wyszłabym za nikogo z tego powodu!

Popatrzył na nią z zagadkową miną.

– Chyba przeceniasz moje dobre wychowanie i uległość wobec kodeksu honorowego.

– Brednie! Jesteś z natury człowiekiem honoru, Ambrose. Wyczułam to już pierwszego wieczoru, kiedyśmy zawarli znajomość. I właśnie dlatego

muszę odrzucić każdą ofertę małżeństwa, którą mi złożysz. Nie mogłabym przyjąć oświadczyn złożonych pod przymusem.

– Pod przymusem – powtórzył. – Jakież to okropne słowo!

– Właśnie! Widzę, że w końcu to pojąłeś. Małżeństwo zawarte z powodu staromodnych, fałszywie rozumianych zasad honoru… albo pod naciskiem szacownych przedstawicieli wielkiego świata byłoby dożywotnim wyrokiem dla nas obojga.

– To opinia twoich rodziców, prawda?

Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie. Miał rację. Ileż to razy słyszała te słowa z ust ojca albo matki?… Nic dziwnego: dorastała w cieniu ich poglądów.

– Obawiasz się, że zawarcie takiego małżeństwa byłoby zdradą wobec rodziców i tego wszystkiego, co ci wpajali? – spytał łagodnie Ambrose.

Concordia opanowała się i dumnie uniosła głowę.

– Nie chciałabym skazywać ani ciebie, ani siebie na podobne małżeństwo.

– Taka jesteś pewna, że nie bylibyśmy ze sobą szczęśliwi?

Zaschło jej w ustach.

Na szczęście w tym właśnie momencie powóz zatrzymał się z łoskotem. Ambrose sięgnął do klamki.

– Biorąc pod uwagę szczerość i siłę twoich przekonań – rzekł – wydaje się, że pozostało nam tylko jedno wyjście: moja nowoczesna i niekonwencjonalna propozycja.

– Co takiego?!

– Jak ci już powiedziałem w obecności twoich uczennic, zostawiam cały ten problem w twoich rękach. Jeśli zdecydujesz się poprosić mnie o rękę, dobrze wiesz, gdzie mnie szukać.

Ambrose wiedział doskonale, że zbyt się zagalopował ze swoim ultimatum i z pewnością wkrótce tego pożałuje.

Było widoczne, że przez cały ranek Concordia balansowała na niewidzialnej linie, splecionej z rozedrganych nerwów. Poniewczasie Ambrose zorientował się, że poruszenie przy pierwszej okazji sprawy małżeństwa było błędem… a co dopiero sugerowanie jakichś niekonwencjonalnych rozwiązań tego problemu!

Ale cóż innego mógł zrobić po tym, gdy Phoebe, Hannah, Edwina i Theodora osaczyły go w bibliotece?

W pierwszej chwili wyglądało to na genialne wyjście z sytuacji nie do rozwiązania. Ambrose doskonale wiedział, że gdyby poprosił tego ranka Concordię o rękę, odmówiłaby mu. Miał też posępną pewność, że nie zniósłby tego odtrącenia. Przenosząc brzemię oświadczyn na ramiona Concordii, próbował uchronić oboje od czyhającego na nich grzęzawiska.

Jego postępowanie udowodniło, że – mimo nacisku, jaki kładł na samokontrolę i chłodne, logiczne rozumowanie – w tym wypadku wszechstronny trening we wszystkich sztukach Vanzagary nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Filozofia rodziny Coltonów, przekazana mu przez dwa poprzednie pokolenia, również nie na wiele się przydała. Jego ojciec i dziadek, mimo swego złodziejskiego fachu i oszukańczych sztuczek, byli nieuleczalnymi romantykami. Niestety, widać to rodzinna słabostka!

Ambrose cieszył się na spotkanie z panią Hoxton. Był to doskonały pretekst, by skoncentrować się na czymś innym oprócz coraz bardziej komplikujących się stosunków z Concordią.

Drzwi otworzył imponujący lokaj, który po krótkiej konsultacji ze swoją chlebodawczynią wprowadził ich do salonu zatłoczonego przesadnie ozdobnymi meblami.

Nie ulegało wątpliwości, że zaangażowany przez panią Hoxton dekorator wnętrz starał się zmieścić w ograniczonej przestrzeni wszystkie

najmodniejsze elementy dekoracyjne. W efekcie powstał koszmarny mętlik gryzących się barw, bezsensowny galimatias wzorów i struktur.

Draperie śliwkowego koloru opadały na dywan w ogromne kwiaty błękitne, liliowe i kremowe. Na wytłaczanych tapetach znów tłoczyły się kwiaty – tym razem różowe na kasztanowym tle. Każdy mebel był wyścielany, dobieranymi chyba przez ślepca, tkaninami w najróżniejsze wzorki. Wielkie wazy sztucznych kwiatów straszyły w ciemnych kątach. A ściany od góry do dołu były obwieszone obrazami w złotych ramach.

Concordia usiadła na obitym aksamitem krzesełku.

– Serdecznie dziękuję, że zgodziła się pani przyjąć nas już dziś, pani Hoxton, i to bez wcześniejszego uzgodnienia. Doprawdy, to niezwykle uprzejme z pani strony.

Ambrose był zdumiony łatwością, z jaką Concordia wcieliła się w swoją rolę. Gdyby nie wiedział, jak sprawy się mają, z pewnością uwierzyłby, że jest ona dokładnie tym, za kogo się podaje: bogatą, elegancką wdówką.

– Ależ to drobiazg! – Pyzata twarz pani Hoxton jaśniała przymilnym uśmiechem. – Każdy z przyjaciół lady Chesterton jest oczywiście mile widziany w moim domu.

Zażyła przyjaźń Concordii z bogatą, zajmującą wysoką pozycję społeczną hrabiną Chesterton opierała się na bardzo kruchych podstawach. Prawdę mówiąc, był to najnowszy pomysł Ambrose’a. Zaledwie kilka minut temu ozdobił tym nazwiskiem wizytówkę, którą następnie wręczyli imponującemu służącemu pani Hoxton.

Plotki, których Ambrose nasłuchał się w swoim klubie na temat aspiracji towarzyskich tej damy, okazały się zgodne z prawdą: pani Hoxton nie oparła się pokusie goszczenia pod swym dachem bliskiej przyjaciółki lady Chesterton.

– To tylko mój doradca w interesach. – Concordia ręką w czarnej rękawiczce machnęła niedbale w stronę Ambrose’a. – Proszę nie zwracać na niego uwagi; zabrałam go ze sobą, by robił notatki. Wyręcza mnie w

tych wszystkich nużących sprawach związanych z inwestycjami; jest tego mnóstwo, rozumie pani.

– Doskonale to rozumiem. – Pani Hoxton zerknęła przelotnie na Ambrose'a i z miejsca uznała go za niewartego uwagi. Zwróciła się więc znowu do Concordii, mówiąc z ożywieniem: – Co lady Chesterton powiedziała pani na mój temat?

– Cynthia podała mi pani nazwisko i poradziła, bym skorzystała z pani doświadczeń w zakładaniu szkół charytatywnych i patronowaniu im. – Concordia przyjęła filiżankę herbaty z rąk pokojówki. – Wspomniała, że z powodzeniem kieruje pani obiektem podobnym do tego, jaki chcę ufundować.

Pokojówka dyskretnie wymknęła się z salonu, zamykając bezgłośnie drzwi. Ambrose uświadomił sobie, że nie ma co liczyć na herbatę, wszystko jedno z czyich rąk. Wyjął więc notatnik z ołówkiem i postarał się wtopić w tło.

– Czyżby lady Chesterton… to znaczy pani przyjaciółka Cynthia, dostrzegła moje skromne dokonania na polu filantropii? – Pani Hoxton nie była w stanie ukryć swej radości. – Nie miałam o tym pojęcia!

– Ależ tak, oczywiście – zapewniła ją Concordia. – Słyszała, ile dobrego wyświadczyła pani wychowankom tej Dobroczynnej Szkoły dla Dziewcząt.

Rozpromieniona pani Hoxton skinęła głową potakująco.

– Ach, tak!

– Mój zmarły mąż, świeć Panie nad jego duszą, pozostawił mi całkiem pokaźną sumę pieniędzy – wyjaśniła Concordia. – Marzę o tym, by część tej schedy przeznaczyć na założenie szkoły dla pozbawionych rodziny dziewcząt. Mam nadzieję, że zechce pani wspomóc mnie konkretnymi radami w tej materii.

Twarz pani Hoxton zmieniła się w maskę bez wyrazu.

– Czego konkretnie chciałaby się pani dowiedzieć?

– No… na przykład: jak dużo czasu trzeba poświęcić, kiedy jest się opiekunem szkoły tego typu?

– O, teraz rozumiem, o co pani chodzi! – Pani Hoxton wyraźnie poweselała. – Nie ma się czego obawiać! Przekonałam się, że taka opieka nad szkołą nie zabiera wiele czasu. Na Boże Narodzenie wręczam uczennicom drobne upominki i pozwalam, by wyraziły swoją wdzięczność… i na tym się właściwie kończą moje obowiązki. Zapewniam panią: jedno okropnie nudne popołudnie na rok to wszystko, czego się ode mnie wymaga.

– Nie rozumiem – zdumiała się Concordia. – Czy angażowanie nauczycieli nie należy do pani obowiązków?

– Tym zajmuje się oczywiście dyrektorka szkoły.

– A ją kto angażuje?

Przez chwilę pani Hoxton była wyraźnie zbita z tropu, ale zaraz znów się rozchmurzyła.

– Ja nie musiałam nikogo angażować. Ta szkoła już istniała, zanim zdecydowałam się roztoczyć nad nią opiekę. Panna Pratt była jej dyrektorką i nie widziałam powodu, by zastępować ją kimś innym. Wszystko przemawiało za nią, prawdę mówiąc. Znakomicie zarządza szkołą. Pilnuje, by nie było niepotrzebnych wydatków. Nie marnuje ani grosza!

– A kto przed panią był protektorem tej szkoły? I czemu zrezygnował z tej funkcji? – spytała Concordia.

– Po prostu umarł. A jego spadkobiercy nie chcieli sobie zawracać głowy szkołą. Tak się zdarzyło, że wciągałam się wówczas w działalność charytatywną i szukałam jakiegoś obiektu, którym mogłabym się zaopiekować. Wszystko ułożyło się znakomicie.

Concordia wolno popijała herbatę.

– Skąd pani wiedziała, że tej właśnie szkole zabrakło protektora?

– O, to było bardzo łatwe! Mój dobry przyjaciel, pan Trimley, dowiedział się o tym i namówił mnie, bym roztoczyła opiekę nad Dobroczynną Szkołą

dla Dziewcząt.

Concordia znieruchomiała z filiżanką herbaty w pół drogi do ust. Dzięki gęstej woalce nic nie można było wyczytać z jej twarzy; Ambrose jednak był pewny, że Concordia bacznie obserwuje panią Hoxton.

On również przyglądał się tej damie dyskretnie, tak by nie zdradzić swojego zainteresowania.

– Wspomniała pani, że to pan Trimley… Chyba nie mam przyjemności go znać – stwierdziła Concordia.

– To ogromnie uroczy, bardzo elegancki dżentelmen – zapewniła ją pani Hoxton. – Zawsze się do niego zwracam o radę, zwłaszcza w sprawach dotyczących mody i dobrego gustu.

– Fascynujące! – skomentowała Concordia. – Jak się państwo poznali?

– Zostaliśmy sobie przedstawieni w ubiegłym roku, na wieczorze u Dunningtonów. – Pani Hoxton przybrała ton uprzejmego zdziwienia. – Pani również tam była, pani Nettleton? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, bym panią wtedy widziała. Ale był straszny tłok, więc nic dziwnego…

Niech to szlag! – zaklął w duchu Ambrose. Nie przygotował Concordii na takie przesłuchanie!

– Prawie nigdzie wtedy nie bywałam – odparła gładko Concordia. – Mój mąż bardzo chorował… To były jego ostatnie chwile. Uważałam, że moje miejsce jest u jego boku. Czuwałam przy nim we dnie i w nocy.

Ambrose poczuł, jak wzbiera w nim podziw. Chytra sztuka! Zawsze spadnie na cztery łapy!

– No, tak… Oczywiście! – przytaknęła czym prędzej pani Hoxton. – Proszę mi wybaczyć! Jestem taka impulsywna: najpierw coś mi się wyrwie, a zaraz potem żałuję. A więc, jak już mówiłam, zawarłam znajomość z panem Trimleyem na tym właśnie wieczorze. Od razu się zaprzyjaźniliśmy.

– Często się pani z nim widuje? – dopytywała się tym razem Concordia, bardzo zresztą łagodnie.

– Istotnie. Ot, choćby jutro wybieramy się razem na bal u Greshamów. – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Przypuszczam, że i pani dostała zaproszenie?

– Oczywiście… ale nie czuję się jeszcze na siłach, by brać udział w tak hucznych imprezach.

– Doskonale panią rozumiem.

Concordia bardzo ostrożnie odstawiła filiżankę na spodeczek.

– Przypuszczam, że pani również zatrudnia doradcę, który zajmuje się finansowymi aspektami działalności szkoły, nad którą pani objęła patronat?

– O, pan Trimley mnie wyręcza w tych sprawach! Nie mam zupełnie głowy do takich problemów… Dzięki temu, jak już pani powiedziałam, działalność charytatywna nie przysparza mi kłopotów i nie zabiera wiele czasu.

– Pan Trimley jest z pewnością ogromnie pani pomocny – podsumowała Concordia.

– Nie mam pojęcia, jak bym sobie dała radę bez niego! – stwierdziła pani Hoxton.

Wkrótce potem Concordia, ogromnie dumna ze swych talentów dramatycznych, wsparła się na ramieniu swego doradcy i zeszli razem z frontowych schodów miejskiej rezydencji pani Hoxton.

Wolnym krokiem dotarli do skrzyżowania ulic i zniknęli za rogiem.

– Dobrze się bawiłaś w salonie tej dobrodziejki, nieprawdaż? – Ambrose zapytał z cierpkim uśmiechem.

Concordia zdołała utrzymać należną rezerwę i godność osobistą.

– Cóż mają znaczyć te docinki? Uważam, że odegrałam swoją rolę jak należy.

– Jeszcze jak! Szczerze mówiąc, miałem wrażenie, że bardzo ci odpowiada odgrywanie roli aroganckiej pracodawczyni w obecności uniżonego doradcy.

– Może ci to sprawi przyjemność, gdy powiem, że byłeś równie dobry w swojej roli? Słowo daję, wyglądałeś jak uosobienie doradcy finansowego, prześcignąłeś wszystkich autentycznych doradców!

– Serdecznie dziękuję. – Ambrose zatrzymał przejeżdżającą dorożkę. – Po wielu latach stałem się specjalistą od wtapiania się w otoczenie.

Concordia uśmiechnęła się za swoją gęstą woalką i wyciągnęła do niego rękę, by pomógł jej wsiąść do powozu.

– Kryjesz w sobie zdumiewającą kolekcję nieprawdopodobnych talentów i umiejętności!

– Podobnie jak ty, Concordio. – Zamknął drzwiczki powozu i opadł na ławeczkę naprzeciw niej. – Mój podziw dla nauczycieli wzrasta z każdym dniem!

– I co teraz? – Spojrzała na niego zza woalki. – Zakładam, że kolejnym punktem programu będzie zebranie wiadomości na temat zagadkowego pana Trimleya.

– Jestem tego samego zdania. – Ambrose odwrócił się do okna i zdawał się pochłonięty widokami. – Sądzę, że odgrywa ważną rolę w interesującej nas sprawie. Być może właśnie on jest tajemniczym wspólnikiem Larkina.

– Możemy chyba założyć, że pani Hoxton nie należy do konspiratorów. Najwyraźniej uważa tę szkołę charytatywną wyłącznie za środek, dzięki któremu wielki świat zwróci na nią uwagę.

– Zgadzam się z tobą – przytaknął Ambrose. – Wydaje mi się, że ten jej wspaniały przyjaciel wodzi ją za nos. Nie jest to pierwszy ani ostatni przypadek, kiedy taki łajdak w skórze dżentelmena przysysa się do bogatej i ambitnej kobiety i wykorzystuje ją dla swoich egoistycznych celów. Chyba z równą łatwością zachęcił Edith Pratt do współpracy w urzeczywistnianiu ich planu.

Concordia skrzywiła się z niesmakiem.

– Podejrzewam, że skłonienie panny Pratt do współpracy ograniczało się do wręczenia jej pokaźnej łapówki.

– No, cóż… znasz ją lepiej niż ja.

– Jak chcesz zdobyć informacje na temat Trimleya? – spytała, ogromnie zaciekawiona. – Będziesz obserwował rezydencję pani Hoxton, by przekonać się, czy ten człowiek ją odwiedza?

– To jeden ze sposobów zdobywania potrzebnych wiadomości – powiedział. – Ale bardzo prawdopodobne, że zmarnowałbym mnóstwo cennego czasu na przebywanie w pobliżu i wyczekiwanie, czy interesujący nas osobnik raczy się zjawić. Mam wrażenie, że znalazłem łatwiejszy sposób.

– A mianowicie?

– Pani Hoxton wspomniała, że Trimley będzie jej towarzyszył na jutrzejszym balu u Greshamów. Ja również zjawię się na nim. Będą tam tłumy ludzi. Zdołam chyba bez większego trudu przypatrzeć się Trimleyowi.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Chyba żartujesz?!

Zmarszczył brwi.

– Czemu tak sądzisz?

– Bo nie możesz mówić poważnie o uczestniczeniu w takim balu!

– A to dlaczego?

– Przede wszystkim brak ci takiego drobiazgu jak oficjalne zaproszenie.

– W razie potrzeby mogę bez trudu zdobyć dobry falsyfikat – odparł. – Ale w tym wypadku nie sądzę, żeby to było potrzebne. Na wszelkich imprezach u lady Gresham jest zawsze piekielny tłok. Nikt nie zauważy jednego nadprogramowego gościa.

– Bardzo bym chciała iść tam razem z tobą. Pomogłabym ci w zbieraniu obserwacji.

Popatrzył na nią w zadumie.

– Hm… – mruknął.

Concordia pokręciła głową.

– Obawiałam się, że to niemożliwe. Ale dziękuję, że zechciałeś się przynajmniej nad tym zastanowić.

– Nie widzę przeszkód, jeśli chcesz iść ze mną. Jako kobieta możesz dowiedzieć się różnych rzeczy, których ja nie mógłbym zdobyć.

– Jest jeszcze jeden drobny szkopuł, mój panie – zwróciła mu uwagę. – Toaleta balowa. Suknie, które dla mnie obstalowałeś, są prześliczne, ale żadna z nich nie nadaje się na bal.

– Z suknią nie będzie kłopotu.

– Jesteś tego pewien?

Uśmiechnął się.

– Jak najbardziej.

Poczuła, że ogarnia ją podniecenie.

– To brzmi niezwykle zachęcająco. Nigdy nie byłam na balu. Poczuję się jak Kopciuszek!

– Zawsze mówię: nie ma to jak dobra bajeczka! – Ambrose wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował ramiona. – Ale zmieńmy temat. Chciałem cię powiadomić, że przyjrzałem się uważnie notatnikowi, który znalazłem w biurku Cuthberta ostatniej nocy. Podejrzewałem, że może to być księga rachunkowa… i niewiele się pomyliłem.

– O jakie rachunki chodzi? Może dotyczą tej szkoły charytatywnej?

– Nie. Jest to coś w rodzaju zestawienia przegranych przez niego sum. – Ambrose zamilkł na chwilę. – Najwyraźniej Cuthbertowi nie szczęściło się w grze. W ostatnich dniach swego życia był komuś winien pokaźną sumę.

– Larkinowi?

– Prawdopodobnie.

Concordia zastanowiła się przez chwilę.

– Jak myślisz, czy Larkin i Trimley zmusili Cuthberta do pomocy w tym ohydnym projekcie, strasząc go publicznym zdemaskowaniem jako nałogowego hazardzisty… na domiar złego niewypłacalnego?

– Całkiem możliwe.

Concordia się wzdrygnęła.

– A Cuthbert przypłacił to w dodatku życiem.

– Ludzie, którzy wdali się w brudne interesy z Larkinem, często kończą w ten sposób. Ale dawniej większość jego ofiar stanowili kryminaliści albo przedstawiciele klas bynajmniej nieuprzywilejowanych. I tego rodzaju porachunki nie budziły sensacji w prasie. Nie inspirowały również policji do poważnego traktowania śledztwa. Teraz jednak Larkin i jego nowy wspólnik uznali, że warto podjąć większe ryzyko.

– Rozumiem, co masz na myśli. Ostatnimi ofiarami są: wykwalifikowana nauczycielka, właścicielka agencji dostarczającej szkołom nauczycieli, a prywatnym klientom guwernantki i guwernerów oraz doradca finansowy.

– Żadna z tych osób nie należała do wyższych sfer, ale wszystkie były na swój sposób cenione i szanowane. Tego rodzaju morderstwa, w przeciwieństwie do zabójstwa siostry mojej klientki, przyciągają ogólną uwagę.

– Owszem, ale dopiero wówczas, gdy zbrodnia zostanie udowodniona – przypomniała mu Concordia. – A na razie panna Bartlett po prostu się gdzieś zawieruszyła, pani Jervis podobno popełniła samobójstwo, a ciała Cuthberta dotychczas nie odnaleziono.

– To prawda. Niemniej jednak zdumiewa mnie, że Larkin i jego wspólnik uważają cztery twoje pupilki za niezmiernie cenny towar!

32

Concordia zacisnęła ręce na bokach drabiny i spojrzała w górę, na szczyt ceglanego muru, na który miała się wspiąć.

– Pewnie mi nie uwierzysz, Ambrose, ale gdy powiedziałeś, że dzisiejszej nocy weźmiemy udział w balu u Greshamów, wyobraziłam sobie, że wystąpię w całkiem innej kreacji!

Zacisnął obie ręce na najniższych szczeblach drabiny, by się nie chybotała, kiedy Concordia będzie się po niej wspinać.

– Zapewniam cię, że wyglądasz uroczo w stroju pokojówki. W tym czepeczku i fartuszku bardzo ci do twarzy.

– Przynajmniej los oszczędził mi największej hańby: liberii lokaja, jaskrawej i w najgorszym guście; takiej, jaką sobie upatrzyłeś.

– Chyba ci już wyjaśniłem przyczyny tej przebieranki. Pani domu tej klasy co lady Gresham z pewnością wynajęła na dzisiejszy bal sporo służby. Nikt nie zauważy dodatkowej pokojówki i jednego lokaja więcej.

Concordia stanęła na pierwszym szczeblu; wiedziała, że Ambrose postarał się o drabinę wyłącznie dla jej wygody. Sam wspiąłby się z pewnością na mur bez tego rodzaju udogodnień.

– Teraz już rozumiem, czemu nie zależało ci na prawdziwym zaproszeniu – powiedziała.

– Po co zawracać sobie głowę zbędnymi formalnościami, gdy można zwyczajnie przejść przez mur?

– Masz bardzo praktyczne podejście do pewnych spraw!

Dotarła w końcu do najwyższego szczebla i na chwilę zatrzymała się tam, zbierając fałdy peleryny i podkasując spódnicę.

Z wielką ostrożnością przełożyła najpierw jedną, potem drugą nogę na przeciwną stronę ceglanego muru. Ciężkie lniane majtasy, które miała pod zgrzebną suknią służącej, chroniły jej uda przed otarciem o chropowate cegły.

Kiedy przysiadła wreszcie na szczycie muru, zapatrzyła się na zalany księżycową poświatą ogród. Światła w oknach rezydencji Greshamów płonęły. Noc tętniła muzyką, dobiegającą z sali balowej.

Przez głowę Concordii przemknęła ulubiona scena z jej marzeń. Oto ona, w sukni zwiewnej jak szaty elfów, tańczy walca w objęciach Ambrose'a. Jej włosy upięte w elegancki kok skrzą się od klejnotów. A jej partner, Ambrose, wygląda niezwykle pociągająco w uroczystej czerni i bieli.

Uśmiechnęła się do swoich marzeń.

– O czym tak dumasz, u licha? – spytał Ambrose, zatrzymując się na ostatnim szczeblu drabiny.

Aż podskoczyła, usłyszawszy jego głos tuż przy swoim uchu. Nie zdawała sobie sprawy, że Ambrose jest tak blisko!

– O niczym szczególnym – powiedziała lekkim tonem.

– Nie bujaj w obłokach; dziś nie możemy sobie pozwolić na żaden fałszywy krok!

– Nie praw mi kazań, Ambrose! Dobrze wiem, co mam robić.

– Oby to była prawda! – Wciągnął drabinę na szczyt muru i opuścił ją po drugiej jego stronie. – Pamiętaj, nie wolno ci ryzykować. Jeśli wpadniesz w tarapaty albo poczujesz się niepewnie z jakiegokolwiek powodu, daj mi natychmiast znać!

– Powtarzasz mi to po raz dziesiąty od chwili, gdy wyszliśmy z domu, Ambrose! Wiesz, na czym polega twój problem?

– O którym mówisz? – Zszedł po drabinie ze zręcznością kota. – Mam ostatnimi czasy mnóstwo problemów!

Zabolała ją ta uwaga, ale nie zdradziła tego tonem głosu. Schodziła po drabinie bardzo ostrożnie i zeskoczyła z ostatniego szczebla ze znacznie mniejszą gracją niż Ambrose.

Czekał na nią na dole. Kiedy stanęła na wprost niego, podniosła rękę, by poprawić okulary.

– Twoim głównym problemem jest brak zaufania do wspólnika. Pieklisz się, jeśli wykazuje inicjatywę.

– Pewnie dlatego, że jestem przyzwyczajony do pracy w pojedynkę. Od lat nie miałem wspólnika.

To ją zaintrygowało.

– Miałeś kiedyś wspólnika?

– Owszem, na samym początku mojej kariery – odparł z roztargnieniem, zdejmując płaszcz. – Jak wyglądam?

Concordia przyjrzała mu się z bliska, ale było tak mroczno, że dostrzegła jedynie białą perukę.

– Niczego nie widzę wyraźnie. Strasznie tu ciemno!

– A ja widzę, że czepek ci się przekrzywił. – Podniósł rękę do jej włosów. – Pozwól, że ci go poprawię.

– No, no… Masz oczy jak ryś, Ambrose.

– Stoner zawsze mi to mówił. – Wziął ją za rękę. – Chodź, moja droga, idziemy na bal! Od dziś nie będziesz mogła mi zarzucać, że nie wprowadziłem cię na sam szczyt drabiny społecznej!

Dwie godziny później Concordia przemknęła słabo oświetlonym korytarzem i otworzyła niepozorne drzwi. Smuga światła z korytarza pozwoliła jej dostrzec we wnętrzu sporego schowka rozmaite szczotki, ścierki i wiadra.

Wślizgnęła się do środka i przymknęła drzwi. Nareszcie jestem sama! – pomyślała ze znużeniem, opierając się o drzwi schowka.

Kto by przypuszczał, że odgrywanie roli pokojówki będzie aż tak wyczerpujące?… Nie miała ani chwili odpoczynku, odkąd weszła do damskiej garderoby, gdzie panie mogły odpocząć przez chwilę lub poprawić fryzurę lub jakiś detal balowej kreacji.

Wraz z dwiema równie zapracowanymi pokojówkami Concordia obsługiwała niekończącą się kolejkę dam, domagających się usług. Większość czasu spędzała na kolanach, pomagając przy zmianie pantofli czy przyszpilając fałdy okazałych trenów, by ich właścicielki mogły tańczyć walca, nie nadeptując sobie na obrąbek. Prócz tego trzeba było zlikwidować skutki niewielkich tragedii, takich jak oblana szampanem suknia albo podarta halka. W dodatku raz czy drugi przywołano ją do czyszczenia podejrzanie zielonych plam na atłasowych spódnicach.

Przynajmniej to dobre, że nikt mnie nie poznał! – pomyślała z pewnym żalem. Przekonała się, że biały czepek i fartuszek pokojówki są równie dobrym przebraniem jak gęsta woalka. Żadna z eleganckich dam, którym pomagała, nie rzuciła nawet okiem na zaharowane służące.

Pokojówki potraktowały jej przybycie jako coś naturalnego. Wszystkie były tak zajęte, że dodatkowa para rąk wydawała się na wagę złota. A ponieważ wiele osób wynajęto na jeden dzień, obca twarz nie budziła podejrzeń.

Jedynym naprawdę niepokojącym wydarzeniem było pojawienie się w drzwiach damskiej garderoby pani Hoxton, w bardzo okazałej różowopurpurowej atłasowej sukni, ozdobionej licznymi falbanami i zakładkami.

Jednak ta dobrodziejka sierot nie zaszczyciła łaskawym słówkiem ani tym bardziej spojrzeniem pokojówki, która przyklękła na dywanie, by podpiąć długi zwiewny tren jej sukni.

Concordia z obawą podniosła ręce, by sprawdzić, czy czepek nadal tkwi na jej głowie, a następnie otworzyła drzwi.

Wymknęła się na pusty korytarz, zastanawiając się, czy Ambrose dopadł wreszcie nieuchwytnego pana Trimleya na sali balowej.

– No, no! Co my tu mamy? Ukrywasz się, żeby wymigać się od obowiązków, co?

Głos, który rozległ się za plecami Concordii, był niewątpliwie męski i mocno niewyraźny, zapewne po wypiciu potężnej ilości szampana. Concordia udała, że nie słyszy zaczepki, i pośpieszyła z powrotem do bezpiecznej przystani damskiej garderoby.

Ciężkie kroki wciąż dudniły za nią, Concordia podkasała więc spódnicę, gotowa do biegu.

Muskularna męska ręka zacisnęła się na jej ramieniu, powstrzymując ją w biegu.

– Dokąd ci tak śpieszno?

Chwycił ją jeszcze mocniej za ramię i zmusił, by odwróciła się twarzą do niego. Concordia ujrzała przed sobą wielkiego, tęgiego dżentelmena ubranego w obowiązujący czarno-biały strój wieczorowy, z pewnością dzieło renomowanego krawca. Choć na korytarzu panował półmrok, Concordia zdołała przyjrzeć się twarzy napastnika. Niegdyś był zapewne bardzo przystojny, teraz jednak rysy zgrubiały na skutek opilstwa, obżarstwa i rozwiązłego życia.

Spojrzał na Concordię pożądliwym wzrokiem.

– Okulary, co? Chyba nigdy jeszcze nie baraszkowałem z panienką w okularach! Wszystkiego warto spróbować choćby raz. Zawsze sobie to powtarzam!

Pokusa, by trzasnąć go w twarz, była niezwykle silna. Ale Concordia powtarzała sobie, że gra rolę pokojówki. Nikt ze służby nie ośmieliłby się dać po pysku dżentelmenowi, zwłaszcza że był gościem ich chlebodawcy. Prawdę mówiąc, guwernantka też nie poważyłaby się na coś takiego… Zaraz by wyleciała z pracy.

– Bardzo przepraszam – powiedziała, starając się mówić chłodno, obojętnie, ale z należnym szacunkiem. – Muszę wrócić do garderoby pań.

Zaśmiał się obleśnie.

– To nie zajmie dużo czasu. Szybko się z tobą uwinę.

– Proszę, niech mnie pan puści! Wyślą kogoś na poszukiwanie, jeśli zaraz nie wrócę do swych obowiązków.

– Nie od razu się połapią, że jakaś tam pokojówka się zapodziała. Dziś kręci się po domu mnóstwo służby! – Zaczął ją ciągnąć do schowka. – No, chodźże, mała, zabawimy się troszkę. Nie będziesz żałowała, przekonasz się!

Wezbrało w niej oburzenie. Znikł gdzieś pokorny głosik pokojówki. Przemówiła nauczycielka, pewnym głosem i kategorycznym tonem.

– Jak pan śmie?! – krzyknęła. – Czy tak pan traktuje wszystkich, których pozycja jest niższa od pańskiej? Nie wie pan, co to są dobre maniery? Nie ma pan ani krzty ogłady? Ani odrobiny przyzwoitości?!

Rozpustny pijak skamieniał i gapił się na nią z takim zdumieniem, jakby nieożywiony przedmiot przemówił ludzkim językiem.

– Co to ma znaczyć? – spytał w osłupieniu.

– Powinien się pan wstydzić! Nie ma pan prawa narzucać się kobietom, które musiały iść na służbę, by uczciwie zapracować na chleb. Prawdziwy dżentelmen wystąpiłby w obronie tych kobiet!

Concordia, wykorzystując jego osłupienie, chciała wyrwać rękę z jego uścisku. Ale ogromne łapsko zacisnęło się jeszcze brutalniej na jej ramieniu. Ohydny, obleśny uśmiech zmienił się w grymas świętego oburzenia.

– Kim ty jesteś, u diabła, by przybierać takie tony wobec lepszych od ciebie?! – Zacisnął jeszcze mocniej rękę na jej ramieniu i brutalnie potrząsnął dziewczyną. – Ja ci pokażę, gdzie jest twoje miejsce! Niech mnie szlag, jeśli tego nie zrobię!

Szarpnął znów brutalnie, ciągnąc ją do schowka.

Po raz pierwszy w życiu Concordia poczuła prawdziwy strach. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. W nadziei, że w pobliżu znajdzie się ktoś ze służby i zechce przyjść jej z pomocą, otwierała już usta, by zawołać: „Ratunku!”

Pijany dżentelmen zakrył jej usta potężną łapą.

– Siedź cicho, bo ci naprawdę zrobię krzywdę! Zrozumiano?! A napiwku też się nie spodziewaj!

Otworzył drzwi do składziku i usiłował wepchnąć Concordię do wnętrza. Wielką ręką zatykał jej nie tylko usta, ale i nos. Oddychała z trudem. Ale jej paniczny strach podszyty był wściekłym gniewem.

Sięgnęła do twarzy napastnika i przeorała mu paznokciami policzek.

Ryknął z bólu i puścił wreszcie jej ramię, by dotknąć podrapanej twarzy.

– Coś ty mi zrobiła, durna suko?!

Concordia pchnęła go z całej siły.

Pijak stracił równowagę, zatoczył się do tyłu i zwalił na wznak na podłogę schowka.

Concordia zatrzasnęła drzwi i obróciła klucz w zamku.

– A, tutaj jesteś! – Ambrose odezwał się zza jej pleców. – Wszędzie cię szukałem!

Tylko tego mi potrzeba! – pomyślała, poprawiając okulary. Gdyby Ambrose dowiedział się, że o mały włos nie została zgwałcona, bez wątpienia odesłałby ją do domu w dorożce.

– Właśnie sobie odpoczywam – zapewniła go, poprawiając czepek i fartuszek. – Praca pokojówki jest naprawdę wyczerpująca!

Dało się słyszeć wściekłe dobijanie się do drzwi za jej plecami. Rozzłoszczony, aczkolwiek nieco stłumiony głos przebijał się przez grube deski.

– Wypuść mnie stąd, podła suko! Jak śmiesz tak traktować lepszych od ciebie! Wygonią cię stąd bez referencji! Moja w tym głowa! Jeszcze przed świtem wylądujesz na ulicy!

Ambrose wpatrywał się w drzwi.

– Były jakieś kłopoty? – spytał obojętnym tonem.

– Ależ skąd! – Obdarzyła go promiennym uśmiechem. – Nic takiego, z czym nie dałabym sobie rady. Czemu tak mi się przyglądasz?

Drzwi za jej plecami zaczęły trząść się pod nową serią uderzeń.

– Otwieraj natychmiast!

– Odsuń się – powiedział Ambrose do Concordii.

Znów ogarnął ją paniczny strach.

– Ambrose, nie rób nic bez zastanowienia! Dziś w nocy nie możesz wplątać się w utarczkę z tym dżentelmenem. To mogłoby zagrozić twoim planom!

– Trzymaj!

Podał Concordii swój płaszcz i jej pelerynę.

– Ambrose, błagam! Mamy dziś do załatwienia znacznie ważniejsze sprawy! Nie pora na zajmowanie się czymś innym.

– To nie zabierze mi wiele czasu!

Otworzył drzwi z klucza i wszedł do schowka.

– Najwyższy czas! – zaczął rozwścieczony pijak i urwał. Zrobił wielkie oczy na widok Ambrose’a. – Co tu się dzieje? Co ci strzeliło do…

Drzwi zamknęły się, pijak został sam na sam z Ambrosem.

Concordia usłyszała kilka cichych słów, a potem dwa czy trzy tępe uderzenia. Wzdrygnęła się.

Drzwi znów się otworzyły. Ze schowka wynurzył się Ambrose, poprawiając perukę. Concordia zdążyła dostrzec na podłodze jakąś znękaną postać, zanim drzwi zamknęły się na dobre.

– Załatwione! – oznajmił Ambrose. – Zbierajmy się stąd! Straciliśmy już dość czasu.

– Chyba go nie zabiłeś? – spytała niespokojnie Concordia.

– Nie zabiłem go – zapewnił Ambrose, szybkim krokiem przemierzając korytarz i ciągnąc ją za sobą.

– To była moja wina!

– Nic podobnego, moja! Nie powinienem zabierać cię na tę wyprawę. Nietrudno było zgadnąć, co z tego wyniknie!

– Dajże spokój, Ambrose! Jesteś niesprawiedliwy. Moim zdaniem poradziłam sobie doskonale w trudnej sytuacji.

– Owszem, poradziłaś sobie. Nie tym się przejmuję.

– A czym? – nalegała.

– Tym, że ten bydlak dobrze ci się przypatrzył i może cię opisać innym.

– Nie przejmuj się byle czym! – zapewniła go. – Światło było marne, a on porządnie pijany. Nie wspominając już o tym, jak ty go uczęstowałeś! Kiedy się obudzi, niewiele będzie pamiętał z tego, co mu się dziś przytrafiło, albo w ogóle nic! Jestem pewna, że nie zdoła mnie opisać. Przecież nikt nie przygląda się pokojówce!

– Powrócimy do tej sprawy później. Teraz nie ma czasu do stracenia.

Poruszał się tak szybko, że musiała biec, by mu dotrzymać kroku.

– Jak mnie znalazłeś?

– Jedna z pokojówek w damskiej garderobie powiedziała, że pomaszerowałaś tym korytarzem.

Wyszli na balkon, na który można się było wymknąć z sali balowej. Concordia słyszała dobiegające stamtąd dźwięki: wymuszony śmiech, leniwe, nieco przepite głosy… Spojrzała na roztaczającą się przed nimi olśniewającą scenę. Światła żyrandoli rzucały blask na skrzące się od klejnotów toalety dam i na niezwykle dostojnych dżentelmenów w czarno-białych wieczorowych strojach. Dla Concordii była to przelotna wizja innego świata, ślicznego jak kosztowna zabawka.

– Bardzo mi przykro, że nie spełniło się twoje marzenie o Kopciuszku na balu – powiedział cicho Ambrose.

– Jestem pewna, że nic co, się dzieje na tej sali balowej, nie może być tak ekscytujące jak przygoda, którą razem przeżywamy. Twój zawód, Ambrose, jest niesłychanie interesujący.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Potem uśmiechnął się leniwie.

– W gruncie rzeczy to raczej nudne zajęcie.

– Dokąd tak pędzimy? – spytała. – Co się stało? Natknąłeś się na Trimleya?

– Owszem. Przybył razem z panią Hoxton i kręcił się w pobliżu niej przez cały wieczór.

– Znakomicie! Ale dlaczego przybiegłeś po mnie? Myślałam, że zamierzasz obserwować jego, a nie mnie!

– Toteż go obserwowałem. Ale całkiem niedawno jeden z lokajów wręczył mu liścik. Trimley wydawał się ogromnie przejęty jego treścią. Usprawiedliwił się przed panią Hoxton i przed innymi, po czym dyskretnie wymknął się z sali balowej. Ruszyłem w ślad za nim i słyszałem, jak się domaga swojego cylindra i płaszcza. I żąda przywołania dorożki.

– Chce stąd wyjść czym prędzej?

– Na to wygląda. Ale nie tak łatwo złapać dorożkę. A w dodatku ulica jest dosłownie zabarykadowana powozami tych, którzy przyjechali tu na bal.

– Ciekawe, czemu nie skorzystał z powozu pani Hoxton?

– Pewnie nie chciał, żeby jej stangret wiedział, dokąd się wybiera – oświadczył Ambrose z cichą satysfakcją.

Concordię znów ogarnęło podniecenie.

– Myślisz, że to jakaś potajemna randka?

– Tak. Widać było, jak mu pilno do wyjścia.

– Co teraz zrobimy?

– Miałem zamiar zostawić cię tu i ruszyć jego śladem. W tej notatce było coś niezwykle ważnego. Chcę zobaczyć, dokąd się uda na to wezwanie.

– A ja chcę iść z tobą – wtrąciła z pośpiechem.

– Bez obawy, z całą pewnością jedziesz ze mną – odparł posępnym tonem. – Po tym niefortunnym epizodzie z amantem, który wylądował w składziku na szczotki, ani myślę zostawić cię samą.

– Ależ, Ambrose, nie przejmuj się tak byle drobnostką!

– Drobnostką?! Przecież on chciał cię zgwałcić!

– Nie po raz pierwszy mam do czynienia z takimi gagatkami. W trakcie mojej zawodowej kariery musiałam niejednokrotnie studzić zapały krewniaków moich podopiecznych. Byłbyś zdumiony, gdybyś wiedział, jak często ci, którzy uważają się za dżentelmenów, próbują wykorzystać samotną i bezbronną kobietę.

Spojrzał na nią i mimo woli uśmiechnął się z podziwem.

– Wiodła pani barwne życie, panno Glade!

– Podobnie jak pan, panie Wells.

Skręcili za róg i zmieszali się z tłumem niosących ciężkie srebrne półmiski lokajów, którzy uwijali się między stolikami a kredensem.

Kiedy dotarli do gorącej, zadymionej kuchni, kucharka zmierzyła ich złym spojrzeniem.

– Gdzie żeście się włóczyli? – spytała groźnym tonem, ocierając fartuchem pot z twarzy. – Zostało mnóstwo roboty!

– Zaraz wrócimy – zapewnił ją Ambrose. – Tylko Betsy zaczerpnie świeżego powietrza.

– Co ty powiesz? Niech go sobie łyka, ile wlezie, ale potem, jak się goście rozjadą. – Spojrzała podejrzliwie na płaszcz i pelerynę, które niosła Concordia. – Skąd to wytrzasnęliście?… Możeście się dobrali do rzeczy naszych gości? Pewnie dlatego tak pilno wam stąd czmychnąć!

Straszliwy trzask rozniósł się gromkim echem po całej kuchni. Wszyscy, nie wyłączając kucharki, odwrócili się, by popatrzeć na nieszczęsnego lokaja, który przed chwilą upuścił tacę.

– No zobacz, cóżeś narobił, ty głąbie! – wrzasnęła druga kucharka, ta od wypieków. – Ile godzin robiłam te paszteciki z homara! Nasza pani się wścieknie, jak jutro się dowie, ile jedzenia się zmarnowało! Wywalą cię bez referencji, daję głowę!

– Idziemy! – szepnął Ambrose i pociągnął Concordię w stronę drzwi.

Wymknęli się do ogrodu. Ambrose zatrzymał się tylko na moment, by ukryć za żywopłotem białą perukę, trójgraniasty kapelusz i kunsztownie wyszywany złotą nicią lokajski frak.

– Daj mi płaszcz – zwrócił się do Concordii. – I włóż swoje okrycie. Nie chcę, żeby ktokolwiek dostrzegł lokaja i pokojówkę wsiadających razem do dorożki w pobliżu tego domu. – Przyjrzał się swojej towarzyszce i ściągnął jej z głowy czepek. – Służba nie rozbija się dorożkami.

– Szacowne damy także nie! – przypomniała mu Concordia. – A w każdym razie nie z mężczyznami… z wyjątkiem małżonków. Podróżują własnymi powozami lub omnibusem. Woźnica niewątpliwie uzna mnie za damę złego prowadzenia, jeśli wsiądę razem z tobą do dorożki!

– Nic na to nie poradzimy. – Ambrose odwrócił się i poprowadził ją przez istny labirynt żywopłotów. – Włóż kaptur, osłoni ci twarz. I trzymaj się blisko mnie!

Wrócili przez ogród do miejsca, gdzie sforsowali mur dwie godziny temu. Concordia dostrzegła leżącą drabinę dopiero w chwili, gdy się o nią potknęła.

– Ostrożnie! – upomniał ją Ambrose, podtrzymując, by nie upadła. Następnie schylił się, podniósł drabinę i oparł ją o ceglany mur. – Tym razem ja idę pierwszy.

Concordia podążyła za nim, walcząc z fałdzistą peleryną i spódnicą, wyczuwając zniecierpliwienie swego towarzysza.

Niebawem oboje znaleźli się znowu po przeciwnej stronie muru.

– Tędy! – Ambrose chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę ulicy. – Szybko! Żeby Trimley nam nie umknął!

– A co z drabiną?

– Zostanie tam, gdzie jest. Nam już się nie przyda.

Ulica, przy której znajdowała się rezydencja Greshamów, była zatłoczona prywatnymi powozami. Niezbyt daleko, w równym szeregu wokół

znajdującego się pośrodku skweru, płonęły latarnie rozmaitych powozów do wynajęcia.

Concordia usłyszała znany jej gwizd. Jeden z lokajów wzywał właśnie dorożkę. Na ten sygnał pierwszy z brzegu powóz ruszył w stronę frontowego wejścia do rezydencji.

– To dla Trimleya – wyjaśnił Ambrose. – Właśnie zbiega po schodach.

Poprowadził Concordię najciemniejszymi ścieżkami do szeregu czekających na pasażerów dorożek i wybrał stojący na końcu kabriolet. Woźnica ze swego wysokiego kozła, tuż za zadaszoną częścią dla pasażerów, zerknął przelotnie na Concordię. Nie zdradził jednak większego zainteresowania, gdy oboje z Ambrose'em weszli po wąskich schodkach i zasiedli wewnątrz otwartej z przodu części dla pasażerów.

Usiadłszy tam, Concordia zrozumiała, czemu w wielkim świecie spoglądano krzywym okiem na kobiety wsiadające do kabrioletu. W tym małym, jednokonnym powoziku było coś wyzywającego. Na pojedynczej ławeczce było niewiele miejsca, toteż dwoje pasażerów musiało siedzieć bardzo blisko siebie i mimo woli wytwarzała się intymna atmosfera.

Ambrose poinstruował woźnicę przez klapę w dachu.

– Proszę jechać za powozem, który właśnie rusza spod domu, ale tak, by woźnica tego nie spostrzegł.

Podał przez otwór w dachu kilka banknotów.

– Jak pan sobie życzy. – Woźnica schował pieniądze do kieszeni. – O tej porze to nic trudnego!

Kabriolet ruszył z turkotem.

Concordia była zdumiona szybkością i zwrotnością dwukółki.

– Cóż za wspaniała jazda! Wszystko stąd doskonale widać. A jak prędko jedziemy! Znakomity środek lokomocji! Nie widzę powodu, by dobrze wychowane damy nie mogły korzystać z kabrioletu.

Ambrose nie odrywał oczu od powozu, którym jechał Trimley.

– Będziesz zachwalać zalety takiej jazdy panienkom uczęszczającym do twojej szkoły?

– Pewnie że tak!

Mijali właśnie latarnię gazową. W jej mdłym świetle Concordia ujrzała uśmiech na twarzy Ambrose’a.

– Uważasz mój zamiar stworzenia nowoczesnej szkoły dla dziewcząt za śmieszną mrzonkę?

– Nie, Concordio. Uważam, że jest cudownie śmiały i godny podziwu pod każdym względem.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Od śmierci rodziców nikt nie traktował poważnie jej planów. Pochwała z ust Ambrose’a niezwykle ją uradowała.

Jechali za wiozącą Trimleya dorożką przez istny labirynt zatłoczonych uliczek. W końcu ścigany przez nich wehikuł zniknął za zakrętem.

– Do diaska! – syknął Ambrose. – Więc tam go niesie!

Concordia wyczuła znów niebezpieczną energię, która z niego emanowała.

– Dokąd? – spytała.

– Do łaźni – odparł Ambrose.

– Przecież jest już po północy – stwierdziła. – Z pewnością łaźnie są zamknięte o tej porze!

– Owszem. I właśnie dlatego wyprawa Trimleya jest ogromnie interesująca.

Po chwili Ambrose polecił woźnicy:

– Proszę tu zatrzymać.

– W porządku.

Powóz stanął. Concordia zerknęła na Ambrose’a.

– Co chcesz zrobić?

– Nie ulega wątpliwości, że Trimley zamierza dostać się do łaźni. – Ambrose zdjął kapelusz i podniósł kołnierz płaszcza.

– Sądzę, że ktoś, być może Larkin, umówił się tu z nim na spotkanie. Idę za nim i dowiem się wszystkiego, czego tylko zdołam.

Concordia rozejrzała się po mrocznej ulicy. Mgła niemal już przesłaniała gazowe latarnie. Poczuła znowu dreszcz.

– Powinnam chyba pójść z tobą – powiedziała.

– Mowy nie ma! Zostaniesz tu, razem z woźnicą, póki nie wrócę.

Odpowiedź była kategoryczna, zakaz nieodwołalny. Concordia znała już Ambrose’a na tyle, by nie wdawać się w bezowocne sprzeczki. Czasem dało się z nim dyskutować, innym razem nie miało to sensu. Teraz dyskusja z nim była tylko stratą czasu.

– To mi się wcale nie podoba, Ambrose! Obiecaj, że będziesz bardzo ostrożny.

Już schodził na chodnik, zatrzymał się jednak, pochylił nad Concordią i pocałował ją w usta, szybko i mocno.

– Jeśli nie wrócę w ciągu kwadransa albo jeśli coś cię zaniepokoi, każ woźnicy jechać na Ransomheath Square, dom numer 7. Spytasz o Feliksa Denvera. Rozumiesz?

– Kto to taki?

– To mój stary znajomy – odparl Ambrose. – Opowiedz mu, co się stało. Pomoże tobie i dziewczynkom. Rozumiesz, Concordio?

– Tak. Ale ty, Ambrose…

On jednak zeskoczyl już na bruk.

– Nie pozwalaj nikomu zbliżyć się do tej damy, kiedy będę załatwiał ważną sprawę – polecił woźnicy. – Jasne? Gdyby ktoś podszedł zbyt blisko, ruszaj natychmiast! Pani powie ci, dokąd masz ją zawieźć, gdyby mnie coś zatrzymało na dłużej.

– W porządku, panie szanowny. – Dorożkarz chwycił mocniej lejce. – A na panią będę uważał, nie ma strachu. Znam te strony. Całkiem tu spokojnie.

– Dziękuję! – powiedział Ambrose i ruszył biegiem.

Concordia spoglądała za nim, póki nie zniknął w mroku i mgle.

33

Ambrose czaił się w mrocznym podsieniu domu, stojącego po przeciwnej stronie ulicy, na wprost zakładu kąpielowego Doncaster Baths i obserwował Trimleya, otwierającego własnym kluczem frontowe wejście do przeznaczonego dla mężczyzn pawilonu.

Samo istnienie takiego klucza, oddanego komuś na prywatny użytek, było zdumiewającym odkryciem, myślał Ambrose. Czyżby Trimley był udziałowcem tego przedsiębiorstwa? A może pozostawał w zażyłych stosunkach z właścicielem? Całkiem możliwe, że klucz został wykradziony, ale Trimley czuł się tu jak we własnym domu, co dowodziło, że nie po raz pierwszy wchodzi do tego budynku poza godzinami zabiegów.

Przed chwilą Trimley wysiadł z powozu za rogiem sąsiedniej ulicy. Nie ulegało wątpliwości, że nie życzy sobie, by woźnica znał dokładnie cel jego wędrówki.

Zachowuje daleko posuniętą ostrożność, stwierdził Ambrose. Ale to nic dziwnego: dżentelmen, który jest w zażyłych stosunkach z mistrzem zbrodni, powinien mieć się na baczności.

W ciągu kilku sekund drzwi do łaźni otworzyły się; Ambrose ujrzał nikły odblask światła. Albo kąpielowy, mający dyżur tego wieczoru, pozostawił zapaloną lampę, albo inny nocny gość zjawił się w łaźni przed Trimleyem. Być może Larkin?

Drzwi zamknęły się szybko za Trimleyem.

Ambrose odczekał jeszcze kilka minut, pozwalając konspiratorom zająć się sprawami, które ściągnęły ich do łaźni. Następnie przeszedł na drugą stronę ulicy i odkrył, że Trimley nie zamknął drzwi na klucz. Być może dlatego, że nie zamierzał tu długo zabawić.

Ambrose powoli otworzył drzwi. Niewielki przedsionek tonął niemal w mroku. Mdłe światełko, które dostrzegł, gdy do środka wchodził Trimley, sączyło się zza półprzymkniętych drzwi, wiodących do następnego pomieszczenia.

Ambrose wszedł do przedsionka, zamknął po cichu drzwi za sobą i ruszył do następnych.

Raz już tu gościł, jako spragniony zabiegów klient, na samym początku swego śledztwa w sprawie śmierci Nellie Taylor. Tamta wizyta pozwoliła mu zapoznać się nieźle z układem pomieszczeń i wystrojem łaźni. Zakład kąpielowy został zaprojektowany przez architekta mającego szczególne upodobanie do mrocznego, pseudogotyckiego stylu. Wysokie sklepienia i głębokie odrzwia aż się prosiły, by zapełnić je mnóstwem posępnych cieni.

Ambrose uchylił nieco szerzej drzwi rozbieralni i przyjrzał się uważnie szeregowi kabin odgrodzonych kotarą. W świetle płonącego na ścianie kinkietu można było zobaczyć na stole imponujący stos wielkich białych ręczników.

Ani śladu Trimleya; za to z głębi budynku dolatywał odgłos śpiesznych, odbijających się echem kroków. Mężczyzna w butach. Śpieszy mu się, podsumował Ambrose.

Przeszedł przez całą długość rozbieralni i znalazł się w pomieszczeniu służącym do kąpieli parowej. Co prawda, kilka godzin temu ogrzewanie zostało wyłączone, ale resztka ciepła pozostała. Kinkiet osłonięty abażurem z mrożonego szkła rzucał mdłe światło na białe kafelki.

Przemykając się pomiędzy ławami i fotelami, na których w dzień wylegiwali się pacjenci, Ambrose dotarł do następnych drzwi i otworzył je bez trudu.

Gazowy kinkiet na ścianie był niemal wygaszony, ale mimo to Ambrose dostrzegł ciemny zarys wielkiego, prostokątnego basenu pośrodku sali.

Z jakiegoś mrocznego kąta słychać było kapanie wody.

Ambrose skierował się ku drzwiom w przeciwległym końcu pokoju.

Gdy był w połowie drogi do celu, ujrzał w basenie przeznaczonym do zimnych kąpieli ciemny kształt, unoszący się tuż pod powierzchnią wody.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ktoś niedbale wrzucił męski płaszcz do wody. Dopiero później Ambrose spostrzegł blade, pozbawione życia ręce, wystające z mankietów.

Niewidzące oczy zmarłego z głębi oczodołów spoglądały dziwnie oskarżycielsko na Ambrose’a.

Był to Alexander Larkin.

Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia z basenem otworzyły się z trzaskiem. Nagła eksplozja dźwięków zmąciła niesamowitą ciszę. Czyjeś buty w szalonym pośpiechu uderzały o wyłożoną kafelkami podłogę.

To nie te same kroki co przed chwilą, pomyślał Ambrose, to kroki kogoś, kto za wszelką cenę chce uciec!

Ambrose w samą porę dotarł do sali z basenem do gorącej kąpieli. Tam ujrzał mężczyznę, który okrążał wielki basen i pędził na złamanie karku w stronę wyjścia na mroczny korytarz.

Ambrose puścił się biegiem za uciekającym. Odległość między nimi ciągle się zmniejszała, gdy ścigany zatrzymał się nagle przy wejściu i podniósł ręce do góry.

– Nie strzelać! – zaklinał, cofając się w dziwnych podrygach. – Proszę nie strzelać! Nie pisnę ani słowa, przysięgam!

Ambrose zatrzymał się, a następnie zwrócił w stronę zasłoniętych kotarą kabin na prawo od niego. Z tego miejsca widział znacznie wyraźniej mężczyznę, którego ścigał. Był wysoki i przygarbiony z powodu wieku i ciężkiej pracy. Jego nakrycie głowy i ciężki wodoszczelny fartuch zdradzały, że jest to kąpielowy.

Ambrose go rozpoznał. Mężczyzna był znany na terenie łaźni jako stary Henry.

– Przykro mi, ale najwyraźniej masz dziś cholernego pecha: znalazłeś się w niewłaściwym miejscu i w nieodpowiednim czasie – odparł Trimley, stojąc w drzwiach. – Nie mogę przecież pozwolić, byś wypaplał policji, że byłeś świadkiem śmierci Larkina i rozpoznałeś mnie.

Podszedł szybko do starego Henry'ego. Światło lampy przy wyjściu na korytarz zalśniło na rewolwerze, który miał w ręku.

Podniósł go teraz.

– Proszę, niech mnie pan nie zabija – błagał Henry.

Ambrose z całą premedytacją poruszył się i cicho jęknął.

Trimley zesztywniał i obrócił się pośpiesznie, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności.

– Kto tu jest? – rzucił kategorycznym tonem. – Wyłaź!

– Puść tego biedaka kąpielowego – odezwał się Ambrose z głębi mroków. – On nie ma z tym wszystkim nic wspólnego!

– A więc to ty! – Trimley wpatrywał się twardym wzrokiem w przesłonięte kotarami kabiny. – To ty wyprowadziłeś dziewczęta z zamku! Czyżbyś zdecydował się w końcu ubić z nami interes? Damy ci pokaźną sumkę za nie, oczywiście do kompletu z nauczycielką. Nie możemy zostawić jej przy życiu. Zbyt dużo wie.

– Pozwól odejść temu kąpielowemu, to podyskutujemy i na ten temat.

– Czemu tak ci zależy na tym sługusie? – zainteresował się Trimley. – Czyżby wiedział o czymś ważnym?

Dla kogoś takiego jak Trimley ludzie liczyli się tylko wtedy, gdy pomagali mu w osiągnięciu jakiegoś celu. Pieniądze i władza były głównym motywem jego działania.

– Zapewniam cię – odparł znacząco Ambrose – że jest znacznie ważniejszy, niż ci się zdawało.

Trimley rzucił pośpieszne, ponure spojrzenie na trzęsącego się kąpielowego.

– Jakoś mi się nie chce w to wierzyć.

Ambrose pomyślał o lampach, które paliły się we wszystkich pomieszczeniach kąpielowych, i zdecydował się na blef, oparty na logicznych przesłankach.

– Larkin nie wspomniał ci nigdy o tym człowieku, co? – spytał.

– O czym ty mówisz?

– Rusz głową, Trimley! Dlaczego, twoim zdaniem, Larkin ufał mu do tego stopnia, że polecił mu dziś wieczorem przyjść tu i pozapalać lampy?

– To zwykły sługus. Zapalanie lamp to jego obowiązek.

– Nie znałeś dość dobrze Larkina, co? Na świecie było bardzo mało tych, których zaszczycał swym zaufaniem. Jak widać, nie zaliczałeś się do nich.

– To nieprawda! – Trimley wydawał się urażony. – Wybrał mnie na swego wspólnika. Miał do mnie pełne zaufanie!

– Wspólnika! – Ambrose wybuchnął niemiłym śmiechem. – A jednak nawet ci nie wyjaśnił, z jakiego powodu Henry miał być tu dziś w nocy!

– Co masz na myśli, do wszystkich diabłów?!

– Larkin i ten kąpielowy to starzy znajomi. – Ambrose tak swobodnie i lekko, jak go uczyli ojciec i dziadek, snuł opowieść, która dopiero co przyszła mu do głowy. Dorzuć parę detali, chłopcze, a kupią całą tę bzdurę! – pomyślał. – Razem wydostali się z paskudnych opałów. Ten człowiek uratował kiedyś Larkinowi życie. Dawno temu, ale Larkin takich rzeczy nie zapominał.

Stary Henry coś tam zaskomlał, ale chyba dotarło do niego, co się tu dzieje. Nie protestował, gdy Ambrose wygadywał bzdury na temat jego rzekomej znajomości z mistrzem zbrodni.

– Skąd o nim tyle wiesz? – rzucił ostro Trimley.

– Obserwowałem Larkina od dłuższego czasu – odparł Ambrose. – Można powiedzieć, że rozpracowałem go naukowo.

– A niech to piekło pochłonie! – żachnął się Trimley. – Wspomniał mi, że ktoś chce wysadzić go z siodła i odebrać mu władzę… ale myślałem, że to jakieś urojenia.

Ambrose nic na to nie odpowiedział. Gdzieś w ciemności woda spływała po kafelkach. Echo powtarzało i zwielokrotniało ten cichy odgłos.

– Pokaż się! – zażądał znów Trimley. – Po głosie poznaję, że mam do czynienia z dżentelmenem. Może zdołamy ubić interes? Przydałby mi się nowy wspólnik, sam wiesz!

Ambrose wysunął się nieco do przodu i znalazł się obok postumentu. Stały na nim dwa duże, puste dzbany, których używano podczas mycia włosów gościom. Przez cały czas światło lampy miał od tyłu, toteż jego twarz pozostawała w cieniu. Między nim a dwoma pozostałymi mężczyznami był basen.

Z tej odległości i przy takim oświetleniu wydawało się mało prawdopodobne, by Trimley mógł go trafić z rewolweru. Ale stary kąpielowy był nadal w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Co proponujesz? – spytał Ambrose cicho.

– Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś. – Trimley wydawał się spokojniejszy. Bez wątpienia czuł się panem sytuacji od chwili, gdy zobaczył sylwetkę Ambrose’a. – I ręce do góry! Chcę się przekonać, czy masz przy sobie broń.

– Nie jestem uzbrojony. – Ambrose uniósł obie ręce. – Ale jeśli mnie zabijesz, będziesz miał jeszcze więcej kłopotu niż z tym kąpielowym.

– O czym ty gadasz?

– To szczera prawda, że obserwowałem Larkina. Ale jest jeszcze ktoś, kto cię dogania, Trimley. Tylko ja mogę podać ci nazwisko inspektora policji, który wydedukował, że ty i Larkin byliście wspólnikami.

– Łżesz! O mnie nikt nie wie! Nikt! Jestem przecież dżentelmenem, cholera, a nie członkiem bandy kryminalistów. Czemu jakiś inspektor miałby zwrócić na mnie uwagę?

– Powiem ci coś, Trimley, o czym widocznie nie masz pojęcia. Policja nie ma nic przeciw ściganiu i karaniu przedstawicieli klas wyższych. Tylko ich aresztowanie wymaga większego zachodu. A zwłaszcza niepodważalnych dowodów. Ale możesz być pewien, że w twoim przypadku inspektor jest na najlepszej drodze do zebrania pokaźnej dokumentacji.

– Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Jeszcze się tego nie domyśliłeś? Jestem tym, komu inspektor sowicie zapłacił za zdobycie obciążających cię materiałów.

Trimley był wyraźnie zbity z tropu.

– To niemożliwe! Łżesz jak najęty!

– Po co się tak gorączkować? W gruncie rzeczy jestem zwykłym człowiekiem interesu. Moim zdaniem sprawiedliwość to towar, który można kupić i sprzedać, podobnie jak te cztery panny, które wykradliście obaj z Larkinem.

– I chcesz mi podać nazwisko inspektora? – W głosie Trimleya brzmiało niedowierzanie.

– Sprzedam ci jego nazwisko, jeśli dogadamy się co do ceny – odparł Ambrose. – A za dodatkową godziwą opłatą postaram się, żeby dowody świadczące przeciwko tobie rozwiały się bez śladu.

34

Ambrose powinien już wrócić do tej pory!

Concordia zadrżała i otuliła się ciaśniej peleryną. Musiało się wydarzyć coś złego! Była tego pewna jak niczego dotąd!

Zerwała się z miejsca i wyskoczyła z dorożki.

– Dokąd to, szanowna pani? – sprzeciwił się woźnica. Spojrzał na nią z przestrachem. – Obiecałem klientowi, że będę miał na panią oko!

– Obawiam się, że spotkało go coś złego w łaźniach. Ktoś chce go zamordować! Muszę iść do niego… Pomoże mi pan?

– Zamordować?! – Przerażony tym słowem woźnica pośpiesznie odwiązał lejce. – Nikt mi nie mówił o żadnym mordowaniu!

– Proszę zaczekać! Potrzebna mi pańska pomoc!

– Owszem, nie żałował mi grosza, ale nie aż tak, żebym się wplątywał w morderstwo!

Woźnica trzepnął lejcami. Koń ruszył z miejsca.

– Czy może pan przynajmniej zawiadomić jakiegoś policjanta, że w łaźniach dzieje się coś złego, i przysłać go tam? – błagała Concordia.

Woźnica nic nie odpowiedział. Wymachiwał batem, zmuszając konia do galopu.

W ciągu kilku sekund Concordia została na ulicy całkiem sama.

Pobiegła w stronę łaźni, a peleryna powiewała za nią na wietrze.

35

– To ty grałeś rolę doradcy finansowego podczas wizyty u Roweny Hoxton, tej krowy, tej nowobogackiej kretynki o przerośniętych ambicjach! – domyślił się Trimley. – Ale kim była twoja partnerka? Ta, co rzekomo chciała założyć dobroczynną szkołę?

– Nikim – odparł Ambrose. – Aktorką, której zapłaciłem za odegranie tej roli.

– Ta głupia suka Hoxton naprowadziła cię na mój trop, prawda? – W głosie Trimleya brzmiało obrzydzenie. – Od niej dowiedziałeś się o moim istnieniu. Z pewnością byłeś dziś na balu. A potem po moich śladach trafiłeś tutaj!

– Możliwe – przyznał Ambrose.

– Omal nie wpadłeś w moje ręce tego wieczoru, kiedy miałeś spotkać się z Cuthbertem w jego kancelarii, wiesz?

– Twoi ludzie okazali się mniej sprawni, niż sądziłeś.

– To nie byli moi ludzie, tylko Larkina! – prychnął pogardliwie Trimley. – Kiedy Cuthbert próbował sprzedać mi informacje o panu Dalrymple'u, który skontaktował się z nim i zadawał niewygodne pytania na temat Hannah Radburn, zrozumiałem od razu, co się święci!

– Okazałeś zainteresowanie tymi informacjami i poleciłeś Cuthbertowi przesłać mi wiadomość za pośrednictwem mojego klubu. A kiedy Cuthbert nie był ci już potrzebny, namówiłeś Larkina, żeby go sprzątnął.

– Mój plan zakładał, że gdy opuścisz kancelarię Cuthberta, ktoś będzie cię śledził. Chciałem dowiedzieć się, coś ty za jeden i gdzie ukryłeś te dziewczyny. Ale wszystko się pogmatwało.

– Zupełnie jak w Aldwick Castle – zauważył Ambrose. – A tak przy okazji: czy to ty poleciłeś zabić tę kąpielową, Nellie Taylor? A może Larkin wydał taki rozkaz?

– To ona nazywała się Nellie Taylor? – spytał Trimley bez większego zainteresowania.

– Tak.

– Szczerze mówiąc, nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią. Była jedną z „łaziebnych panienek” Larkina. Bardzo lubił gzić się z nimi. Zdaje się, że ta Nellie Taylor była ostatnio jego ulubienicą. Podejrzewam, że dowiedziała się za dużo o jego interesach i nie wyszło jej to na zdrowie.

– Tak dużo, że musiał się jej pozbyć?

– Jak widać! – rzucił Trimley ostrym tonem. – Nie zawracaj sobie głowy tą Taylor. To puszczalska bez znaczenia. Porozmawiajmy lepiej o naszych interesach. Jak się nazywa ten inspektor policji, który rzekomo ma mnie na oku?

– Wolnego! Chyba nie łudzisz się, że udzielę ci odpowiedzi za darmo, tylko dlatego, że trzymasz w ręku tę pukawkę? Nie mam przy sobie broni. Nie musisz obawiać się niczego z mojej strony. Odłóż to paskudztwo i porozmawiajmy, jak przystało na dżentelmenów.

– Nie widzę cię wyraźnie. Podejdź do światła!

Ambrose przysunął się nieco do kręgu światła padającego od kinkietu, a równocześnie znalazł się bliżej dzbanów na wodę.

– Nie widzisz, że mam puste ręce? – spytał, unosząc je do góry, wnętrzem dłoni do rozmówcy.

Trimley przyjrzał mu się bacznie; wydawało się, że wreszcie jest zadowolony.

– Doskonale, a zatem do rzeczy: ile chcesz za te dziewczyny? Radzę ci, podaj rozsądną cenę, bo…

Urwał nagle, gdy ze znajdującego się za jego plecami korytarza dało się słyszeć odległe dudnienie.

– Co to ma znaczyć? – wychrypiał; dopiero co pokonany niepokój owładnął nim z całą siłą. – Kto tam jest?!

A niech to wszyscy diabli! – pomyślał Ambrose. Tak ładnie wszystko szło! Stoner byłby z niego dumny. Strategia negocjacji sprawdzała się doskonale!… Ale, jak często powtarzali ojciec i dziadek, rasowy kanciarz musi być zawsze przygotowany na nieoczekiwane kaprysy losu.

– Wygląda na to, że mamy gościa – powiedział Ambrose. Korzystając z chwili nieuwagi Trimleya, pochwycił jeden z ciężkich dzbanów na wodę.

– Ktoś z twoich ludzi? – rzucił oskarżycielskim tonem Trimley. Jego oczy biegały od mrocznego korytarza do Ambrose’a i z powrotem.

– Na pewno nikt z moich ludzi – odparł Ambrose, stawiając dzban w najciemniejszym miejscu, obok swej prawej nogi. – Może ktoś ze świty Larkina.

Dudnienie przybrało na sile. Trimley zwrócił się do trzęsącego się kąpielowego.

– Wiesz, co to tak hałasuje?

– Za przeproszeniem pana – odpowiedział drżącym głosem stary Henry. – Chyba to jeden z wózków pralniczych do rozwożenia prześcieradeł i ręczników po całej łaźni.

– A niech to wszyscy diabli! Pałęta się tu jeszcze jeden kąpielowy?!

– Nie, proszę łaski pana. Tylko ja i nikt więcej – odparł Henry – a przynajmniej tak mi się zdawało…

Wózek wiozący ogromną stertę lnianych ręczników i prześcieradeł ukazał się u wylotu korytarza. Ładunek był tak ogromny, że nie sposób było rozpoznać, kto popycha wózek od tyłu.

– Stać! – wrzasnął Trimley.

Ambrose uświadomił sobie, że nie ma czasu na okrążenie basenu. Przyjdzie mu rzucać dzbanem przez całą jego szerokość.

W tej chwili wózek potoczył się naprzód, nabierając po drodze szybkości. Ten, kto go popychał, musiał mieć nie lada krzepę!

– Niech cię szlag! – wrzasnął Trimley, zdenerwowany w najwyższym stopniu.

Strzelił na oślep, w stronę pralniczego wózka.

Ambrose cisnął w niego dzbanem. Ale Trimley właśnie uskakiwał w bok, by uniknąć zderzenia z wózkiem.

Dzban uderzył go w ramię, zamiast wylądować na jego głowie, jak planował Ambrose.

Trimley zawył, ale nie upadł. Stracił jednak czucie w ręce. Rewolwer wysunął mu się z palców i zaklekotał na podłodze.

Trimley zerwał się na nogi jak szalony i rozglądał się dokoła w nadziei, że wypatrzy swą broń.

Ambrose rzucił się do biegu. Widział wyraźnie rewolwer leżący na podłodze tuż obok krawędzi basenu.

– Łap rewolwer! – krzyknął do osłupiałego kąpielowego.

Stary Henry oprzytomniał i odwrócił się, szukając broni w mrocznych zakątkach.

– Nie widzę! Gdzie upadł?

Instruowanie Henry’ego, gdzie leży rewolwer, nie ma sensu, rozważał Ambrose. Trimley mógłby wykorzystać tę informację bardziej umiejętnie niż stary kąpielowy.

Jeszcze tylko kilka kroków i będzie miał w ręku tego drania!

– Widzę, gdzie leży!

Concordia wbiegła z korytarza, peleryna powiewała za nią jak skrzydła. Skierowała się prosto do basenu.

Trimley znów się obrócił i popędził za Concordią. Nareszcie i on dostrzegł rewolwer.

Niech to piekło pochłonie! Tylko tego brakowało! – myślał Ambrose.

Concordia dotarła do celu o ułamek sekundy przed Trimleyem. Nawet nie próbowała podnosić rewolweru. Równie dobrze jak Ambrose wiedziała, że byłby to straszliwy błąd: Trimley natychmiast wyrwałby jej broń. Jednym kopnięciem zepchnęła rewolwer do basenu.

– Co ty wyprawiasz, idiotko?! – wrzasnął Trimley.

Rzucił się z wściekłością na Concordię, strącając ją do basenu. Wpadła z takim impetem, że woda chlusnęła na obramowanie.

Trimley raz jeszcze obrócił się i popędził ku drzwiom wychodzącym na korytarz.

Concordia wynurzyła się z kąpieli, z trudem chwytając powietrze.

– Nic ci się nie stało? – rzucił w biegu Ambrose, zwalniając nieco tempo.

– Nic! – odparła, plując wodą, rozkasłała się i wymacała nogami dno basenu. – Biegnij za nim! Nie martw się o mnie!

Ambrose wziął jej słowa za dobrą monetę i pomknął mrocznym korytarzem. Trimleya nie było widać, ale Ambrose słyszał jego kroki, zmierzające w stronę wyjścia.

W tej części zakładu kąpielowego było bardzo ciemno, ale Trimley poruszał się z pewnością osoby dobrze znającej teren.

Dotarłszy do końca korytarza, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i zniknął.

Ambrose dotarł tam chwilę za nim i odkrył tuż za drzwiami wąskie spiralne schody. Trimley wchodził po nich na dach.

Ambrose wspinał się szybko, nadsłuchując dudniących nad nim kroków Trimleya.

Na samej górze otworzyły się kolejne drzwi. Wpadło przez nie wilgotne powietrze nocy.

Ambrose wyszedł na dach w samą porę, by ujrzeć, jak Trimley wchodzi na kamienny parapet, który otaczał dach ze wszystkich stron, i zeskakuje na

dach nieco niższego, sąsiedniego budynku. Śpiesznie podążył za uciekającym; odległość między nimi wyraźnie malała.

Nic dziwnego, że Felix nie mógł kontrolować poczynań Larkina ani przyłapać go na wchodzeniu lub wychodzeniu z łaźni. Mistrz zbrodni przygotował sobie zapasowe, sekretne wyjście. Ciekawe, czy Larkin wiedział, że jego wspólnik odkrył tę drogę i z niej korzystał?

Trimley doszedł widać do wniosku, że nie ucieknie ścigającemu go prześladowcy, bo zatrzymał się nagle, schylił się i podniósł jakiś przedmiot leżący na dachu. Odwrócił się błyskawicznie.

W księżycowym blasku Ambrose ujrzał całkiem wyraźnie w ręku przeciwnika kawałek rury.

– Nie wiem, coś ty za jeden, ale mam cię dość! – oświadczył Trimley.

Rzucił się na Ambrose’a, z morderczym rozmachem wywijając rurą, by rozwalić mu głowę.

Ambrose padł plackiem na dach. Rura śmignęła w powietrzu w odległości kilku centymetrów od jego głowy. Zerwał się na równe nogi i ruszył prosto na Trimleya.

– Nie zbliżaj się! – Trimley cofnął się gwałtownie. – Nie zbliżaj, żeby cię szlag!

Uniósł rurę, gotując się do kolejnego ciosu.

Ambrose udał, że skręca w lewo.

Trimley zmienił znów pozycję, by znaleźć się poza zasięgiem rąk przeciwnika. Ambrose kopnął go prawą nogą.

Trimley chciał się cofnąć; jego łydka zderzyła się boleśnie z krawędzią kamiennego parapetu.

Zachwiał się, stracił równowagę i runął do tyłu.

– Nie!

Krzyk rozległ się gromkim echem w nocnej ciszy i urwał się nagle, gdy ciało plasnęło o bruk ulicy.

36

*J*esteś pewna, że ci ciepło i sucho? – Ambrose spytał, siadając na wprost niej.

– Tak, dziękuję – odparła grzecznie Concordia. Nie po raz pierwszy zadawał jej to pytanie. – Mówiłam ci, że woda w basenie była jeszcze ciepła, a kąpielowy dał mi kilka ręczników.

Stary Henry wyłowił również jej okulary za pomocą bosaka.

Mimo to Concordia wiedziała, że wygląda cudacznie, okryta od szyi do kostek płaszczem Ambrose'a. Ten niewygodny strój okazał się jednak użyteczny. Mogła udawać dżentelmena… przynajmniej przed woźnicą, który ze swego wysokiego kozła nie widział wszystkiego dokładnie.

Nie miała pojęcia, co sobie pomyślał na widok wielkiego ręcznika okrywającego jej mokre włosy. Był to doprawdy zdumiewający element stroju. Może udałoby się wprowadzić znowu modę na turbany, które niegdyś widywało się tak często na najwytworniejszych balach?…

Swoim zdrowiem Concordia wcale się nie przejmowała. Była pewna, że przeżyje bez szwanku tę kąpiel. Martwiła się natomiast o Ambrose'a. Od chwili, gdy powrócił z dachu, był ponury i zamknięty w sobie.

– Ocaliłeś życie tego biednego staruszka – przedkładała mu. – Gdybyś nie zjawił się w porę, Trimley zastrzeliłby go bez wahania!

– To od Henry'ego wiem, że Larkin w rozmowie z Nellie napomknął o Aldwick Castle. Dzięki niemu zdobyłem pierwszy liczący się dowód.

– Czy Henry to jeden z twoich dawnych klientów?

– Owszem. Spłacił już z nawiązką wszystko, co był mi winien.

Powóz się zatrzymał. Concordia wyjrzała przez okno i ujrzała szereg imponujących rezydencji.

– To z pewnością Ransomheath Square – powiedziała. – Dobry Boże! Jakie piękne domy! Wiem, że inspektor z wydziału kryminalnego jest lepiej wynagradzany niż pierwszy lepszy posterunkowy… ale nie miałam pojęcia, że może pozwolić sobie na takie luksusy!

Ambrose otworzył drzwiczki powozu.

– Felix nie zapłacił za ten dom z pensji inspektora.

– Pochodzi z bogatej rodziny?

– Nie, ale udało mu się zarobić sporo grosza, zanim postanowił, że zostanie policjantem. I bardzo sprytnie tę sumkę zainwestował. – Wysiadł z powozu. – Zaczekaj tu. Wrócę za chwilę.

Concordia siedziała w mrocznym wnętrzu powozu i spoglądała za odchodzącym. Ambrose wszedł po schodach do głównego wejścia domu pod numerem 7. Zastukał i drzwi się otworzyły. W holu płonęła świeca. Ambrose zamienił kilka słów z kimś, kogo Concordia nie zdołała dostrzec.

Potem drzwi się zamknęły, Ambrose zszedł ze schodów i wsiadł do powozu.

Drzwi frontowe pod numerem 7 otworzyły się ponownie. Jakiś mężczyzna zbiegł po schodach lekkim, swobodnym krokiem. Gdy mijał po drodze latarnię, Concordia zobaczyła, że nie jest kompletnie ubrany, choć ma na sobie płaszcz. Zdążył włożyć spodnie i buty, ale zabrakło mu czasu na zapięcie koszuli i zawiązanie krawata.

– Do łaźni! – rzucił woźnicy, nim wsiadł do ciemnego wnętrza. Powóz ruszył szybko.

– Czemu, u diabła, zawsze składasz mi wizyty nad ranem, Wells? – burknął. – Nie możesz mnie odwiedzić o przyzwoitej godzinie? – Nagle zdał sobie sprawę z obecności siedzącej na wprost niego Concordii. – Słowo daję! Pani jest z pewnością tą nauczycielką!

Nie widziała jego rysów w ciemności, ale spodobał się jej dźwięk głosu Feliksa.

– Tak, to ja – odpowiedziała.

Ambrose odchylił się do tyłu i prawie zniknął w mroku.

– Concordio, chciałbym ci przedstawić inspektora Feliksa Denvera. Feliksie, oto panna Glade.

– Dobry wieczór, panno Glade. A może powinienem powiedzieć: dzień dobry? – Felix zawiązał krawat kilkoma sprawnymi ruchami. – Przepraszam za wścibstwo, ale czy mógłbym się dowiedzieć, co to za nakrycie głowy? Jakiś nowomodny toczek?

– Zwykły ręcznik. – Zawstydzona Concordia dotknęła nieśmiało turbana. – Mam zupełnie mokre włosy.

– Doprawdy? – zdziwił się Felix. – Jakoś nie zauważyłem, żeby padało.

– To długa i zawikłana historia. Pan Wells z pewnością wszystko wytłumaczy lepiej niż ja.

– Znakomity pomysł! – Felix odwrócił się nieco i spoglądając na Ambrose’a, ponaglił go: – No, tłumacz się, Wells!

– A zatem w dwóch słowach: Larkin i ten jego tajemniczy wspólnik nie żyją – odparł Ambrose.

– Obaj?!

– Tak. Ten wspólnik nazywał się Edward Trimley. Pupilek bogatej wdowy, niejakiej pani Hoxton. Typowy w eleganckim świecie układ zapewniający obustronne korzyści. Jemu przydawały się pieniądze pani Hoxton, a jej koneksje Trimleya, no i miała na każde zawołanie godną zazdrości eskortę.

– Pani Hoxton uchodzi za dobrodziejkę Dobroczynnej Szkoły dla Dziewcząt – wtrąciła Concordia w nadziei, że jej uwaga na coś się przyda.

– Otóż mamy i ogniwo łączące ze szkołą! – stwierdził Felix, coraz bardziej zainteresowany relacją.

– Tak – odparł Ambrose. – Dziś wieczorem pojechaliśmy z panną Glade w ślad za Trimleyem prosto z balu do łaźni. Wszystko na to wskazuje, że udał się tam na spotkanie z Larkinem. Niewątpliwie się posprzeczali. W chwili gdy wszedłem śladem Trimleya do męskiego pawilonu, Larkin już nie żył. Jego ciało unosiło się na powierzchni jednego z basenów.

– A zwłoki Trimleya? – dociekał Felix. – A może nie powinienem pytać?

– Leży w alejce na tyłach łaźni – odpowiedział Ambrose płaskim, beznamiętnym głosem. Mówił tak, odkąd wrócił z dachu.

– Śmierć Trimleya była przypadkowa – pośpieszyła z wyjaśnieniem Concordia. – Ambrose ścigał go aż na dach. Tam doszło do szamotaniny i Trimley spadł z dachu, mimo ochronnych parapetów.

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza. Żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem.

Concordia pojęła w tym momencie, że to, co wydarzyło się na dachu, zapewne nie było przypadkowe.

– Całkiem zgrabne rozwiązanie problemu – zauważył Felix obojętnym tonem. – Coś mi się zdaje, że nie będę miał kogo przesłuchiwać. – Zamilkł na chwilę. – Chyba że zostawiliście dla mnie jednego czy dwóch świadków?

– Jedynym świadkiem jest kąpielowy – przyznał Ambrose. – Już wcześniej uciąłem sobie z nim pogawędkę, ale mam wrażenie, że i on nie widział na własne oczy morderstwa. Znajdował się wówczas w innej części budynku.

– Trimley usiłował zabić kąpielowego, by nie mógł świadczyć przeciwko niemu – powiedziała Concordia. – Gdyby nie interwencja Ambrose’a, biedak straciłby życie.

– W jaki sposób kąpielowy zaplątał się w tę aferę? – spytał Felix.

– Henry powiedział nam, że dostał polecenie, by otworzyć łaźnię po godzinach – wyjaśnił Ambrose. – Nie po raz pierwszy otrzymał taką instrukcję. Larkin umawiał się zapewne w łaźni na nocne spotkania ze

swoimi kamratami z przestępczego świata. Dokładnie tak, jak podejrzewałeś.

– Wiedziałem, że w łaźniach dzieje się coś niedobrego – odparł Felix.

– Larkin korzystał z awaryjnego wyjścia przez dach. Właśnie dlatego ani ty, ani twoi koledzy nie mogliście go przyłapać na wchodzeniu ani wymykaniu się z łaźni. Okazało się, że i Trimley znał tę drogę. Podejrzewam, że kilku kąpielowych też o niej wiedziało, ale całkiem roztropnie zachowywali milczenie, by nie stracić pracy.

– A co z Nellie Taylor? – spytał Felix.

– Trimley nazwał Nellie jedną z „łaziebnych panienek" Larkina i napomknął, że wiedziała znacznie więcej o jego planach względem Phoebe, Hannah, Edwiny i Theodory, niż Larkin by sobie życzył.

– I wobec tego ją zabił – podsumował Felix. Przez kilka sekund milczał. – Bydlak! – rzucił w końcu z głębokim przekonaniem.

– Jeszcze jaki! – przytaknął Ambrose.

– Przypuszczamy, że pani Jervis, właścicielka agencji, dzięki której zaangażowano dwie nauczycielki do Aldwick Castle, oraz panna Bartlett, pierwsza z nich, zostały zamordowane z podobnych względów – oznajmiła Concordia. – Obie domyśliły się, że cztery dziewczęta były próbką towaru. Młode, dobrze wychowane panny, które Larkin zamierzał wytresować na kurtyzany najwyższej klasy, a następnie sprzedać najhojniejszym ofiarodawcom. Obie być może nie wiedziały nawet o udziale Larkina czy Trimleya w tym przedsięwzięciu, ale miały kontakt z Cuthbertem. Popełniły jednak błąd, próbując go szantażować.

– Cuthbert, rzecz jasna, natychmiast poinformował Trimleya o zagrożeniu, a Larkin zlecił usunięcie obu kobiet – uzupełnił Ambrose. – Następnie Trimley i Larkin pozbyli się również Cuthberta. W pewnym sensie i ja ponoszę za to odpowiedzialność, gdyż wspólnicy doszli do wniosku, że jeśli ja zdołałem dotrzeć do Cuthberta, policji też może się to udać.

– Tyle zgonów… – powiedział ściszonym głosem Felix. – Ale w jaki sposób zabito Larkina?

– Nie wydobywałem ciała z basenu – odpowiedział Ambrose. – Ale z tego, co zdołałem zobaczyć, wnoszę, że wymierzono mu cios w tył głowy, po czym nieprzytomnego pozostawiono w basenie. Gdyby nie okoliczności i tożsamość ofiary, pewnie zostałoby to uznane za nieszczęśliwy wypadek.

– Jak to było z siostrą twojej klientki – stwierdził w zadumie Felix.

– Właśnie!

– No, cóż… Co się stało, to się nie odstanie – orzekł inspektor. – W sumie wyjdzie nam to chyba na dobre. Ale żałuję, że nie wezmę Larkina w krzyżowy ogień pytań, zwłaszcza na temat jego interesów. Co prawda, bardzo wątpię, czy zdołalibyśmy któremuś z nich dowieść morderstwa. Przeciw Larkinowi nie mieliśmy żadnych niepodważalnych dowodów, a pozycja Trimleya w wielkim świecie bardzo by nam utrudniła postawienie go przed sądem.

– Najgorsze jest to – dodał Ambrose – że niebawem ktoś pójdzie w ślady Larkina i zajmie jego miejsce.

– Taka już jest kolej rzeczy – przytaknął filozoficznie Felix. – Ale wszystko ma swoje dobre strony. Dzięki mnogości opryszków nie grozi mi utrata pracy. Jak długo będą przestępcy, tak długo nie zniknie zapotrzebowanie na policjantów. – Przyjrzał się ukrytej w cieniu Concordii. – Mogę spytać, jakim sposobem przemokła pani do suchej nitki, panno Glade?

– Trimley popchnął mnie i skąpałam się w basenie – odparła.

– Kiedy dotarłem do łaźni, Trimley chciał wykorzystać kąpielowego jako żywą tarczę – wyjaśnił Ambrose. – I nastąpił klasyczny pat. Ja nie miałem broni. Trimley miał.

– Rozumiem – powiedział Felix.

– Concordia próbowała odciągnąć uwagę Trimleya, popychając na niego wózek z bielizną pościelową. Nastąpiło kilka minut kompletnego chaosu.

Wtedy właśnie Trimley wrzucił Concordię do basenu.

– Ambrose jest zbyt dla mnie łaskaw w tej relacji – oświadczyła Concordia. – Prawdę mówiąc, miał sytuację pod kontrolą, gdy ja wtrąciłam się, pragnąc go za wszelką cenę uratować. Pokrzyżowałam mu szyki w haniebny sposób. Mimo to Ambrose w błyskawicznym tempie dostosował się do zmienionej sytuacji.

– To prawda, Ambrose nigdy nie tracił głowy w obliczu nagłych zmian – przyznał Felix z rozbawieniem. – Ten talent bardzo nam się kiedyś przydawał.

– Obaj znacie się od niepamiętnych czasów, nieprawdaż? – spytała Concordia niby od niechcenia.

Powóz zatrzymał się przed frontowym wejściem do łaźni. Felix otworzył drzwiczki powozu i zeskoczył na bruk. Odwrócił się, by spojrzeć na Concordię. W świetle latarni ulicznej spostrzegła, że był wyjątkowo przystojny. I szczerze ubawiony.

– Czyżby Ambrose nie opowiedział pani, panno Glade, że byliśmy wspólnikami w zamierzchłych czasach? Całkiem nieźle nam się wiodło, póki nie pojawił się John Stoner i uparł się, że zrobi z nas porządnych ludzi.

– A co gorsza, swoich spadkobierców – dodał Ambrose. – I w ten sposób położył krzyżyk na naszej dalszej karierze. Po co mielibyśmy kraść, jeśli nie brakuje nam niczego?… Zmusił nas do obrania innej profesji, w której mogły się przydać nasze szczególne talenty.

37

*K*onsultujesz się ze Scotland Yardem? – Concordia z ciemnego wnętrza powozu spoglądała za Feliksem Denverem, który przeszedł na drugą stronę ulicy i zmierzał ku drzwiom męskiego pawilonu.

– Od czasu do czasu. – Ambrose postukał w dach powozu, dając znak woźnicy, by ruszał z miejsca. – Ale moja ścieżka prywatnego detektywa często krzyżuje się ze służbową drogą Feliksa. Tak też się stało na początku tego śledztwa. Kiedy uświadomiłem sobie, że śmierć Nellie Taylor może mieć jakiś związek z działalnością Larkina, natychmiast zawiadomiłem o tym Feliksa.

– Od jak dawna znacie się z Feliksem?

– Zawarliśmy znajomość kilka dni po śmierci mojego ojca. Obaj, Felix i ja, mieliśmy ochotę na ubrania, które suszyły się na sznurze w ogrodzie. Walczyliśmy zajadle o najwspanialszą zdobycz, bardzo przyzwoitą parę spodni. A w końcu doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie pracować wspólnie.

– W jaki sposób Felix znalazł się na ulicy?

– Jego rodzice zmarli na febrę, gdy miał dwanaście lat. Kiedy się poznaliśmy, Felix był już od roku człowiekiem samodzielnym. I zatwardziałym przestępcą. Wiele się od niego nauczyłem.

– A w jakich okolicznościach poznaliście pana Stonera?

– Można by powiedzieć: podczas pracy. Włamaliśmy się do jego domu według wszelkich prawideł sztuki, z podziałem na role. Felix stał na

czatach. Ja wszedłem do domu. Stoner przyłapał mnie.

– Wielkie nieba! Aż dziw, że nie wezwał policji i nie kazał was aresztować!

– Pod wieloma względami Stoner to niezwykły człowiek.

– Podobnie jak ty i Felix Denver. – Concordia zamilkła na chwilę. – Kiedy powiadomisz swą klientkę, że obaj mężczyźni odpowiedzialni za śmierć jej siostry także już nie żyją?

– Niebawem.

– To powinno jej przywrócić spokój umysłu.

– Być może, w niewielkim stopniu… – odparł Ambrose. – Podejrzewam jednak, że nie otrzyma tego, czego pragnie. Młyny sprawiedliwości i zemsty mielą bardzo drobno. Mogą obronić ją przed straszliwym głodem, ale nie dozna prawdziwej pociechy.

Posępna wymowa jego ostatnich słów sprawiła, że Concordii ścisnęło się serce.

– Czy zawsze jesteś taki pod koniec dochodzenia, Ambrose?

– O czym ty mówisz, do licha?!

– Czy zawsze upadasz na duchu, gdy znajdziesz odpowiedzi na pytania klienta?

Przez chwilę milczał. Concordia zlękła się, że nigdy nie otrzyma od niego odpowiedzi.

– Jesteś niezwykle dociekliwa, Concordio – powiedział w końcu. – Jak to odgadłaś?

– Zauważyłam twoje przygnębienie. Doszłam do wniosku, że w głębi serca czujesz, iż to, co odkryłeś, nie przyniesie pociechy twoim klientom. I dlatego zadręczasz się, że ich zawiodłeś.

– Pod koniec każdego dochodzenia widzę, że nie mogę dać im tego, czego się spodziewali.

– Ależ, Ambrose! To nieprawda! – Nachyliła się ku niemu i obiema dłońmi objęła jego rękę. – Chyba nie uświadamiasz sobie, czym obdarzasz

swoich klientów. Nie możesz im zapewnić tego, by wymierzono sprawiedliwość albo by dokonała się zemsta.

– A przecież właśnie po to zwracają się do mnie!

– Może im się tak wydawać, ale sprawiedliwość i kara to domena prawa; można ich szukać na policji i na drodze sądowej. Niekiedy te instytucje spełniają wszelkie oczekiwania, niekiedy nie. Ale nie ma to nic wspólnego z tobą.

Ręka Ambrose'a zacisnęła się na jej dłoni.

– Jeśli to prawda, to niewiele mam do zaoferowania moim klientom.

– Mylisz się. Dajesz im to, czego nigdzie indziej by nie otrzymali.

– Cóż to takiego?

– Odpowiedzi na ich pytania. – Uścisk Ambrose'a stał się niezwykle silny. Uchwycił się jej ręki tak, jakby to była lina ratunkowa. – Dostarczasz swoim klientom odpowiedzi na większość pytań, które dręczą ich podczas bezsennych nocy. To bezcenny dar! Świadomość tego, jak wygląda prawda, nie zawsze jest równoznaczna z wymierzeniem sprawiedliwości czy zemstą. A jednak dla wielu jest niezbędna do życia.

W świetle mijanej latarni ujrzała, że Ambrose wpatruje się w noc za oknem powozu. Jego rysy wydawały się ostrzejsze, twarz okryta cieniem. Wyglądał tak jak przy ich pierwszym spotkaniu w zamkowej stajni.

Po chwili odwrócił się do Concordii.

– Nigdy nie myślałem w ten sposób o swojej pracy – powiedział. – Dzięki tobie ujrzałem ją w innym świetle. Jak ci się to udało?

– Pewnie odezwała się we mnie belferska natura. Ty, mój panie, jesteś specjalistą od dostarczania odpowiedzi. Ja pracuję w nieco innej branży.

– W jakiej?

– Ja uczę moich wychowanków zadawać właściwe pytania.

Psy powitały ich radośnie, gdy Ambrose otwierał drzwi od strony ogrodu. Concordię uderzyło, że w domu jest rozkosznie ciepło i jasno mimo

późnej pory. Paleniska powinny być od kilku godzin wygaszone! – pomyślała.

– Bogu dzięki, że państwo wrócili! – Pani Oates wynurzyła się z kuchni z tacą zastawioną do herbaty. – Był już najwyższy czas! – Na widok Concordii zrobiła wielkie oczy. – Co się stało z pani ubraniem, panno Glade?!

– To długa i bardzo zawiła historia – powiedziała Concordia, poklepując Dantego.

– Proszę mi wybaczyć… ale czy naprawdę ma pani ręcznik na głowie?!

– Niestety, tak…

– Panna Glade miała dziś wieczór przykry wypadek – wyjaśnił Ambrose. – Potrzebuje teraz nade wszystko ognia na kominku i ciepłego szlafroka.

– Oczywiście, proszę pana. W bibliotece jest ciepło. Panna Glade może tam spokojnie zaczekać, nim Oates napali w jej sypialni. – Gospodyni pośpieszyła w stronę biblioteki. – Chodźmy! Przygotowałam właśnie herbatę dla wszystkich.

– Dziewczęta jeszcze nie śpią? – zdumiała się Concordia. – Dochodzi trzecia nad ranem! Powinny od dawna być w łóżkach!

– Wszyscy chcieli zaczekać na powrót państwa.

Pani Oates wkroczyła do biblioteki. Zza uchylonych drzwi doleciał żywy, pogodny śmiech.

Ambrose podprowadził Concordię do drzwi.

– Trzymaj się! Mam przeczucie, że nie tak prędko pójdziemy do łóżka.

– Nic nie rozumiem. – Concordia energicznie weszła do biblioteki. – Dlaczego wszyscy są o tej porze na nogach? Dziewczęta powinny dobrze się wysypiać. Mam pod tym względem niezłomne zasady!

Stanęła jak wryta na widok Hannah, Phoebe, Edwiny i Theodory. Wszystkie siedziały przy okrągłym stole. Każda z nich trzymała w ręku karty. Przed każdą leżała na stole kupka drobnych monet.

Przy stole oprócz dziewcząt siedział wytworny siwowłosy dżentelmen, z talią kart w smukłych palcach.

– Wielkie nieba! – przemówiła Concordia donośnym głosem. – Czyżby moje uczennice uprawiały hazard?!

Śmiech umilkł jak nożem uciął. Dziewczęta spojrzały na Concordię i skamieniały, otwierając usta.

– Skądże znowu, panno Glade! – wyjaśniła pośpiesznie Phoebe. – Bierzemy właśnie udział w naukowym eksperymencie, dotyczącym rachunku prawdopodobieństwa.

– Zdumiewające! – zauważyła Concordia. – Przypomina to do złudzenia grę w karty. Nie brak nawet stawek.

– Panno Glade! – wybuchnęła Edwina. – Co się stało z pani ubraniem?!

Theodora, wpatrując się w nauczycielkę, szepnęła:

– Czyżby znów ją zniewolił?…

– Odarta z czci – zaszemrała Hannah. – Całkiem jak Lucinda Rosewood…

Szczupły dystyngowany pan, siedzący przy stole, wstał z młodzieńczą lekkością i wdziękiem, które rzadko towarzyszą starości.

– Nareszcie w domu! Już po balu? – Zmierzył wzrokiem Concordię ubraną w płaszcz i turban z ręcznika. Potem spojrzał na Ambrose’a. – Bal przebierańców, jak sądzę?

– W pewnym sensie. – Ambrose ruszył zdecydowanym krokiem do stołu, na którym stał koniak. – Pozwól, Concordio: pan John Stoner.

– Pan Stoner? – Concordia poprawiła okulary. – Więc pan naprawdę żyje! Co za miła niespodzianka!

Stoner wybuchnął śmiechem. I ten głęboki, szczery śmiech ogrzał atmosferę w bibliotece znacznie skuteczniej niż ogień na kominku.

– Mam nadzieję, że nie rozczarowałem pani.

Starszy pan ujął dłoń Concordii i się ukłonił. Szelmowski błysk w jego oczach sprawił, że Concordia się uśmiechnęła.

– Wręcz przeciwnie – szepnęła. – Co za ulga! Nie muszę już się zamartwiać, w którym kącie ogrodu pana pochowano!

– Na razie nigdzie – odparł beztroskim tonem Stoner. – Proszę, niech pani siądzie przy ogniu. I mam wrażenie, że dobrze by pani zrobił kieliszek koniaku!

Concordia zbyt wiele przeszła w ciągu tej nocy, by wygłaszać teraz kazanie na temat niebezpieczeństw gier hazardowych oraz mocnych trunków. I tak zresztą nic by to nie pomogło! – stwierdziła w duchu. Powiedziała więc:

– Znakomity pomysł!

38

Nieco później Concordia siedziała przy ciepłym kominku w swojej sypialni, ubrana w nocną koszulę, szlafrok i ranne pantofle. Hannah i Edwina przycupnęły po turecku na dywaniku u jej stóp. Phoebe przysiadła na krześle. Theodora szczotkowała włosy Concordii powoli i metodycznie, tak by każde pasemko mogło wyschnąć przy ogniu.

– Obaj nie żyją, pan Trimley i pan Larkin? – dopytywała się Phoebe.

– Tak. – Concordia w ciągu ostatnich dwudziestu minut musiała wielokrotnie odpowiadać na to pytanie. Odpowiadała jednak cierpliwie, rozumiejąc potrzebę upewnienia się po kilkakroć, że nic już im nie zagraża. – Wszystkie jesteście bezpieczne. Żaden z nich nie może już wyrządzić wam krzywdy.

Hannah objęła rękami kolana i spojrzała niepewnie w płomienie.

– Czy teraz, kiedy nic nam już nie grozi, naprawdę pani chce, żebyśmy z nią zostały, panno Glade?

Concordia bez wahania odpowiedziała:

– Naprawdę tego chcę. Choć nie jesteśmy spokrewnione, tyle razem przeżyłyśmy, że połączyła nas więź równie silna jak więzy krwi.

Theodora uśmiechnęła się kwaśno.

– Z pewnością mocniejsza niż ta, która łączy nas z ciotką Agnes i wujem Rogerem. Po śmierci naszych rodziców nie mogli się doczekać, kiedy się nas pozbędą!

Phoebe poprawiła okulary na nosie.

– A co z panem Wellsem?

– Jak to, co z panem Wellsem? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Concordia.

– Był zawsze bardzo dobry dla nas, ale może nie chce, żebyśmy wiecznie plątały mu się pod nogami?

Hannah smętnie pokiwała głową.

– To prawda! Po co miałby brać sobie na głowę cztery dziewczęta, kiedy się z panią ożeni?

– Koniec z tym głupim gadaniem! – rzuciła chłodno Concordia. – Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze: nigdy nie było mowy o małżeństwie pomiędzy mną a panem Wellsem!

Drzwi otworzyły się cicho. Ambrose spojrzał na grupkę zebraną wokół ognia.

– Czy ktoś tu mnie wzywał?

Hannah odwróciła się pośpiesznie w jego stronę.

– Panna Glade mówi, że nie było nigdy mowy o małżeństwie między nią a panem.

Wszystkie dziewczęta zwróciły na niego wzrok, czekając potwierdzenia.

Ambrose skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o futrynę.

– To bezczelne kłamstwo. Doskonale pamiętam rozmowę na ten temat. Miała miejsce w dorożce, kiedy jechaliśmy z wizytą do pani Hoxton. – Spojrzał Concordii prosto w oczy. – Czyżby pani o tym zapomniała, panno Glade?

– Jeśli dobrze pamiętam, nie była to przyjemna dyskusja – powiedziała słabym głosem.

– Otóż i odpowiedź – zwrócił się do dziewcząt. – Przyjemna, nieprzyjemna, ale była!

– Dzięki Ci, Boże! – westchnęła Theodora z ogromną ulgą.

– Wspaniała nowina! – oświadczyła radośnie Phoebe.

– To załatwia sprawę – orzekła Edwina.

Hannah się uśmiechnęła.

– Przyznam, że przez chwilę bałam się, że będą z tym kłopoty!

– A teraz, kiedy zaspokoiłyście swoją ciekawość – powiedział Ambrose – najwyższy czas maszerować do łóżek. Nie musicie zrywać się wcześnie rano. Śniadanie będzie jutro późno. Naprawdę późno!

Odsunął się na bok, przepuszczając Phoebe, Hannah, Edwinę i Theodorę. Gdy ich kroki rozległy się na schodach, spojrzał na Concordię.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

Zatrzymał się na progu, nie wchodząc do sypialni.

– Doskonale! – odpowiedziała odruchowo, ale zaraz się skrzywiła. – Nie, to nieprawda! Czuję się dokładnie tak jak tamtej nocy, gdy wszyscy uciekliśmy z zamku. Niepewna… niespokojna… Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć!

– Naturalna reakcja – odparł. – Tłumaczyłem ci chyba tamtej nocy, że to następstwo przeżytego niebezpieczeństwa i silnego podniecenia. Mnie również dzisiejsza wyprawa dała się we znaki.

– Jak widać, potrafisz się uporać z takimi odczuciami.

Uśmiechnął się lekko.

– Raczej mam większą wprawę w ukrywaniu swoich emocji.

Concordia spojrzała na niego. Poczuła nagle, jak wzbiera w niej fala namiętności i zmysły domagają się zaspokojenia. Dusiły ją, odbierały jej mowę. Zrozumiała, że pragnie jego pocałunków tak, jak nie pragnęła dotąd niczego.

Opanuj się! – mówiła sobie w duchu. Nie możesz przecież rzucić się mu na szyję! A przynajmniej nie tu, w swojej sypialni! Wszyscy by się od razu dowiedzieli, co się tu dzieje!

Jej ręce zacisnęły się na klapach szlafroka.

– Tak, być może… Sądzę, że oboje powinniśmy się wyspać.

– Święta racja! – Cofnął się na korytarz. – Ale, podobnie jak ty, nie bardzo wierzę, by udało mi się zasnąć, póki kipią we mnie gwałtowne

emocje.

– Jakim sposobem chcesz je uśmierzyć? Kolejnym kieliszkiem koniaku?

– Nie – odparł, rozważając ten problem. – Chyba pójdę na spacer.

– Spacer?! O tej porze?

– Nie zamierzam zapuszczać się daleko. Przejdę się wolnym krokiem do oranżerii. Jej atmosfera wydaje mi się bardzo kojąca.

– Doprawdy?

Uśmiechnął się.

– Pobyt w oranżerii nie tylko wpływa dobroczynnie na nerwy, ale można tam znaleźć doskonałą kryjówkę. Gdyby, na przykład, dwie osoby spotkały się tam przypadkowo o tej porze, nikt z domowników z pewnością by się o tym nie dowiedział.

Odwrócił się i ruszył korytarzem.

Concordia wpatrywała się w osłupieniu w otwarte drzwi sypialni.

Ktoś… zapewne pani Oates, pogasił lampy w bibliotece i na korytarzach. A na piętrze nad nimi ucichły już dziewczęce kroki.

Cały dom zapadał powoli w sen. A Concordia nie mogła oderwać oczu od otwartych i pustych drzwi swojej sypialni.

39

Czekał na nią w cieniu kępy palm. Nie wiedział, czy przyjdzie do niego, i był niepewny, co sam zrobi, jeśli Concordia się nie zjawi.

W oranżerii panowało przyjemne ciepło dzięki rurom ogrzewającym, zainstalowanym pod podłogą. Blask księżyca wlewał się przez szklane okna kopulastego sklepienia i lśnił na liściach zgromadzonych w oranżerii egzotycznych roślin. Zapach żyznej ziemi i bujnej roślinności pobudzał zmysły.

To oczekiwanie w ciszy i ciemności wymagało większego napięcia woli, niż przypuszczał. Dawniej zdarzało się, że pragnął kobiety, zwłaszcza po brutalnej konfrontacji czy długotrwałym napięciu. Ale żadna nie była mu niezbędna, póki nie spotkał Concordii; do żadnej tak rozpaczliwie nie tęsknił. A był przecież mistrzem Vanzagary, panem swoich namiętności.

Ale gdy pojawiła się Concordia, wszystko się zmieniło. Stanowiła zagrożenie dla jego samokontroli – i wcale go to nie zrażało.

Promienie księżyca wędrowały po oranżerii. Cały dom tonął w ciemności. Ambrose’a ogarnęły czarna melancholia i poczucie niepowetowanej straty.

Nie przyszła.

Czegóż się mógł spodziewać? Przeżyła dopiero co noc pełną straszliwych doznań. Była całkowicie wyczerpana.

Usłyszał skrzyp otwieranych drzwi.

Jego rozpacz znikła, ogarnęło go radosne uniesienie.

Wpatrywał się w Concordię, gdy zbliżała się do niego, taka zwiewna w jasnym szlafroku. Kiedy szła ścieżką osrebrzoną księżycem, zauważył, że nie upięła włosów. Spadały na ramiona lśniącymi falami i, rzucając ulotne cienie, częściowo przesłaniały jej twarz.

W tym momencie gotów był przysiąc, że to wróżka, która rzuciła na niego urok.

Posuwała się ostrożnie między dwoma rzędami bujnej zieleni, rozgarniając ręką wielkie liście zagradzające jej drogę.

– Ambrose?!… – zawołała cicho.

Dopiero teraz pojął, że Concordia go nie widzi. Przemógł pętający go urok i wyłonił się z kępy palm

– Tutaj! – powiedział.

Szedł ku niej z takim samym poczuciem nieuchronności tego, co się stanie, jak przed laty, gdy związał swe losy ze Stonerem, by zostać mistrzem Vanzagary.

Gdy go ujrzała, bez słowa pobiegła ku niemu.

Otworzył ramiona i przygarnął ją mocno, rozkoszując się ciepłem i dotykiem jej ciała. Ona też go objęła, przywarła całym ciałem, jakby już nigdy nie miała go puścić. Podniosła twarz do pocałunku.

Kiedy ich usta się zetknęły, wyczuł, że tej nocy Concordia pragnie go tak samo jak on jej. Świadomość jej gwałtownego pożądania sprawiła, że stracił resztę samokontroli. Układał sobie w myśli, co jej dziś powie, jeśli do niego przyjdzie… teraz jednak nie był w stanie myśleć jasno ani dobierać słów. Ale nie miało to znaczenia. Nie musieli już mówić, żeby się porozumieć.

Zdjął z niej szlafrok i rzucił na ławkę. Kiedy rozpiął guziki jej koszuli, przekonał się, że jej drobne, kształtne piersi pasują idealnie do wnętrza jego dłoni. Czuł pod palcami twarde pączki sutków.

Drżącymi palcami usiłowała rozpiąć mu koszulę. Kiedy jej się to udało, położyła rozwarte dłonie na jego piersi, zakrywając tatuaż – pieczęć

Vanzagary. Gorący dotyk jej rąk sprawił, że Ambrose cały napiął się z pragnienia i pożądania.

Kątem oka dostrzegł na pobliskim stole złożoną płachtę impregnowanego płótna. Narzucił ją na wielką kępę młodych, zielonych paproci.

Concordia nie protestowała, gdy pociągnął ją na zaimprowizowane posłanie. Całowała go w szyję, wbijała mu paznokcie w ramiona. Zapach jej ciała przyprawiał go o szaleństwo.

Jego ciało dopominało się wielkim głosem o swoje prawa. Wzięło nad nim górę. Musiał zanurzyć się w niej, tak samo jak musiał oddychać. Gdy w nią wniknął, wyprężyła się, wciągnęła powietrze w płuca i uniosła kolana, by mógł w niej zatonąć.

Kiedy wstrząsnął nią orgazm, on również przestał się hamować. Porwał ich równocześnie huragan emocji.

Ostatnią logiczną myślą Ambrose’a, nim zatracił się w powodzi rozkosznych doznań, było nagłe odkrycie: Concordia, która nazwała go specjalistą od odpowiedzi, sama była odpowiedzią na dręczące go po nocach od wielu lat pytania.

40

Następnego dnia wszyscy domownicy zasiedli do śniadania dopiero o jedenastej.

– Oates mówił, że ktoś wczoraj wieczorem zostawił otwarte drzwi do oranżerii – oznajmiła pani Oates, z rozmachem stawiając na śniadaniowym stole ciężki dzbanek z herbatą. – Psy tam wpadły i uwzięły się na rabatkę młodych paproci. Stratowały je do szczętu!

Widelec Concordii znieruchomiał w połowie drogi do ust. Oblała się gorącym rumieńcem. Miała nadzieję, że to nie był ten najgorszy, buraczkowy. Spojrzała przez stół na Ambrose'a, który z całym spokojem jadł jajecznicę.

– No, cóż… psy mają taką naturę, że kopią doły w ziemi, jak tylko nadarzy się okazja – zauważył ze stoickim spokojem. – Phoebe, możesz mi podać sól?

– Tak, bardzo proszę. – Phoebe podała mu solniczkę. – Ale Dante nie zniszczył paproci! Przez cały wieczór był z nami w bibliotece, aż do powrotu pana i panny Glade. A resztę nocy spędził w naszej sypialni. Mam rację, Hannah?

Hannah podniosła wzrok znad talerza. Na jej twarzy odbiło się zakłopotanie, jakby nagle przerwano jej ważne rozmyślania.

– Tak, oczywiście.

– W takim razie musiała to zrobić Beatrycze – stwierdziła pani Oates.

– Przez całą noc była ze mną i Theodorą – wyjaśniła uprzejmie Edwina.

John Stoner starannie rozsmarował masło na grzance.

– A zatem psy zostały uniewinnione. Ciekawe, kto tak brutalnie potraktował biedne paprotki?

Concordia dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach, jakby doskonale wiedział, kto pastwił się nad paprociami. Zmarszczyła brwi i rzuciła Ambrose’owi ostrzegawcze spojrzenie, ale nie zwrócił na to uwagi. Najwyraźniej nie przejął się tym, że rozmowa zmierza w niepokojącym kierunku.

W przewidywaniu katastrofy Concordia wzięła się w garść i spróbowała sama skierować konwersację na inne tory.

– Widać jakiś bezpański kundel wtargnął do ogrodu i trafił do oranżerii – powiedziała żywo. – Ale dość już na ten temat! Niedobrze się czujesz, Hannah? Znów śniły ci się koszmary?

– Nie, panno Glade. – Hannah pośpiesznie się wyprostowała. – Po prostu myślałam o czymś innym.

Taka odpowiedź nie zadowoliła Concordii, ale uznała, że podczas śniadania trudno urządzać przesłuchanie.

– Teraz, gdy już nie wisi nad nami niebezpieczeństwo, zabiorę was, moje panny, na spacer. Bardzo się wam przyda świeże powietrze i trochę ruchu. Ogród jest uroczy, ale nie nadaje się na dłuższą przechadzkę raźnym krokiem.

Edwina się rozpromieniła.

– Możemy wybrać się na zakupy, panno Glade? To byłby nie tylko zdrowy, ale pożyteczny spacer.

– Mam ochotę wybrać się do muzeum – oznajmiła Phoebe. – A ruchu mi nie zabraknie podczas zwiedzania.

– Bardzo bym chciała obejrzeć galerię obrazów – wtrąciła Theodora.

Hannah grzebała widelcem w jajecznicy i się nie odzywała.

Ambrose wziął do ręki filiżankę herbaty.

– Myślę, że dziś wystarczy wam przechadzka po parku. – Spojrzał na Concordię. – Weźcie ze sobą psy. Przyda im się trochę ruchu!

Był to wyraźny rozkaz, a nie sugestia. Concordia zdała sobie z tego sprawę i się zdumiała. Przeszył ją dreszcz trwogi. Chciała go zapytać, dlaczego zależy mu na tym, by miały przynajmniej psy do obrony. Nie śmiała jednak mówić o tym w obecności dziewcząt; jeszcze by się wystraszyły!

– Mogę iść na spacer w spodniach, panno Glade? – spytała żywo Phoebe.

– Owszem, jeśli schowasz włosy pod czapką i będziesz udawać chłopca – odparła Concordia. – Dziewczyna w spodniach zwracałaby ogólną uwagę. A na tym wcale nam nie zależy!

Phoebe się rozpromieniła.

– Włosy mogę schować, byle chodzić w spodniach!

– A ja włożę nową spacerową suknię. Tę niebieską! – oznajmiła Edwina, ciesząc się na samą myśl o tym.

– Żebym tylko nie zapomniała szkicownika i ołówka! – dodała Theodora. – Od dawna nie robiłam szkiców z natury.

Hannah odłożyła widelec.

– Mogłabym wrócić do sypialni? Nie mam wielkiej ochoty na spacer.

Concordia się zaniepokoiła.

– Co ci dolega, kochanie? Boli cię głowa?

– Nie, to tylko zmęczenie. Prawie nie spałam ostatniej nocy.

– Pozwól, że ci pogratuluję, Ambrose. – Stoner usadowił się w fotelu, złożył ręce tak, że stykały się końcami palców, i spojrzał na Ambrose’a z prawdziwą satysfakcją. – Wiem od miłych panienek, że wkrótce się pobierzecie z panną Glade.

– To nie jest jeszcze całkiem pewne. – Ambrose przeszedł w drugi koniec biblioteki i stanął przy oknie wychodzącym na ogród. – Panna Glade nie poprosiła mnie jeszcze o rękę.

– Co takiego?!

– Panna Glade nie znosi konwenansów. Ma bardzo nowoczesne poglądy na stosunki męsko-damskie.

Stoner kaszlnął znacząco.

– Bardzo przepraszam, ale z rozmowy z panienkami wywnioskowałem, że doszło do zniewolenia, a w każdym razie do utraty reputacji. – Zamilkł na chwilę. – Żeby nie wspomnieć o nieszczęsnym losie paprotek.

Ambrose odwrócił się raptownie i podszedł do biurka.

– Panna Glade ma również nieczyste sumienie w tej sprawie. Mogę tylko żywić nadzieję, że poczucie obowiązku skłoni ją do wzięcia na barki odpowiedzialności i zakończenia sprawy w honorowy sposób.

Stoner uniósł brwi.

– Ona ma wziąć odpowiedzialność za wszystko?!

– Właśnie.

Stoner wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

– Niech to diabli! Boisz się jej oświadczyć, co? Myślisz, że da ci kosza?

Ambrose zacisnął ręce na oparciu fotela. John Stoner znał go rzeczywiście na wylot!

– Powiedzmy, że nie chcę, by uważała nasze małżeństwo za dożywotnią karę dla nas dwojga, na którą przystaliśmy wyłącznie ze względu na jej reputację.

– A, teraz już rozumiem! – Stoner uśmiechnął się i skinął głową. – Stosujesz strategię stawiania rzeczy na głowie?

– Raczej strategię rozpaczy.

– Ale co będzie, jeśli panna Glade pozostanie wierna własnym niekonwencjonalnym i nowoczesnym zasadom i nigdy nie poprosi cię, byś ją poślubił? Nie zamierzasz chyba wdawać się w długoletni potajemny związek z profesjonalną i zapaloną nauczycielką?

– Chcę być z nią bez względu na wszystko. Nie mówmy o tym więcej. – Ambrose wyjął arkusz papieru z górnej szuflady biurka. – Chciałem z tobą

porozmawiać dziś rano nie na temat rychłego czy nierychłego ślubu. Potrzebuję twojej rady w całkiem innej sprawie.

W pierwszej chwili Stoner spojrzał na Ambrose'a takim wzrokiem, jakby chciał z nim polemizować, ale ostatecznie wzruszył tylko ramionami.

– Niech będzie jak chcesz. Czym mogę ci służyć?

Ambrose przeglądał swoje uwagi, zapisane na kartce.

– W moim ostatnim śledztwie jest coś… – zawahał się, szukając właściwego słowa – …coś niedopracowanego.

– Brakuje ci jeszcze kilku odpowiedzi?

– Właśnie. I być może nigdy ich nie odnajdę, gdyż obaj, Larkin i Trimley, nie żyją. Mimo to spróbuję rozwikłać te kwestie.

Stoner poprawił się w fotelu.

– Cóż cię nadal niepokoi?

Ambrose spojrzał znad swych notatek.

– Zastanawiam się nieustająco, co właściwie Larkin i Trimley zamierzali zrobić z Hannah, Phoebe, Edwiną i Theodorą?

Srebrzyste brwi Stonera zbiegły się nad jego nosem.

– Powiedziałeś, jeśli dobrze pamiętam, że planowali sprzedać je na licytacji jako kurtyzany najwyższej klasy.

– Do tego wniosku doszła Concordia, a przedtem jej poprzedniczka, panna Bartlett. Jest to całkiem logiczny wniosek. Ale coś tu się nie zgadza, gdyż Larkin miał już udziały w wielu domach publicznych, w tym jednym czy dwóch dla specjalnej klienteli. Wiem od Feliksa, że żadnym Larkin nie przejmował się zbytnio, choć przez całe lata czerpał z nich pokaźne zyski. Trzymał się z dala od nich, liczyły się wyłącznie pieniądze. Uważał się za inwestora, a nie alfonsa.

– A ty co o tym myślisz?

Ambrose odchylił się na oparcie fotela.

– Moim zdaniem Larkin wykazywał duże osobiste zainteresowanie planem dotyczącym tych czterech dziewcząt. Zupełnie nie rozumiem,

czemu tak było, zwłaszcza że pozostawało to w sprzeczności z jego zasadą trzymania się z daleka od spraw kryminalnych.

– Może uważał, że przewidywane zyski warte są odrobiny zainteresowania.

– Może i tak – przyznał Ambrose. – Ale są i inne aspekty tej sprawy, które mnie zdumiewają. Jednym z nich jest wyjątkowa mnogość zabójstw, wiążących się z tym przedsięwzięciem. To prawda, że Larkin był bezwzględny i nie wahał się wyeliminować każdego, kto, według niego, zagrażał jego imperium. Ale z pewnością nie zrobiłby takiej kariery, gdyby zostawiał za sobą tyle trupów, budząc podejrzliwość Feliksa i jemu podobnych. Zwłaszcza że ofiarami były osoby z najwyższych warstw społeczeństwa lub uprawiające wolne zawody.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedział Stoner coraz bardziej zainteresowany tematem. – Dobrze wiedział, że morderstwo kobiety pokroju Nellie Taylor ujdzie mu na sucho. Ale powinien mieć poważne obawy przed zabijaniem panny Bartlett, pani Jervis czy Cuthberta, ponieważ ich śmiercią mógłby zainteresować się Scotland Yard.

– To prawda, że zarówno Larkinowi, jak i Trimleyowi mogły ujść bezkarnie takie morderstwa. Jednakże sama ich liczba nie pasuje do niezmiennej strategii Larkina, którego metody Felix rozpracowywał od lat.

– Może ta fala morderstw wskazuje na rosnące wpływy Trimleya. – Stoner skrzywił się z odrazą. – Wszedł od niedawna do przestępczego świata i prawdopodobnie panująca tam brutalna przemoc i możność decydowania o życiu i śmierci innych uderzyła mu do głowy.

Ambrose znów pochylił się ku rozmówcy.

– Tak się składa, że udział Trimleya w tym przedsięwzięciu jest trzecią kwestią, która wymaga rozstrzygnięcia. Czemu Larkin wziął go na wspólnika? Wydaje mi się, że to ostatnia rzecz, jakiej mógłby pragnąć. Miał wszystko, o czym człowiek jego pokroju marzy: wielką fortunę, okazałą

rezydencję, służbę, eleganckie pojazdy, piękne kobiety. Czego więcej chcieć?

– Jest takie stare powiedzenie, którym raczono nas na Vanzagarze: „Chciwość to żarłoczne zwierzę; niczym go nie nasycisz”.

Ambrose zaczął bębnić palcami po blacie biurka.

– A mój ojciec i dziadek chętnie powtarzali: „Kiedy odkryjesz czyjeś największe pragnienie, wmówisz mu wszystko!”

– Zdaje się, że Felix twierdził, iż Larkin wziął sobie takiego wspólnika, bo chciał zainteresować swoimi przedsięwzięciami klasy wyższe.

– To była pierwsza robocza hipoteza – odparł Ambrose. – Ale od początku miałem co do niej wątpliwości. Larkin nie był łatwowierny z natury, zwłaszcza wobec kogoś, kto stał znacznie wyżej niż on w hierarchii społecznej. Zawarłby spółkę z kimś takim jedynie wówczas, gdyby był święcie przekonany, że dzięki temu osiągnie coś, czego nade wszystko pragnął. Z pewnością nie szło mu tylko o pieniądze. Potrafił je zdobywać bez niczyjej pomocy.

– W takim razie, co o tym myślisz?

– Myślę – powiedział Ambrose, wstając – że Felix i ja nie doceniliśmy ambicji Larkina. Jest jednak ktoś, kto mógłby rzucić nieco światła na tę sprawę.

– Kto taki?

– Rowena Hoxton.

Stoner się skrzywił.

– Dobry Boże! Ta idiotka?! Ta bezmózga nowobogacka snobka?

Ambrose był już w połowie drogi do drzwi.

– Widzę, że ją znasz. Właśnie zamierzam złożyć jej wizytę. Czy byłbyś łaskaw mi towarzyszyć?

41

Dzień był ciepły. Rześka bryza rozproszyła tradycyjną mgiełkę. Spacer po parku byłby całkiem miły, myślała Concordia, gdyby dziewczęta nie skorzystały ze sposobności, by wiercić jej dziurę w brzuchu pytaniami na temat stosunków z Ambrose'em.

– Kiedy pani poprosi pana Wellsa, by panią poślubił? – dopytywała się Phoebe w drodze powrotnej. Mówiąc to, szarpała smycz Dantego, próbując go odciągnąć od drzewka, które wzbudziło jego zainteresowanie. – Gdybym była na pani miejscu, nie czekałabym zbyt długo z tymi oświadczynami! Może zjawić się nagle jakaś okropna baba i zwalić go z nóg!

– Tego się nie lękam – stwierdziła Concordia. – Tamtej pierwszej nocy w oberży i ty, i Hannah zwróciłyście mi uwagę, w jak podeszłym wieku jest pan Wells. Przekonacie się, że żadna inna kobieta nie pojawi się, by zaciągnąć go do ołtarza. Zapewne z tej strony nic nam nie grozi.

– Pani się z nami przekomarza, panno Glade – odezwała się Theodora. – Dobrze pani wie, że pan Wells jest w sam raz dla pani!

– Naprawdę tak uważasz? – spytała Concordia. – Ktoś młodszy nie miałby tylu starokawalerskich nawyków.

– Ale pani nie bardzo może liczyć na kogoś młodszego – wtrąciła Edwina. – Nie w pani wieku!

– Bardzo dziękuję, że mi o tym przypomniałaś, Edwino.

– Może by pani dała panu Wellsowi kilka kwiatków? – podpowiedziała Theodora. – To byłby taki romantyczny gest!

Edwina poprawiła smycz Beatrycze.

– Panie nie dają kwiatków panom!

– Zazwyczaj nie – przyznała Theodora. – Ale pan Wells nie jest podobny do innych panów.

– Rzeczywiście – przytaknęła Concordia, wchodząc na frontowe schody. – Nie jest wcale podobny do innych mężczyzn.

Jest tym, którego kocham. I właśnie dlatego jest jedyny na całym świecie i dlatego też różni się od wszystkich mężczyzn. I co ja mam teraz począć, u licha?!

Pani Oates otworzyła drzwi i uśmiechnęła się z aprobatą do całej gromadki.

– Widzę, że trochę ruchu dobrze wam zrobiło! Pewnie macie ochotę na herbatę z ciastkami?

– Serdecznie dziękujemy, pani Oates – powiedziała Concordia, ściągając rękawiczki. – Czy Hannah zeszła na dół?

– Nadal wypoczywa.

Pani Oates zamknęła drzwi, gdy dziewczęta i psy znalazły się w przedsionku.

– A pan Stoner jest w domu? – spytała Phoebe. – Obiecał nam opowiedzieć o antykach, które zdobył podczas podróży.

– Pan Stoner i pan Wells wyszli zaraz po was – wyjaśniła pani Oates. – Powiedzieli, że nieprędko wrócą. I wspomnieli o dopracowaniu jakichś tam szczegółów. Może wejdziecie do biblioteki? Zaraz przyślę Nan z herbatą.

Concordia podeszła do schodów.

– Najpierw zobaczę, jak się miewa Hannah. To takie do niej niepodobne spać w ciągu dnia! Za parę minut spotkamy się w bibliotece.

Pośpieszyła na górę, a jej niepokój rósł z każdym krokiem. Hannah bywała nadpobudliwa i niespokojna, ale zdrowie przeważnie jej

dopisywało. Może napięcie kilku ostatnich dni rozstroiło jej nerwy?

Drzwi pokoju Hannah były zamknięte. Concordia dyskretnie zastukała.

– Hannah? Dobrze się czujesz, kochanie?

Nie padła żadna odpowiedź. Concordia, poważnie zaniepokojona, nacisnęła klamkę i drzwi się otworzyły.

Hannah nie było w pokoju. Pośrodku starannie zasłanego łóżka leżał złożony arkusz papieru.

Droga panno Glade!

Proszę nie martwić się o mnie. Wrócę na podwieczorek. Wiem, że Pani i pan Wells nie będziecie z tego zadowoleni, ale muszę odwiedzić Dobroczynną Szkołę dla Dziewcząt.

Uczennice mogą tam trzy razy w tygodniu spędzać dwadzieścia minut w ogrodzie koło szkoły. Dzisiaj jest właśnie taki dzień. W otaczającym szkołę murze jest spora dziura, niewidoczna za żywopłotem. Postaram się wejść tamtędy i porozmawiać ze swoją przyjaciółką Joan. Muszę jej powiedzieć, że ze mną wszystko w porządku. Z pewnością się ucieszy, bo chyba się o mnie martwiła.

Szczerze oddana uczennica

Hannah

Concordia skończyła czytać list i spojrzała na panią Oates, Phoebe, Edwinę i Theodorę. Wszystkie weszły na pięterko zaraz za Concordią, a teraz zaniepokojone tłoczyły się w drzwiach.

– To okropne! Hannah nie ma ani grosza! Będzie musiała iść na piechotę. Kto wie, czy nie zabłądzi!

Phoebe przygryzła wargę i wymieniła spojrzenia z Edwiną i Theodorą, zanim zwróciła się do nauczycielki.

– Myślę, że starczy jej pieniędzy na dorożkę, panno Glade – powiedziała.

– Cóż to ma znaczyć? – zdumiała się Concordia.

– Wczoraj wieczorem pan Stoner pokazał nam, jak otwierać ukryte szufladki w tym starym sekretarzyku w bibliotece – wyjaśniła Edwina. – W jednej ze skrytek znalazłyśmy trochę pieniędzy. Pan Stoner powiedział, że możemy je zatrzymać. Podzieliłyśmy się nimi sprawiedliwie.

– Właśnie tymi pieniędzmi obstawiłyśmy zakłady, gdy pan Stoner wyjaśniał nam teorię prawdopodobieństwa – dodała Theodora. – Hannah wygrała okrągłą sumkę i zaraz potem pani i pan Wells stanęliście w drzwiach.

Edwina była przerażona.

– Jeśli panna Pratt przyłapie Hannah na rozmowie z Joan, z pewnością wsadzi ją do piwnicy!

– Chyba możemy tylko czekać i mieć nadzieję, że Hannah wkrótce powróci – uznała Phoebe ze zbolałą miną.

Concordia wstała.

– Nie zostawię wszystkiego na łasce losu. Idę do tej szkoły. Kiedy wrócą pan Wells i pan Stoner, powiedzcie im, co się stało.

42

*T*a straszna wieść o śmierci pana Trimleya wielce mną, oczywiście, wstrząsnęła. – Rowena Hoxton przyłożyła rękę do obfitego biustu i obdarzyła Stonera bladym uśmiechem. – A jeszcze w dodatku mówi się, że miał konszachty z jakimś… kryminalistą! Nie mogę wprost uwierzyć, że zostałam tak niecnie oszukana!

– Rozumiem. – Stoner przyjął filiżankę z rąk pokojówki. – Właśnie dlatego pośpieszyłem do pani natychmiast, gdy dotarły do mnie plotki. Nie chcę, by pani sądziła, że została opuszczona przez swych znajomych z wielkiego świata z powodu niefortunnej znajomości z Edwardem Trimleyem.

Oczy pani Hoxton rozszerzyły się z przerażenia.

– Ależ ja nic nie wiem o jego kontaktach z kryminalistami!

– Oczywiście! – Stoner cmoknął z ubolewaniem. – Wie pani jednak, jak to bywa w eleganckim świecie: liczą się tylko pozory!

– O mój Boże! – Pani Hoxton była jak porażona. – Nikt chyba nie uwierzy, że wiedziałam o kontaktach pana Trimleya ze światem przestępczym?!

– Jestem prawie pewny, że uda się naprawić szkody, jakie mogła wyrządzić pani ta znajomość – zapewnił ją Stoner.

Ambrose stał bez słowa tyłem do okna – uosobienie dyskrecji – próbując wczuć się w rolę skromnego asystenta Stonera.

Był pełen podziwu dla niego, widząc, jak znakomicie radzi sobie z panią Hoxton. Nawet teraz, po tylu latach znajomości, jego mentor potrafił go zaskoczyć.

Pani Hoxton skupiła całą uwagę na osobie Stonera.

– Jakie szkody? O czym pan mówi?

Stoner mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Tak się akurat składa, że jestem w stanie… jakby to określić?… skorygować pewne krzywdzące opinie, które mogły wzbudzić zainteresowanie w niektórych kręgach.

Pani Hoxton zbladła.

– O mój Boże! – jęknęła znowu.

– Proszę więc, by zapoznała mnie pani z pewnymi szczegółami dotyczącymi znajomości z Trimleyem. Dołożę starań, by pożądana wersja wydarzeń dotarła tam gdzie trzeba.

– Będę panu wdzięczna! Czego chciałby się pan dowiedzieć?

Pani Hoxton zareagowała tak żałośnie, że Ambrose’owi przykro było na nią patrzeć. Ta kobieta umierała ze strachu na myśl, że mogłaby zaplątać się w jakiś skandal.

Stoner rozsiadł się w fotelu z głową na oparciu, podciągnął dyskretnie nogawki i zgrabnie założył nogę na nogę.

– Czy Trimley wspomniał kiedyś w rozmowie z panią o pannie Edwinie i Theodorze Cooper?

– O tych bliźniaczkach? – Pani Hoxton nachmurzyła się; była wyraźnie zaskoczona. – A cóż one mają wspólnego z tą sprawą? Słyszałam, że zginęły tragicznie kilka miesięcy temu.

– Doprawdy? Czy rozmawiała pani kiedyś o nich z Trimleyem?

– No, tak… Tak się złożyło, że wspomniałam mu kiedyś o nich. – Pani Hoxton machnęła niecierpliwie ręką. – Ale tylko tak, mimochodem.

– Czy pani mogłaby sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach poruszyła pani ten temat?

– Zupełnie nie rozumiem, co to ma wspólnego ze zdławieniem w zalążku tego skandalu!

– Odrobinę cierpliwości, droga pani – odparł Stoner. – Zapewniam panią, że dobrze wiem, co robię.

– No, tak… oczywiście. Proszę mi wybaczyć. To dlatego, że od rana jestem taka wstrząśnięta! – Pokrzepiła się łykiem herbaty i odstawiła filiżankę. – Rozmawialiśmy o bliźniaczkach Cooperów z powodu tej niemądrej gry, za którą Trimley tak przepadał!

– Jakiej gry?

– Udawał, że nie wierzy, bym znała wszystkie osoby należące do wielkiego świata, i wypytywał szczegółowo o młode panny z dobrych rodzin, które rzadko przybywały do Londynu. Wszystkie z nich musiały spełniać warunki, które sam ustalił.

Ambrose nawet nie drgnął. Nie patrząc na Stonera, był pewien, że i on znieruchomiał.

– Jakież to były warunki? – spytał Stoner.

– Musiały mieszkać na wsi, nie mieć rodziny i dysponować wielkim majątkiem. – Pani Hoxton prychnęła pogardliwie. – Dla mnie to nie było żadne wyzwanie, tylko drobnostka. Przypomniały mi się natychmiast bliźniaczki Cooperów oraz dwie inne panienki.

43

Za drugim razem Dobroczynna Szkoła dla Dziewcząt wydała się Concordii równie posępna i odpychająca jak wówczas, gdy zwiedzała ją po raz pierwszy. Nauczycielka rozmyślała o tym, wstępując na frontowe schody. Ciepło słonecznego popołudnia nie przeniknęło ani trochę do starego domu z zasłoniętymi oknami.

Concordia ubrała się na tę wizytę w suknię o surowym, niemal męskim kroju, jedną z tych, które zamówił dla niej Ambrose. Była granatowa, z niewielką tiurniurą, wysoką stójką przy szyi i z wąskimi rękawami. Para wysokich trzewiczków zapinanych na guziki, rękawiczki z koźlej skórki i słomkowy kapelusz ozdobiony pojedynczą aksamitną kokardką dopełniały stroju. Nie miała dziś woalki, zakrywającej twarz.

Jadąc dorożką na Rexbridge Street, Concordia zastanawiała się głęboko, w jaki sposób odnaleźć Hannah i wyciągnąć ją stąd. Mało prawdopodobne, by mogła tego dokonać najprostszym sposobem: zastukać do drzwi i spytać, czy jej uczennica się tu znajduje. Edith Pratt była niewątpliwie wplątana w niecną intrygę, dotyczącą również tej dziewczyny. Mało więc prawdopodobne, by przyznała, że Hannah znajduje się w tym budynku.

Całkiem zresztą możliwe, że Hannah jest już w drodze powrotnej do domu Johna Stonera.

To był najsłabszy punkt całej wyprawy, stwierdziła Concordia. Nie miała pojęcia, czy obecność Hannah została wykryta, czy też wszystko poszło jak z płatka i przedsiębiorcza panienka jest już w drodze powrotnej.

Concordia z całej siły łupnęła w drzwi kołatką. Trzykrotnie.

Drzwi otworzyła ta sama bezbarwna panna Burke, która poprzednim razem zaprowadziła Concordię do gabinetu panny Pratt.

Stara nauczycielka nie rozpoznała Concordii i zadała jej stereotypowe pytanie:

– Czym mogę służyć?

Concordia pomachała ostentacyjnie trzymanym w ręku notesem.

– Proszę powiadomić dyrektorkę, że panna Shelton chce się z nią widzieć. Może pani dodać, że przysyła mnie pani Hoxton.

Nazwisko dobrodziejki uskrzydliło pannę Burke.

– Proszę za mną, panno Shelton. Zaprowadzę panią do gabinetu panny Pratt. Jest w tej chwili zajęta: omawia z kucharką jadłospis na cały tydzień. Pani dyrektorka jest zdania, że zbyt dużo jedzenia u nas się marnuje. Postanowiła więc zmniejszyć racje mięsa i warzyw. Ale zawiadomię ją natychmiast o pani przybyciu. Pewna jestem, że zjawi się tu niebawem.

Panna Burke poprowadziła gościa korytarzem i otworzyła drzwi gabinetu.

– Bardzo dziękuję.

Concordia weszła do gabinetu, a panna Burke zamknęła cicho drzwi i udała się na poszukiwanie dyrektorki.

Concordia rozejrzała się po gabinecie. Prawie nic się tu nie zmieniło od poprzedniej wizyty. Koło drzwi wisiał na haku szary, niewątpliwie kosztowny płaszcz Edith Pratt. Plakietkę z wyliczeniem „Złotych reguł dla dziewcząt pełnych wdzięczności” nadal widać było w centralnym miejscu nad biurkiem. Pani Hoxton i królowa Wiktoria w dalszym ciągu spoglądały dostojnie ze swych oprawnych w ramki fotografii.

Concordia popatrzyła na biurko i rozważyła zasadność powtórnej rewizji. Być może zdobyłaby tym razem jakieś informacje dotyczące Hannah.

Z drugiego końca korytarza dotarło stłumione echo wypowiadanych z irytacją słów.

– Panna Shelton? Pierwszy raz słyszę o kimś takim! Nie mam pojęcia, po co pani Hoxton ją tu przysłała!

Dyrektorka była wyraźnie wściekła.

To załatwia sprawę! – pomyślała Concordia. Na przeszukanie biurka nie ma czasu.

Przygotowała się do roli, jaką zaraz przyjdzie jej odegrać. Odwróciła się twarzą do drzwi. Wiszący koło nich płaszcz przyciągnął jej uwagę. Było z nim coś nie w porządku… Wielkie, ciemne plamy na samym dole.

Concordia podeszła bliżej i rozgarnęła ciężkie fałdy okrycia. Z przodu było jeszcze więcej mokrych plam. Widocznie dyrektorkę podczas spaceru zaskoczył wiosenny deszcz.

Ale ostatnio nie padało!

Puls Concordii, który i tak był przyśpieszony, teraz całkiem się rozszalał. Nagle pojęła wymowę tych plam. Wstrząsnął nią dreszcz, nerwy zapiekły żywym ogniem.

Okrycie mogło ucierpieć w taki właśnie sposób, gdyby ubrana w płaszcz osoba znajdowała się tuż obok basenu, do którego zostało wrzucone ciało. Powstałaby wówczas fontanna o imponującym zasięgu.

Uspokój się. Przemyśl wszystko dokładnie. Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

Płaszcz mógł się zamoczyć w najrozmaitszych okolicznościach, mówiła w duchu. Jej skojarzyło się to z wpadającym do basenu ciałem tylko dlatego, że niedawno zetknęła się z podobnym przypadkiem.

Tylko że Edith Pratt miała powiązania z całą tą sprawą od samego początku. Przyjęto założenie, że odgrywała niewielką rolę w tej makabrycznej sztuce. Jej zadanie polegało na ukryciu czterech dziewcząt na terenie szkoły, którą kierowała.

A jeśli wszyscy mylili się co do roli panny Pratt w tym dramacie?

Concordia dotknęła ręką jednej z ciemnych plam. Materiał był z pewnością mokry, lecz nie ociekał wodą. Gdyby ciężki wełniany płaszcz –

taki jak ten – przemoczył się do suchej nitki, upłynęłoby mnóstwo czasu, nim wysechłby całkowicie w zamkniętym pomieszczeniu, rozważała Concordia.

– Dam wyraźnie do zrozumienia pani Hoxton, że nie może mnie odrywać od pracy dla jakichś tam głupstw!

Głos Edith był znacznie bliższy i wyraźniejszy.

Panna Burke coś mamrotała, tak cicho, że Concordia nie zrozumiała ani słowa.

Ledwie mogła oddychać. Musi wydostać Hannah z tego domu! Mroczna piwnica nie była jedynym ani największym zagrożeniem. Jeśli panna Pratt zaangażowała się w tę aferę tak głęboko, jak na to wskazuje mokry płaszcz, mogła zabić Hannah z obawy, że jej sekrety wyjdą na jaw.

Dobry Boże… a jeśli to najgorsze już się wydarzyło?…

Drzwi rozwarły się gwałtownie i do pokoju wkroczyła Edith; na jej przystojnej twarzy malowały się zniecierpliwienie i irytacja.

– Panna Shelton? Jestem Edith Pratt. Podobno przybywa pani od pani Hoxton? Co za brednie! Nie zostałam uprzedzona, że ktoś się tu zjawi.

– To przecież oczywiste, że nie została pani o tym powiadomiona – odparła Concordia, przybierając instynktownie władczy ton. – Jestem założycielką i przewodniczącą Towarzystwa Opieki nad Osieroconymi Dziewczętami. Naszym głównym zadaniem jest nadzór nad sierocińcami i dotowanymi z funduszów dobroczynnych szkołami. Sprawdzamy, czy dziewczęta mają tam zapewnioną troskliwą opiekę. Pewnie słyszała pani o naszej działalności?

Edith zesztywniała.

– Nie. Pierwszy raz o tym słyszę.

Concordia uśmiechnęła się z przymusem.

– Wielka szkoda! Tak się składa, że pani Hoxton upoważniła mnie do przeprowadzenia niezapowiedzianej inspekcji w tej szkole.

Edith otworzyła usta ze zdumienia.

– Cóż to za gadanie?! Pani Hoxton nigdy przedtem nie widziała potrzeby dokonywania inspekcji!

– Wasza nieoceniona dobrodziejka zapoznała się niedawno z artykułem w pewnej gazecie, opisującym pożałowania godne warunki w jednym z sierocińców. Podobno sprzedawano tam młode dziewczęta właścicielom domów publicznych! Może zwróciła pani uwagę na ten raport?

– Oczywiście, zauważyłam ten skandaliczny paszkwil, zamieszczony w goniącym za sensacją piśmidle! Ale zapewniam panią, że Dobroczynna Szkoła dla Dziewcząt jest szacowną instytucją. Roztaczamy tu opiekę nad sierotami z dobrych rodzin. Nasze dziewczęta szkolone są na guwernantki i nauczycielki, nie na prostytutki!

– Nie wątpię, panno Pratt. Jednak, dla spokoju sumienia, pani Hoxton zażyczyła sobie tej inspekcji. Jest ogromnie zaniepokojona.

– Z jakiego powodu? – obruszyła się Edith; była czerwona z gniewu.

– Chce zyskać pewność, że najmniejszy skandal nie miał miejsca na terenie tej szkoły. Niesmaczna sensacja związana z placówką, której patronuje, byłaby dla niej w najwyższym stopniu przykra.

Edith podniosła się i wyprostowała plecy.

– Zapewniam, że o to, co się tu dzieje, pani Hoxton nie musi się kłopotać!

– Niemniej jednak otrzymałam polecenie i zamierzam je wypełnić. Pani Hoxton nalegała, bym zlustrowała tę szkołę od góry do dołu.

– Ale…

– Od góry do dołu, panno Pratt! – Concordia wzięła do ręki ołówek i otworzyła notatnik. – Poinformowano mnie, że gdyby pani odmówiła współpracy, obowiązki przejmie pani następczyni.

Twarz panny Pratt wyrażała zdumienie.

– To oburzające! Zarządzałam tą placówką ponad rok! Nigdy nie wydarzyło się tu nic skandalicznego!

– Jeśli pani chce utrzymać się na swoim stanowisku, radzę wykonywać polecenia dobrodziejki tej szkoły. – Concordia przecisnęła się obok niej i wyszła na korytarz. – Chodźmy, panno Pratt, im wcześniej zaczniemy, tym prędzej skończymy. Zajmę się na początek kuchnią i piwnicą.

– Chwileczkę! – zawołała Edith, biegnąc za nią. – Jeśli pani zaczeka parę minut, powiadomię o inspekcji cały personel i wszystko odbędzie się w należytym porządku.

Concordia była już w połowie korytarza.

– Proszę wezwać wszystkie dziewczęta do pokoju stołowego. Chcę się upewnić, czy odżywiają się należycie i są zdrowe. Proszę również zwołać personel; chciałabym i jemu dobrze się przyjrzeć.

Edith zatrzymała się na korytarzu nieco za Concordią.

– Panno Burke, proszę wezwać niezwłocznie do pokoju stołowego dziewczęta i cały personel.

– Tak jest, panno Pratt.

Panna Burke zawróciła do frontowego holu.

Obrzydliwy zapach psujących się produktów spożywczych, zwarzonego mleka i zjełczałego sadła, pomógł Concordii dotrzeć do kuchni. Weszła tam tak szybko, że omal nie upadła na swą elegancką tiurniurę, gdy poślizgnęła się na starej plamie skrzepłego tłuszczu, których nie brakowało na podłodze.

– Wielkie nieba! – Chwyciła się za brzeg masywnego drewnianego stołu, ustawionego pośrodku kuchni, by odzyskać równowagę. – Kiedy tu po raz ostatni podłoga została wyszorowana jak należy, mydłem i octem?

Dwie kobiety w poplamionych fartuchach i czepkach gapiły się na nią z otwartymi ustami. Jedna z nich mieszała w wielkim żelaznym garnku. Rozchodził się z niego zapach, który bynajmniej nie sprawiał, by – jak to mówią – ślinka napływała do ust.

– Mniejsza z tym. – Concordia wyprostowała się i przyjrzała dwóm podkuchennym bardzo uważnie. – Przeprowadzam tu inspekcję na życzenie

protektorki tego zakładu. Chciałabym zacząć od piwnicy. Proszę mi wskazać drzwi.

– No… po drugiej stronie paleniska – odezwała się pierwsza z kobiet niepewnym tonem.

– Dziękuję!

Concordia pośpieszyła do wąskich drzwi.

– Ale one są zamknięte – dodała kucharka.

Serce Concordii zamarło.

– A gdzie klucz?

– U panny Pratt – wyjaśniła z wahaniem druga kucharka. – I nikomu nie pozwala wchodzić tam bez jej pozwolenia.

– Panno Shelton! – zagrzmiał z korytarza głos Edith. – Proszę na mnie zaczekać. Oprowadzę panią po całej szkole!

– Pilnuj się! – ostrzegła pierwsza z kucharek swą towarzyszkę. – Wścieka się od samego rana!

Edith weszła do kuchni. Zatrzymała się i obrzuciła podkuchenne złym spojrzeniem.

– Idźcie do pokoju stołowego i czekajcie tam z całą resztą! Panna Shelton i ja wkrótce do was dołączymy.

– Ale zupa się przypali! – zaprotestowała pierwsza kucharka.

– Mniejsza o zupę!

– Jak pani każe, panno Pratt.

Dwie kobiety śpiesznie opuściły kuchnię.

– Poproszę o klucz od piwnicy – powiedziała Concordia najbardziej władczym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

– Tak, oczywiście.

Edith zdjęła żelazny klucz z łańcuszka, który miała przy pasku, i rzuciła Concordii, która schwyciła go dość niezręcznie.

– Idziemy! – ponagliła ją Edith. – Niech pani otworzy drzwi! Zupełnie nie rozumiem, czemu pani tak śpieszno do tej piwnicy, ale to nie moja

sprawa. Sądzę, że znajdzie tam pani wszystko w jak najlepszym porządku.

Concordia odwróciła się twarzą do drzwi i włożyła klucz do starego zamka.

– Niech się pani nie guzdrze! Nie mamy czasu do stracenia!

Concordia musiała użyć obu rąk, by pociągnąć drzwi do siebie. Kiedy szpara powiększyła się, w świetle padającym z kuchni można było dostrzec kilka wąskich schodków. Resztę spowijał nieprzenikniony mrok.

Concordia otwierała już usta, by zawołać Hannah, gdy nagle usłyszała za plecami śpieszne kroki.

Zerknęła przez ramię i ujrzała Edith, gotową do ataku. Zęby miała zaciśnięte, spojrzenie wściekłe, półprzytomne.

Dyrektorka chwyciła stojącą na kuchennym stole ciężką żelazną patelnię. Trzymała ją obiema rękami, jakby to była maczuga.

Concordia pojęła, że będzie to walka na śmierć i życie. Edith zamierzała roztrzaskać jej głowę patelnią.

Concordia rozpaczliwie i nieporadnie próbowała uchylić się przed ciosem. Poślizgnęła się na podłodze i upadła.

Ten bolesny upadek ocalił jej życie. Straszliwy cios chybił o kilkanaście centymetrów.

Osłupiała Edith zatrzymała się i ścisnęła mocniej rączkę swej broni, by znów zaatakować przeciwniczkę.

Concordia, zdając sobie sprawę z tego, że spódnica utrudnia jej ruchy, nawet nie próbowała wstać. Wpełzła na czworakach pod wielki drewniany stół.

Zdążyła dosłownie w ostatniej chwili. Patelnia walnęła w stół z taką siłą, że wszystkie stojące na nim garnki i półmiski zatrzęsły się i zadźwięczały. Dwie pokrywki spadły na podłogę.

Edith aż syknęła z bezsilnego gniewu. Rzuciła patelnią o ścianę.

Concordia wygramoliła się spod stołu na przeciwległym końcu kuchni, poprawiła spódnicę i zdołała wstać.

– To ty wszystko popsułaś! – Twarz Edith była maską gniewu. – Ale teraz zapłacisz mi za to!

Pochwyciła wielki nóż do krojenia mięsa.

Concordia wpatrywała się w jego ostrze, sparaliżowana strachem. Była osaczona między stołem a ścianą. Edith natarła znów na nią.

– No i co? Mina ci zrzedła, Concordio Glade?

– Wiesz, kim jestem? – Concordia pośpiesznie zlustrowała stojące bezładnie na stole garnki i rondle. Złapała za jedyny przedmiot jako tako nadający się do obrony: wielką, ciężką pokrywę brytfanny do pieczenia mięsa.

– Wiem, wiem, Concordio Glade! Kiedy Hannah zakradła się tu kilka godzin wcześniej, mówiła o tobie. – Uśmiechnięta twarz Edith przypominała rzeźbę z lodu. – A jak ją zamknęłam w piwnicy, powtarzała w kółko, że przyjdziesz po nią. Ja też w to nie wątpiłam. Wiesz już, ile warta jest ta dziewucha i te trzy inne, co?

– To ty zabiłaś zeszłej nocy Alexandra Larkina, prawda?

– Musiałam go zabić. Zdradził mnie!

– Jak to?

– Dowiedziałam się, że chce się żenić z jedną z tych dziewuch. – W słowach Edith dźwięczał ból i gniew. – Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam, wolał jedną z nich! Wszystko jedno, z którą, byle była porządną panienką z dobrej rodziny! Zachciało mu się takiej damy, z jaką ożeniłby się prawdziwy dżentelmen. I wcale nie dbał o to, że go kochałam.

Concordia posuwała się wolniutko wokół stołu. Zdała sobie nagle sprawę, że wstrętny odór zupy stał się jeszcze ohydniejszy. Przypalała się.

– Czemu Larkin miałby się żenić z sierotą bez grosza przy duszy, nawet gdyby była dobrze wychowana? – spytała, starając się rozpaczliwie wciągnąć Edith do rozmowy, by opóźnić nieunikniony atak. Przecież ktoś musi przyjść do kuchni, by zobaczyć, co je tu zatrzymało!

– One wcale nie są biedne! – Edith mówiła z pogardą. – To wielkie dziedziczki! Wszystkie cztery. Każda z kupą pieniędzy. To był mój plan, od samego początku!

– Twój plan?

– Mieliśmy wystawić je na aukcję i przekazać tym, którzy dadzą najwięcej. Nie brak łowców posagów ani nowobogackich, którzy daliby nie wiem co, żeby tylko dostać się do eleganckiego towarzystwa. Co może być lepszego niż ożenek z dziedziczką z porządnej rodziny, z nieskazitelną reputacją? Od razu stanęliby na nogi! A najlepszy dowcip polega na tym, że każdy taki spryciarz zapłaci naprawdę ciężkie pieniądze za kupno żony z jej posagu!

Concordia nareszcie zrozumiała sytuację. Poraziło ją to niczym grom.

– A ja myślałam, że zamierzacie sprzedać je jako kurtyzany…

– E tam! Dziwek na świecie nie brakuje! A posażnych panien z nieskalaną opinią nie tak znów dużo… Plan był prościutki. Dziewczyny miały na jakiś czas zniknąć. Chciwi krewniacy zlecieliby się, żeby zgłosić swoje prawa do gotówki i posiadłości…

– Ale po aukcji każda z zaginionych dziedziczek miała cudem wrócić do życia, już bezpiecznie poślubiona dżentelmenowi, który od razu mógł sięgnąć po jej pieniądze, co?

– Właśnie! – syknęła Edith.

– To mi zupełnie przypomina sensacyjne powieści o sekretnych małżeństwach i zaginionych spadkobiercach.

Edith prychnęła pogardliwie.

– Z pewnością powstałby wielki szum, gdyby dziewczyny odnalazły się, w dodatku zdrowe, całe i przykładnie zamężne! Ale prasa i opinia publiczna byłaby zachwycona, a one nie straciłyby swojej wysokiej pozycji w świecie, bo przecież nikt ich nie skompromitował!

– Dlatego właśnie zadaliście sobie tyle trudu, by stworzyć w Aldwick Castle prawdziwą szkołę, gdy trzeba było usunąć stąd wszystkie cztery

panny? Musieliście ocalić je nawet od pozorów skandalu!

– Dziedziczki ze zszarganą reputacją też by znalazły amatorów, ale te bez skazy były stokroć więcej warte!

– Czy to ty zabiłaś panią Jervis? – spytała Concordia.

– Ta głupia baba i jej przyjaciółka Bartlett połapały się, że chcemy sprzedać dziewczęta z dobrym zyskiem. I próbowały, idiotki, szantażować Cuthberta. Alex posłał swoich chłopaków, żeby się nimi zaopiekowali.

– Ale trzeba było znaleźć kogoś, kto by zastąpił pannę Bartlett w zamku?

Edith się skrzywiła.

– Alex się uparł, że trzeba pilnować ich cnoty… Myślałam, że chce wywindować cenę, ale potem odkryłam, że chciał mieć żonę bez skazy.

– Przejrzałaś kartotekę pani Jervis i znalazłaś mnie?

– Ta Jervis zapisała w aktach to i owo na twój temat. Wiesz, że znała twój wielki sekret? A jakże! Dobrze wiedziała, że jesteś córką tej pary ze Społeczności Krystalicznych Zdrojów.

– Pani Jervis znała moją przeszłość?

– Ani chybi miała zamiar cię szantażować, wcześniej czy później. Powinnaś mi podziękować, że nie zdążyła!

– Ale i ty skorzystałaś z tych informacji, nieprawdaż? To przez ciebie straciłam pracę w tamtej szkole. A potem przysłałaś mi ofertę pracy w zamku; dobrze wiedziałaś, że jestem w rozpaczliwej sytuacji i przyjmę każdą posadę.

– Ale się pomyliłam, bo myślałam, że w tej sytuacji nie sprawisz nam kłopotu. Ale gdzie tam!… Niech cię wszyscy diabli!

Edith rzuciła nożem przez stół. Odległość była tak mała, że po prostu nie można było spudłować.

Concordia instynktownie zasłoniła się pokrywą brytfanny niczym tarczą.

Nóż uderzył w żelazną pokrywę i upadł na podłogę z brzękiem i łoskotem.

Edith okręciła się na pięcie i skoczyła po nową broń.

Concordia chwyciła jedną ręką fałdy spódnicy, podkasała ją nad kolana, obiegła stół i ruszyła w stronę kuchennego pieca.

Puściła spódnicę i sięgnęła po grubą ścierkę. Owinęła nią ręce i sięgnęła do garnka z zupą. Musiała zebrać wszystkie siły, wytężyć się jeszcze bardziej, niż myślała, by poruszyć ciężki żelazny garnek.

Kiedy się odwróciła, Edith była tuż-tuż, z wymierzonym prosto w jej serce ostrzem innego noża.

Concordia przechyliła garnek i chlusnęła jego zawartością na Edith. Ta zbyt późno dostrzegła zagrożenie.

– Nie!

Z przerażającym wrzaskiem upuściła nóż i osłoniła twarz rękami, by ją uchronić przed fontanną wrzącej zupy.

Zdołała nieco zmienić pozycję, ale zupa polała się na jej ręce i ramiona, bryznęła na twarz. Edith jęknęła i padła na kolana. Płacząc z bólu i gniewu, próbowała rozpaczliwie otrzeć spódnicą ręce i twarz z palącej mazi.

Na korytarzu zadudniły kroki. Concordia usłyszała głos Ambrose’a, natarczywy, rozkazujący.

– Gdzie one są?!

– W kuchni – odparła panna Burke. – Ale panna Pratt surowo zabroniła tam wchodzić. Nie wolno przeszkadzać, póki nie skończy rozmowy z panną Shelton.

Ambrose z trzaskiem otworzył kuchenne drzwi. Stoner, Felix i policjant w mundurze byli tuż za nim.

– Uwaga, śliska podłoga! – ostrzegła Concordia.

Wszyscy z wyjątkiem Ambrose’a zatrzymali się i wlepili oczy w pannę Pratt.

– Niech to diabli! – wymamrotał policjant. – Co za wielgachny nóż!

Ambrose był już przy Concordii i chwycił ją w ramiona.

– Nic ci się nie stało?

– Nic, nic! Musimy odnaleźć Hannah!

Ambrose spojrzał ponad jej ramieniem na wejście do piwnicy.

– Z tym chyba nie będzie kłopotu!

Concordia odwróciła się pośpiesznie i ujrzała Hannah stojącą w drzwiach. Jej twarz i ręce były czarne od pyłu węglowego, nowa suknia przypominała brudny łachman. Ona sama jednak nie poniosła szwanku. Spoglądała na Concordię z ogromną powagą.

– Hannah! – Concordia podbiegła do niej i chwyciła ją w objęcia. – Moja kochana dziewczynko! Tak się o ciebie martwiłam! Wyobrażam sobie, jaka byłaś przerażona!

Hannah objęła ją z całej siły i się rozpłakała.

– Wiedziałam, że pani przyjdzie, panno Glade! Przez cały czas to sobie powtarzałam! I miałam rację!

Policjant wyjął notatnik i ołówek. Spojrzał na Concordię i odchrząknął.

– Czy wolno spytać, kim pani jest?

Stoner nie odrywał oczu od Ambrose’a, który podtrzymywał Hannah jednym ramieniem, drugim zaś przyciskał do siebie Concordię.

– To panna Glade – oznajmił uroczyście. – Nauczycielka!

44

Wszyscy zebrali się w bibliotece późnym wieczorem. Ambrose nalał koniaku Feliksowi, Stonerowi i sobie. Concordia dostała kieliszek sherry. Hannah, Phoebe, Edwina i Theodora piły herbatę. A psy usadowiły się jak zawsze koło kominka.

Ambrose z kieliszkiem w ręku stanął za biurkiem. Wypił potężny łyk koniaku. Uznał, że potrzebuje czegoś na wzmocnienie bardziej niż wszyscy inni zgromadzeni w tym pokoju. Omal nie utracił na zawsze Concordii… Nie, nie mógł nawet myśleć o tym!

Felix spojrzał na Concordię.

– Edith Pratt zamierzała uderzyć panią w tył głowy, panno Glade, kiedy pani starała się otworzyć drzwi do piwnicy. Spadłaby pani wtedy ze schodów na dół i mielibyśmy jeszcze jedną ofiarę nieszczęśliwego wypadku. W razie potrzeby dyrektorka gotowa była zejść na dół i przyłożyć pani jeszcze raz czy dwa razy. Nie przewidywała żadnych trudności.

– Ta szkoła była jej udzielnym państwem – powiedziała cicho Concordia. – Sprawowała tu władzę absolutną. Uczennice bały się jej jak ognia, cały personel także. Nikt by się nie odważył zasugerować, że moja śmierć nie była nieszczęśliwym wypadkiem. Zresztą nie dałoby się znaleźć żadnego naocznego świadka prócz Hannah, gdyż dyrektorka poleciła wszystkim zgromadzić się w pokoju stołowym po przeciwnej stronie budynku.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu – odezwał się Ambrose, obracając kieliszek w ręku – wolałbym pomówić o tym, co się naprawdę wydarzyło,

niż o tym, co mogło się wydarzyć. W dalszym ciągu nie mogę otrząsnąć się z szoku. Nie wszyscy z nas mają nerwy jak postronki. To przywilej nauczycieli.

– Święte słowa! – Stoner zachichotał.

Felix uśmiechnął się niewesoło, usadowił się znów w fotelu i wyciągnął nogi przed siebie.

– Plan uśmiercenia pani, panno Glade, był z konieczności niedopracowany, sklecony w ostatniej chwili. Panna Pratt wiedziała, że nie może pozwolić pani na odnalezienie zamkniętej w piwnicy Hannah. Musiała natychmiast temu zapobiec. Było to ryzykowne przedsięwzięcie, ale już dwukrotnie jej się to udało; doszła więc do wniosku, że powiedzie się i tym razem.

Phoebe, która dotąd nie odrywała wzroku od herbaty, zrobiła wielkie oczy.

– Panna Pratt zabiła dwie osoby?!

– Pierwszą była siostra mojej klientki – wyjaśnił Ambrose. – Jedna z… – Napotkał ostrzegawcze spojrzenie Stonera i na chybcika próbował przestylizować swą wypowiedź. – Była jedną z kąpielowych, a prócz tego… hm… zaprzyjaźniła się bliżej z Alexandrem Larkinem.

– I dlatego panna Pratt ją zabiła? – spytała Hannah.

– No, cóż… – Ambrose znów utknął i spojrzał pytająco na Concordię. Nie był pewny, czy życzy sobie wtajemniczania dziewcząt w drastyczne szczegóły zbrodni.

Concordia przejęła inicjatywę.

– Po tym, co moje uczennice musiały ostatnio przejść, nie sądzę, by zaszkodziło im rzeczowe, szczere wyjaśnienie sytuacji. – Zwróciła się do nich. – Panna Pratt kochała Alexandra Larkina. Spotykali się potajemnie w jednej z jego wielu posiadłości. Ale ona zaczęła podejrzewać, że jej przyjaciel ma własne plany związane z aukcją. Zaniepokojona przybyła

pewnej nocy do łaźni, by zażądać od Larkina wyjaśnień. Właśnie wtedy powiedział jej bez ogródek, że zamierza się ożenić z jedną z was.

Dziewczęta skrzywiły się z obrzydzenia.

– Okropnie stary! – orzekła Phoebe.

– A poza tym zatwardziały kryminalista! – dodała Hannah i wzdrygnęła się na samą myśl o takim mężu. – Żadna z nas nie wyszłaby za niego ani za żadnego z tych wstrętnych łowców posagów, których chciał sprosić na aukcję!

Przez chwilę nikt nie powiedział ani słowa. Ambrose spojrzał na Feliksa i Stonera. Wiedział, że myślą w tej chwili to samo co on. Dziewczęta zostałyby zniewolone i zhańbione przez nędzników, którzy je kupili. W tej sytuacji nie miałyby innego wyjścia prócz małżeństwa. Wielki świat przyjąłby ich mężów całkiem przyjaźnie. W wyższych sferach nie brakowało łowców posagów. Trimley był najlepszym tego przykładem. Stan finansów konkurenta nie miał większego znaczenia, jeśli jego pochodzenie było bez zarzutu.

– Bardzo właściwa postawa! – orzekła Concordia z uśmiechem dumy. – Jestem pewna, że żadna z was nie dałaby się zmusić do małżeństwa, mimo skandalu albo gróźb. Ale Edith Pratt, Larkin i Trimley nie mieli pojęcia, jakie z was nowoczesne i samodzielnie myślące damy!

Hannah, Phoebe, Edwina i Theodora się rozpromieniły. Ambrose uśmiechnął się pod nosem. Wpływ Concordii na uczennice wzrastał z dnia na dzień.

– Jak już mówiłam – ciągnęła Concordia – Edith Pratt była zakochana w Larkinie. Kiedy więc powiedział jej, że zamierza się ożenić z jedną z dziewcząt, które zagarnął dzięki niej, wybuchła w łaźni straszna awantura. Edith opuściła pokój, w którym spotkała się z Larkinem, kipiąc z gniewu. Zdążyła przejść tylko kilka kroków, gdy Larkin uchylił drzwi i wezwał Nellie Taylor na prywatny zabieg.

– Tego było już za wiele dla Edith – wtrącił Felix. – Do tej chwili wmawiała sobie, że jest dla Larkina kimś znacznie ważniejszym niż dziewczęta z łaźni. Tego wieczoru jednak przekonała się, że Larkin nie czuł dla niej więcej respektu niż dla Nellie Taylor czy innych panien tego autoramentu.

– Panna Pratt ukryła się w pustym pokoju i zaczekała, aż Larkin wyjdzie i łaźnie zostaną zamknięte na resztę nocy – dorzucił Ambrose. – Kiedy Nellie zabrała się do sprzątania kabiny, Edith podkradła się do niej od tyłu i uderzyła ją pogrzebaczem. Popełniła to morderstwo w afekcie, ale przy okazji odniosła pewne korzyści. Zabita Nellie nie mogła już nikomu wypaplać, że Edith Pratt jest w zmowie z podejrzanym o różne zbrodnie kryminalistą.

Concordia spojrzała na Feliksa.

– Jak doszło do współpracy Larkina i Trimleya?

– W tej sprawie również maczała palce Edith Pratt – odpowiedział inspektor. – Jej związek z Larkinem trwał bardzo długo. Poznali się kilka lat temu, gdy panna Pratt kierowała innym sierocińcem. Larkin wówczas sam jeszcze zajmował się brudną robotą. Zwrócił się do Edith Pratt z propozycją, by odprzedała mu część swych sierot do domów publicznych. Wyraziła zgodę i od tej chwili łączyły ich stosunki zarówno handlowe, jak i osobiste.

Concordia się wzdrygnęła.

– Odrażająca istota!

– Niewątpliwie. – Felix zerknął na dziewczęta i poruszył się niespokojnie w fotelu. – Wiedziała doskonale, że Larkin jest kobieciarzem, ale pocieszała się myślą, że zajmuje specjalne miejsce w jego sercu. Była przecież osobą szacowną! To prawda, że zubożała i skutkiem tego musiała zarabiać na życie jako nauczycielka, ale pochodziła z ziemiańskiej rodziny. Wiedziała, że pozycja społeczna ma dla Larkina wielkie znaczenie. Żyła więc w

przekonaniu, że ich związek ma trwalsze podstawy niż pożądanie lub zwykła wygoda.

– Oprócz tego była we własnym mniemaniu współpracownicą Larkina – powiedziała cicho Concordia. – Jego partnerką.

– Istotnie. – Ambrose przystanął przy oknie wychodzącym na ogród. – Larkin jednak uważał ją wyłącznie za użyteczne narzędzie. Niemniej wyświadczył jej kilka przysług, dzięki czemu jej sytuacja wyraźnie się poprawiła. Postanowiła więc wycofać się z handlu sierotami. Uznała, że jest to zbyt ryzykowne. Jeden większy skandal rozdmuchany dodatkowo przez prasę i straciłaby wszystko. Poza tym chciała kierować jakąś bardziej szacowną instytucją. Z pomocą Larkina została dyrektorką Dobroczynnej Szkoły dla Dziewcząt.

– Panna Pratt natychmiast zdała sobie sprawę, że najlepszym sposobem przekształcenia charytatywnej szkoły w przedsiębiorstwo dochodowe jest znalezienie szczodrego protektora, który nie wtrącałby się zbytnio w wewnętrzne sprawy szkoły – powiedziała Concordia. – Przeprowadziła rekonesans i uznała za najodpowiedniejszą panią Hoxton.

Stoner skinął głową.

– A wraz z panią Hoxton pozyskała w charakterze dodatkowej bonifikaty przyjaciela tej damy, Edwarda Trimleya. Edith Pratt tylko raz spojrzała na niego i wiedziała już, że ma do czynienia z pozbawionym wszelkich zasad pasożytem… który może okazać się pożyteczny.

– Wtedy właśnie zrodził się w jej głowie plan uprowadzenia kilku młodych panien z dobrego domu, najlepiej bez krewnych. Należało zorganizować aukcję dla ambitnych dżentelmenów, pragnących dostać się za wszelką cenę do najwyższych kręgów wielkiego świata – podjął znów Ambrose. – Zrozumiała od razu, że na tym można zbić fortunę. Przedstawiła swój plan Larkinowi; był nim zachwycony. Aby zapewnić sobie współpracę Trimleya, postanowili podzielić zyski na trzy części.

– Przejrzała Trimleya na wylot – stwierdził Felix. – Był zachwycony, że może nawiązać współpracę z prawdziwym mistrzem zbrodni. Zapewne sądził, że on także zdobędzie podobną władzę. Edith Pratt zlekceważył, widząc w niej tylko jedną z kochanek Larkina.

Concordia westchnęła.

– Wracając do Edith Pratt… Nie miała pojęcia, że Larkin chce wykorzystać jej plan do celów osobistych: zdobyć żonę z dobrego domu, wykształconą i z dużym majątkiem. Kiedy odkryła prawdę, zbyt późno, poczuła się haniebnie oszukana. Zamordowała Nellie Taylor i zaczęła się zastanawiać nad sposobem zabicia Larkina.

– Postanowiła dokonać morderstwa nocą, po balu u Greshamów – wyjaśnił Ambrose. – Poleciła staremu Henry’emu otworzyć łaźnie nocą, jak wówczas, gdy Larkin odbywał tam spotkania w interesach. Wysłała również naglące liściki do Larkina i Trimleya, informując każdego z nich, że wyniknął nagły problem i powinni spotkać się w tej sprawie bezzwłocznie. Miała nadzieję, że podejrzenie o dokonanie zbrodni padnie na Trimleya i niewygodny wspólnik zostanie natychmiast aresztowany.

– Pokłóciła się z Larkinem, zanim Trimley zjawił się w łaźni – podjął wątek Felix. – Kiedy zrozumiał, że to ona ściągnęła go tu na spotkanie z Trimleyem, był wściekły. Zabiła go jednak bez najmniejszego kłopotu. Mimo że obsesyjnie dbał o własne bezpieczeństwo, jej nie lękał się zupełnie. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że mogłaby podnieść na niego rękę. Uderzyła go od tyłu pogrzebaczem. Wpadł do basenu, nieprzytomny, być może konający. Bardzo szybko utonął.

– Wówczas Edith Pratt uciekła z miejsca zbrodni – powiedział Ambrose. – Wkrótce zjawił się Trimley. Znalazł ciało, wpadł w panikę i chciał uciec z łaźni tylnym wyjściem. Natknął się jednak na kąpielowego i natychmiast zrozumiał, że ten człowiek stanowi dla niego zagrożenie: widział go na miejscu zbrodni. Trimley doszedł więc do wniosku, że musi go zabić.

– Ale w tym momencie zjawiłeś się ty – wtrąciła Concordia.

Ambrose skinął głową.

– A ty zaraz po mnie.

– Przeciw takiej parze jak wy Trimley nie miał żadnych szans – stwierdził z satysfakcją Stoner. Spojrzał na Feliksa i na dziewczynki, oczekując potwierdzenia. – Dobrana z nich para, nieprawdaż?

– Jeszcze jak! – Felix zgodził się z nim, uśmiechając się dobrodusznie.

– Drugiej takiej nie ma – zapewniła Edwina z entuzjazmem.

– Po prostu idealna! – przytaknęła Theodora.

– Zdumiewające, jacy są zgrani – dorzuciła z emfazą Phoebe. – To takie nowoczesne, nieprawdaż, Hannah?

– A równocześnie takie romantyczne! – dodała z naciskiem Hannah.

– Plan Edith Pratt był rzeczywiście całkiem sprytny – zaczął Ambrose, nim ktoś następny wyrwał się z uwagą na temat jego stosunków z Concordią. – Trimley wykorzystał niezwykłą pamięć pani Hoxton (zwłaszcza w sprawach dotyczących wielkiego świata), by wybrać pierwszy rzut odpowiednich dziedziczek. Zależało im na dziewczętach z ziemiańskich rodzin, mało znanych w eleganckim świecie.

– Idealną kandydatką była młoda dama pozbawiona rodziny i ze względu na spadek bardzo dla kogoś niewygodna – uzupełnił Felix.

– Inaczej mówiąc, gdyby ta młoda dama zniknęła, jej pieniądze przypadłyby komuś innemu – podsumował Stoner.

– Właśnie! – Felix napił się koniaku. – Spadkobierczyni zawsze stoi komuś na zawadzie. Należało więc znaleźć tylko tego niezadowolonego. Trimley miał do tego smykałkę. Bezbłędnie wynajdywał w każdym przypadku kogoś, kto chętnie by sypnął groszem i nie zadawał niepotrzebnych pytań, byleby dziedziczka nagle zniknęła.

– A potem ta spadkobierczyni nagle ginie w tragicznych okolicznościach i nie ma nawet ciała, które można by zidentyfikować – uściślił Stoner.

– Ale Trimley, zamiast zabijać panienki w tak zwanych nieszczęśliwych wypadkach, przywoził je na Rexbridge Street – odezwał się znów Ambrose.

– Zgodnie z planem, miały tam pozostać, póki wieści o ich tragicznym zgonie nie pójdą w niepamięć. Wówczas miano urządzić aukcję. Ale ciotka Phoebe wszczęła poszukiwania. Edith Pratt przestraszyła się i zażądała przeniesienia dziewcząt gdzie indziej. Nie mogła pozwolić, by odnaleziono je u niej w szkole!

– Trimley i Larkin zmusili Cuthberta, by zajął się przenosinami dziewcząt do Aldwick Castle – podjęła opowieść Concordia. – Ich nieposzlakowana reputacja dodawała im wartości, toteż Edwina, Theodora, Hannah i Phoebe musiały mieć przyzwoitkę. I stąd wzięła początek bajeczka o tak zwanej akademii dla młodych panienek, która miała powstać na zamku.

Ambrose spojrzał na Concordię i poczuł, jak wzbiera w nim duma i zachwyt.

– Panna Bartlett nie wchodziła w grę z powodów oczywistych – powiedział. – Wobec tego Edith Pratt skorzystała z kartoteki pani Jervis. I wówczas popełniła swój największy błąd. Angażując pannę Glade, wprowadziła na scenę kogoś, komu rzeczywiście leżało na sercu dobro dziewcząt. Nauczycielkę z powołania.

45

Tej nocy Concordia czekała w łóżku, dopóki w całym domu nie zapadnie cisza. Kiedy była już pewna, że wszyscy śpią, odrzuciła kołdrę, wstała i sięgnęła po szlafrok i ranne pantofle.

Co za dużo, to niezdrowo!

Znalazła okulary i wsadziła je na nos. Odetchnęła głęboko, zapaliła świecę, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Drzwi sypialni Ambrose'a były zamknięte. Zastukała tylko raz, i to cichutko.

Ambrose otworzył drzwi natychmiast, jakby na nią czekał. Miał na sobie czarny szlafrok. Nie wiedzieć czemu zwróciła uwagę, że jest na bosaka. Jakie ma ładne palce u nóg! – pomyślała.

– Przyszłaś tu, by znów mnie skompromitować? – spytał.

Podniosła raptownie głowę. Płomień świecy zadygotał. Uświadomiła sobie, że palce jej drżą.

– Nie – odparła.

– Szkoda!

Zirytowała się i nerwowe drżenie ustało.

– Ambrose, mam już dość twojego osobliwego poczucia humoru. Musimy porozmawiać poważnie.

– O czym?

– O nas.

– Rozumiem… – Skrzyżował ramiona i oparł się barkiem o futrynę. – Gdzie zamierzasz przeprowadzić tę rozmowę?

– Może w bibliotece?

– Przypomina mi się jak przez mgłę, że ostatnim razem, gdy byliśmy razem sam na sam w bibliotece, zostałem zniewolony.

– Przysięgam, Ambrose, że jeśli nie przestaniesz…

– I nawet mi nie wspominaj o oranżerii! – Uniósł rękę. – To byłoby okrutne: raz jeszcze zrzucać na Dantego i Beatrycze winę za stratowanie jakiegoś zielska!

– Dość już tego, mój panie! – Wyprostowała się. – Za mną!

– Wedle rozkazu, panno Glade! – Posłusznie wyszedł na korytarz i bardzo cicho zamknął drzwi. – Dokąd idziemy?

– Do pomieszczenia, którego nawet ty nie uznałbyś za odpowiednie do namiętnych pieszczot.

– Na twoim miejscu nie byłbym taki pewny.

Udając, że nie słyszała tej uwagi, sprowadziła go na dół, a potem korytarzem do nieskalanie czystej kuchni pani Oates. Stawiając lichtarz na blacie, spojrzała Ambrose’owi w oczy z drugiego końca stołu.

– Mój panie! Wiem, że twoje ustawiczne żarciki i dowcipne uwagi na temat małżeństwa bardzo cię bawią, ale musisz z tym skończyć.

– Zapewniam cię, że podchodzę z całą powagą do tego zagadnienia.

Concordia zacisnęła powieki, by powstrzymać napływające do oczu łzy. Kiedy się opanowała, popatrzyła na Ambrose’a ze złością.

– Zdaję sobie sprawę, że twoje poczucie honoru kazało ci złożyć decyzję w sprawie małżeństwa w moje ręce. Doceniam to bardziej, niż ci się wydaje. Ale to jest zupełnie zbyteczne.

– Mów za siebie! – Rozejrzał się po kuchni. – Ciekawe, czy ocalał choć kawałek łososia w cieście?

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

– Postaraj się skupić na tym, co mówię, Ambrose!

– Przepraszam. – Usiadł przy stole, oparł splecione ręce na blacie i spojrzał na nią z miną grzecznego uczniaka. – O czym to była mowa?…

– Oboje dobrze wiemy, mimo twoich ustawicznych żartów, że twoja reputacja wcale na tym nie ucierpiała. Moja zresztą też.

– Hm… – Potarł podbródek. – Jesteś tego pewna?

– Jak najbardziej. – Wyprostowała się i zdobyła na bohaterski uśmiech. – Potrafię sobie poradzić ze wszystkimi problemami związanymi z tą aferą. Nie zapominaj, że przez wiele lat ukrywałam swoją przeszłość. Teraz też stworzę sobie nową tożsamość. Wcześniej czy później otrzymam znów posadę w jakiejś żeńskiej szkole.

– Rozumiem. Nie jestem ci potrzebny jako obrońca twojej czci?

– Bronić swojej czci potrafię sama; to mój, a nie twój obowiązek. Bardzo ładnie, że masz takie rycerskie odruchy, ale zapewniam cię, to wcale nie jest konieczne!

– A co z dziewczętami? Odnoszę wrażenie, że bardzo im się tu podoba. Wiem, że Phoebe napisała do swojej cioci i nie może się doczekać, kiedy znów ją zobaczy. Ale z pewnością nie zamierzasz odesłać pozostałych dziewcząt krewniakom, którzy tak ochoczo zapłacili Trimleyowi i Larkinowi, by się z nimi rozprawili.

– Oczywiście, że nie! – Zesztywniała zaszokowana takim przypuszczeniem. – Dałam swoim dziewczętom słowo, że w moim domu zawsze będzie dla nich miejsce, kiedykolwiek zechcą. Nawet mi w głowie nie postało, by złamać to przyrzeczenie!

– Wiem – powiedział. – Nigdy byś tego nie zrobiła.

– Moje dziewczęta są teraz bogate, ale nadal potrzebują opieki i poczucia bezpieczeństwa, zanim staną się dostatecznie dorosłe, by stawić czoło światu – mówiła dalej. – Muszą się także nauczyć zarządzania własnym majątkiem i ostrożności w postępowaniu z mężczyznami, którzy mogą okazać się łowcami posagów.

– Jestem tego samego zdania.

– Ale wychowanie dziewcząt to mój obowiązek, Ambrose, nie twój! – powiedziała z powagą. – Teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło, nie powinieneś czuć się zobowiązany do dalszej opieki nad nimi. Nie masz też żadnych obowiązków wobec mnie.

Ambrose wstał, pochylił się do przodu i oparł dłonie na stole.

– Inaczej mówiąc, mam wrócić do życia, które sam sobie wybrałem. Czy to próbujesz mi powiedzieć?

– No… tak. Chyba właśnie to próbuję ci powiedzieć.

– A jeśli to dawne życie już mi nie odpowiada? – spytał.

– Co takiego?!

– Jeśli przekonałem się, że wolę, by ktoś dzielił ze mną to życie?

– Ambrose…

– Zanim zasypiesz mnie mnóstwem frazesów, by usprawiedliwić swoją niemożność poświęcenia mi całego życia, czy odpowiesz na jedno pytanie?

Ledwie mogła oddychać.

– Jakie?…

– Czy mnie kochasz, Concordio?

Łzy, które tak bohatersko odpierała, pociekły jej z oczu. Zdjęła okulary i wycierała rozpaczliwie rękawem szlafroka wciąż napływające łzy.

– Przecież wiesz… – szepnęła.

– Wcale nie. Przyznam, że miałem trochę nadziei, ale żadnej pewności. A niepewność jest czasem nie do zniesienia. Spójrz na mnie, Concordio!

Mrugała zawzięcie oczyma, żeby wyschły, a potem włożyła znów okulary.

– O co chodzi?

– Kocham cię – powiedział.

– Och, Ambrose! – Znowu łzy popłynęły jej z oczu i potoczyły się po policzkach. – Chyba rozumiesz, że to niemożliwe!

– Dlaczego?

Zrobiła szeroki gest rękoma.

– Jesteś bogatym dżentelmenem, jednym ze spadkobierców Stonera. Jeśli naprawdę chcesz się ożenić, możesz mierzyć znacznie wyżej… Po co ci nauczycielka bez grosza i z kompromitującą przeszłością?

– Ile razy mam ci jeszcze powtarzać, że nie jestem dżentelmenem, tylko z lekka skruszonym złodziejaszkiem, którego nadal pociąga włóczenie się po ciemku, włażenie bliźnim do mieszkania w środku nocy, otwieranie zamkniętych szuflad i odgrzebywanie dawnych tajemnic, które nie powinny mnie obchodzić?

Concordia zmarszczyła brwi.

– Doskonale wiesz, że to nie jest twój wierny portret! Jesteś szlachetnym, wiernym rycerzem, który poświęcił się naprawianiu krzywd.

– Nie, kochanie moje, jestem zawodowym złodziejem, wywodzącym się z rodu oszustów i łajdaków. Tylko ty jesteś szlachetna i oddana bez reszty swojemu powołaniu. Chyba to jasne, że rozpaczliwie pragnę takiej moralnej podpory, jej przewodnictwa i wpływu… jeśli mam się oprzeć pokusom dawnego życia.

– Ambrose… – Sama już nie wiedziała, śmiać się czy płakać. – Naprawdę nie wiem, co ci powiedzieć!

– Poproś, żebym się z tobą ożenił. – Wyprostował się i ruszył na koniec stołu, by wziąć ją w ramiona. – W ten sposób najpewniej uchronisz mnie od schodzenia na manowce. A poza tym wyrównasz ze mną rachunki.

– Co takiego?

– Pamiętasz chyba, że w zamian za moją pomoc domagam się jakiejś przysługi. Od ciebie chcę usłyszeć propozycję małżeństwa.

Położyła ręce na jego ramionach. W oczach widziała tyle ciepła, tyle obietnic… Ambrose by mnie nie okłamał! – myślała. Powierzyła mu swoje życie i życie swoich uczennic. Powiedział, że ją kocha. Może mu powierzyć także serce.

W jej wnętrzu coś, co było skute lodem i samotne od tak dawna, nagle rozkwitło jakby ugodzone słonecznym grotem. Znalazła kogoś godnego

miłości. Jak mogłaby odrzucić ten cudowny dar?…

– Kocham cię z całego serca – szepnęła. – Ożenisz się ze mną, Ambrose?

– Tak – odparł z ustami na jej ustach. – Tak, koniecznie! Jak najprędzej!

Czuła, jak wibruje w niej i śpiewa radość. Zarzuciła Ambrose’owi ręce na szyję i oddała pocałunek pełen namiętności i miłości, uczuć, które chowała dla tego właśnie mężczyzny.

Jego usta powędrowały ku jej szyi.

– Pomyliłaś się co do jednego – szepnął.

– A mianowicie?

– Moja wyobraźnia jest znacznie bujniejsza, niż myślisz. Na przykład bez trudu mogę sobie wyobrazić ten kuchenny stół jako całkiem odpowiednie miejsce dla namiętnych pieszczot.

– Ambrose!

– Nie w towarzystwie psów! – odezwał się od drzwi głos Stonera.

Dante i Beatrycze wpadły do kuchni.

– Ani przy młodych panienkach – dodał Stoner.

Hannah, Phoebe, Edwina i Theodora pojawiły się w drzwiach za Stonerem.

– Już go poprosiła? – dopytywała się Hannah.

Stoner uśmiechnął się dobrotliwie do Ambrose’a i Concordii.

– Mam wrażenie, że tak.

– I co pan Wells odpowiedział? – spytała żywo Edwina.

Zamknięta w objęciach Ambrose’a Concordia spoglądała na podnieconą gromadkę cisnącą się w drzwiach. Wszyscy są ze sobą związani! – pomyślała.

Czuła niewidzialne więzy łączące ją nie tylko z Ambrose’em, ale także ze Stonerem i z czterema dziewczynkami. Felix Denver również stanowił cząstkę tej wspólnoty.

Rozpoznała to uczucie. Przez długi, bardzo długi czas nie doświadczała go, ale pewnych rzeczy się nie zapomina.

Tak czują się ludzie w kręgu rodziny.
Concordia się uśmiechnęła.
– Z przyjemnością was informuję, że pan Wells powiedział: tak!

46

Annie Petrie znowu szła przez stary cmentarz. Było już po północy. Mgła osłaniała całunem nagrobki i pomniki, tak samo jak wówczas, gdy Annie przybyła tu po raz pierwszy na spotkanie z tym człowiekiem. Jedną ręką przytrzymywała pod szyją oba brzegi peleryny, w drugiej niosła wysoko latarnię.

– Czy pan tu jest? – rzuciła szeptem w otaczającą ją ciemność.

– Proszę przygasić latarnię, pani Petrie.

Głos dochodził z wejścia do najbliższej krypty. Annie rozejrzała się dokoła, a następnie przygasiła światło latarni.

– Otrzymałam wiadomość od pana – powiedziała. – I widziałam, co pisali na ten temat w dzisiejszych porannych gazetach. Wszystko o tym, jak Edith Pratt zabiła Nellie. Nie wiem jak panu dziękować!

– Jest pani zadowolona z rezultatów mojego dochodzenia? – spytał.

– Tak, proszę pana.

– Czasem odpowiedzi na nasze pytania nie przynoszą pociechy, jakiej pragnęlibyśmy.

– Może to i prawda – odparła i zdumiało ją brzmiące w jej głosie przekonanie. – Ale jedno nie ulega wątpliwości: ogarnął mnie spokój, odkąd wiem, że morderczyni mojej siostry zapłaci za swoją zbrodnię.

– Cieszę się, że mogłem pani pomóc.

Kobieta się zawahała.

– Co do wynagrodzenia… Mam nadzieję, że nie zmienił pan zdania, że to będzie przysługa za przysługę? Mam wprawdzie trochę pieniędzy, ale nie jest tego dużo…

– Powiedziałem, gdy powierzyła mi pani to zlecenie, że być może kiedyś, w przyszłości, zażądam od pani próbki towaru, który pani wytwarza. Ten dzień przyszedł znacznie prędzej, niż oczekiwałem.

– O czym pan mówi?

– Chcę kupić trzydzieści osiem parasolek pani wyrobu.

Annie osłupiała.

– Co pan zrobi z tyloma parasolkami?!

– Mam pewien plan.

– Dobrze, proszę pana. – Przypomniała sobie, że we wszystkich plotkach na temat tego człowieka powtarzało się w kółko, iż straszny z niego dziwak. No, ale rozsądni ludzie nie zajmowali się czymś takim jak on. – Może pan dostać tyle parasolek, ile tylko pan sobie życzy! Nie musi pan nic kupować. Dam je panu za darmo. Po tym wszystkim, co zrobił pan dla mnie dobrego, odwdzięczę się choć tym!

– Jedna z tych parasolek będzie zapłatą za moje usługi – odparł. – Resztę kupię po uczciwej cenie.

– Jeśli pan tak sobie życzy…

– Chciałbym, żeby na tej jednej parasolce, którą dostanę w prezencie, był wyhaftowany specjalny wzór. Czy można to będzie wykonać w pani warsztacie?

– Oczywiście, proszę pana. Moja pomocnica jest bardzo zdolna do takich rzeczy. Jaki wzór chce pan mieć na tej parasolce?

– Zadbam o to, żeby pani otrzymała szkic.

– Dobrze, proszę pana.

– Bardzo dziękuję, pani Petrie.

W głębokim mroku obok krypty coś poruszyło się prawie niedostrzegalnie. Czy to możliwe, żeby on ukłonił się jej, sklepikarce, jakby

była prawdziwą damą?…

– Czy to już wszystko, proszę pana?

– Tak, pani Petrie. Mam nadzieję, że szepnie pani o mnie dobre słowo tym, którym przydałaby się moja pomoc?

Chyba nie kpiłby sobie ze mnie w żywe oczy? – pomyślała. Zresztą, do takiego jak on nie pasują jakieś tam żarciki.

– Dobranoc panu.

Annie wzięła do ręki latarnię i ruszyła szybko ku cmentarnej bramie.

Wiedziała, że tej nocy będzie spała nieco lepiej niż zwykle.

47

Gdy Concordia weszła do pokoju stołowego, który pełnił funkcję auli, zapadła uroczysta cisza. Trzydzieści siedem podenerwowanych dziewcząt wstało na powitanie nowej dyrektorki. Pod ścianą zebrała się niewielka garstka służby, która pozostała w szkole, oraz panna Burke. Byli równie niespokojni i niepewni jak uczennice. Hannah, Phoebe, Edwina i Theodora stały pod przeciwległą ścianą. Była z nimi ciocia Winifred, uśmiechająca się tak samo radośnie jak jej bratanica Phoebe.

Concordia sprężystym krokiem ruszyła między szeregami nowych uczennic na drugi koniec sali. Dotarłszy tam, zwróciła się twarzą do audytorium. Dostrzegła w pierwszym rzędzie przyjaciółkę Hannah, Joan. Dziewczynka była pełna nadziei i radośnie podniecona.

Stojący w drzwiach Ambrose wszystko bacznie obserwował. Miłość i duma tak zeń promieniowały, że Concordia wyraźnie je czuła, choć dzieliła ich cała długość sali. Obok przyjaciela Felix z wytworną niedbałością opierał się o futrynę. Za nimi stał John Stoner. Twarz jaśniała mu radością.

Concordia skupiła całą swą uwagę na stojących przed nią dziewczętach i poczuła, jak wzbiera w niej cudowna radość. Nikt nie spogląda w przyszłość z takim optymizmem jak my, nauczyciele! – pomyślała. Pewnie dlatego, że często patrzymy w oczy uczniów i udziela nam się ich młodzieńczy entuzjazm.

– Siadajcie, proszę.

Uczennice z cichym szelestem spódnic i halek posłusznie zajęły miejsca.

– Dzień dobry – powiedziała Concordia. – Nazywam się Concordia Glade i jestem nową dyrektorką Dobroczynnej Szkoły dla Dziewcząt. Na razie powinnyście zwracać się do mnie panno Glade. Niebawem wyjdę za mąż i będziecie mnie nazywać panią Wells. Ale niczego to nie zmieni. Pozostanę nadal dyrektorką tej szkoły.

W całej sali rozległ się cichutki szmer zdziwienia. Dziewczęta wymieniały zdumione spojrzenia. Wszyscy przecież wiedzieli, że zamężne damy zajmują się własnym domem i nigdzie nie pracują!

– Jak się niebawem przekonacie, mam nowoczesne, można by rzec niekonwencjonalne, poglądy na edukację dziewcząt – mówiła dalej Concordia. – W najbliższym czasie nastąpi tu wiele zmian. Między innymi zmienią się kucharka i jadłospis. Otrzymacie nowe mundurki. W chłodne dni nie zabraknie ognia na kominku. Pościel będzie częściej zmieniana. I jeszcze jedno: w tej szkole znajdzie się zawsze miejsce dla osieroconych dziewcząt, bez względu na ich pochodzenie.

Na sali znów zaszumiało.

– Będę oczywiście odpowiedzialna za wasze wykształcenie, ale czekają was zajęcia nie tylko ze mną. Cztery dawne wychowanki tej szkoły postanowiły zostać nauczycielkami. Będą mi pomagać, ucząc się przy tym nowego zawodu. Nazywają się Edwina i Theodora Cooper, Hannah Radburn i Phoebe Leyland. – Stojące na drugim końcu sali dziewczęta odpowiedziały promiennymi uśmiechami. – Będziemy również mieli nowego protektora – kontynuowała Concordia. – Jest nim pan Stoner. Nie tylko obiecał wspomagać finansowo naszą szkołę. Zgodził się prowadzić z wami niezmiernie interesujące zajęcia. Pod jego kierunkiem zaznajomicie się z filozofią starożytną, będziecie odbywały ćwiczenia gimnastyczne oraz medytacje. Staniecie się pierwszymi kobietami wtajemniczonymi w arkana Kwitnących Przybytków Vanzagary. – Na twarzach dziewcząt odbiło się żywe zainteresowanie. – Moim celem – mówiła dalej Concordia – jest zapewnienie wam ogólnego wykształcenia oraz warunków do rozwoju

indywidualnych talentów; to zaś powinno wam dopomóc w podjęciu decyzji, kim chcecie być i jak pracować po ukończeniu szkoły. Świat zmienia się w szybkim tempie. Dołożę starań, by nasze absolwentki były przygotowane na te zmiany i umiały z nich korzystać. Mam nadzieję, że kiedyś któraś z was wystąpi z własnym projektem ulepszeń w jakiejś dziedzinie i pociągnie za sobą innych.

Uczennice wpatrywały się w nią szeroko otwartymi oczyma.

Concordia się uśmiechnęła.

– Czeka nas tutaj mnóstwo wspólnych przygód. Ale w tej chwili świeci słońce i powietrze jest czyste. Wiem, że zabraniano wam wychodzić poza teren szkoły. Ja jednak jestem gorącą zwolenniczką codziennych spacerów. Zacznijmy od razu. Za mną, dziewczęta!

Ponownie przeszła między rzędami krzeseł. Po krótkiej ciszy usłyszała za sobą szuranie i śpieszne kroki. Dziewczęta zrywały się z miejsc i biegły za nią.

Zatrzymała się w drzwiach i znowu obróciła się twarzą do nich.

– Jeszcze jedno! We frontowym holu zobaczycie ładne nowe parasolki. Każda z was dostanie jedną. Na zawsze.

Ambrose mrugnął do niej, gdy prowadziła stadko podekscytowanych uczennic ku drzwiom. Odpowiedziała mu uśmiechem pełnym miłości, która przepełniała jej serce.

Stoner i Felix rozdawali parasolki we frontowym holu, Ambrose zaś szarmancko otwierał damom drzwi.

– Dokąd pójdziemy, panno Glade?

Concordia spojrzała na małą piegowatą dziewczynkę. Uczennica miała najwyżej osiem lat, ale jej oczy były o wiele dojrzalsze; malowały się w nich nieufność i wahanie. Jednak spod powłoki niedowierzania i niepokoju wyzierała dziecięca nadzieja i odporność.

– Jak ci na imię? – spytała łagodnie Concordia.

– Jennifer, proszę pani.

– Wiesz, Jennifer, że dziś w parku jest kiermasz? – oznajmiła Concordia. – Myślę, że warto tam zajrzeć. To będzie bardzo pouczająca wyprawa!

Jennifer i kilka innych dziewczynek osłupiały z wrażenia.

– Idziemy na kiermasz! – szepnęła któraś nabożnie.

Ambrose znów mrugnął do Concordii.

– Już się cieszę na sprawozdanie z tej wyprawy, panno Glade. Podzielisz się ze mną swoimi spostrzeżeniami wieczorem, po powrocie do domu? Mam nadzieję, że doskonale będziecie się bawić, i ty, i dziewczęta.

– Opowiem ci o wszystkim – obiecała.

Wyszła z domu i na frontowych schodach rozłożyła śliczną zieloną parasolkę, prezent od niego. Kwiat – symbol Vanzagary – wyhaftowany złotą nicią jarzył się w słońcu i napawał otuchą, jak cały ten piękny dzień.

– Idziemy, panienki! – zwróciła się do dziewcząt, które zbiły się w gromadkę we frontowym holu.

Poprowadziła je prosto ku słońcu na spotkanie jutra.